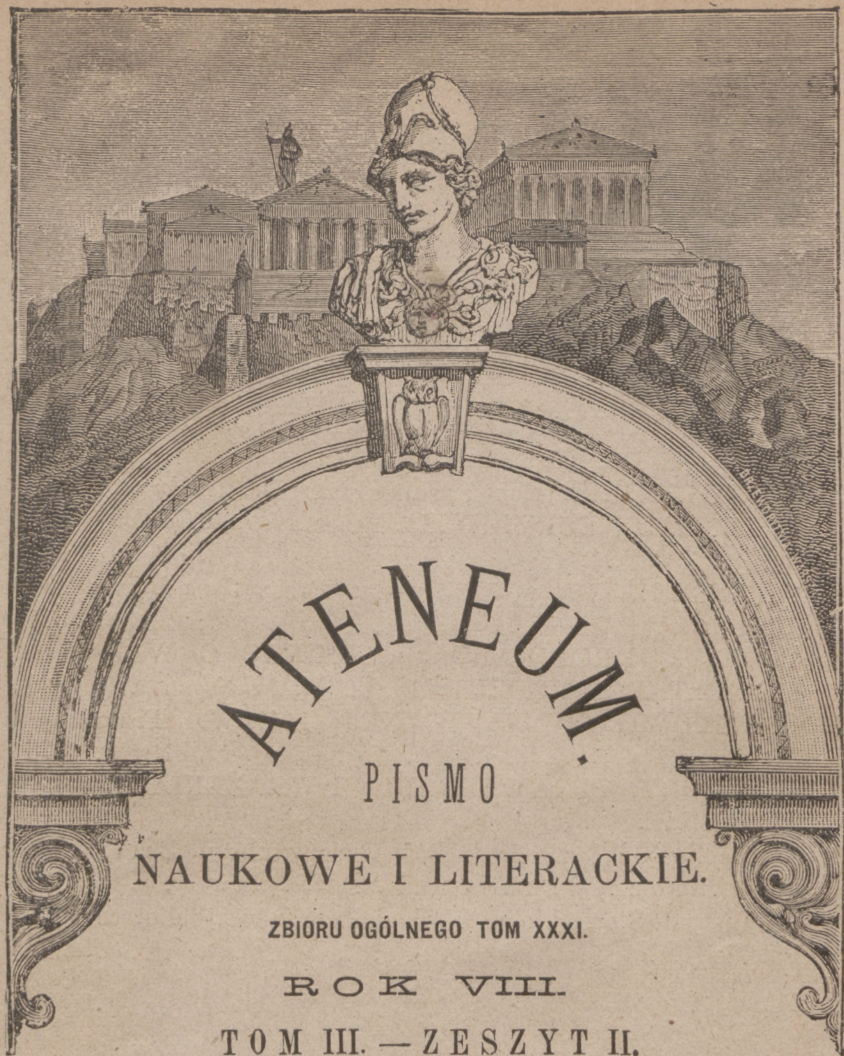


ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXI.

ROK VIII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Sierpnia 1883 r.

GWIAŹDA PRZEWODNIA

OBRAZ NA TLE ŻYCIA WSCHODNIEGO.

I.

Pod rozłożystemi konarami dziewiczego ostępu, podszytego wybujałym chwastem południa, grał zjadły gon ogarów. Snać grubego zwierza psy goniły. Za olbrzymim dębem stał przyczajony młodziutki myśliwy w stroju na pół wojskowym, z wytężonym słuchem i wzrokiem, ze strzelbą na pogotowiu. Ogary ujadały na jedném miejscu, klaśnięcie z harapa i hukanie dojeżdżacza spłoszyło zwierza; gon posunął naprzód ku strzelcowi. Tętent coraz bliższy i wężykowato drgające gwałtownie wierzchołki chwastu, dawały znać myśliwemu o tuż—tuż nadciągającéj zwierzynie. Wziął na cel a wzrokiem przeszywał gąszcze.

Nieopodal strzelca, o kilkadziesiąt kroków, leżał rząd powału. Zwierzyna ciągnęła wprost na myśliwego; raptem stanęła, chrapnęła i pomknęła ku wywrotom. Nad kłodą powaloną mignął ogromny łeb byczy z ostremi rogami, kosmata grzywa ciemno-szara a za niemi olbrzymi kadłub żubra. Huknął podwójny strzał, kula zorała kark byka, który ryknąwszy głucho, padł na oba kolana, skoczył następnie na nogi, potuptał się w kółko i pomknął daléj w las.

Myśliwy z zaiskrzoném okiem, zapominając nabić strzelbę, poskoczył do żubra; na trawie znalazłszy tylko nieco farby, popędził co tchu tropem. Trzask gałęzi i prychanie, ujadanie ogarów, świadczyły, że zwierz ustawał. Młodzieniec w biegu dobijał kule, z boku odezwał się głos spokojny:

— Kajsik sam? co strzelał?...

— Wołu dzikiego—odezwał się myśliwy,—farbuje... Zabiegaj!..

— W dyrdy poleciał... Słonko na zachodzie, niebezpiecznie gonić—i zaczął trąbić na psy.

Ogary ucięły, myśliwy aż podskoczył, fuknął gniewnie na dojeżdżacza:

— Wielki z ciebie Bartek!

— Bartosz za swój grosz... Noc zaskoczy — i trąbił daléj.

Dojeżdżacz i myśliwy stanęli oko w oko. Ostatni, zaperzony, bokiem wzgardliwie mierzył trąbiącego; zerkał zawzięcie czarnemi oczami i odstawiwszy dumnie nogę, wyciągnął rękę drżącą od gorączki myśliwskiéj. Gon uciął był na chwilę, teraz znowu zagrał jak z oka. Dojeżdżacz zatrąbił, ale po pięknéj twarzy myśliwego przemknęła wężykiem chmura gniewu, skoczył i wyrwał pierwszemu trąbkę, bodnąwszy nią z lekka w bok nieposłusznego.

— Dudy w miech!—burknął młodzieniec — nie słyszysz? Wół stanął... Za mną!

— Hajno, niech będzie po waszemu... Słonko nisko, od „krepości“ odbiegliśmy huk. Natuchaje zadżgać gotowi...

— Tchórzem śmierdzisz... A nu daléj! — i młodzian gwałtownie szarpnął dojeżdżacza za trąbkę.

Dojeżdżacz powiódł smutnie błękitném okiem po myśliwym, zdjął z krzepkich bark przysadkowatych dubeltówkę, westchnął, machnął ręką i uśmiechnął się dobrotliwie, przyczém mu jednak jakoś niewesoło obwisły czerstwe pełne policzki.

— Panu i kpu wszystko wolno... Wstyd!.. Ha no nie daj Boże jakiéj biedy... Co „rotny“ powiedzą? — mruczał dojeżdżacz idąc prędko za młodym.

Żubra nie znajdywali, choć się tuż do niego podsunęli. Zaczęli obchodzić, zanim jednak półkoła zrobili, zwierz ruszył daléj a za nim ogary. Myśliwy huknął na dojeżdżacza żeby pośpieszał. Padł strzał, psy ucięły.

— Bartek sam! ty strzelał? — krzyczał myśliwy.

Odpowiedzi nie było. Zaszeleściały gwałtownie chwasty i ku myśliwemu podskoczył Bartosz dojeżdżacz machając ręką.

— Ktosik nie my — szepnął trwożliwie — stójcie paniczu! ts!...

Myśliwy stał na miejscu świeżo wytratowaném końmi, coś w rodzaju chwilowego obozu czy taboru musiało tu być przed chwilą. Bartosz na ten widok osłupiał, blady sykał i szukał niespokojnie oczyma po ziemi; ujrzawszy gnój koński, skoczył do niego dotykając ręką. Wystraszony w susach dopadł myśliwego, pociągnął go gwałtownie za rękę. Myśliwy spojrzał zdumiony, fuknął złośliwie.

— A to tchórza złapał!.. Fe! Mów u licha, co tam takiego?. Zanim wymiamlesz, zwierzynę z przed nosa sprzątną...

Niedaleki tupot rozległ się po lesie.

— Ts!.. i Bartosz jeszcze gwałtowniéj ciągnął myśliwego. —Czerkiesy! uciekajmy!..

Zanim z miejsca ruszyli, chwasty zadrgały gwałtownie a nad niemi ukazała się ogromna papacha z głową rudo zarosłą. Padł strzał, kula gwiznęła nad głową myśliwego.

— Ałłach ill Ałłach! — zagrzmiało dokoła od wyskakujących konno kilkudziesięciu Czerkiesów Natuchajców.

Ten co pierwszy strzelił, pędził na myśliwych z podniesioną nad łbem końskim szaszką i kindżałem w zębach. Panicz wziął go na cel, już miał pociągnąć za cyngiel, lecz Bartek wydarł mu strzelbę.

— Co panicz robisz—krzyknął — ich hurma okrutna a nas co? następnie, zwrócony do Czerkiesa, zdjąwszy furażerkę, powitał po polsku — dobry wieczór panu pułkownikowi!

— Kto wy? — pytał Czerkies groźnie łamaną polszczyzną.

— Myśliwi, panie pułkowniku — odpowiedział Bartosz wesoło jakby nic nie groziło.

— Nieprawda, wy sołdaty z Gielendżika?— dopytywał Czerkies świdrując oczkami zielonemi jak u kota.

— Zkąd sałdaty?! my markietany, wasza wysoko wielmożność, wyszliśmy na polowanie poszukać zwierzyny na sprzedaż. A coście zabrali naszego wołu?

Reszta Czerkiesów machając szaszkami, łyskając wzrokiem złowieszczo i krzycząc, coraz ciaśniéj otaczała myśliwych.

— Iwan! Moskow! łby pościnać psom giaurom!..

— Łżesz!—krzyknął rudy Czerkies na Bartosza — mów prawdę! Zkąd wy?

— Z Radomskiego, z pod Sandomierza, my Polacy....

— Nie, wy sołdaty, no, ale wy w Polsce macie dużo pieniędzy, okup będziecie musieli zapłacić... a nie, to!.. i groźnie wywinął szaszką, nad głowami jeńców — oddajcie broń!

Bartek podał obie strzelby i resztę rynsztunku myśliwskiego. Panicz tymczasem przestępował z nogi na nogę, wyczekując niecierpliwie końca układów towarzysza. Krew mu uderzyła słysząc, że został jeńcem.

— Bezbronnych chwytacie — rzekł — alboż to przystało rycerzom? !

— „Szaszłyk“ (mięso w kostki krajane) z ciebie dzieciuchu zrobię — i Czerkies zsunął papachę na tył głowy — milcz giaurze!

— Sądzisz, że mi o życie chodzi? bij!— i młodzieniec łysnąwszy wzrokiem, poskoczył do Czerkiesa nastawiając piersi.

Kocie oczki Czerkiesa zamigotały zielono, śpiczasty nos się nadął, a ręka z szaszką pomknęła do góry; gotów był ciąć. Bartek skoczył do towarzysza, zakrył go swém ciałem.

— Darujcie mu, wasza wysoko wielmożność! ta to młode paniątko, nie wie co czyni. Dalibóg, on wasz najlepszy przyjaciel...

Czerkies opuścił szaszkę i ciekawie oglądał obrońcę.

— Czy to twój syn? — pytał Bartosza.

— Proszę jaśnie wielmożnego jednorała, to mój panicz, my z jednéj wsi. To jest, ja ze wsi, a panicz ze dworu od rodziców, u których służyłem za ogrodniczka...

Czerkiesi, nieco ostygli z pierwszego uniesienia, wzywali ciągle rudego, by im tłómaczył, co mówią więźniowie. Najwybitniejszą postacią wśród nich był smukły brunet z czarnemi oczami i kruczemi włosami, który ująwszy się w bok jedną ręką, słuchał w milczeniu całéj relacyi; zadał nareszcie od siebie pytanie złą ruszczyzną:

— A jak się nazywacie?

— Proszę jaśnie wielmożnego jednorała, ja się nazywom Bartosz Dziewoń, a tak po prostu Bartek i uśmiechnął się machnąwszy ręką.

— A twój panicz?

— Pan Żelisław Grądzki, „uzdeń" (szlachcic). Ojciec panicza był pułkownikiem we Francyi; bardzo poczciw dla chłopów i przez panów szanowany...

Podczas rozmowy Żelisław poskubywał ledwo wysypujący się wąs, a muskuły grały mu ciągle na pięknéj twarzy typu lechickiego. Rudy z pode łba śledził te wszystkie jego ruchy, chociaż tego wcale jawnie nie okazywał.

— Żonaci wy?

— To jest nie żonaci oba, ale ja z przeproszeniem pana jednorała, mam kobietę i maciopę dziewuchę... No, a panicz, mają mamuńcię i bardzo śliczne siostry, co go bardzo miłują... Co panom po nas, abo my wam co złego zrobili?...

Rudy na to nic nie odpowiedział. Zaczęła się narada pomiędzy Czerkiesami. Stanęło ostatecznie na tém, że Kasim, rudy, zabierze Bartka a czarny, Mehemet-bek, weźmie Żelisława, dopóki wykupu nie złożą; gdyby zaś to nie nastąpiło, mieli być sprzedani, a sumą uzyskaną podzielą się uczestnicy wyprawy.

Każdy zabrał swego jeńca. Kasim związał w tył sznurem włosianym ręce Bartosza i przytroczył końce do siodła. Mehmet oglądał Żelisława. Bartosz niespokojny o panicza poprosił grzecznie:

— Proszę pana jednorała, pozwólcie paniczowi, niech idzie wolno; nie przystoi go wodzić związanego jak chłopa, bo on „uzdeń"...

— Idź przed koniem!— rzekł Mehmet do Zelisława — tylko nie uciekaj, bo zabiję.

— Cobym miał uciekać?!—odpowiedział Żelisław uśmiechnięty muskając wąsika.

Czerkiesi z jeńcami stanęli na czele, pochód ruszył gęsiego w głąb lasu. Przez gąszcz leśny przeświecał krąg czerwony słońca, jechali w jego kierunku. Niebawem dotarli do polanki, na brzegu któréj leżał wśród wytratowanéj i sposoczonéj trawy ogromny kadłub zabitego żubra. Miał nastąpić podział zwierzyny. Kasin rozwiązał ręce Bartoszowi, który przy pomocy Żelisława i innych Czerkiesów, wywindował żubra na gałąź, dla obłupienia ze skóry.

Bartek wesoły jakby go nic złego nie spotkało, szyndował i ćwiertował z niepospolitą zręcznością; mniéj niż w półgodziny skończył robotę, przeplataną nieustannemi pytaniami lub dowcipami.

— Ta kulka, proszę jaśnie wielmożnego państwa, to paniczowska—i Bartosz pokazał kulę wydobytą z komory zwierza.

Mehmet spojrzał uważnie na Żelisława.

— Wołu dzikiego trudno trafić—rzekł — dobrze strzelasz, pozwolę ci polować, ale musisz przyrzec, że nie uciekniesz?..

— Po co mam uciekać? — odpowiedział Żelisław — gdybym wrócił, nie uwierzą, oddadzą pod sąd wojenny...

Bartosz, choć śpieszył ogromnie, bo już zmrok zapadał, miał jednak słuch czujnie naostrzony, natychmiast téż pośpieszył potwierdzić mowę Żelisława. Robiąc podział zwierzyny, Bartosz wybrał najlepszą część dla swego pana, niby niepatrzącego na podobne marności świata, ale w rzeczywistości mile połechtanego tém wyszczególnieniem. Po skończeniu podziału, ruszono natychmiast w drogę na całą noc, by ujść pościgu z fortecy. Kasim, zjednany sprawnością Bartosza, rozwiązał mu wprawdzie ręce, ale za to kazał dźwigać na plecach swoję część zwierzyny, w skórę zawiniętą.

Ciężar był niemały i nocny pochód po górach bardzo uciążliwy, pomimo to Bartosz postępował żwawo przy swym panu, ciągle mu opowiadał rozmaite szczegóły tak o kraju jak i o przygodach myśliwskich. Pewien rodzaj zażyłości wkrótce nastąpił pomiędzy jeńcém a zdobywcą. Od słówka do słówka Bartosz powyciągał rozmaite drobne na pozór, lecz bardzo potrzebne wiadomości w życiu codziennem. Dowiedział się, że ci wszyscy Czerkiesi służyli kiedyś w konnéj milicyi w Warszawie przez trzy lata; następnie przeszli do niepodległych i żyją z polowania na zwierza i ludzi obcego pochodzenia; założyli własny auł w górach, za rzeką Pszadem, w górach Merkockich.

Pochód trwał przez całą noc z nadzwyczajnym pośpiechem. Przez Pszad przepłynęli uwiązawszy do boków końskich „burdiuki,“ skóry baranie nadęte powietrzem, które każdy miał na siodle. Nad

rankiem dopiero; po wydobyciu się z głębokiéj urwistéj doliny na wyżynę okrytą odwiecznym lasem, zwolnili nieco chodu. Ludzie i konie upadali ze znużenia, gdy po przebyciu niewielkich zarośli i małego ruczaju, stanęli wśród Achałdagu, aułu, należącego do uczestników wyprawy.

Bartosz w najlepszym humorze jakby do własnego domu powracał, oddawszy dzień dobry Żelisławowi, pocieszał go jak mógł.

— Niech panicz będą spokojni, oni nie są tacy źli jak wyglądają. Bóg miłosierny nad nami; piszcie tylko zaraz do pana, niech pieniądze szlą. Będę was mógł dozorować, bo mój gospodarz mieszka obok waszego. Wykup nadeszlą, pójdziecie zdrowi w świat...

— Trzebaż i ciebie wykupić, pytałeś ile żądają za nas obydwóch?

— Ma-li-dali! owa, co paniczowi, abo to ja wart, żeby mnie wykupywano? che! che! Wrócić do roty nie można, powiedzą że dezenterowaliśmy, zostać trzeba między tymi dzikusami... Pracować czy tu czy tam, kajno wszystko jedno...

— Pleciesz bzdurstwa, sam tu nie możesz pozostać, cóż się stanie z żoną i córką? Wszak musisz się z niemi połączyć?

— Ta jusciż, ktoby je tam porzucał. Tylko ja sobie tak myślę, że jak panicz pojedziecie do tureckiego kraju, to wymożecie na sułtanie, żeby mnie kazał wypuścić na wolność, bo to oni jego okrutnie słuchają...

Żelisław aż parsknął ze śmiechu.

— Oj, ty biedaku! zkąd tobie do głowy przychodzi, że ja tam trafię do sułtana? Wolę pisać do domu, zapytaj no tylko Kasina, ile za nas żądają okupu, żeby wstawić to do listu? A no, niech podadzą i adres, na czyje ręce ma być okup złożony?

Po przydłuższéj nieco naradzie Czerkiesów, okupu naznaczono za Żelisława tysiąc rubli a za Bartosza—dwa; adres zaś podano pewnego „jesyrdżego,“ handlarza niewolnikami w Trebizondzie, dokąd mają być odstawieni jeńcy, w chwili nadejścia pieniędzy. Demokratyczna ocena wartości ludzkiéj uderzyła mocno panicza, uczuł potrzebę gwałtowną powrotu do ucywilizowanego społeczeństwa; list też swój natychmiast napisał i naglił o jego odesłanie do najbliższéj poczty. Bartosz od siebie dołączył pismo, napisane przez Żelisława, wzywające żonę i córkę, żeby zaraz do niego przybywały; bo z okupem niezawodnie długo pociągnie, z powodu zbyt wygórowanéj sumy, żądanéj przez Czerkiesów.

Miesiąc blisko upłynął, zanim Bartoszowa z córką dostała się do Achaldagu, pomnażając sobą dobrowolnie ilość niewolnic Kasina. Przybycie Magdy Dziewoniowéj, pracowitéj gospodyni, przy-

sadkowatéj chłopianki z perkatym nosem, weselem miłości w stalowych oczach i wiarą spokojną na szerokich ustach rozwartych, wlało otuchę w serca osamotnionych jeńców. Co zaś do jedenastoletniéj Kasi Bartoszówny, ta była rodzajem rozkosznego pieścidełka, osłodzenia życia wszystkich otaczających, swoich i obcych.

Nie jeden młody ba, nawet starszy patrzał z zazdrością na wesołe żarty Żelisława z Kasią. Dzieweczka ta złotowłosa, z oczkami jak bławatki, biała jak lilijka, z usteczkami różanemi, z dołeczkami na okrągłéj twarzyczce, z noskiem kształtnym — była prawdziwym aniołkiem w dziecinnéj postaci, pełna zwinności, wdzięku i wesołości śpiewnéj. Piękny panicz i śliczna dzieweczka byli jakby parą dobraną. Lgnęli do siebie na mocy prawa przyciągania podobnych do podobnych, właściwego nie tylko światu moralnemu, lecz i fizycznemu. Chłopianka mała czuła pociąg do panicza, nie tylko dla jego urody i pięknego wychowania, ale nadewszystko dla jego wspaniałomyślności i zuchwałéj odwagi, okazywanych na każdym kroku.

Mężczyźni jeńcy, po przybyciu kobiet, doznali i téj ulgi, że odtąd Czerkiesi zaczęli ich używać do polowania, będąc pewni, jako nie zechcą uciekać. Achałdag od założenia swego nigdy nie widział takiéj obfitości zwierzyny, bo z jeńcami przyszły i ich ogary. Całemi dniami siedzieli w lesie, pociągając za sobą co dzielniejszych Czerkiesów, którzy się do nich coraz więcéj przywiązywali i słuchali jak zwierzchników w sztuce Dyany.

Po polowaniu Żelisław uczył Kasię czytać, grać na gitarze, śpiewać i tańczyć, w czém był nader biegłym i tém najwięcéj podbijał serca niewieście. Rok przeszło upłynął na nauce i zabawach, a Bartosz z Magdą nie mogli wydziwić się, zkąd ich córka na prześliczną panienkę tak się nagle przeobraziła. Prostaczkowie z tradycyi wierzyli w krew, nie wiedząc, że duch mocen sztuką tego dokazać, na co się przed tém wieki składały — kilka lat rozumnéj jego pracy, zastępuje, przy dobréj woli, kilka wieków bezwiednego doboru.

Nadeszła zresztą wiadomość, że okup już nadesłano do Trebizondy, ale tylko za jednego Żelisława. Panicz dawał ostatnią lekcyą swéj pojętnéj uczennicy. Kasia miała oczy zapłakane, dowiedziawszy się że miły nauczyciel prędko ją porzuci. Pełna żalu nie słyszała wszystkiego co mówił; patrzała tylko i patrzała na niego jak w tęczę. Zapytana nagle, nie umiała odpowiedziéć narazie; podskoczyła jakby zbudzona i uchwyciła za rękę nauczyciela.

— Co ci jest Kasiuniu? — pytał Żelisław ciekawie.

— Nic paniczu—i srebrzysty śpiewny głosik Kasi zadrżał—zdało mi się, że nie byłam na ziemi; szukałam was gdzieś daleko, ale dopędzić za nic nie mogłam. Strach okrutny mną ogarnął a jakeście zagadali, to niby ktoś obcy—i puściwszy rękę, zakryła oczy tryskające gradem łez.

— Czego płaczesz? albo to ja z wami będę wiecznie? Podrośniesz, wydadzą ciebie za mąż, będziesz szczęśliwa...

— Za kogo wydadzą ?..

— Za jakiego wielkiego Czerkiesa...

— Czerkiesa? a to co? choćby on sam król był, za nic za cudzego człowieka nie pójdę. Oj! tylko za swego, katolika, poczciwa dziewczyna polska może pójść...

— A gdybym ja przeszedł na inną wiarę i oświadczył się o twoją rękę, czybyś poszła za mnie?!..

Kasia utuliła płacz, zapłonęła mocno, następnie zbladła, westchnęła i trząchnęła mocno główką, stanowczo, aż się warkocze złociste za plecyma zakręciły.

— Nie poszłabym i za panicza — i z oczek błękitnych trysnęła nowa struga łez jak deszcz kroplisty z jasnego nieba.

Wesołe usposobienie Żelisława opuściło, twarz posmutniała, wzrok wilgocią zapłynął. Uczuł niewymowną tęsknotę, pełną wyrzutów za niepobłażliwość istoty, więcéj jak siostrzanéj, zrosłéj z jego sercem. Gwiazda nadziei, co mu dotąd jasno świeciła, zmierzchła; ciemność jakby kiru opona, zasłoniła całą przyszłość. Po raz pierwszy doznawał tak głębokiego wzruszenia.

Dobra chwila upłynęła, zanim oprzytomniał i przybrał na nowo postać wesołą:

— No a gdybym umarł, wskutek twéj odmowy?!..

— To i ja bym umarła, ale nie poszła—i płacz zamieniła w łkanie głośne.

Żelisław uspakajał jak mógł Kasię, ale był sam mocno pomięszany. Spoglądał na nią jak gdyby po raz pierwszy widział; zdawała mu się być jednym z owych aniołów Lenartowicza:

„Stali anieli zdziwieni.
Jak jabłuszka czerwieni,
Skrzydełka u nich z pawich piór
A włosy długie złoty sznur,
Wesele idzie od liczek,
Od srebra złota trzewiczek...“

Nieznana dotąd sympatya pociągała go ku téj dziewczynce, a jednocześnie w głębi sumienia uczuwał, że nie jest jéj godzien.

Przezwyciężył żałość, przyciągnął ku sobie jéj główkę, złożył pocałunek czysty na czole.

— No, bądźże cicho... żartowałem sobie, a ty już naprawdę bierzesz...

Było to ostatnie pożegnanie nauczyciela z uczennicą, nazajutrz, podczas wyjazdu, rodzice jedni odprowadzali swego panicza; Kasia była tak głęboko wzruszoną, że za próg stąpić nie mogła. Dziewoniowie płakali jak za dzieckiém własném, za Żelisławem, którego bolało to nadewszystko, iż rodzice nie byli w stanie złożyć wykupu za wiernych przyjaciół niedoli. Ale nie tylko swoi i Czerkiesi, zwłaszcza kobiety, żałowali pięknego panicza, a nie jedna łzę ukradkiem ocierała, gdy Kasia zaśpiewala jednę z piosenek od niego słyszanych.

II.

Żelisława odstawiał do Trebizondy Mehmet z synem Nurim pragnącym poznać kraj turecki, marzenie każdego Czerkiesa starszego, nie już młodego. Z rąk „jesyrdżego“ mieli odebrać wykup dopiero po oddaniu mu jeńca żywego. Udawali się w podróż morzem, podwójnie niebezpieczném w czasie wiosennym, właśnie przypadającym, a to z powodu burz i obostrzonéj czujności statków strażniczych.

Statek turecki, rodzaj barki, zwanéj „kaczurtmą“, przeznaczony wyłącznie do przemytnictwa, mial kapitanem Iblisa agę, rodzaj wilka morskiego, rodem z Kierasundy. Załogę składało trzech majtków i chłopak murzynek. Z pomiędzy majtków wyróżniał się jeden, Grek, nazwiskiem Nikolaki, istny dyabeł morski podziobany ospą, z oczami dziko iskrzącemi, o których powiadano, że były uroczemi. Dzikość drapieżnych zwierząt, z głęboką znajomością morza i zuchwałością bezgraniczną cechowały załogę okrętową. Wyjątek stanowił chłopak murzynek, Piruzé, czarny jak but glancowany z wiecznie wyszczerzonemi zębami bialemi, zwinny jak małpa, pełen pustoty i wesela dobrodusznego.

Prócz Żelisława i jego właścicieli, „kaczurtma“ wiozła cały transport niewolnic Czerkiesek na sprzedaż do Trebizondy. Dziewczęta od lat 12 do 15 były to śliczne istoty, jedna piękniejsza od drugiéj, wesołe i puste, ciągle się śmiejące, rade widocznie, że opuszczają swój niegościnny kraj z widokami na świetną karyerę po haremach wielkich paszów i dostojników tureckich. Nie widać było śladu na nich jakichś sentymentalnych uczuć, samicza rola kobiety,

to ideał jedyny, godny zająć ich myśli. Kilku Czerkiesów, właścicieli lub pełnomocników do sprzedaży, odstawiało ten żywy towar. Mehmet miał sobie poruczone przez Kasima dwie najpiękniejsze niewolnice, Nedżibé i Nazikę, za które pieniądze już były zapłacone.

Wyprawa opuszczała brzegi Kaukazu, gdy całkiem ściemniało. Nigdzie statku strażniczego nie było widać. Niebo pochmurne i wiaterek północno-wschodni, wprawdzie nieco niebezpieczny, sprzyjały właśnie wypłynięciu przemytnika na pełne morze. Bałwany coraz głośniéj huczały, burzę czuć było w powietrzu. Dla piratów i przemytników jedyna pora do żeglugi dodawała otuchy załodze okrętowéj.

— Morze się wełni, „kismet“ (przeznaczenie) idzie nam na rękę—mówił kapitan podkurczając nogi i wesoło pociągając z nargili dopiero zapalonéj.

— „Maszałła! maszałła!“—wtórowała reszta podróżnych macając się nabożnie za brody.

„Kaczurtma“ pruła czarny odmęt spieniony jak chyża rybitwa. Ludzie milczeli. Znudniało i spochmurniało wszystko. Dziewczęta pożółkły, jedna po drugiéj wychylały się za burty dręczone morską chorobą. Piruzé obsługiwał je podając wodę, cytryny, kawę, czego która zażądała; wyszczerzał przy tém zęby i drwił nielitościwie:

— Hej! duszki—synagorliczki, to tylko początek, daléj będzie lepiéj... Jak żółć całą wyrzucicie, serca będziecie miały słodsze...

Niektóre się gniewały, inne pomimo nudności, idąc za głosem natury panieńskiéj, parskały głośno a nawet chychotały. Kołysanie rozbierało wszystkich pasażerów, Czerkiesi, osowiali, poszli w ślad za niewolnicami. Jeden Żelisław nie poddawał się obrzydliwéj chorobie, palił, pogwizdywał, chodził z kąta w kąt.

Szarzeć zaczęło, pora „namazu“ zmusiła wiernych do chwilowego zapanowania nad chorobą. Po obmyciu się i odmówieniu „sabashu“ (jutrzni) znowu wpadli w odrętwienie. Załoga spoglądała na biedaków drwiąco, Żelisław jeden zasługiwał u niéj na względy.

— Musiałeś, duszko, urodzić się nad morzem?—pytał kapitan młodego Polaka.

— Gdzie tam!.. u nas morza nie ma, sto mil mieszkałem od niego, dopiero jestem na niém po raz pierwszy.

— Poh! poh! mocnego cię urodziła matka, mógłbyś być nazym... Tacy jak ty, co się wody nie boją, potrzebują czegoś mniéj wodnistego che! che!

Kapitan obejrzał się ostrożnie do koła i potajemnie podał łagiew z wódką:

— Taki zuch jak ty—rzekł—zasłużył na smaczne śniadanie...

Żelisław, od kiedy był w Achałdagu, nie brał wódki do ust, gdyż auł należał do arcyprawowiernych, i prócz obrzydliwéj „bozy“, żadnego mocnego trunku nie dopuszczał u siebie—pociągnął też tego z drewniawnéj flaszy, aż się Turek zaśmiał. Z rozmowy, która po tém przybrała charakter poufniejszy, obaj byli bardzo zadowoleni, choć się zaledwo rozumieli. Podczas téj łamaniny językowéj, przelatywał nad „kaczurtmą“ orzeł morski. Żelisław podochocony, mając pod ręką swoję dubeltówkę, strzelił i zabił ptaka na dosyć znacznéj wysokości. Po tém strzelał kulami w lot do mew i nurków, a zawsze trafnie. Ogromne to zrobiło wrażenie na Turków, którzy powzięli dla „frenka“ prawdziwy szacunek, przechodzący stopniowo w cześć bałwochwalczą, w miarę celnych strzałów.

Wypłynęli byli po za pas graniczny, wiatr pomyślny służył, „kaczurtma“ nabierała coraz większéj chyżości w biegu. Chmury powoli zaczęły niknąć, niebo się przecierało, nareszcie słońce zajaśniało a wiatr zaczął opadać. Po południu wiatr zupełnie ustał. „Kaczurtma“ stanęła w pełném morzu ze zwisłemi brudnemi żaglami jak szare widmo nocne, zaskoczone światłością dzienną. Kapitan i załoga niespokojnie zerkali w dal, nic jednak podejrzanego nie było widać. Podróżni za to ożyli—jedli, rozmawiali, dziewczęta nuciły i chichotały w stronę Żelisława. Znużenie powoli opanowało; posnęło wszystko; w tém raptem statek drgnął z pod spodu, załoga pierwsza była na nogach.

Gwiznął wiatr południowy, wybiegła chmurka na widokręgu, trzasł suchy piorun, łysnęło parę razy i morze zaryczało wściekle, cisnąwszy w niebiosa śpiczaste szczyty spienionych bałwanów. Burza szalona pędziła wstecz „kaczurtmę“. O lawirowaniu niepodobna było myśléć, ciemność nocna, jedna, mogła utaić bytność „kaczurtmy“ na wodach kaukazkich. Zanim jednak to nastąpiło, ukazał się statek strażniczy, pędzący na spotkanie przemytnika obezwładnionego.

Niewolnice same stanowiły grubą kontrabandę, a cóż dopiero Czerkiesi niezawiśli, słynni ze swych nieustannych napadów rozbójniczych. Iblis też był znany jako zuchwały przemytnik, nie mógł też liczyć na najmniejszą litość władz. Położenie ogólne było bez wyjścia.

Zmrok zapadał, gdy „kaczurtma“ przepływała pas neutralny; pędziła do zatoki najeżonéj pionowemi skałami, o które z piekielnym grzmotem i hukiem rozbijały się bałwany, Spróbowała małym żaglem wyminąć brzeg, ale niebawem bystrzejszy i z wiatrem płyną-

cy statek strażniczny dopędził i zmusił do zaniechania dalszéj ucieczki.

— Co za jedni? huknięto ze statku strażniczego.

— Rybacy tureccy—odpowiedział Iblis—burza nas zagnała do was w gościnę...

— A no zobaczymy. Za nami! —i ze statku rzucono koniec liny na „kaczurtmę."

Strażniczy okręt zawracał do brzegu, ciągnąc z dala na linie niewolnika. Nie było chwili do stracenia. Kapitan wezwał wszystkich do narady; nikt nie życzył sobie pójść do niewoli, postanowili z orężem próbować szczęścia. Zanim załoga strażnicza obejrzała się, domniemani jeńcy przycumowali kaczurtmę do statka i zdobyli go abodarżem; było to możebne, z powodu liczebnéj przewagi przemytników i morza spokojnego w tém miejscu. Parę zaledwo strzałów zdołała dać załoga po zdradziecku napadnięta; napastnicy wycięli ją w pień, następnie zarzucili kotwicę i postanowili czekać zmiany wiatru.

Przy życiu pozostał tylko jeden strażnik, który się był schował pod workami na spodzie okrętu, i dopiero po bitwie wylazł prosząc o pardon jako jednowierca, muzułmanin wzięty do niewoli. Powiadał, że jest Tatarem polskim; zarost atoli kasztanowaty, mocne piegi, zielone oczki nos trąbę słonia przypominający, uszy kłapiaste w wątpliwość podawały jego pochodzenie od Temuczina. Witał wszystkich sakramentalném: „selam alejkium“ (do usług waszych), umiał nieco po czerkiesku. Darowawszy mu życie, napastnicy, wzięli go pomiędzy siebie jako swojego. Oddawał też niemałe usługi, gdy patrole brzegiem przeciągały; odpowiadał na pytania jak się należy.

Dzień się dobry zrobił, gdy wiatr się zmieniać zaczął. Turcy i Czerkiesi co żywo zaczęli manewrować, żeby uciec na pełne morze; ale kozacy odkryli fortel i zaczęli strzelać, a następnie podali sygnały alarmowe po całym brzegu. W pobliżu nie było żadnego statku strażniczego, wiatr przy tém stawał się coraz pomyślniejszym dla przemytników; uchodzili też bezpiecznie, przez nikogo nie ścigani. Byli prawie przy brzegach tureckich, gdy się pogoń ukazała.

Parostatki choć wiatr był przeciwny, dopędzały żaglowce. Kaczurtma z niewolnicami i Żelisławem miała za załogę Nikołakiego i Piruzé, jako niezdolnych do boju; reszta ludzi z kapitanem Iblisem zajęła schwytany statek, który jako łup drogi postanowili ukryć w pewnym schowku. Gdy pogoń dała ognia, przemytnicy odpowiedzieli ze statku. Strzały były coraz celniejsze, jeden przedziurawił „kaczurtmę“ i tak wstrząsnął jéj starym kadłubem, że nie było inne-

go sposobu jak wpaść pomiędzy skały przybrzeżne, obfite w tych wodach. Pogoń nie mogła ścigać „kaczurtmy,“ ale coraz ją mocniéj dziurawiła; szczęściem dla uciekających wpadli na mieliznę, w pobliżu brzegu, i mogli się dostać do lądu. Schwytany statek uciekał do nocy, już miał nadzieję, że ujdzie pościgu, gdy kula przedziurawiła mu podwodną część; ledwo załoga na łódce zdołała się ocalić, straciwszy jednak paru ludzi od kartaczów.

Rozbitkowie z „kaczurtmy“ nie poniosłszy wprawdzie żadnéj straty w ludziach, wyleźli na ląd, byli jednak bardzo przybici na duchu; nie tylko z powodu strachu przebytego, lecz i miejsca wylądowania, całkiem odludnego. Z trudnością wielką sprowadzili ładunek na brzeg. Nikołaki oświadczył, że dzisiaj ani myśléć, ztąd ruszyć; będą więc musieli przenocować pod gołem niebem.

Zaczęto się do noclegu przysposabiać. Wyszukano wodę. Byli w lesie, łatwo przeto rozpalili ogniska, przy których zaczęli warzyć wieczerzę. Nie brakło na jedzeniu, ani na piciu, gdyż Nikołaki nie oddał zapasu trunków z kaczurtmy na statek zdobyty. „Pastarma“ (kozia wędlina), ryż, kawa, znalazły się w obfitości. Piruzé w roli kuchcika, przy pomocy dziewcząt, wywiązał się znakomicie; rozdawał obficie jadło i był wesół jak gdyby zamiast rozbicia się, spotkało go zdobycie wielkiego łupu.

Jedzenie zwyczajem wschodnim wpierw podane zostało mężczyznom. Nikołaki zakrapiał je gęsto wódką i winem, zachęcając do naśladowania Żelisława. Gdy podjedli, huknął żartobliwie na murzynka.

— Hej! ty, czarna ścierka, nieśże teraz naszym kwiatuszkom żeby nie powiędły, wartości nie straciły...

— A po czemu za nie płaciliście? czy macie już kupca?—pytał jeniec Tatar, nazwiskiem Musa, podług własnéj rekomendacyi.

— Nie stać nas na ten smaczny towar—odpowiedział Nikołaki—transportujemy go tylko. Nabywców na nie szukać u nas nie trzeba, starzy i młodzi, wyrywają je sobie z rąk, byle mieli pieniążki... Che! che! Szkoda, że ich nie mam—„trianda pendeke misi!..“ (trzydzieści pięć i pół, zaklęcie greckie).

— I że nie jesteś muzułmaninem—wtrącił Piruze zęby wyszczerzywszy złośliwie.

Grek popatrzał na niego swemi uroczemi oczyma, potem sarknął zjadliwie:

— Albo że nie jestem takim białym jak ty?! och! och!

— Dobry to handel być musi—przerwał Musa—warto szczęścia spróbować —i cmoknął znacząco kilka razy.

Żelisław, który od samego początku pilnie obserwował Musę, zrobił poruszenie gwałtowne i zaczął nucić półgłosem majufes. Tatar przebrany w oficerski mundur, po zabitym oficerze straży morskiéj, niespokojnie się ruszył, zatopił w nucącym badawczo wzrok. Żelisław parsknął śmiechem i zarwał go po polsku, na co zaraz otrzymał odpowiedź w najczystszym polsko-żydowskim djalekcie. Od słowa do słowa pokazało się, że rzekomy Musa był sobie Moszkiem, ex-miszuresem z Berdyczowa, następnie sołdatem golibrodą na flocie. Żelisław podochocony sypał konceptami, podrwiwał z nowokreowanego muzułmanina, gdyż Moszko postanowił seryo pozostać nadal prawowiernym.

— Daję ci słowo, wysokoznaczący Muso—effendi, mówił Żelisław, ot, nie widać jak zostaniesz paszą wśród twych nowych spółwierców...

— Cicho tylko, sza, paniczu, dobrodziejeńku!... Proszę tylko nie żartować, a za co ja nie mam być paszą? Abo to wuni co lepszego ode mnie? Niech panicz zdrów będzie, powie, że ja był pasza to jak trzeba pieniędzy, kiedy z domu nie nadesłali jeszcze, to ostatnie mu oddam...

— Cha! cha! panie paszo, jeszcze nie wiesz czy do jutra dożyjemy, a już robisz interesa?!.

— Za co nie dożyjemy, po co to mówić o takich rzeczach?... Dobrodziejeńku, paniczu, tylko proszę powiedzieć, że ja był pasza.

— Tatarskiego króla na księżycu?!..

— Nu, tatarskiego króla, dalibóg! cesarza, tylko nie na księżycu, bo to wuni w księżyc jak państwo w krzyż wierzą.. Aj waj! mówcie, że ja był bej, pasza, a ja wam pożyczę ostatniego szeląga... Paniczeńku, dobrodziejeńku!

— A cóż to mi szkodzi, że będziesz jenerałem?!..

— Jak to szkodzi, co to szkodzi? Ja paniczowi zawsze będę wiernie służył. Niech panicz nie myśli, że to ja tylko tak gadam; zaraz przekonam, .

Przyszły pasza z ostatniemi słowami skoczył żwawo na nogi, podbiegł do swego pakunku, dobrze wyładowanego najlepszemi rzeczami po ex-towarzyszach broni i wiktuałami ze spiżarni kapitańskiéj. Wracając cmokał i nucił wesoło ukrywając coś figlarnie pod połą. Usiadłszy, dopiero wydobył z pod sukni butelkę rumu, kilka cytryn i kawał spory cukru.

— Echt jajajkes! zrobim „żonkę,“ co to będzie sama pływać na pierzynie, nu, ja chciał powiedzieć do gardła...

Żelisław aż się brał za boki prosząc o powtórzenie technicznych terminów ponczu. Moszko robił tymczasem swoje, palił rum,

cukier topił, krajał cytryny, nie zapominając gęsto zachwalać swéj sztuki, nabytéj od nieśmiertelnych bałagułów, a wydoskonalonéj na flocie. Trunek wprawdzie był arcy lichym, nie mniéj przeto stanowił środek, za pomocą którego nasi bracia mojżeszowego wyznania zawsze biorą chrześcian na lapę...

— Co to jest za smak! aj waj! sułtan lepszego nie pije...

— Zapewne, paszo-effendim, będziesz mógł o tém się osobiście przekonać, gdy zasiędziesz do hulatyki obok padyszacha?!.

— Ny, dla czego nie? Tylko paniczeńku złoty nie psujcie z żartem!.. Ja i sułtanowi dogodzę, bo ludzie powiadają, że on fajn człowiek, lubi sobie pohulać...

Żelisław śmiał się coraz głośniéj za każdym konceptem nowokreowanego muzułmanina, pił sam dużo i dolewał Nikołakiemu, który będąc nieoswojony z nowego rodzaju trunkiem, wpadł w złoty humor, nucił przez nos miłośną jakąś piosenkę, i leżąc na brzuchu, wsparty na łokciach, posyłał dwuznaczniki niewolnicom. Trunek i trudy dzienne sprowadziły wkrótce sen kamienny na spółbiesiadników. Żelisław głęboko zasypiał, jakiś pisk przeraźliwy, a następnie mocne turmoszenie budzić go zaczęło. Wrzawa wzmagała się, czad winny ustąpił, panicz się ocknął. Na około Żelisława lamentowały, skakały, wrzeszczały niewolnice.

— Ratuj nas śliczny Żelisławie—wołała Nazika—broń nas przed napaścią tego Greka pijaka!..

— Co za Greka?—pytał zbudzony.

— Ale tego Nikołakiego, co się do nas zakradł... Umrzemy ze wstydu!

Pisk, przeraźliwszy od innych, odezwał się nieopodal.

— Ach! to Nedzibé, przyjaciółka Kasi, ratuj ją szlachetny Polaku!—krzyczała Nazika—Mehmet ci tego nigdy nie zapomni.

Żelisław postąpił parę kroków w stronę pisku, za nim postępował Piruzé, téż zbudzony dopiero co.

— Ty! Nikołaki, puść nędzniku dziewczynę!..

— „Trianda pende ki misi!“ Chybaś warjat, wszak to towar a nie kobiety?..

— Puszczaj, drabie!

I silna dłoń porwała Nikołakiego za kark i cisnęła nim daleko. Grek tęgo pijany stracił całkiem równowagę, i zarył się nosem w trawę, przy szalonym wybuchu śmiechu murzynka. Piękna Nedzibé gorączkowo ściskała dłoń wybawcy, dopóki zbawca nie odprowadził jéj do reszty towarzyszek niewoli.

Nikołaki, powstawszy na nogi, klął i zgrytał ze złości. Skoczył niespodzianie do Żelisława z wrzaskiem.

— Ha! giń psie „frencki“...

Grek jednocześnie błysnął w powietrzu ostrzem swéj „macherii“, noża sztyletowego, nieodstępnego towarzysza każdego achejczyka. Pomimo niespodzianego napadu, Żelisław, uzbrojony w strzelbę, gotów był ogłuszyć go uderzeniem kolby; wymierzył raz, lecz przezorny gracz na noże, podstawił rękę zawiniętą w kurtkę, a drugą pchnął w bok śmiałego obońcę. Od bólu, Żelisław, upuścił strzelbę i jednocześnie chwycił za rękę mordercę. Zaczęło się pasowanie. Grek był silny, Żelisławowi krew upływała, ręce słabły, powoli zaczęło mu mierzchnąć w oczach.

— Zaraz, zaraz cię dyable wyszlę na cmentarz—syczał Nikołaki.

— Piruzé!—jęknął Żelisław i puścił rękę mordercy padając na ziemię.

Grek wzniósł z okrzykiem dzikiego tryumfu nóż błyszczący i mierzył nim w serce powalonego przeciwnika. Wsród krzyku rozdzierającego dziewcząt, mordercze żelazo już miało dotknąć piersi szlachetnego ich obrońcy, gdy z tyłu, Piruzé, chwyciwszy z ziemi leżącą dubeltówkę, palnął z całych sił kolbą po głowie Nikołakiego. Grek padł zgłuszony, murzynek, pomimo to, nie ufając ręce, ponowił razy i ściągnął go z ciała Żelisława.

— Nie bójcie się!—krzyczał Piruze—chodźcie tu wszystkie, pomagajcie trzeźwić tego poczciwego zucha...

Dziewczęta zbiegły się na głos swego nowego obrońcy. Najpierwsza Nedżibé przypadła do ciała Żelisława; wydała krzyk rozdzierający widząc go bezwładnym; chórem za nią powtórzyła ten krzyk boleści i reszta dziewcząt.

— Czego krzyczycie? reflektował murzynek—z upływu krwi mógł tylko osłabnąć. A no, czekajcie!

Zanurzył rękę za pazuchę Żelisława i wślad krzyknął wesoło:

— Żyje! dawajcie wody!

Pokropienie wodą oprzytomniło Żelisława, który był wcale lekko rannym, a zemdlał jedynie od pasowania się przy upływie krwi z boku. Zjawił się i Moszko nareszcie, który gdzieś w krzakach zniknął, gdy ujrzał mordercze narzędzie w robocie. Żelisław, pomimo osłabienia i bólu, nie mógł pohamować w sobie wesołości:

— Pan jenerał obierał widocznie jakąś mocną pozycyą strategiczną?!—rzekł.

— Niech panicz zdrów będzie, co to za żarty, uf! a czy już nie ma ich? pytał z Moszki Musa.

— Kogo?..

— Nu, tych rozbójników?..

— Dużo ich naliczyłeś?..

— Sto, a może dwieście—zkąd ja mógł widzieć?.. och! och!

Po dowiedzeniu się nareszcie jak rzecz cała stała, dusza wstąpiła w walecznego paszę tatarskiego. Jako golibrodzie nie była mu obcą sztuka przewiązywania ran, okazał jéj wielką znajomość przy opatrywaniu boku Żelisława. Świtało, gdy cała operacya została dokończoną, a ranny mógł powstać na nogi. Nie było po co zostawać dłużéj na tém miejscu.

Ogniska wygasłe, ciało Nikołakiego rozkrzyżowane, krakanie sępów w górze dodawały niewymownéj grozy do położenia rozbitków i tak nie wesołego. Żelisław pomimo rany był najenergiczniejszym ze wszystkich, wskazał kierunek i ruszył oparty na kiju naczele pochodu. Niebawem wyszli na ścieżynę prowadzącą w głąb kraju. Po paru godzinach chodu ujrzeli w głębi doliny, na sterczącéj pionowo skale, zabudowanie z wieżycą, otoczone do koła wysokim murem ze strzelnicami. Obejście wyglądało jak orle gniazdo nad urwiskiem.

Piruzé dotąd wesoły, nagle posmutniał.

— „Dere-bej!“ — rzekł trwożliwie—ale który? Zaczekajcie, pójdę na zwiady. Jak huknę z dołu—to schodźcie, a nie—to chowajcie się i czekajcie na mnie w ukryciu...

Murzynek zaświstał jak kos, poprawił żółto-czerwonego turbanika na wypłowiałym fezie i z kijem, zarzuconym na szyi, poszedł szybko na dół.

Dziewczęta, zwłaszcza Nedżibé, śliczna brunetka, klasycznéj piękności jak na kameach, otoczyły Żelisława patrząc w niego jak w tęczę. Tuliły się do niego jak owce do pasterza na widok wilka. Jedna przed drugą służyły mu na wyścigi. Dziwiło je niezmiernie, że jest niewolnikiem ich rodaków, którzy każą płacić okup za siebie.

— Czy to być może?—pytała Nedżibé—wszak teraz tobie od nich należałoby się za ocalenie nas, a nie im od ciebie?

— Przyrzekłem, że zapłacę—tego dosyć. Co raz powiedziałem to zwykłem dotrzymywać, wedle zwyczaju mojego narodu. Zkąd ci przyszło do głowy o to pytać?

— Bo widzisz—i dziewczyna zapłonęła jak róża—myślałam, że za te pieniądze mógłbyś mię kupić?..

Żelisław zaświstał, niby nie słysząc, co mówiła.

— Daj mi dłoń swoję! będę wróżył...

Pomimo utrudzenia i niepewności, wszystkie dziewczęta skwapliwie się garnęły do zaimprowizowanego wróżbity. Biała rączka ślicznéj niewolnicy drżała w ręku romantycznego augura.

— Będziesz sprzedaną—mówił Żelisław wpatrzony w nią—ale znajdzie się młodzieniec, co wiecznie będzie o tobie pamiętał. Szczęście nie tylko jego, ale i twoje od tego zależy. Pamiętaj!

— Gwiazdy, księżyc, słonko zgasną pierwéj, nimbym o tém zapomniała—i piękna rączka przylgnęła do dłoni romantycznego wróża.

— Fajn dziewczynka—wtrącił Musa—panicz chce, to ja dostanę pieniędzy? nu, kupcie ją sobie...

— Panie muzułmaninie! zapomniałeś widocznie, że prawo nabywania na własność tak ślicznego towaru przynależy tutaj wyłącznie do twoich jednowierców?

— Nu, co tam wielkiego, to niech i panicz zostanie muzułmanem,—albo to mnie trudno przyszło? Co to szkodzi być Turkiem, kiedy można zostać wielkim panem? Wielki człowiek to mniejszy od maleńkiego, nu, ja chciał powiedzieć—większy od mniejszego...

Żelisław wybuchnął śmiechem na to poplątanie się myśli przyszłego paszy a jednocześnie pomrugiwał na Nedżibé, posmutniałą, w skutek dyplomatycznéj odmowy kupienia jej na własność. Wzdychała co chwilę, nie zapominając jednak poprawiać nieustannie włosy krucze, przesuwać i porządkować niezliczone pierścionki, naramienniki, naszyjniki, prostować cieniutki stan, okrągły jak laska sitowia, spięty paskiem złotym na czerwonym safianie, ze szmelcowanemi guzikami i sprzączkami. Również zasmuconą była i Nazika, blondyneczka delikatna z piwnemi oczkami jak aksamit, która równyż pociąg sercowy uczuła do interesującego młodzieńca jak jéj towarzyszka niewoli, serdeczna przyjaciółka. Nazika nauczyła się grać od Kasi, miała téż przy sobie małą gitarę, na któréj obecnie leciuchno pobrząkiwała, wodząc oczami po niebiosach lazurowych. Piękny widok górski, las świeżą zielenią okryty, nadzwyczajne położenie wszystkich, robiły silne wrażenie na nerwach, nastrajając najgrubsze nawet do romantyczności.

Uległ temu wpływowi i Musa, lecz do któréj tylko z niewolnic przysunął się, natychmiast był oddalony opryskliwie, co pobudzało do coraz większéj wesołości Żelisława.

— Pan jenerał już naprzód harem werbuje?!

— Harem, nu, dla czego nie harem?.. to git. Ale bo ja powiem paniczowi, żeby zostać wielkim Turkiem, powiadają, trzeba wielkich—wie hejst! trzeba mieć piękne kobiety na prezenty. Nu, ale już ja temu dam radę...

— Zapewne sprowadzisz do siebie kilka Małek, Ryfek, Gołd z Berdyczowa? Niezawodnie przyjadą, ale tymczasem od tych panien bądź z daleka; bo gdyby twoi jednowiercy dowiedzieli się o twych konkurach, to będzie czach! — Żelisław powiódł palcem po gardle.

— Nu, co to jest? na co panicz ciągle takie straszne rzeczy powtarza? albo ja wiedział?.. nu, to będę przepraszał panienki—bardzo przepraszam!

I Musa wybladły, raczéj pożółkły, odskoczył jak oparzony od niewolnic, które się z niego śmiać zaczęły bez litości. Wśród téj wesołości posłyszano głos nawołującego Piruzego. Było to hasło umówione, zaczęli się spuszczać na dół.

Rzecz się działa na początku panowania Abdula-Medżyda, europejska kultura i swoboda obyczajów coraz jawniéj występowały w Turcyi, wobec skłonności młodego sułtana i zgniecionych przez ojca jego, Mahmuda, ognisk staroteureckiego fanatyzmu w instytucyi janczarów. Wpływy te nowożytne ujawniały się atoli w stolicy i po większych miastach portowych, co zaś do prowincyi i mniejszych osad lub miast, ciągle jeszcze pozostawały one pod obuchem tradycyi pierwotnéj. Zwyczaj patrymoniczny z despotyzmem i uciskiem żywiołu chrześciańskiego grasował na uboczu. Wiedział o tém Żelisław, doświadczywszy na sobie wyniosłości muzułmańskiéj skutków podczas niewoli; z niepokojem téż podchodził do mieszkania tureckiego, chociaż nie wiedział, czém był taki dere-bej.

Nie imponowała Taun-tepe, rezydencya Kara-Faki-beja, choć jak wiemy miała wojowniczą powierzchowność: wyglądała raczéj na „chan," nie zaś rezydencyą takiego „raubrittera," za jakiego trzeba było uważać każdego „dere-beja" tureckiego. Wiało od niego na milę pustkowiem i specyficzną ponurością muzułmańską, podniesioną w obecnym wypadku tém, że „kuła" (zameczek) sterczał na nagiéj pionowéj skale, lecz najmniejszego śladu drzew lub krzewów w pobliżu. Dom mieszkalny, z wieżycą jak gołębnik, był drewniany, bez podmurowania, z kloców nieociosanych. Dzikość powiększał brak okien oszklonych, zastąpionych drewnianemi zasuwami we dnie i podczas ciepła podnoszonych do góry. W kobiecéj połowie, w „haremliku," za murem przegradzającym dziedziniec na dwie połowy, świeciły kraty w oknach, z prętów drewnianych, gęsto przeplatanych. U stóp zameczku, nad huczącym potokiem, wisiał mostek, niepodobny do wyminięcia dla podróżnych.

Policya w Turcyi istniała do niedawna tylko po większych miastach i wzdłuż głównych traktów komunikacyjnych, reszta zaś kraju zwykle była rządzoną przez takich dere-bejów lub innego

rodzaju urzędników, z prawem patrymonialném, jak za czasów feudalnych w Europie. Użyteczne te wszakże czynności urzędowe były raczéj pokrywką dla takich ochotników rządców. Dere-beje cieszyli się, prócz stanowczéj przewagi w społeczeństwie, rozmaitemi przywilejami, które każdy stanowił w miarę swych zdolności wyciskania danin i poborów z własnéj, a przedewszystkiem z obcéj ludności, nienależącéj do jego patryarchalnéj gminy. Pilnując niby bezpieczeństwa i sprawiedliwości, najczęściéj rozbijali sami na gładkiéj drodze lub popełniali krzyczące bezprawia. Będąc w gruncie arystokracyą rodową, z niezrównaną giętkością nachylali się do pojęć niższych warstw ludności, mając je tym sposobem zawsze na swe zawołanie; pod bardzo wielu względami byli podobni do naszych dawniejszych magnatów. Tłumy zbrojnych próżniaków, podobnych do „bravi“ włoskich oligarchów, rodzaj bezpłatnych zbirów i rzezimieszków w roli policyantów, otaczały takiego ochotniczego urzędnika bez najmniejszéj kontroli. Najczęściéj razem ze swym panem byli plagą otaczającéj ludności wybierając podatki, cła, dziesięciny, ścigając rozbójników i złoczyńców, tak, że W. Porta musiała ich zbrojną ręką poskramiać. Paszowie, nasyłani do administrowania prowincyami, byli bezsilni wobec tych feudalno-patryarchalnych panków; musieli z nimi paktować na każdym kroku, prowadząc politykę jakby z napół-niepodległymi władcami. Było to coś nakształt dziedzicznego kastowego janczarów panowania. Przy ich to pomocy podnosili paszowie W. Porty słynne swe bunty w Anatolii, najczęściéj zakończone kompromisem, przy pozorném ukorzeniu się niesfornego urzędnika koronnego. Co zaś do samych dere-bejów, to polityka pojednawcza W. Porty była posuwaną nieraz do granic niemożebnych, szczególniéj gdy winowajca miał krewnych lub powinowatych, zbliżonych do seraju sułtańskiego. Ale i bez tego rząd turecki, mający tyleż wojska ile bywało za dawnych czasów w Polsce, nie mógł skutecznie przeciwko nim występować ręką zbrojną; najczęściéj używał podstępów wiarołomnych, by winowajcę dostać w swoję moc. Przykłady tego widać jeszcze dzisiaj w Albanii, Kurdystanie, Arabii, gdzie władza padyszacha jest uznawaną więcéj z łaski niż z prawdziwego posłuszeństwa, hołdują mu jako kalifowi, ale jego rządów znać niechcą; przy podobnym stosunku nic nie pozostaje nad przymusową wyrozumiałość bez granic i kaptowanie za jakąbądź cenę oligarchów, wywodzących się wprost od patryarchalnych naczelników pastuszych, od cząstkowych przewódców pewnéj ilości kibitek jak u teraźniejszych Kałmuków lub Baszkirów. Podobne pojmowanie rządu panuje do dziś dnia w społeczeństwie tureckiém, tylko że jest ono teoretycz-

ném; podczas, gdy dawniéj, za istnienia dere-bejów, chaos arcy romantyczny, chociaż wielce niewygodny i niebezpieczny dla poczciwców, umiejących wyzyskiwać bliźnich tylko podczas pokoju, skoro męskie duchy jak Samson u nóg Dalili zasną — był najprawdziwszą rzeczywistością.

Wschód na długo jeszcze pozostanie krainą tysiąca i jednéj nocy.

Rozbitkowie szli na głos Piruzego, aż nareszcie ujrzeli go w towarzystwie kilku zbrojnych z otoczenia dere-beja. Turcy pogwizdywali kurząc lulki na krótkich antypkach, nie spojrzeli nawet na kobiety, poskromniałe raptem jak trusie z zasłoniętemi szczelnie twarzami, pomimo spieki słonecznéj przy wietrze południowym. Piruze wesoło opowiadał jako zostali łaskawie zaproszeni w gościnę przez sławnego Kara-Faki-beja, w przestankach żuł smacznie prażony „nohut,“ groch turecki, zamieniony na rodzaj pianki twardéj.

Musa, zrównawszy się z oczekującymi, nie zaniedbał powitać sakramentalném „selam alejkium,“ na które mu wprawdzie zaraz odpowiedzieli ochotnicy policyanci, ale nie mniéj przeto nie mogli utaić zgrozy na widok prawowiernego ubranego w czapkę z daszkiem. Berdyczowski muzułmanin, jak każdy wogóle człowiek z gminu, miał zmysł praktyczny pochwytywania w lot najpotrzebniejszych stron życia obcego; w służbowych swych stosunkach i prywatnych bywał często w zetknięciu z prawowiernymi, na pierwsze więc wejrzenie zachowanie się jego nie raziło wcale, zwłaszcza przy rysach wschodnich. Rolę swoję odegrywał poprawnie, jako znakomity człowiek, zmuszony do utrudzającéj podróży piechotą; coraz to przystawał, ocierał pot chustką szeroko rozwianą, to się nią wachlował, gdyż jako pochodząca z garderoby oficerskiéj była czystą i pokaźną; stąpał zresztą jak słoń krokami mierzonemi.

Orszak rozbitków już wyminął był ludzi dere-bejowskich, jeden z nich, typ głowy tureckiéj do karuzelu, „silahdar“ (zbrojmistrz) Tułum-aga, mruknął do Piruzego, skinąwszy w stronę Musy:

— Naprawdę musi być wielkim człowiekiem.

— Ałłach to raczy wiedzieć; powiada, że jest islamitą i był paszą. Lecz podług mnie, pokaźniejszy ten frenk młody — zuch z niego prawdziwy!

— Pustą masz mózgownicę, synu, język twój jako waryat, co nie zna swego pana. Jakże można porównywać giaura do muzułmanina?

Murzynek chciał coś odpowiedzieć, lecz „silahdar“ tak nachmurzył twarz, że wolał raczéj groch pakować do gęby, niż użyć jéj do obrony swego zapatrywania. Podobni do podobnych czy nie

dla tego się garną, że najlepiéj mogą oszukiwać jedni drugich?! Naturalnie mowa tu o złych, niestety, stanowiących dotąd wybitną część ludzkości, a więc mających prawo, żeby podług nich ogólne zdania wypowiadano. W Musie poznali dworzanie beja większego od siebie mistrza, i dla tego zapewne uczuli szacunek dla niego.

Weszli nareszcie na ogromny dziedziniec obejścia bejowskiego, gdzie niegdzie nędzną trawką porosły, w większéj zaś części gnojem końskim i bydlęcym po kolana usłanym; przypominało to nieco królewską rezydencyą Odyssa, tylko że tu zamiast nierogacizny i gachów polujących na panią, była roztasowaną siła zbrojna polująca na ludzi... Zamiast koszar, zbrojna drużyna spoczywała pod daszkami płóciennemi, przypiętemi do muru. Kilka bawolic dojnych oczekiwało w cieniu na dójki; przed samym zaś ganeczkiem, o kilku stopniach, leżały śliczne ogary jak atłas lśniące, które warknąwszy leniwie, ciekawie z podełba przypatrywały się Żelisławowi, spoglądającemu na nie z lubością—zaczuły widocznie myśliwego. Z ogromnéj sieni przez korytarzyk weszli do „selamliku," sali audyencyonalnéj, pobielanéj wapnem, z sufitem czarnym, niepodbitym szalówką, z wyszarzanemi do koła sofami, pokrytemi ponsowym suknem i podłogą wysłaną kilimami.

Naprzeciwko wchodu, po lewéj stronie, w honorowym kącie siedział mężczyzna, mający przeszło trzydziestkę, niezmiernie zużyty, blady, z jedném okiem przymrużoném i złośliwie pomarszczoną twarzą. Pisał coś na kolanie nie zwracając na nikogo uwagi. Przypatrywali mu się z trwożliwą czcią dwaj Turcy wieśniacy w kurtach z „aby" (sukna wielbłądziego), z olbrzymiemi zawojami na głowach, popijający z nabożeństwem kawę bez cukru. Piszącym był gospodarz, Kara-Faki-bej, lisem pospolicie zwany, najsłynniejszy dere-bej w tych stronach. Nie odrywając oczu od pisma oddał ukłon ręką wchodzącym. „Silahdar" Tułum-aga, zrzuciwszy dla atencyi papucie przed progiem, w pończochach podszedł do swego pana i szeptem zdał raport o przybyciu rozbitków na salę. Zadowolenie odmalowało się na twarzy Kara-Fakiego.

Musa, pomny na swoję rolę, a obok niego Żelisław, też obeznany z zwyczajami wschodniemi, posunęli się nieproszeni do sof i posiadali, pomimo znaków wzbraniających Tułuma-agi.

— „Selam alejkium" — wycedził z niezrównaną powagą nowo nawrócony islamita.

— „Alejkium selam" — odpowiedział béj sucho, nie podnosząc wzroku i nie przestając pisać.

Niewolnice i Piruze po cichu przysiedli w kuzki koło kotary, zastępującéj drzwi. Milczenie ogólne przerwał gospodarz, przy czém wodził zaiskrzonym wzrokiem po nowo-przybyłych.

— Otwórz twe uszy Tartały-ago! — rzekł bej zwracając się do jednego z wieśniaków o ponuréj mongolskiéj twarzy, a odstającemi uszami i oczkami ukośnemi — napisałem duszko do paszy, żeby kazał temu synowi ciemności wypuścić na wolność naszych chłopców. Pod połą mego bezpieczeństwa możecie być spokojni, nie dam was skrzywdzić. — Słuchajcie!

I bej zaczął czytać deklamując długą suplikę do „walego“ trebizondzkiego na Achmeta-beja z Kierasundy, przemożnego derebeja, przeciwnika, sprawującego na ochotnika rządy z niesłychaną surowością, i co rzadkie, z równąż sprawiedliwością. Achmet-bej pojmał synów Tartałego-agi, zuchwałych piratów i postanowił ich stracić swoim zwyczajem, nie czekając na konfirmacyą władzy prawowitéj. Bej, opisując krwiożerczość i mściwość swego przeciwnika, nie omieszkał zrobić nacisku na to ostatnie bezprawie. Zawziętość Kara-Fakiego do Achmeta-beja ztąd głównie pochodziła, że obaj spółubiegali się o urząd „kajmakana“ w Kierasundzie, wakujący od dłuższego czasu i sprawowany obecnie na ochotnika przez tego ostatniego. Były pomiędzy nimi i inne sporne punkta głębszéj natury, ukryte, mianowicie, Achmet bronił sprawy porządku i spokoju a Kara-Faki burzył ją dla potrzeb szerokiéj swéj natury, nie szanującéj prawa bliźniego. To wszystko złożyło się na mnóstwo argumentów w suplice, z kretesem potępiających samowolę Achmeta-beja, a uniewinniających synów Tartałego-agi, złapanych na gorącym uczynku rozboju. Bej deklamował chryję swoję jakby to była epopeja; w miejscach, gdzie mówił skarżący, Tartały-aga przyciskał rękę do piersi milcząco; to samo czynił świadek obok siedzący na sofie, gdy na niego koléj w prośbie przychodziła. Obaj chłopi wzdychali w przestankach, wyrażając tém głośne zadowolenie.

Po skończoném czytaniu nastąpiło przyłożenie pieczęci do prośby, zamiast podpisów, co uskutecznił „mühürdar,“ kanclerz beja. Był i list od Kara-Fakiego do paszy; wyciskając na nim pieczęć, kanclerz zrobił ukłon ręką i następnie wyniósł go nad głową na znak czci i włożył do woreczka jedwabnego, zastępującego kopertę w wysoko urzędowych sferach tureckich do dziś dnia. Cisza głęboka panowała podczas całéj téj czynności.

Dostawszy do rąk dokumenta, obaj wieśniacy zerwali się z sofy na równe nogi, oddali ukłon do ziemi i zniknęli za kotarą, błogosławiąc beja.

— Oby Ałłach deszcz, chmurę swéj szczodrobliwości wylał na uczoną głowę *pana pana* naszego — wołał Tartały-aga na odchodném.

— Och! och! bardzoś mi wygodził duszko-baranku — odpowiedział bej—ja tylko pragnę wdzięczności ludzkiéj... Pomagajmy sobie wzajem a Pan (Mahomet) zawsze będzie z nami. Pamiętajcie o tém wy, z Tirebołu!...

Po zniknięciu chłopów, Kara-Faki dopiero zaczął wzrokiem przenikliwym oglądać rozbitków.

— Nieszczęście was spotkało—mówił słodko—szkoda mi was!.. Co wy za jedni?

Piruzé odpowiadał za wszystkich jako umiejący po turecku i czerkiesku. Musa wydał siebie za niewolnika, pojmanego na chwilę przed napadem na statek, cudem, za przyczyną Proroka, uwolnionego przez jednowierców; nie omieszkał naturalnie dodać o swém wysokiém stanowisku, zajmowaném dotąd w królestwie Tatarskiém, oświadczając, że prócz wysokiéj rangi wojskowéj, zasłynął był jako niepospolity lekarz. Tłómaczył to wszystko na czerkieski Żelisław, dodając mnóstwo najkomiczniejszych potworności, które brane były na seryo przez łatwowiernych, acz wielce drapieżnych Turków.

Kara-Faki słuchał coraz to przymrużając swe oko na pół rozwarte.

— Jeżeliś muzułmaninem — rzekł bej zwrócony do Musy — dla czego nie umiesz mówić naszemi językami?

— Bo my mamy całkiem odrębne narzecze, takie delikatne, co niém sam król nasz mówi—tłómaczył Żelisław za Musą.

— To wy macie króla?

— Król nasz nazywa się Mesyasz, dynastyą swoję wywodzi od samego Pana Boga.. Byłem ja u niego jenerałem i dowodziłem ogromném wojskiem, od którego wszyscy uciekali, bo takie było straszne... Biłem ciągle niewiernych, oczekuję teraz za to od was pomocy i gościnności, jak przynależy memu wysokiemu urodzeniu i dostojeństwu.. .

— Nasza dłoń jest zawsze otwartą szeroko dla bliźnich, nie zapominamy nigdy świętych przepisów Pana światów. Ałłach niech cię błogosławi! Pozdrawiam cię beju — i Kara-Faki zrobił głęboki ukłon ręką w stronę fałszywego jenerała niebywałego króla, następnie zapytał resztę — a macież wy paszporty?

Wszyscy osłupieli na to pytanie niespodziane. Darmo Żelisław tłómaczył, że czerkiesi żadnych paszportów nie znają wogóle, a co do Turków, to ich wcale o to pytać nie powinni jako największych bohaterów islamu. Kara-Faki niby to podzielał patryotyczno-religijne zdania, ale stał mocno, powołując się na swój urząd, przy żądaniu okazania paszportów. Wydał rozkaz zabrania niewolnic do

haremliku, a Żelisława do więzienia zamkowego jako nieposiadających paszportów. Ta niespodzianka mocno zafrasowała Żelisława, z rozbawionego stał się zły, nalegał przy rozstaniu na Musę, by o nim nie zapominał.

— Pomogłem do twéj wielkości—mówił—nie opuszczajże mnie teraz, bo nieraz jeszcze będziesz potrzebował mych usług....

— Niech panicz zdrów będzie, już ja wiem jak się to skończy — i Musa zrobił ruch palcami jak przy płaceniu pieniędzy.

Kara-Faki postąpił w tym razie jak prawdziwy dere-bej, łupiący na podstawie niby legalnéj podróżnych i kupców. Dziewczęta postanowił sprzedać jako kontrabandę a Żelisława okup zabrać sobie jako również nieprawnie na nim przez Czerkiesów wymożony. Żeby zaś cała sprawa nie nabrała rozgłosu, uwięził i Piruzego. Musę zaś postanowił użyć do odebrania okupu od „jesyrdżego" trebizondzkiego, gdyż poznał w nim, jak i jego dworzanie, skarb prawdziwy do rozmaitych operacyj, nie koniecznie licujących z prawem, nie mówiąc już o sprawiedliwości.

Poszkodowani Czerkiesi dowiedzieli się wkrótce o losie swego żywego towaru. Skarżyli się przed paszą trebizondzkim, lecz ten prócz obietnic nic na razie nie robił, wyczekując jakichś niby objaśnień urzędowych, a w rzeczywistości kubana, „bakczysza," od interesowanych, niestety, nie mających grosza przy duszy. Pasza miał i inne powody oszczędzania Kara-Fakiego, którego kuzyn szambelan był faworytem sułtańskim; dopomagał mu téż skrycie.

Musa obdarzony delikatnym węchem miszuresa odebrał okup za Żelisława, zanim jeszcze Czerkiesi przybyli do Trebizondy. Za jego namową „jesyrdżi" wniósł jednocześnie skargę na Czerkiesów, że wziąwszy z góry wielkie pieniądze za dwie niewolnice Nedżibe i Nazikę, nie odstawili ich na termin. Darmo Mehmet przedstawiał, że obie zabrał Kara-Faki, że „jesyrdżi" powinien od niego żądać, nie zaś od nich — nic to niepomogło: kazano im złożyć pobrane pieniądze przez Kasima; a gdy z tego jak z góry o tém wiedziano, nie mogli się uiścić, zamknięto wszystkich do kozy, pozostawiwszy jednego Nurego na wolnéj stopie, żeby było komu zanieść wiadomość na Kaukaz.

Po otrzymaniu okupu, Kara-Faki natychmiast wypuścił Żelisława na wolność. Z innego dere-bej może zdarłby podwójny okup, ale do młodego Polaka poczuł jakiś szczególny pociąg. W więzieniu zamkowém miano nawet dla niego pewne względy jak dla beja frenckiego, za jakiego uchodzi u Turków każdy szlachcic, zwłaszcza polski; tradycya o tém ostatniém przechowała się z czasów dawniejszych stosunków Rzeczypospolitéj z Turcyą. Co zaś

do okupu, to ten dostał się po połowie: bejowi i „jesyrdżemu,“ naturalnie, że gruby procent został odliczony na rzecz Musy, który też sobie dodał tytuł beja... przez skromność.

Znalazłszy się na swobodzie, Żelisław wielce wesołe rozpoczął życie. Kara-Faki i syn jego, jak również dworzanie, bardzo go sobie upodobali, a to przeważnie za niezrównane cnoty myśliwskie, które sprowadzały niezliczoną moc zwierzyny do mis w Taun-tepé. Młodzian nie zgłębiał natury swéj Odyssei, brał ją ze strony realnéj, postanawiając wyzyskać na korzyść materyalnéj karyery, gdy mu los psotnik zamknął drogę w progi rodzinne.

Sahi-bej.

PAMIĘTNIKI
JANA DROZDOWSKIEGO

SZTABSLEKARZA PUŁKU DZIAŁYŃSKICH.

Pamiętniki, które przedstawiamy czytającej publiczności, znalezione zostały w końcu 1878 r. w głębi Litwy, gdzie od kilkudziesięciu lat, jako nieużyteczny szpargał rzucone w kąt, nie zwracały na siebie niczyjéj uwagi. Téj to okoliczności zapewne przypisać należy, że nie są kompletne, że brak im końca. W gruncie jednak rzeczy strata to zdaje się być nie wielką, gdyż pamiętnik ku końcowi rękopisu oryginalnego, jaki posiadamy, poczyna być mniéj interesującym. Najważniejsza jego część tj. opis wojny 1794 r. zachowana jest dobrze i całkowicie.

Autorem tych pamiętników jest Jan Drozdowski, lekarz z zawodu, wychowaniec Akademii Jagiellońskiéj, uczeń Czerwiakowskiego, następnie sztabslekarz pułku Działyńskich. Po nieszczęśliwéj kampanii kościuszkowskiéj i ostatecznym rozbiorze kraju, Drozdowski przeniósł się do Biały na Podlasie i tam praktykował.

Otóż syn jego wstąpił do wojska rosyjskiego i z czasem ożeniwszy się, osiadł na Litwie. Ztąd to pamiętnik rzeczony tam się znalazł. „Wnuki, pisze wynalazca pamiętnika p. Józef Dowgiałło, nie przywiązując żadnéj wartości do notatek swego dziada, z kilkoma staremi książkami mnie je oddali.“ Taką, jest historya pamiętnika.

Zasługuje on na opublikowanie. Trojaki jest sposób publikowania tego rodzaju zabytków. Albo skrócenie ich, tj. wyjęcie z całości ważniejszych rzeczy jak to zrobił Chomętowski z pamiętnikami ministra Łubieńskiego, albo przerobienie całkowite pamiętnika jednak bez opuszczeń, jak to zrobił z pamiętnikiem Ochockiego

J. I. Kraszewski, albo nakoniec wydrukowanie pamiętnika *in extenso*, bez skróceń i przeróbek, jak wielu wydawców u nas czyniło i czyni.

Ten ostatni sposób wydaje nam się najlepszym i dlatego zastosowaliśmy go w całości do pamiętników Drozdowskiego. Zapewne dałoby się tu wiele rzeczy wyrzucić, gdyż nic z nich nauka historyczna nie skorzysta, ale skorzystać za to może powieściopisarz, malarz, historyk obyczajów i idei, obiegających w danéj chwili wśród społeczeństwa. Drozdowski właśnie może dać dużo takiego materyału. Jego wspomnienia akademickie dotyczące wykładów, sposobu życia uczniów, karności szkolnéj, mają nawet pewne znaczenie dla historyi téj szkoły. Są one barwne, świeże, tętniące życiem. Sylwetka prof. Czerwiakowskiego uderza prawdą i niezaprzeczonym humorem.

Najważniejsza część pamiętnika tj. powstanie kościuszkowskie, jest także ciekawe. Autor podczas dni kwietniowych był w Warszawie; następnie brał udział w bitwie pod Chełmem, był czynny w czasie oblężenia Warszawy i t. d.

Nie bez interesu téż są obrazki z czasów porozbiorowych, w świeżo zajętym przez Austryą kraju. Przeważa w nich strona obyczajowa.

Nie chcemy jednak przeceniać znaczenia tego pamiętnika. Nie należy on wcale do najlepszych, lecz wydawano u nas, z pożytkiem dla literatury, i mniéj cenne. Autor, jak na lekarza, jest dość niewykształcony, pisze nieortograficznie. Mieliśmy téż dużo mozołu z odcyfrowywaniem pisma Drozdowskiego, kreślonego niewyraźnie, koślawo, wyblakłym atramentem, na grubym, sinym, bibulastym papierze. O przestankowaniu prawidłowém ani mowy. Styl oczywiście, cały tok opowiadania wielce niedbały, ale zachowaliśmy go nietkniętym, gdyż posiada pewną prostotę, naiwność i świeżość, a przytem nadaje on odrębny, autentyczny charakter pamiętnikowi, czegobyśmy np. napróżno szukali w pamiętniku Ochockiego. Zaprowadziliśmy pewien porządek: podzielili na rozdziały, zaopatrzyli w znaki pisarskie, dodaliśmy wreszcie parę sprostowań nieuniknionych, gdyż autor nie zawsze jest o rzeczach, na które sam nie patrzał, dobrze poinformowany. Zabawną jest np. rzeczą, że wszystkie wojny w kraju, jakie za jego pamięci wybuchają, nazywa stale kościuszkowskiemi. Sympatyczna, sentymentalna i cnotliwa postać bohatera Racławickiego silne widocznie wywarła wrażenie na umysł naszego sztabslekarza.

Autograf składa się z trzech zeszytów, i ogółem liczy 136 stron w 4-ce. Właściwy tytuł na rękopiśmie brzmi: „Bieg życia Jana Drozdowskiego doktora chirurgii, lekarza klasy I-éj, emeryta.“

Walery Przyborowski.

I.

Urodziłem się w województwie Kijowskiém, we wsi Parchomówce, dnia 24 lipca 1766 r. z ojca Andrzeja Drozdowskiego i Katarzyny Pietraszewskiéj. Lata młodości pędziłem przy rodzicach, nauki początkowe pobierałem w szkole elementarnéj, w tejże wsi, gdzie dawano początki języków polskiego i słowiańskiego (który tam zowią cerkiewnym); byłem w téj szkole do roku trzynastego mego wieku.

Byłem często od rodziców posyłany do folwarku, (który tam futorem zowią), a to z karmem dla pszczół, który matka moja przyrządziwszy, mnie z dwiema służącemi odnieść kazała, gdzie stanąć musieliśmy o wschodzie słońca i tém pokarmić pszczoły, dopóki w pole nie uleciały.

Drugi obowiązek miałem zajmować się uprawą tytuniu, zwanego bakunem, który uprawiałem całe lato. Uprawiony tytuń złożyłem w papusze i spakowałem w beczki, z którego byłem obowiązany robić tabakę z pomocą służącego, a to na lato, i zimę, li dla mego ojca.

W roku 14 mego wieku, byłem posłany z bratem moim starszym, Józefem, do szkół umańskich, gdzie były dawane nauki przez księży Bazylianów do klasy 7, którą nazywali Teologią, gdzie już skończyłem klasę 4-tą. Lecz przypadek zrządził, że w Bałcie okazała się morowa zaraza, o któréj ojciec nasz uwiadomiony, natychmiast, po nas przysłał, abyśmy do domu przyjechali, a tam niedługo bawiąc, byliśmy odesłani do Żytomierza, dla ukończenia nauki i tam ukończyliśmy klasę 5-tą pod X. X. eks-jezuitami.

Ztamtąd przybyliśmy na wakacye do miasteczka Skwiry, gdzie na ówczas zamieszkiwał Grzegorz Łapiński, nasz szwagier, człowiek dobrze uważany, nazywano go teologiem. Ten w czasie obiadu proponuje Józefowi, memu bratu starszemu, aby jechał do Krakowa na naukę sztuki lekarskiéj, na fundusz królewski, ze starostwa Romanowskiego, wówczas należącego do książąt Lubomirskich. Brat mój odmówił szwagrowi jechania na nauki lekarskie do Krakowa; ja zaś odezwałem się do Łapińskiego, aby mnie przedstawił księciu Lubomirskiemu, a że była trudność wynalezienia ele-

wa usposobionego przez ukończenie klas sześciu do nauki medycznéj, więc byłem przedstawiony księciu.

Kazał więc książę jako starosta Romanowski przyrządzić mi się do podróży.

Rodzice moi opatrzyli mnie w bieliznę i garderobę, a książę kazał dać ruską powózkę krytą, z trzema końmi i dwóch kozaków konnych do konwoju. Dano mi świadectwo i tak ruszyłem w drogę w miesiącu lipcu. A że podówczas w Polsce tak były drogi złe, że żadnym sposobem nie mogłem odbyć podróży tak dalekiéj moją ojczyzną (1) obmyśliłem jechać przez Galicyą, gdzie już szosę robić zaczęto.

Więc jadę, a dojeżdżając do miasta Żółkwi, przypadkiem nieszczęśliwym wywróciliśmy się w rów z wodą i gdyby mnie kozacy nie wyratowali, byłbym uległ przypadkowi.

Nareszcie przybyłem do Krakowa w samo południe; wjechałem od Podgórza, które podówczas nazywano: Mariensztat, bo podówczas panowała Marya Teresa cesarzowa austryacka. Przejeżdżając przed kościołem św. Piotra i Pawła, ta wspaniała budowa uderzyła mnie w oczy. Zastanowiłem się; w tém młodzież zaczęła wychodzić z tego gmachu. Najpierwszy wpadł mi w oczy Sokołowski; którego zapytałem, gdzieby było zgromadzenie uczniów sztuki lekarskiéj? Odpowiedział mi, że on z kolegami swemi, uczniami téj sztuki, wychodzą.

Rzekłem do niego, że i ja przybyłem na téż nauki, do kogo więc mam się udać? Wskazał mi księdza prefekta Czaputowicza, któremu oddałem listy i pieniądze. Kazał on mi wyznaczyć celę, bo to był gmach po Jezuicki. W celi znalazłem porządek, szafę w murze na suknie i książki, łóżko, parę krzesełek i stolik, zgoła mieszkanie wesołe i zdrowe. Ale niedługośmy się cieszyli tą przyjemnością, bo na zimę przeniesiono nas, w liczbie 140 uczni, na ulicę Wiślną do Bursy Pauperum, gdzie w jednéj stancyi mieszkało nas 6 i 7.

Ja i wielu kolegów, przybyłych z Mało-Polski, gdzie niezwykli używać pierzyn, tylko używają kołdry, zostaliśmy dłużéj przy dobrém zdrowiu, wielkopolscy zaś uczniowie, ulegli chorobom różnym i kilku z nich umarło. I my małopolanie nie umknęliśmy choroby zwanéj *Higiene* (?) z powodu, zmiany klimatu pochodzącéj. Choroba Hygiene jest chorobą długą, trwa dopóki się nie oswoim z atmo-

---

(1) Przypominamy, że autor jechał do Krakowa już po pierwszym rozbiorze kraju. (*Przyp. wydawcy*).

sferą miejscową. Ja téj chorobie długi czas ulegałem, nareszcie cierpiałem zatwardzenie wątroby, byłem leczony w klinice przez półtora miesiąca, a wyszedłszy ze szpitala, chodziłem z kijem czas długi, schylony na bok prawy; zgoła, że prawie rok cały przekawęczyłem.

Przyczyną choroby dla nas był niedostatek dobrych pokarmów, a to dla szczupłości funduszów. Bo czy podobna, aby za zł. 18 na miesiąc, mieć stół i zaspokojenie potrzeb jako to: odzież, obuwie itd. Z tego powodu dano nam stół wspólny. Mieliśmy na śniadanie bułeczkę za grosz, toż i na kolacyą. Obiad z rosołu z grzankami z bułki i sztuka mięsa.

Przypominam sobie wypadek, zdarzony w wilię Bożego Naronia, gdzie dano nam do jedzenia ryby śmierdzące tak, że ich jeść nie można było. Starsi koledzy moi udali się do ks. prefekta Czaputowicza z temi rybami, lecz on się tłómaczył, że to jest wina szafarza, który takie ryby kupił. Wszyscyśmy się porwali od stołu, wybiegli na dziedziniec, a schwyciwszy szafarza, chcieliśmy go w studnią, będącą w podwórzu, wrzucić, lecz ten zostawiwszy płaszcz w ręku naszym, sam zemknął; więc to się stało z płaszczem, co się stać miało z szafarzem.

Ta scena stała się za rektory ks. Hugona Kołłątaja, o czém gdy mu doniesiono zrobiono sądownictwo, gdzie wszyscy być musieliśmy przytomni. Młodszym kazano klęczyć godzinę w dzień, przez trzy dni, a starszych osadzono w areszt na dni trzy, na piętrze, każdego w osobnéj celi, na chleb i wodę (1); drzwi pilnowali bedelowie nasi, czyli woźni Akademii, a że okna uwięzionych kolegów wychodziły na ulicę, przeto my dostarczaliśmy nocą kosztem naszym wszystkiego co się tyczy jedzenia i napojów.

Zawsze jednak głód dokuczał; my, cośmy mieli nadsyłane sukursa od familii, trzymaliśmy się póki mogli, wielu się rozsypało po różnych miejscach, najwięcéj wróciło do domów rodzinnych. Do tego doszło, że nas ledwo 80 uczni pozostało w naukach.

Ja zaś dopótym się trzymał, póki rodzice sukursowali mi na potrzeby rocznie dukatów 30 mniéj lub więcéj; a że Kościuszko już w województwie kijowskiém zaczynał być czynnym, (2) przeto przez

---

(1) Czytelnik uśmiechnie się, ale i pożałuje może, iż dyscyplina nowoczesna tak mało podobna jest do patryarchalnéj.

(2) Trudno zrozumieć, o jakiéj tu wojnie mowa. Nie o konfederacyi Barskiej, bo autor urodził się dopiero w r. 1766, nie o kampanii 1792 r. gdyż wtedy był już w Warszawie lekarzem wojskowym. Zaznaczyliśmy już, że autor wszystkie wojny, jakie widział w téj dobie, nazywa wojnami Kościuszki. (*Przyp. wyd.*).

trudne komunikowanie się poczt z Krakowem, wszelka pomoc dla mnie od rodziców, ustała. Pomimo szczupłości potrzeb życia i przyodziania się, zaczęła mi bieda dokuczać.

Przyszedłem razu jednego na korepetycyą lekcyi do kolegi mego, już lata mającego, z Wielkopolski wysłanego, rodem Niemca, i zastałem go rysującego widoki pejzażyków różnemi kolorami na papierze.

Zapytałem się na co by się to mu przydało, na co mi odpowiedział: „Widzisz kolego, że nasz fundusz nie wystarcza nam na życie, więc ja daję lekcye rysunków u pani starościny Olbromskiéj i w innych domach; biorę na miesiąc dwa dukaty od osoby i z tego się utrzymuję.“

Ja, zaraz przybywszy do Akademii, chodziłem na rysunki, które dawane były dwa razy w tydzień przez Estrajchera, ale już poprzednio miałem początki sztuki malarskiéj od mego ojca, przeto coraz więcéj korzystając, zwróciłem na siebie uwagę profesora rysunków, bo czasem wychodził z lekcyi i polecał mi, abym uczniom popoprawiał rysuneczki. Co mi się bardzo przydało, a to w ostateczněj potrzebie, gdzie nawet nie miałem za co butów podzelować. Miałem przyjaźń z buchalterem Laszkiewicza bankiera. Idę do niego i otwarcie przedstawiam mu stan méj nędzy, na co mi odpowiada: że pani bankierowa mówiła razu pewnego u stołu, że życzyła by sobie córeczkę, Elzusię kazać uczyć rysować, zatém ja przypomnę.

Jakoż wkrótce dała mi znać, abym do niéj przyszedł. Niepodobna odmówić, idzie mi o mój interes, ale buty podarte. Biorę się ja na sposób, kupuję szydełko i dratwę, reperuję, sznuruje podeszwy i tak idę na pokoje. Posadzka froterowana mogłaby zostawić ślady po moich butach, lecz idę krokiem posuwistym do pokoju pani bankierowéj. Tak była łaskawa, że mnie grzecznie przyjęła, uczęstowała winem i prosiła, abym Elzutkę małą uczył rysunku, ofiarując mi 2 dukaty na miesiąc. Blizkom mieszkał w bursie pauperum, dawałem w dzień godzinę przed południem.

Gdyśmy kontynowali lekcye parę miesięcy, mała Elzusia już odrysowała dobrze kwiatek, drzewko, domeczek, a że dom bankiera był znany u pierwszych obywateli miasta Krakowa, przeto często był odwiedzany od córek tychże obywateli i od obywatelek. Uczennica coraz więcéj postępowała w rysunkach; panienki widzą to, proponują mi, abym się podjął dawać lekcyi kilku z tychże panien, za takąż opłatę. Odpowiedziałem im na to, że przybyłem do akademii, abym się kwalifikował na lekarza, a nie na malarza, przeto dwie lekcye przyjąć mogę, oprócz téj, którą daję pannie Elżbiecie; na co się zgodzono. Tak więc bez krzywdy, którąbym poniósł był w méj

nauce, już 6 dukatów miesięcznie pobierałem za rysunki. Siódmy dukat z mego funduszu płacono mi miesięcznie. Oprócz tego niektóre prace rysunkowe wspierały mój fundusz, i tak: że podówczas nie było wyrobów żadnych na białym muślinie, przeto rysowałem szlaki do haftowania, robiłem miniatury na kości słoniowéj, za które byłem płatny, a tak mój fundusz coraz się zwiększał.

Często spotykałem się na rynku z memi kolegami, ci obskoczywszy mnie wbrew wołali: tyś Janie bogaty, funduj nam co na śniadanie, co natychmiast następowało.

W krótkim czasie profesor chirurgii, Rafał Czerwiakowski, przedsięwziął wydać dzieło chirurgii od początku wskrzeszenia onéj, aż do czasów teraźniejszych. Do tego dzieła potrzebował tablic rysunkowych, które późniéj były sztychowane na miedzi w Wiedniu. Za moję pracę rysunków i pomoc w tłómaczeniu z łacińskiego na polski język dał mi stancyą w swéj kamienicy, stół, kawę, zgoła żem do méj wygody nic nie potrzebował. Zająłem się wziętą pracą usilnie, kontynując moje lekcye lekarskie.

Było to w tym roku kiedy już rewolucya Francuzka wszczęła się i Bastylia, forteca a razem więzienie, była zburzona. Na pamiątkę tego wypadku były przedawane tabakierki masowe, na których wytoczona była w formie płaskorzeźby Bastylia. Wartość téj tabakierki była dwa dukaty, jako nowość, która z wypadku niespodzianego była mnie i koledze memu Suszce ofiarowana.

Profesor Czerwiakowski był żonaty, miał piękną niewiastę z imienia Helenę, która tak słynęła ze swéj piękności, iż wojażerowie cudzoziemscy przybywszy do Krakowa, starali się ją poznać.

Pewnego dnia mój profesor wezwany do chorego na wieś, dał mi sztukę płótna i zalecił, aby z niéj porobić bandaże, bośmy brali lekcye bandaży przez niego nam dawane w jego domu. Do wykonania téj czynności był przysposobiony bałwanek wielkości człowieka z irchy, mający głowę z drzewa ręce i nogi irchą powleczone, zgoła postać człowieka najregularniejszą okazujący. Stał on na pręcie grubym żelaznym na piedestalu drewnianym.

Powraca profesor od chorego o godzinie wieczornéj; wchodzi do mego mieszkania, które miało jedne drzwi na schody, zapytuje: czy są bandaże gotowe? Odpowiedziałem mu, że z polecenia jego udałem się do garderoby, przełożyłem pannom, aby mi pomogły w wycinaniu i szyciu tychże bandaży—takie jest polecenie pana doktora, dane mnie przed odjazdem do chorego. Z tą relacyą udały się panny do pani doktorowéj, która odpowiedziała, że wy mnie

służycie, nie memu mężowi, zatem nie kazała robić. Kiedy my mówimy z moim profesorem o tém, wychodzi profesor i uderza drzwiami faworyta pani, Kacpra, kamerdynera, który był wysłany na podsłuchy, cośmy mówili. Ujęty pasyą mój opiekun, dał parę policzków Kacprowi i wychodzi z kuchni na korytarz. Tu znajduje swoją żonę, czekającą na raport Kacpra. Powstaje z żywością na męża, strofując go, że on dał policzek najwierniejszemu słudze Kacprowi.

. . . .

Drugiego dnia po przeprosinach około godziny 10-téj schodzą się goście na śniadanie: Laskiewicz kupiec, który mieszkał w kamienicy pana Czerwiakowskiego na dole, trzymał handel korzenny i winny, i inne osoby, gdzie i ja z kolegą moim Suszką byliśmy przywołani. Pijemy wino, jemy śniadanie, po którego skończeniu dostajem w darze tabakiery z Bastylią.

. . . .

Już rok drugi pracowałem nad rysowaniem tablic do dzieła chirurgii, które wydać miał profesor Czerwiakowski, gdy znów zacząłem cierpieć ów rodzaj spleenu, który często przyprowadza do zadania sobie samemu śmierci. Gdy ranku pewnego tenże paroksyzm zaczął mnie tak gwałtownie atakować, a profesora w domu nie było, otworzyłem więc okno na piętrze w bibliotece, gdziem zwykle pracował. Miałem wyskoczyć oknem, aby skończyć dni życia. W tem zadumaniu stojąc, słyszę, że mnie ktoś bierze za ramię. Obejrzałem się i ujrzałem mego dobroczyńcę. Gdy mnie zapytał: „czego w téj postawie stoisz w oknie?“ — szczerze odpowiedziałem mu, że miałem popełnić samobójstwo z powodu nudności jakie cierpiałem i myśli, że mnie żadna nadzieja nie cieszy. Natychmiast rzekł do mnie:

— Nie przewidujesz tego, co ciebie czeka, zaradzę ja temu jutro.

Gdyśmy wypili kawę, dał mnie bilecik i kazał iść do panny przełożonéj w szpitalu kliniki będącéj. Zaraz rozkazowi jego uczyniłem zadosyć, a gdym oddał bilet pannie starszéj, po odczytaniu onego odpowiedziała mi:

— „Nie można odmówić dobroczyńcy temu, który bezpłatnie naszych chorych odwiedza i daje onym radę i pomoc w zdrowiu. Idź do pana doktora i oświadcz mu, że masz miejsce w naszym szpitalu.“—Co gdym oświadczył memu dobroczyńcy, kazał natychmiast założyć konie do koczyka, zabrać moje rzeczy i mnie zawieść do panien Miłosierdzia na Wesołą. Tam przybywszy, dano mi osobną celę, stół i pranie, za co obowiązany byłem chorych rannych opatrywać, co na nas trzech wypadło co trzy tygodnie tydzień.

Ciągle mieliśmy danego staruszka brodatego, Michałka, który nosił za nami na tablicy plumasole, maście i inne potrzebne rzeczy do ran opatrywania. Miał także obowiązek dawania enem; my zaś puszczaliśmy krew, rwali zęby i wykonywaliśmy inne operacye chirurgiczne z polecenia doktora, ordynującego chorym szpitalnym lekarstwa. Przy opatrywaniu ran, starałem się ile można ulżyć cierpiącym, za co zjednałem sobie miłość u chorych, bo kiedy przychodził tydzień méj operacyi, chorzy dziękowali mi, mówiąc, że kiedy nas pan opatrujesz, to my nie czujemy żadnego bólu, ale kiedy koledzy pańscy, to bardzo cierpim. Pytałem ich dla czego, odpowiedzieli mi:

— Pan odmoczysz przyschłe plumasole i delikatnie one odejmujesz, koledzy zaś pana rwą tak, oddzierając maście przyschłe z plumasolami, że aż krew idzie.

Oprócz tego mieliśmy obowiązek meldowania przybyłych chorych doktorowi ordynującemu. Każdy chory przychodzący do szpitala, przychodził do furty, zadzwonił w dzwonek, a furtyan zameldował temu, który z nas miał dyżur w szpitalu. My zaś winni byliśmy meldować doktorowi, a po wyegzaminowaniu chorych, jednym dano radę, drugich przyjmowano do szpitala. W tejże furcie znajdowało się koło, do którego składano podrzutki, czyli dzieci przypadkowo rodzące się, bo tu braliśmy naukę akuszeryi.

Razu jednego, za mego dyżurstwa, melduje mi furtyan o przybyłym chorym wieśniaku. Wyszedłem do furty, widzę wieśniaka ciągle z siłą trącego sobie twarz ze strony lewéj. Pytam go dlaczego by to robił. Odpowiada mi, że cierpi ból niezmierny zębów w lewéj szczęce, że już kilka zębów kazał wyrwać, lecz to nic nie pomogło. Domyśliłem się, że to była fluksya. Przyjąłem go do szpitala, a w tydzień był wolnym od bólu zębów. Gdy się doktór szpitala dowiedział o tém, natychmiast zakazano, aby żaden cyrulik nie rwał zębów bez rady doktora.

Lat 3 pracowałem w szpitalu jak praktykant. W roku czwartym jakiś Postołowski z Małopolski, będąc adjunktem przy klinice szpitala pp. Miłosierdzia, zamyślał złożyć egzamen na doktora. Jakoż złożył go pomyślnie. Po nim zawakowało miejsce adjunkta czyli asystenta w klinice. Idę ja do szanownego męża Franciszka Kosteckiego, ordynaryusza w szpitalu i profesora patologii, któréj lekcye pobieraliśmy w tymże szpitalu. Proszę go, czylibym nie mógł objąć miejsca asystenta po p. Postołowskim; odpowiedział mi, że ta rzecz należy do pana Czerwiakowskiego, profesora chirurgii. Gdym się udał do niego z tą prośbą, natychmiast napisał bilecik do p. Kosteckiego, abym był instalowany na asystenta w klinice (czego jest

dowodem świadectwo dane mi od Kosteckiego między memi papierami). Tu już oprócz mieszkania i innych wygód, brałem rocznie złp. 400 pensyi. Ten obowiązek pełniłem lat kilka, aż do roku 1791. Oprócz lekcyi patologicznéj, którą braliśmy w klinice od Kosteckiego, reszty słuchaliśmy w Krakowie, odległym od mieszkania naszego dwie wiorsty; lekcya zaś chirurgii dawaną nam była w klasztorze po-jezuickim u Św. Barbary, najczęściéj porą wieczorną przy świetle.

Dnia 15 sierpnia, roku jak wyżéj, przyszliśmy wszyscy uczniowie na lekcyą do salonu, który miał ławki do siedzenia gradualne, w półkole od dołu do góry aż pod galeryą, gdzie ja, Pacewicz i Laskowski zwykle siadywaliśmy. Wraz po ukończonéj lekcyi powstał profesor Czerwiakowski z katedry i odczytał w treści następujące pismo:

„My, król Stanisław etc. i komisya naukowa polecamy akademii Krakowskiéj, aby wezwała uczniów sztuki lekarskiéj na funduszu królewskim będących, już w objekcie swéj sztuki uzdolnionych, aby się ofiarowali do służby wojskowéj.“

Tu dodał zdanie własne:

— Panowie uczniowie! nie wzbraniajcie się téj usługi dla ojczyzny, abyście nie byli zmuszeni późniéj do niéj. Ja powracając z Rzymu do Krakowa na profesora w czasie siedmioletniéj wojny Fryderyka króla Pruskiego przez Berlin, słyszałem podobny rozkaz wydany do akademii Berlińskiéj i innych, a to z powodu, iż w tak długiéj wojnie, bardzo mu wiele lekarzy wyginęło, dla tego żaden z uczniów do wojska pójść nie chciał. Rozkazał więc, aby gwałtem brano i w łańcuszki okutych po pułkach rozesłano. Nie czekajcie panowie uczniowie podobnéj ostateczności.

Po takiéj przemowie, ja pierwszy oświadczyłem się służyć, za mną dwaj moi koledzy i jeden farmaceuta. Kazał mi profesor Czerwiakowski jutro rano przyjść do siebie. Poszedłem rano do niego, dał mi pismo do kancelaryi uniwersytetu. Kazano mi przyjść po południu, gdzie odebrałem polecenie, abyśmy byli gotowi wszyscy na dzień jutrzejszy i doręczono mi pismo, które miałem oddać w Warszawie. Prócz tego dostałem kilka listów od urzędników w Krakowie, mających familie w Warszawie i mnie owym rekomendujących. Rano nazajutrz, zachodzi bryka krakowska w cztery konie, pokryta płótném, dobrze wysłana, w którą zabrawszy nasze sprzęty, a pościel rozesławszy w bryce, ruszyliśmy w drogę do Warszawy w miesiącu sierpniu.

II.

Dnie były niezmiernie upałowe, z czego takie mieliśmy pragnienie, że niepodobna było go ugasić. Czytając niegdyś podróże po krajach gorących właśnie przyszło mi na myśl, jak karawany idące do Mekki i Jerozolimy gaszą pragnienie; jedni ubodzy—wodą z wielbląda brzucha, drudzy możniejsi—rumem lub starém winem. My zaś, mając dany sobie mały fundusz na drogę, przestaliśmy na dobréj wódce.

W samo prawie południe wjechaliśmy do miasteczka, a wszedłszy do austeryi, kazałem dać po kieliszku wódki, poczém ustało pragnienie; a że się musiało znowu narazić na upał, więc wzięliśmy w drogę butelkę wódki i kieliszek. Jeżeli nam dokuczać zaczęło pragnienie, wypiliśmy po kieliszku, a że to dobry skutek robiło, przeto moi koledzy pytali mnie dla czego to tak było? Wytłómaczyłem im, że żołądek ma swoje ciepło naturalne, za pomocą którego daje trawienie pokarmom, które pożywamy; a że przez upał powiększa się téż ciepło żołądkowe tak, że włókna będąc w żołądku osłabione, nie są w stanie wsysać cząstek posilnych, tém samém cierpią pragnienie.

Nareszcie przybyliśmy do Warszawy. Ubrawszy się w taratatki i pasy około bioder obwinąwszy, upudrowawszy tupety na głowie i harcapy długą czarną wstążką poobwijawszy, udaliśmy się do generał-sztabs-doktora wojsk polskich Bergonzoniego.

Tam przybywszy oddałem onemu pisma od akademii i nasze świadectwa. Zapytał najprzód, który z nas jest Jan Drozdowski, były asystent w klinice akademii. Odezwałem się, że ja. Spojrzał na mnie wzrokiem uroczym, jakoby mówił, żem się pośpieszył, że lepiéj było kończyć nauki, a za lat parę doktoryzować się. Potém kazał mi przyjść do siebie jutro, co gdym uczynił, dał mi pieniądze dla nas wszystkich, abyśmy się umundurowali. Wezwaliśmy krawca pułkowego, wzięliśmy sukna i kazaliśmy robić mundury. Te były błękitne, jak teraz noszą weterani, kołnierze granatowe stojące i takież obszlegi u rękawów, kamizelki z sukna białego po starodawnemu, jak starzy niemcy nosili; spodnie białe długie w botforty wpuszczane, ostrogi przy botfortach, pendent z klamrą na któréj był orzeł biały, pałasz z feldcechem, kapelusz stosowany z białą kokardą, pióro strzyżone białe, u góry roztrzępione: takowe pióro kosztowało dukata; dwie pół szlifki złote, jak teraz noszą porucznicy, głowa z przodu do wpół ostrzyżona, co zwali „werzetem,“ arcap w tyle, wszystko pudrem okryte. Tak ubrani meldowaliśmy się Bergon-

zoniemu, który tymczasem przeznaczył nam wspólną kwaterę na Starej-poczcie, na rogu ulicy Wareckiéj. A kiedy Kościuszko ze swoją armią był na Wołyniu, odsyłano nam chorych do Warszawy. Byliśmy więc rozkomenderowani po lazaretach pod naczelnictwem dywizyonowego sztabslekarza artyleryi pieszéj nazwiskiem Szpeta. A gdy coraz więcéj chorych przybywało tak z półków będących w Warszawie, jako téż nadsyłanych chorych z armii Kościuszki, dał mi Bergonzoni osobny lazaret na Pradze, gdzie stał kościołek Bohomolca, a dziś tylko krzyż, na prawéj ręce jadąc z Warszawy; a że byłem potrzebny chirurgom do pomocy, o których, osobliwie Polaków, wówczas było bardzo trudno, przeto dano mi jednego lekarza pruskiego i trzech felczerów, bardzo mało umiejących po polsku mówić, a pisać nie umieli.

Lubo miałem nieco z nich pomocy, lecz pisanie codzienne raportów: do króla, do komisyi naukowéj, do Bergonzoniego bardzo mnie utrudzały, tak dalece, żem zachorował. Napisałem list do pana Bergonzoniego prosząc, aby mnie odwiedził i dał pomoc do dźwignienia się z méj choroby. Tak był łaskaw, że mnie odwiedził, a gdym mu oświadczył przyczynę méj choroby, prosząc aby odmienił moje położenie, oświadczył mi, że go mieć będę wkrótce. Jakoż dotrzymał słowa, dał mi zastępstwo w pułku generała Działyńskiego po zmarłym sztabslekarzu Lerlu, rodem z Czech, które objąwszy, miałem pod mem staraniem pułk Działyńskich i gwardyi Litewskiéj pieszéj, bo te oba pułki stały w koszarach Ujazdowskich. Miałem lazaret drewniany, na tym placu jak się idzie do koszar z alejów, po lewéj ręce ogrodu p. Puszeta, gdzie była sławna sprzedaż raków hodowanych. Działyńskiego pułku był pułkownikiem Dalke, podpułkownikiem Gremer, majorem Zeydlic.

Po roku mego urzędowania, wpadła zaraza do mego lazaretu, a nawet grasowała po całéj Warszawie i po okolicy Warszawy. Pułkownik Dalke na tęż chorobę zachorował, był leczony przez Beklera, doktora nadwornego J. K. M. Stanisława Augusta Poniatowskiego i przez Bergonzoniego, gdzie i ja bywałem i na tęż chorobę zachorowałem. A mieszkając w koszarach, w traktyerni, widziałem z jaką paradą zwłoki pułkownika prowadzone były na cmentarz.

Szanowny Bergonzoni miał mnie w swém staraniu, a po przyjęciu świętych sakramentów przyszedłem do zdrowia. Lecz recydywa z przypadku dała mi się w znaki, co się tak stało. Byłem już zdrowszy, a że była pora jesienna, często wdziewałem na siebie futro wilcze. Siedziałem przy piecu w méj kwaterze. Pewnego poranku wchodzi do mego pokoju wdowa po nieboszczyku Lerlu,

moim poprzedniku, z córeczką, i pyta mi się o zdrowie. Odpowiadam jéj, że jestem z rodzaju ptaków drozdów, więc ptak musi się dopóty w gniazdku wygrzewać, aż mu pierze odrośnie. Bawimy się żartami; ale pani Lerlowa proponuje mi, abym z niemi jechał do jéj siostry, mającéj handel na Furmańskiéj ulicy. Przepraszam ją, że zła pogoda, powietrze zimne i wilgotne; odpowiada mi, że pojedziemy koczem, dobrze się odziejemy, to mi szkodzić nie będzie. Dałem się namówić. Ubrałem się, wdziałem wilczurę i pojechaliśmy. Przybywszy na miejsce, dano śledzia, jak to dawniéj nazywano, pocztowego holenderskiego. Zjadłem tylko jedno dzwonko i wypiłem wina kieliszek, pojechałem do mego przyjaciela na Świętojerską ulicę, tam krótko bawiąc, powróciłem do koszar. Nie czułem w sobie żadnéj odmiany w zdrowiu, posiliłem się rosołem, siadłem przy piecu. Czwarta nadchodzi godzina, czuję się być słabym, idę do łóżka, lecz coraz większą czuję otrętwiałość w całém ciele. Kazałem zawołać mego lekarza batalionowego i stawić synopizma na łydkach, na udach i na przedramionach, czekając onych skutku, lecz bez żadnéj nadziei. Otóż Boska Opatrzność dała mi natchnienie użyć środka, którego wówczas nie używano. Mając ordynansa mego do usługi i służącego, kazałem wziąć prześcieradło, przynieść lodu z sadzaweczki, która była przed oknami memi, potłuc drobno, wlać octu i wsypać soli, to wszystko zawinąć w prześcieradło i obłożyć brzuch; co wykonawszy na sobie, żadnego zimna nie czułem. Gdy się lód stopił, kazałem powtórzyć toż samo. Mdłości, którém cierpiał aż do zemdlenia, ustały, a gdy już reszta lodu topniała, uczułem mocną gorączkę w całym korpusie; kazałem okryć się wilczurą, dostałem potów obfitych, usnąłem — i wstałem zdrów. Tak uniknąłem przez natchnienie Ducha Ś-go letargu, w którym byłbym żywy zamiast umarłego pochowanym.

Nieraz to ja doznałem opieki Opatrzności. W mym dziecinnym wieku jechałem z memi siostrami sanną, przez groblę na stawie będącą, gdzie jakiémś zdarzeniem, jadąc przez most, wypadłem z sanek pod most w rzekę dosyć głęboką z wysokości, najmniéj sążeń mającéj. Ale parobek, co nas wiózł, tak szybko skoczył w wodę, że mi nie dał czasu, abym zatonął w wodzie, do czego była pomocą odzież, że mnie ratował bez uszkodzenia.

Bergonzoni używał mnie do wszelkich śledztw; i tak zdarzyło się, że w gwardyi pieszéj sztabslekarz Faneus (? francuz ?) porzucił pułk i sam wyjechał, zostawiwszy wielki nieład w pułku. Byłem wezwany, aby z nim udać się na śledztwo, — tam felczerów wyegzaminowałem. Przejrzeliśmy aptekę półkową i zdaliśmy raport J. K. Mości.

Wkrótce podobnież przytrafiło się, że sztabslekarz pulku Wodzickiego był oskarżony o niemoralne postępowanie na kwaterze. Udaliśmy się w podróż z panem Bergonzonim, jadąc wygodnie karetą pocztowemi końmi. Ale, Panie Boże zmiłuj się, jaka to była poczta! Na dzień zaledwo mil sześć mogliśmy ujechać, a przybywszy na noc do domu pocztowego, gdzie ledwo biedną wieczerzę mieć mogliśmy. Po kolacyi widzę, że się pieczeń barania czosnkiem szpikowana na rożnie piecze, a wiedziałem, że mój Bergonzoni jest wielkim przyjacielem czosnku; kupiłem całą pieczeń, wzięliśmy z sobą do karety, którą często w podróży jadąc posilaliśmy się. Nareszcie przybyliśmy na miejsce przeznaczone, a po śledztwie lekarz pułku był dymisyonowanym.

Przyjechaliśmy do Krako.a, szanowny Czerwiakowski profesor przyjął nas do swego domu, a tam przyjemnie przebywszy tydzień—powracaliśmy do Warszawy.

Zaraz nazajutrz dostałem pacyenta do mego szpitala, furyera od j. w. Kachowskiego, ambasadora rosyjskiego (1), który był raniony w głowę pałaszem saperskim. Powód tego był następujący. Jeszcze dotychczas stoi mała oficyna w rogu ogrodu Krasińskich, po lewéj ręce, jak się kończy Świętojerska. Ulica ta w roku 1791 była przytułkiem kobiet nierządnych; zabudowana była z nędznych domów drewnianych, a ogród Krasińskich dopiero co był założonym. Wieczorną porą tam zgromadziło się wiele żołnierzy tak polskich jako i rosyjskich, gdzie wszczęła się kłótnia, nareszcie przyszło do bitwy w porze nocnéj. Ludzie z domu powybiegali na ten hałas, co uczynił i furyer j. w. ambasadora Kachowskiego. Saperzy goniąc się za Rosyanami, trafili na nieszczęśliwego furyera i zadali mu trzy cięcia w głowę saperskim pałaszem, szerokim na cali pięć. Rany te były do kości; długość każdéj była trzy lub półtrzecia cala, szerokości cal jeden, a że silnie uderzony w głowę tak ciężkim pałaszem, przeto mógł chory uledz zapaleniu mózgu i życiu jego groziło niebezpieczeństwo.

Wkrótce wezwany byłem na komisyą do szpitala św. Łazarza, który podówczas egzystował na ulicy Mostowéj, a nad nim miał staranie jakiś cyrulik warszawski, tam przypatrzyliśmy się okropnym skutkom z niewłaściwego leczenia. O tém zdaliśmy raporta do komisyi oświecenia, lub jak ją zwano Komisyi Edukacyjnéj.

---

(1) Jak wiadomo, Kachowski nie był ambasadorem ale jenerałem wojsk rosyjskich. W r. 1792 dowodził wojskami na Ukrainie i Wołyniu.

(Przyp. wyd.)

W roku 1793. kiedy wojska nasze z kampanii Kościuszki (1) powracały do Warszawy, wtenczas ja zawiadywałem lazaretem wojskowym na Pradze, gdzie był także lazaret rosyjski pod opieką lekarza, rodem Niemca. Otóż idąc z Warszawy na Pragę, kawalerya polska spotkała na moście kawaleryę rosyjską, wiozącą prowiant dla Rosyan do Warszawy. Jakiémś zdarzeniem zaszła między niemi kłótnia, aż nareszcie przyszło do bitwy na pałasze. Jeden z naszych kawalerzystów zadał cios pałaszem kawalerzyście rosyjskiemu w szyję tak silnie, że mu przeciął muskuł utrzymujący równowagę głowy. Ranny, oddany do lazaretu, był leczonym przez sztabslekarza. Poruczono mnie, abym się udał na miejsce, zrobił obdukcyą, dał opinią i oddał sądowi wojennemu. Udałem się więc do szpitala wojskowego dla widzenia ranionego, — tam przybywszy wraz z lekarzem obejrzeliśmy ranę, a że był w ⅔ przeciętym muskuł równowagę głowy utrzymujący, i dobrze (?) był leczonym, przeto pozostało nazawsze kalectwo, a głowa w karku była pochylona na stronę lewą. Dałem zatém moje zdanie w obdukcyi, że lubo ranny ma głowę pochyloną, ta już naprostowaną być nie może, a że jest silnym i zdrowym, może być użyty za furgonistę. Przystał na to i mój kolega sztabslekarz; tém samém uwolniono winowajcę z aresztu i od dalszéj kary.

Już był rok 1794. Właśnie adwent się kończył, kiedym się ożenił z Maryanną Gębicką w ostatni wtorek przed postem. W posagu dostała mi się matka mojéj żony, licząca sobie lat do 60. Ślub wzięliśmy w kościele Św. Krzyża, o ósméj wieczornéj godzinie. O mojém ożenieniu się generał Działyński nie wiedział, bom transzytu nie wziął od pułku, zamiast sztabslekarza nazwałem się dworzaninem j. w. Potockiego. Miała żona moja dobrą przyjaźń z budowniczym J. K. Mości Merlinim, który z familią mieszkał w krakowskiéj bramie, jak się teraz idzie na ulicę Ś-to-Jańską. Ten zacny człowiek był mi pomocą, sprawił nam wesele i do ślubu swoją karetą kazał nas zawieść, a powróciwszy od ślubu, w jego domu zjedliśmy dobrą wieczerzę, napiliśmy się wina i odesłano nas do naszéj kwatery na nocleg.

Przebyliśmy spokojnie post, ja miałem kwaterę ciągle w koszarach Działyńskich, a że miałem przyjaciół, od nich dowiedziałem się, że coś ma nastąpić wkrótce, i radzili mi, abym się miał na pogotowiu, z zapasem instrumentów, bandaży i szarpi, a szczególnie Mieleski kapitan, to mi często przypominał. Najprzód udałem się

---

(1) Znów autor kampanią 1792 r. nazywa niewłaściwie kampanią Kościuszki. (*Przyp. wyd.*)

do Bergonzoniego, jako generalnego doktora wojsk polskich, oświadczyłem mu to, co mnie powiedziano, prosząc go o instrumenta i o bandaże. Kazał mi dać sztukę płótna i instrumenta, ja zaś mając znajomość w wielu domach w Warszawie z obywatelkami, ukwestowałem co mogłem płótna na bandaże i starzyzny cienkiéj na szarpie. Felczerom moim, których było 4-ch a piąty lekarz batalionowy, kazałem porobić bandaże z płótna, a starzyznę rozdałem pomiędzy chorych, aby naskubali szarpi.

Właśnie wielki czwartek nadchodził. W wilię tego dnia zostawiłem w méj kwaterze w koszarach batalionu chirurga Meslinga, sam udałem się na nocleg do méj żony, gdzie spałem mocno. O rannéj godzinie 4-éj wpada do mnie mój lekarz Mesling i powiada co się dzieje: „Pan nie słyszysz, że od godziny już z dział biją i we wszystkich kościołach we dzwony na gwałt dzwonią. Pułk już cały uszykowany stoi na placu."

Porwałem się z łóżka, wziąłem na siebie mundur, przypasałem pałasz i wyszedłem. Widząc ruch w całéj Warszawie, mówię do Meslinga: „miéj się na baczności, gdyby tu nas napadnięto, będziemy się bronić do ostatniego."

Przychodzim na plac, zastajem pułk w szyku i cztery armaty 6-ciofuntowe (te przyjmowały 6 funtów prochu do nabicia) są wytoczone, ale brakowało zaprzęgu. Był to dzień targowy, odebrano konie u wieśniaków jadących na targ i takowe pod te armaty zaprzężono. . . . .

Ósma wybiła, myśmy ruszyli przez pólko ku alejom. Tam ujrzeliśmy oddział kirysyerów stojących za alejami, mających 4-y armaty, ku nam (?) wyrychtowane. Ja z chirurgiem opatrzeni w instrumenta, bandaże etc. w tyle pułku.

Weszliśmy w aleje, kirysyerowie sprezentowali broń, a my poszliśmy do Trzech krzyży. Wchodzim w ulicę naprzeciw ogrodu księcia eks-podkomorzego brata królewskiego, tam przegradza nam ulicę tenże oddział kirysyerów, któryśmy w alejach widzieli. Komendanci obojga wojsk zjechali się z sobą, coś przemówiszy do siebie, kirysyerzy odwrót zrobili, a myśmy poszli ku Św. Krzyża kościołowi. Tam stanąwszy między placem pałacu Sułkowskich i ulicą Warecką, patrzyli nam rosyanie w oczy, a my im—uszykowani między kościołem Dominikańskim i Ś-to-Krzyzkim, mając 4 armaty ośmiofuntowe.

Pułk nasz miał strzelców nazwanych kurpikami, młodych chłopców, mających sztućce, co je zwano gwintówkami. Ubiór piękny: zielony mundur, kapelusz okrągły z kiteczką na boku zieloną, w patrontaszu 24 ładunków i pałasz. Te sztućce tak biły donośnie i cel-

nie, że o 400 kroków nie chybił. Zeydlic porucznik komenderował temi kurpiami. Zebrał ich a przez podwórzec Sułkowskich obszedł małą uliczką Tamką, i powlazili na kościół Dominikański. Tam jeden z kurpików z dzwonnicy dał z muszkietu ognia, że dowódca Rosyan odrazu był zabity. Podówczas Rosyanie dali do naszych ognia z dział i pięciu z lewego skrzydła naszych poległo. Ja z podwórza Staréj-poczty, i patrzałem na tę smutną scenę. W tém nasz porucznik Lasocki ze swoich 4-ch armatek dał ognia kartaczami tak dzielnie, że zrobił lukę dużą w szeregach rosyjskich; zakomenderowano awans, a gdy pułk cały ruszył naprzód—szliśmy po trupach nieprzyjaciół aż do króla Zygmunta. Mnie polecono, abym z memi felczerami zbierał rannych swoich i rosyjskich i składał w najbliższych kamienicach, chociażby w najlepiéj umeblowanych, a że wtenczas wszystkie domy były zaparte, przeto polecono, aby odbijać domy i chorych lokować. To wszystko było wykonane.

Około południa udałem się do pułku stojącego pod statuą Zygmunta, gdzie w każdéj ulicy były pozataczane działa i stały oddziały wojsk naszych. Huk dział, brzęk dzwonów, hałas ludzi przerażał ucho słuchacza. Pułk nasz pierwéj zwany Dziadowskim, teraz nazwano go pułkiem złotym. Ta scena trwała aż do nocy. Dzwony i działa nie ustały brzmiéć, całą noc najpilniejsza straż po całéj Warszawie, a kto mógł, to się na bruku przespał.

W piątek oddział naszego pułku stanął na ulicy Miodowéj przeciw pałacu pani hetmanowéj Branickiéj, (1) gdzie mieszkał ambasador rosyjski Igielstrom, a którego wywiózł starosta Szydłowski (2). W tym pałacu zaparli się Rosyanie i z ręcznéj broni dając ognia, nie dozwalali naszym przystępu. Nareszcie poddali się, prosząc o pardon. Wpadli do pałacu dwaj porucznicy od Działyńskich: jeden miał płaszcz żołnierski i tornister na sobie i ten skorzystał, bo wyniósł kilkaset dukatów w tornistrze; drugi był w mundurze i miał także za mundurem paręset dukatów, ale pospólstwo, obaliwszy go w rynsztok, odebrało mu pieniądze. Sprzęty kosztowne, konie dostały się pospólstwu. Ja wszedłem na górę do pokoju: tu była piękna wyżlica, miała kilkoro szczeniąt; jakiś myśliwy wszedł, rozesłał płaszcz, zabrał szczenięta, i matka poszła za niemi.

---

(1) Nie w pałacu pani Branickiéj mieszkał Igelstrom, ale w pałacu poselstwa rosyjskiego dziś Mrozowskich na ulicy Miodowéj. Pałac Branickiéj nosi dziś miano Dyzmańskich (*przyp. wydawcy*).

(2) Żaden Szydłowski nie wywoził Igelstroma. Wyszedł on na czele oddziału wojsk swoich z Warszawy przez ulicę Zakroczymską i Fawory (*przyp. wydawcy*).

W wielką sobotę zbierałem chorych w różnych miejscach w Warszawie. Kiedym szedł z pałacu Krasińskich, ujrzałem dużo niewolników różnéj płci i wieku prowadzonych przez oddział saperów. W tym momencie słyszę okropny krzyk i zamięszanie, nadszedłem i widzę okropną rzecz: tych niewolników, zgoła wszystkich wyrznięto. Przyczyna była ta: jeden z jeńców szedł za saperem prowadzącym niewolników, wyrwał onemu pistolet—w tém pospólstwo, którego zawsze bywało bez liku przy każdém zdarzeniu, rzuciło się wraz z wojskowemi i w pień wycięto Rosyan.

Słysząc, co się stało w sobotę u księży na ulicy Miodowéj wstąpiłem do nich, a jeden z zakonników poprowadził mię, na górę, gdzie znalazłem trupów rosyjskich w 4-ch celach, ze czterdziestu. Gdym pytał zakonnika, co-by tu Rosyan zaprowadziło, odrzekł, że tu się schronili, ale pospólstwo wpadło, poodbijało drzwi i owych wyrznęło. Gdym się pytał zakonnika, jakim się sposobem to stało, usłyszeliśmy głos jęczących niedobitków między trupami; tych było kilku, a chcąc dać onym pomoc, z drugiéj strony lękając się owych wyprowadzić na ulicę, aby nie byli ulegli losowi swoich kolegów, kazałem żołnierzom, danym mi do pomocy, ubrać onych w płaszcze, które straż moja Działyńskich miała na sobie, i zaprowadzilismy biedaków do szpitala PP. Marcinkanek, jako do najbliższego miejsca; tam miałem o nich staranie i zostali wyleczeni.

Tegoż dnia udałem się na ulicę Mazowiecką, gdzie w pałacu książąt Mazowieckich (1) miał kwaterę książę Gagaryn. Tam zaparło się żołnierstwo i strzelało do nas z okien z karabinów, ale jeden z oficerów od Działyńskich kazał wziąć pęk słomy, zapalić i wrzucić do sieni tegoż pałacu. Co obaczywszy Rosyanie, wnet wywiesili chustę białą przez okno pałacu, prosząc o pardon, i tak owych uwolniono. Nastąpił rabunek sprzętów i garderoby księcia Gagaryna (*NB.* do tego pałacu wpadł mój lekarz batalionowy, a ubrawszy się w mundur książęcy, był zabity od żołnierza Działyńskich). Sam zaś książę już nie żył, bo w wielki czwartek, kiedyśmy mieli do czynienia pod Św.-Krzyżem z Rosyanami, kadeci wypadli z koszar kazimierowskich i jadącego księcia ze swym oddziałem wojska na sukurs—rozbili naprzeciw Saskiego placu, gdzie stał mały domek, nazwany saską kuchnią. Tam widziałem księcia i przy nim lekarza z instrumentami chirurgicznemi w ręku. Księżna zaś z ca-

---

(1) Nie znamy żadnego pałacu książąt Mazowieckich w historyi Warszawy. Mowa tu zapewne o pałacyku istniejącym niegdyś na rogu Mazowieckiéj, gdzie dziś gmach Tow. Kred. Ziemskiego. (*Przyp. wyd.*)

łym dworem była wzięta pod areszt i utrzymywana w pałacu królewskim ze wszelkiemi wygodami i honorami jéj przyzwoitemi.

Już z soboty na niedzielę wielkanocną ustał rażący odgłos dział i dzwonów, odbyliśmy święta spokojnie, święcone było surowe, bo kobiety ze strachu nie miały czasu upiec święconego.

Roku 1794-go, w niedzielę przewodnią po wielkiéj nocy, ruszyliśmy w marsz z pułkiem Działyńskich, gwardyą pieszą koronną i wolónterami. Komenderował pułkownik Hauman, działając odpornie. Zdarzyło nam się, że nad granicą pruską, na trakcie do Lublina, napadli na nas Prusaki, gdzie dali nasi dzielny owym odpór, i jeden z kawaleryi narodowéj, dobréj familii, był ranny w rękę, którego polecono mnie odprowadzić do Warszawy i tam oddać go do leczenia. Przybywszy do Warszawy, ulokowałem onego w kamienicy Polkowskich, sam zanocowałem u mej żony. Rano nazajutrz przychodzi do nas mój lekarz batalionowy, Stankiewicz, i mówi:— „Pójdźmy w Stare miasto, tam pan obaczysz coś nowego“

Gdyśmy przyszli, obaczyliśmy przed ratuszem Starego miasta trzy szubienice; czekamy, aż o godzinie 10-éj rano wyprowadzają najprzód generała wojsk polskich (1), i na środkowéj szubienicy wiesza mistrz sprawiedliwości bardzo zręcznie i wygodnie, bo przysposobił sobie krzesło z surowcowego rzemienia, do którego były na blokach przymocowane dwie liny, które za danym znakiem przez mistrza, pociągnęli jego pomocnicy, on zaś stojąc na drabinie w tyle, zarzucił stryczek na szyję, a za opuszczeniem krzesła ofiara skończyła życie. Co gdy się stało, nieprzyjemny był widok, kiedy powieszony, mając zęby wprawione, wysunął one naprzód, tak jak gdyby się śmiał ze swéj niedoli.

Drugą ofiarą był Ankwicz, kasztelan krakowski (?). Ten mężnie wystąpił, oddając zegarek mistrzowi i sygnet z palca, prosił go, aby się nie męczył; co wraz jak z powyższym nastąpiło. To samo wykonano i z Zabiełłą.

Po téj ceremonii wyprowadzono z ratusza księdza biskupa Massalskiego, po zdjęciu sakrów. Był już w wieku podeszłym, siwizna i słabość sił oznaczały jego niedołężność. Był ubrany w szlafrok nocny i sprowadzonym do kościoła księży Bernardynów na Krakowskie Przedmieście; tam była szubienica przygotowana, a gdyśmy stanęli przed kościołem, prosił, aby mu mówić pozwolono, w tém się dał słyszeć szczęk pałaszy i odezwały się głośne okrzyki przez gwardyą m. Waszawy..... A tak skończono scenę ostatnią tego dnia.

(1) Autor zapawne chciał powiedzieć Hetmana wielkiego koronnego. (*Przyp. wydawcy*).

Nazajutrz ruszyłem za moim pułkiem, z którym maszerowaliśmy aż do Radomia, gdzie byłem fortragowanym na sztabs lekarza do brygady Biernackiego. Rasztakowaliśmy tydzień w Radomiu, ztamtąd poszliśmy do Lublina, tam odpoczęliśmy kilka dni przy wielkiéj wygodzie i weselu. Daléj maszerowaliśmy do Krasnegostawu, a tam odpocząwszy, zdążaliśmy już do miejsca naszego przeznaczenia, a tém było miasto Chełm, które było rezydencyą księdza biskupa greko-uniatów, mieszkającego w klasztorze księży Bazylianów. Położenie tego klasztoru jest na górze wyniosłéj; od strony tylnéj kościoła jest łąka dosyć obszerna, lasek piękny za łąką; od frontu klasztoru miasto, wokoło oblane bagniskami; na téj łące stanęła obozem nasza armia, frontem do obszernego i otwartego pola, na którém to polu, przy gościńcu idącym do granicy austryackiéj, stała góra, mająca wyniosłość nie mniejszą, od góry na któréj stał klasztor księży Bazylianów. Tu staliśmy parę tygodni.

Ja stałem w mieście z chorymi, nie wiele miałem. Wkrótce przybył do nas Zajączek i objął komendę nad naszą armią, która nad sześć tysięcy nie wynosiła; oprócz tego mieliśmy kosynierów i pikinierów do 8,000 tysięcy, osobliwie szlachty z Łukowskiego i Sandomierskiego województwa.

Na dwa tygodnie przed Zielonemi święty ruszyliśmy nad granicę austryacką i tam lagierowaliśmy parę tygodni; ztamtąd wróciliśmy do Chełma na nasze stare stanowisko.

Tam stanęliśmy obozem na łące między klasztorem Bazylianów i pomienionym laskiem, frontem do obszernego pola i góry, o któréj już nadmieniłem. Kosynierzy i pikinierzy byli postawieni w tyle za obozem. Na trzy dni przed świętami Zielonemi (1) zaczęto robić bateryą na owéj górze wyniosłéj, gdzie na dzień przed świętami zaprowadzono dwa działa. W dzień pierwszy świąt wchodzi do méj kwatery mój ordynans, który dawniéj służył w pruskiem wojsku za króla Fryderyka II, mnie dany był do usługi; mówi do mnie w te słowa: „Panie wstań, a obaczysz co nasze konie robią.“ Wnet wyszedłem z nim i zobaczyłem konie nasze śpiące rozciągnięte na ziemi; pytam go, co by to miało znaczyć. Odpowie mi, „że dziś będziemy mieli potyczkę, bo ja, będąc w czasie wojennym za Fryderyka, widziałem nieraz tę przepowiednię z koni sprawdzoną.“

Wkrótkim czasie usłyszeliśmy wystrzał z haubicy, kazałem siodłać konie i ruszyliśmy ku obozowi, gdzie zastaliśmy wojska nasze uszykowane do boju; wnet ujrzeliśmy dążący ku nam korpus rosyjski pod komendą generała Fersena. My z majorem Zeydlicem uda-

---

(1) Bitwa pod Chełmem była dnia 10 czerwca 1794 r. (*Przyp. wydaw.*)

liśmy się pod bateryą na górze będącą, na lewem skrzydle naszego obozu, tam weszliśmy na bateryą. Widziemy kawalerzystę rotmistrza Chomętowskiego w mundurze i czerwonéj czapce stojącego w tyle armat. Major Zeydlic zawołał na rotmistrza, aby się usunął, bo ma czapkę celną. W tymże momencie dano ognia z dział nieprzyjacielskich, a pan rotmistrz padł ofiarą próżnéj ciekawości; bo kilku takich ciekawców przybyło jedynie dla przypatrzenia się.

Zaraz rozpoczęła się bitwa. Rosyanie nas atakowali, a szczególniéj kulami działowemi niszczono lasek na prawéj ręce naszego obozu będący. Mniemali bowiem, iż tam były zasadzki na nich porobione. Ja, jak być powinno, rozstawiwszy mych felczerów na swych miejscach, sam po za frontem przejeżdżałem konno z mym ordynansem; w tém mój koń stanął jakby w ziemię zaryty, spinam go ostrogami aby szedł.... w żaden sposób iść nie chce, w tymże czasie granat pada i mnie i konia ziemią obsypuje i sam pęka na powietrzu. Tak podziękowałem Boskiéj Opatrzności i mojemu koniowi za ocalenie życia, bo gdybym był kilka kroków naprzód postąpił, to pewno uległbym przypadkowi.

Już było po południu, kiedy dał się słyszéć huk armaty w tyle obozu; sądziliśmy, że Rosyanie tył nam biorą, i zaraz dał się słyszéć huk z broni ręcznéj. Ożarowski, syn tego, com nadmienił wyżéj idąc ze swoją brygadą, a mając armatkę i odział mały piechoty, trafił na Rosyan, chcących nam tył zabrać i w bagno wpędzić: zastąpiwszy drogę do rejterowania się przez miasto. Już była godzina szósta wieczorna, bagaże nasze z żywnością poszły przodem do Krasnegostawu, my nie mieliśmy czasu posilić się nawet, bo w mieście ani kęsa chleba dostać nie było można, oprócz kilku bułek, które miałem. Wysłałem kilku chorych rannych i felczerów, i sam ruszyłem za obozem. W drodze ani chleba kawałka, ani piwa, ani wódki dostać nie można było. Jedziemy konno z młodym oficerem; dobyłem bulkę ostatnią, zacząłem jeść, pan oficer tak był zręczny, że mi bułkę wydrzéć chciał, co mnie tak rozgniewało, żem go o mało pałaszem nie ciął. Co to może głód!

Przybyliśmy nareszcie do naszego korpusu. Tam po kilkudniowym odpoczynku przymaszerowaliśmy do Lublina, ztamtąd przez Radom do Warki, ztąd byłem komenderowany do miasteczka Góry z moimi chorymi, gdzie w klasztorze księży Bernardynów ulokowałem chorych, sam zaś miałem kwaterę, u kowala, nad gościńcem do Warszawy. A że było słychać, iż mamy maszerować na Ukrainę, napisałem list do méj żony, aby się do mnie udała, co wkrótce uczyniła.

Dnia pewnego siedzieliśmy przed domem, w tém nadjechał pułkownik Hauman, i widząc mnie siedzącego z kobietą, zastanowił się jam do niego przyszedł; żartując powie do mnie: „winszuję ci, żeś i tu znalazł piękne kobietki.“ Opowiedziałem, że to była moja żona, która z Warszawy przybyła ze swoją przyjaciółką. Zastanowił się, mówiąc: „wszak ja o tém nie wiem, boś nie miał od generała Działyńskiego transzytu.“ Odpowiedziałem: „pora wojenna, nie miałem czasu dokonać téj formalności.“ W tém dał mi ordynans, abym z chorymi udał się nocą do Warszawy, i tam chorych oddał pułkownikowi Orłowskiemu, mającemu inspekcyą nad lazeratami, com wykonał; i tam czekałem na powrót wojsk naszych, które wkrótce nadeszły; i Kościuszko ze swoją armią przyszedł.

Stanęliśmy obozem za Warszawą pod Mokotowem; wkrótce nadeszła armia rosyjska i stanęła naprzeciwko nas. Prusacy stanęli od Wolskich rogatek, Wola zaś była naszém wojskiem obsadzona; była to pora żniw zbóż, nasi nie byli ostrożnymi, nie kazali zboża pokosić, z czego korzystając Prusacy, podczołgali się zbożem pod samą Wolę, a stoczywszy utarczkę, wypędzili naszych z Woli. Nasi zaś około wiatraków, gdzie był cmentarz ewangielicki, usypali bateryе, a na łąkach pod Wolą, gdzie niegdyś bywały zgromadzenia sejmikowe (1), jak mamy podania z historyi polskiéj — kazali w szachownicę pokopać doły głębokie, a w każdym dole był nabity kół u góry zaostrzony, co broniło przystępu tak piechocie, jak i konnicy pruskiéj. W tych dołach nasze kurpiki w dzień, a osobliwie w nocy trzymali straż i niezmiernie razili nieprzyjaciół; dowodem tego były konie i moderunki na koniach, z którymi przybyli do Warszawy, a szczególniéj dery duże i piękne, z których i mnie się dostało kilka.

Pod on czas ja stałem z chorymi moimi na Woli w karczmie naprzeciwko pruskiego obozu, gdzie miałem dwa szczególne zdarzenia.

Przyszedł do mnie X. kapelan, a widząc, że się w blizkości lazaretu dymek jakiś pokazuje z ziemi, stanął na tém miejscu i ruszył nogą ziemię, w tém pękł granat a kapelan stracił palce u nogi. Drugi wypadek był następujący. Prusacy dają ciągle ognia z dział, do nas trafiła kula armatnia w ścianę mieszkania lazaretowego i przeleciała przez dwie izby, a w sieni upadła, lecz bez żadnéj szkody.

Generał Zajączek obrał sobie kwaterę przy kierkowie ewangielickim, gdzie było porządne zabudowanie dla ich duchownego. Zachorował, przysłał po mnie, abym go odwiedził; przyszedłem do

(1) Elekcyjne.

niego, siadłem w nogach przy łóżku, wypytując się o stan jego słabości; w tém strzelono z armaty pruskiéj a kula przeleciawszy przez okno, drzwi i przez drugi pokój, padła na podwórzu; to było dla nas szczęście, że to okno było dosyć odległe od miejsca, gdzie ja i generał znajdowaliśmy się. Tu rzekł do mnie: „Szukaj innéj kwatery.“

Kazano usypać bateryą naprzeciw zabudowania ekonomicznego, będącego przy plebanii, bo ztamtąd bardzo nam Prusaki dokuczali; a tenże sam oficer od artyleryi, który w czwartek wielki był przy nas pod Św. Krzyżem, miał nad nią komendę, gdzie jednego poranku przybył ze świtą oficerów Kościuszko i rzekł do tego oficera: „jeżeli zapalisz odrazu te zabudowania, będziesz miał awans na kapitana.“ Stało się: puścił granat z armaty, a wnet całe zabudowanie ukazało się w ogniu.

Dowiedzieli się nasi, że Prusaki w porę nocną prawie wszyscy pili do upadłego, więc napadli na nich nocą i klęskę im zadali znaczną; zkąd powróciwszy, mówili nam, że pijanych śpiących kiedy kłuli bagnetami, to się im zdawało, że koledzy ich żartują z nimi, mówili po niemiecku ze snu: „lass zufrieden, ich will schlafen.“

Późniéj dano mi miejsce na lazaret za Wolskiémi rogatkami od Warszawy, gdzie chirurgowie moi mieli kwaterę, ja zaś w obozie pod namiotem kwaterowałem; jedzenie przysyłała mi żona. Razu jednego przysłała mi żona pieczeń huzarską szpikowaną słoniną i czosnkiem, w tém przyszło do mego namiotu kilku oficerów, wzięliśmy się do śniadania, popijając wódkę, kryszką od manierki, która pół kwaterki trzymała miary, a tak sobie dobrze podpiliśmy; w tém dano z haubicy na alarm, Prusaki ruszyli się, z Woli. Wsiedliśmy na konie, rozpędzili Prusaków, a wódka uleciała, my byliśmy trzeźwi.

W miesiącu sierpniu Prusacy opuścili nas w nocy, zostawili nam tylko miejsce swego obozowania na łąkach pod Wolą, po lewéj ręce idąc z Warszawy. Również i Rosyanie tegoż dnia nas opuścili. Ciekawy byłem widziéć ich miejsce obozowania, tam przybywszy, widziałem stoły pozastawiane przez cały plac obozowania, a ławki z jednéj i z drugiéj strony poustawiane, po bokach sałasze z gałęzi drzew porobione, na stołach mnóstwo butelek, szklanek i naczyń glinianych; kobiety tam się zbiegły i to wnet pozabierały.

III.

Nasz obóz miał ruszyć w marsz. Nająłem więc dla méj żony i jéj matki mieszkanie naprzeciwko Trzech krzyży, w oficynie pana

Merliniego, budowniczego królewskiego, a sam ruszyłem z kawaleryą brygadyera Biernackiego pod Mszczonów na granicę pruską, gdzie idąc, widziałem mnóstwo koni kawaleryi pruskiéj, pięknych tłustych, po nad gościńcem leżących zdechłych. Przyczyną tego był niedostatek wody, bo wszystkie brzegi Wisły były tak obsadzone wojskiem naszemi, że Prusaki nie mieli gdzie koni poić. Nareszcie przybyliśmy do Mszczonowa, i tam stałem z brygadą do téj pory, kiedy Suworów miał Pragę wyrznąć; to trwało parę tygodni. Kiedym się dowiedział, że Praga już wyrznięta, a Warszawę zbombardowano, wziąłem urlop i ruszyłem ku Warszawie. Stanąłem w Nadarzynie, wchodzę do domu zajezdnego, zastaję w tym domu niejaką Łukowską, ekonomowę z blizkiego folwarku za Nadarzynem, opłakującą męża swego, będącego na warcie przy Ruskich. Wyszedłem na rynek i ujrzałem, że z uliczki małéj nadjeżdża wóz o jednym koniu i przy nim idą cztery kobiety, każda z nich coś niesie na plecach w tłómoczku; gdy się zbliżyły, poznałem żonę moję, matkę jéj, pannę Bielińską i sługę naszą. Weszły do austeryi i tak mi rzecz opowiedziały, że przez dni kilka po wzięciu Pragi przez Suworowa, Warszawa była niepewna swego bytu; żona moja, bojąc się, aby nie była ofiarą podobną Prażanom, zabrała co miała ze sprzętów potrzebniejszych, udała się ku rogatkom, gdzie zastała furgony kawaleryi, przy których był oficer Grabowski nam znajomy; który zapytuje żony mojéj, gdzie by szła ze swemi jukami? odpowiada mu, że chciałaby się udać do Nadarzyna, szukając mnie; ten jéj mówi, że się w tęż stronę ze swym obozem udaje. Zabrał je na furgony i przywiózł do wioski milę od Nadarzyna będącéj, tam przenocowały. Gdy powstawały, przyszedł do mojéj żony z oznajmieniem, że dostał ordynans w inną udać się stronę. Tu, żona moja, nająwszy furmankę, przyjechała do Nadarzyna.

Smutno było widzieć osoby różnego wieku, osobliwie kobiety dobrze ubrane, uciekające z Warszawy, Tu zrobiliśmy konsylium, a z tego wypadło, że ja, nie mając cywilnéj odzieży, byłbym gdziekolwiek aresztowany, przeto jechać nie mogę; więc panią Łukowską wyprawiliśmy moją bryczką do Warszawy, któréj dała moja żona klucze od mieszkania i od kufrów, aby, co będzie mogła, ze sprzętów zabrała z sobą i dowiedziała się o swym mężu. Łukowska, przybywszy do Warszawy zostawiła konie na mojéj kwaterze, sama udała się na Pragę, gdzie spotkała swego męża, który jéj opowiedział, jak się uchronił od śmierci.

Jak wiadomo, że Praga była wzięta i trupy leżały kupami. Otóż dał mu Bóg dobrą myśl, bo pomazawszy się dobrze krwią, nocną porą wlazł między trupy i tak do dnia leżał, aż na jego szczęście ogłoszono amnestyą, i on udał się do Warszawy.

Przybyli oboje do Nadarzyna, oni udali się do folwarku a my ruszyliśmy do Mszczonowa, tam krótko zabawiwszy, pomaszerowaliśmy do Końskich, gdzie reszta naszych stała obozem. Zastaliśmy oddział wojsk naszych, brygadę Dąbrowskiego i Madalińskiego, ci, zabrawszy z sobą wojska, udali się do Francyi, i z tych-to wojsk uformował się legion Nadwiślański.

W Końskich pozostało wielu naszych, artylerya i amunicya, którą nasi zapalili, a armaty pozagwoździali. W czasie krótkim przyszedł pułk jegrów, kozaków pułk pod komendą pułkownika kozaczego Orłowa. My staliśmy w domu, gdzie była fabryka pojazdów, koczów, karet, gdzie stał brygadyer Potkański z krakowskiego. Najprzód udaliśmy się do pułkownika, meldując się, który nas przyjął grzecznie i każdego z nas namawiał do służby rosyjskiéj, mnie szczególnie, bo wówczas u nich brakowało lekarzy; wymówiłem mu się, że mam żonę w ciąży i matkę w podeszłym wieku, a będąc w wojsku, musiałbym być w ruchu. Przysięgę na wierność monarchini Katarzynie wykonaliśmy. Dano nam świadectwa, że się możemy oddalić na swoje siedziby.

W dni kilka późniéj, o godzinie dość późnéj wieczornéj przychodzi do nas podoficer od jegrów z poleceniem, abyśmy się z miasta wydalili. Rotmistrz Potkański mówi do nas, abyśmy się natychmiast udali do pułkownika kozackiego Orłowa, cośmy téż wykonali; przyszedłszy, oświadczyliśmy rzecz całą; dał nam odpowiedź, abyśmy byli spokojni, wrócili do domu. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że kapitana od jegrów aresztowano, ponieważ chciał nas w drodze zrabować. Gotujem się do podróży, a były przymrozki i drogi były grudziaste. Rano wstałem, idę do stajni, ale mój furman, który był z pułku Działyńskich, uszedł do domu rodziców, którzy mieszkali blisko miasta Końskich. Zabrał dwie dery, które miałem w pamiątce po Prusakach. Przeto nie miałem mu za złe. Miałem trzy konie w bryczce krytéj a nie umiałem niemi kierować, koń czwarty z siodłem, na którym sam odbywałem podróże w czasie kampanii; tego dałem memu lekarzowi batalionowemu, aby go prowadził, a sam wziąwszy na siebie płaszcz żołnierski i furażkę—ofiarowałem się za furmana. Tu idzie kwestya, gdzie się mamy udać, zapytałem matki żony mojéj i oświadczyłem, że jest moja intencya udać się w województwo kijowskie do mojéj familii, która lubo nie jest bogata, może nam jednak na początek dać pomoc do wygodnego życia; matka będąc pełna uprzedzenia o téj krainie, odpowiedziała mi: „Ach, tam same rezuny: lepiéj jedźmy do mojéj familii do Mord, do stolników Ciecierskich.“

Byłem posłuszny woli matki żony mojéj; ulokowawszy familią w bryczce, sam siadłem na kozioł i ruszyliśmy w drogę. Wjechałem w rynek, zobaczyłem naszych wiarusów kilkaset stojących nad drogą; wtém jeden z pomiędzy nich odezwał się w te słowa: „A dyć to pan sztabslekarz sam furmani?“—odrzekłem mu: „bo furmana nie mam.“ Pyta mnie: „a gdzież pan jedzie?—do Warszawy; to ja pana powiozę.“—„Zgoda.“ Siadłem na mego wierzchowca a on na koźle i jedziem daléj.

Wjechaliśmy do wsi, wtém żona moja prosi, aby stanąć, stanęliśmy, a ona mnie prosi, aby pójść do chaty, przy któréj staliśmy, i prosić o porcyjkę barszczu, którego odór ją zaleciał. Wówczas była w ciąży. Daliśmy barszczu ze świniną, jadła go smacznie, podziękowałem gospodarzowi, który właśnie obchodził chrzciny syna nowonarodzonego.

Ruszyliśmy daléj, wtém słyszymy, że pod kozłem bryki gęś się odzywa; pytam mego Jana: „zkądby się wzięła?“ — „Ot złapałem ją, a skręciwszy łeb, pod kozioł cisnąłem, wszak zda się zapas w drodze.“ Zanocowaliśmy we wsi w karczmie, poszedłem do gospodarza, chcąc mieć od niego jaki posiłek, ale nic nie dostaliśmy, prócz smutnego widoku, który mi pokazał: dwóch naszych żołnierzy zmarłych leżało w izdebce. Stali w tejże karczmie markietani, co wieźli sprzęty wojskowe i ci nam udzielili posiłku, za co im dobrze zapłaciłem. Nazajutrz ruszyliśmy do Warszawy, tam zajechaliśmy do naszéj kwatery, która już była zajęta przez oficera rosyjskiego, a że mi zbywało na żywności dla koni, a na dziedzińcu stała sterta siana, prosiłem go, aby nam udzielił. Tak był uczciwym ten oficer, że pozwolił aby konie były karmione póty, póki tam stać będę. My się ulokowali razem z ogrodnikiem. Poprzedawszy ruchomości, których z sobą zabrać nie mogliśmy, pożegnawszy poczciwego kapitana, który na drogę dał siana i obroku—ruszyliśmy ku Siedlcom, gdzie poszedłem do nadwornego doktora jw. Ogińskiéj, prosząc, czybym nie mógł mieć przy nim miejsca w dobrach dziedziców; odpowiedział, że nie ma nic, coby być mogło stosowném do mojéj rangi; więc z Siedlec udaliśmy się do Mórd, miasta dziedzicznego j. w. stolników Ciecierskich, do stryjowstwa méj żony, gdzie już późno przybywszy, zajechaliśmy do domu gościnnego. Wszedłszy tam, ujrzałem mnóstwo żołnierzy, nie mogliśmy tam nocować; pytam czyby nie można u jakiego obywatela mieć noclegu, na to odpowiedziano mi, że naprzeciwko mieszka kuchmistrz państwa dziedziców, tam można będzie przenocować. Jakoż tam poszedłem i nocleg obstalowałem, konie zaś i resztę sprzętów oddałem pod opiekę mego Jana w oberży. Sami pozostaliśmy u pana kuchmi-

strza, którego badałem o państwa Ciecierskich, na co mi odpowiedział, że nasi państwo są dla włościan i dla dworzan nie panami, ale rodzicami. Zapytałem, jakby się można widziéć z państwem stolnikostwem, dał nam radę, abyśmy byli w kościele na rannéj mszy, która się dla państwa odprawia.

Przenocowawszy udała się żona moja z matką na mszę do kościoła, ja zaś, nie mając cywilnéj odzieży, nie mogłem się pokazać nigdzie; dlatego poszedłem do komendanta oddziału wojska tam egzystującego dla zameldowania się, poczém wróciłem na kwaterę. Przed samém południem przysłali stolnikowstwo, prosząc mnie do pałacu na obiad; wymówiłem się, że nie mając cywilnych sukien, nie mogę się pokazać w mieście, a do tego, że od pana komendanta byłem przyjęty nienajgrzeczniéj. Powróciła matka z córką nie w szczególnym humorze, zapytałem o przyczynę, odpowiedziano mi, że się spodziewały więcéj miéć a mało się dostało, bo tylko 12 dukatów; ale przytém pani stolnikowa radziła, aby się udać do Biały Radziwiłowskiéj, tam doktór Apl umarł i niema żadnego doktora, to więcéj jak sto dukatów znaczy.

Na dzień jutrzejszy udałem się do Biały, zostawiwszy familią w Mordach. Tam przybywszy najprzód odwiedziłem rektora szkoły tamtejszéj, niejakiego Konopkę, który mi był rad mówiąc, że ani my, ani młodzież żadnego ratunku nie mamy, broń Boże choroby; ztamtąd udałem się do szpitala pp. miłosierdzia, gdzie zastałem panny u stołu. Wszedłszy do refektarza, poznałem się z panną przełożoną z nazwiska de Lune, przy niéj siedziała osoba w wieku podeszłym, a tą była pani Deperskirchowa (?) majorowa, była guwernantka Radziwiłłów. Panna przełożona klasztoru dowiedziawszy się o zamiarze w jakim przybyłem do Biały, oświadczyła mi, że tu szlachta uboga i doktór nie może mieć dla siebie dochodów wiele; pani Deperskirchowa mrugnęła na mnie, przecząc niejako mowie panny starszéj. Wstały od stołu, pożegnaliśmy się, ja wyszedłem i wraz ze mną pani majorowa, która rzekła do mnie:

— Nie wierz pan téj Francuzce, ona tu praktykuje, ma dostatkiem prezentów, pieniędzy, różnych rzeczy za swoję fatygę; sprowadź się pan do nas a chleb będzie.

Podziękowałem za szczerą radę téj zacnéj osobie, powróciłem do miasta, nająłem domek blisko ks. Reformatów, dość nędzny, bo lepsze domy były zajęte przez Rosyan, którzy tam stali, i ruszyłem do Mórd po żonę i matkę. Przyjechaliśmy do Biały w wilią Niepokalanego Poczęcia i poszliśmy na nieszpory; tam było znaczne zgromadzenie obywateli, ale mi wpadł w oko jeden, mający na sobie tużurek z prostego, szarego sukna, porządnie zrobiony. Fizys jego

była niepospolita i coś znacząca, zapytałem ktoby był, odpowiedziano, że to były senator polski—nazwiska jego zapomniałem; to dało mi powód, że pierwszą suknię cywilną taką kazałem sobie zrobić, szczególnie, że pod ten czas krytyczny nie wiele kosztowała. Jak zwykle na początku, praktyka mała. — Dnia pewnego w dzień świąteczny zajeżdża przed mój mały domek kocz w cztery konie i za nim bryczka; wchodzą do mnie dwie damy w żałobie i mężczyzna po polsku ubrany porządnie. Damy do méj żony z oświadczeniem grzeczności. Pan Dominik Chrzanowski, sędzia, do mnie oświadczając mi swoję przyjaźń i prosząc, aby w potrzebie nie odmawiać pomocy tak dla nich, jako téż i dla włościan. Odtąd zaczęła się dla mnie praktyka szczęśliwa, bo mi nie zbywało ani na życie wygodne, ani na utrzymanie trzech koni, ani téż na przyjaźni tamtejszych zacnych obywateli.

Nastąpiła demarkacya granic, rząd austryacki objął okolice po rzekę Bug (która ma na téj stronie miasto Terespol, na tamtéj Brześć Litewski) i nazwano to Galicyą Wschodnią. Dla urządzenia tego kraju był przysłany niejaki Zayffer, komisarz, a jak go zwano powszechnie Cyffer. Z tym zabrałem przyjaźń, był on pełnym ludzkości i nie cierpiał arystokracyi, czego dowodzi następujące zdarzenie.

Nadleśny generalny obszernych lasów Radziwiłłowskich skrzywdził jedną ubogą kobietę, pobiwszy oną, pokaleczył twarz i cała siniakami była pokryta. Ta udała się do pana Cyfra o sprawiedliwość, który kazał obwinionego wezwać i przyzwoicie wynagrodzić pokrzywdzoną; obwiniony prosił, aby miał wzgląd jako przyjaciel jego; na co mu odpowiedział: *amicus persone*, *inimicus causae*, co się tłómaczy, że jest przyjacielem jego osoby, ale jest nieprzyjacielem jego czynu.

Wnet urządzono władze obwodowe, u Niemców nazwaną cyrkułem, gdzie przybył na urzędowanie kreys-kapitana Kreycberg, rodem z Karnioli, żonaty i mający dziatki, a nawet swoję familią, w urzędowaniu w swém biurze niejakiego Szwokla, siostrzeńca, a kamerdynera także kuzyna. Ja nie mogąc cierpieć tych, którzy moję ojczyznę rozszarpali, nie spieszyłem się z oddaniem mu jako urzędnikowi powinnéj attencyi; kiedy pewnego poranku przynosi jego lokaj bilecik, po łacinie pisany, abym go odwiedził — poszedłem do niego, spodziewając się wymówki za mą opieszałość w niezłożeniu mu wizyty. Wchodzę do salonu, szanowny kreys-kapitan wyszedł naprzeciw mnie i wprowadził do pokoju bawialnego. Prosi mnie do chorego jego kuzyna, kamerdynera, który będąc chorym na nerwową gorączkę, był leczonym przez jednego szarlatana tam za-

mieszkałego, i ten byłby chorego niezawodnie uśmiercił! Wziąłem się szczerze za tego chorego, odwiedzając go po razy kilka na dzień, i widziałem stan zdrowia polepszającym się. Poranku jednego przyszedłem z wizytą, patrzę mu w oczy i widzę, że gałki oczu tak jak na sprężynie latają; zatrwożyło to mnie niepomału, bo wiedziałem, że taka oczu ruchawość przepowiada nam konwulsye i śmierć. Pytam więc przytomnego tam pana Szwokla, czyby chory nie miał z natury, będąc zdrowym, tego ruchu oczu; odpowiedział mi: tak jest, zdrowym będąc miał toż samo — i to mnie zaspokoiło w méj obawie.

Do téj pierwszéj kuracyi dała mi rekomendacyą pani majorowa Deperskirchowa, bo się przeniosła od panien na mieszkanie do zamku, gdzie było urzędowanie Kreycberga. Późniéj miałem w méj kuracyi dziatki tego urzędnika, bywałem u niego na obiadach, gdzie bywali proszeni profesorowie, poznałem się z komisarzami cyrkułowemi; gdzie było zdarzenie, żem miał w kuracyi komisarza Swobodę, któregom poznał na zabawie redutowéj w domu tamtejszego obywatela Cybulskiego, malarza. Tam będąc, siadł przy mnie Swoboda komisarz, żaląc się że jest chorym, prosząc, abym go jutro zrana odwiedził; przyszedłem do niego, a po wyegzamenowaniu uznałem chorobę za niebezpieczną. Zawiadomiłem pana kreyskapitana o stanie zdrowia pana Swobody; prosił mnie, że jeżeliby było potrzeba zrobić konsylium, abym wezwał kogo mi się podoba i abym go ratował. Tak się téż stało; odwiedzając mego chorego ujrzałem niebezpieczeństwo, na podorędziu napisałem list do pana Milera doktora, do Terespola, i prosiłem, aby mi przywiózł na moją receptę lekarstwo z apteki, bo w Białéj apteki nie było. Miler natychmiast mi odpisał i lekarstwo przysłał, sam zaś obiecał być nazajutrz. Jakoż przyjechał. Wraz odwiedziliśmy chorego: uznaliśmy, że chory jest w niebezpieczeństwie i on mówi do mnie, że proszki mi przysłane nietylko że nie pomogą, ale mu szkodzić mogą. Ja, wówczas młody praktyk, wstrzymałem się z dawaniem proszków, które były z piżma. Tegoż dnia byliśmy proszeni na obiad do kreys-kapitana Kreycberga. Mój kolega Miler podjadłszy, napiwszy się dobrego wina, głosi pewną śmierć dla mego chorego. Znudził mnie swoją gadaniną, nareszcie pojechał. Ja pamiętając ową maksymę, którą w autorach sławnych wyczytałem: „*melior est inmorbis periculosis remedium unceps* (? incertum ?) *quam nullum*,“ co się znaczy, że w chorobach niebezpiecznych lepsze jest lekarstwo mniéj pewne aniżeli żadne,—idę do chorego z wieczora, daję mu sam lekarstwo z tych proszków, a do godziny 4-éj po północy mój chory usnął; ja przykazałem lokajowi, aby przy chorym siedział jak najspokoj-

niéj, a gdy się obudzi—dał mi znać; sam poszedłem na odpoczynek. Około 8-éj rano daje mi znać, że się pan Swoboda obudził. Wnet poszedłem do chorego, zastałem go przytomnym i zaczynającym się pocić. Tu powziąłem nadzieję, że przeminęło niebezpieczeństwo; pocieszyłem chorego i siebie, dziękując Opatrzności za pomoc. Mój chory codzień zdrowszy, wkrótce przyszedł do zupełnago zdrowia. Chcąc sobie zrobić zabawkę z pana Milera, proponuję Swobodzie, abyśmy przejechali się do pana Milera z podziękowaniem mu za konsylium. Kazał założyć konie do kocza i do Terespola pojechaliśmy. Tam przybywszy i wszedłszy do przedpokoju, prosiłem Swobody, aby się zatrzymał, ja wszedłem do pokoju. Miler przywitawszy mnie, rzecze temi słowy: „A widzisz, pan Swoboda nie żyje! ja kazałem po nim dzwonić.“ Odrzekłem: „prawda.“ Wtém otworzyłem drzwi, a zmarły wszedł do pokoju; zmarszczył czoło mój kolega. Byliśmy u niego na obiedzie, a napiwszy się dobrego wina, wróciliśmy do domu.

Właśnie przyszli do Białéj kroaci na kwatery, wkrótce zdarzył się przypadek. Żydek młody, będący przy deptaku czyli przy młynie końskim, smarował śruby ręką tłuszczem, miał porwaną rękę od śruby i od palców do ramienia zgruchotaną. Dano mi znać natychmiast o przypadku, z dokładem, że lekarz od kroatów chce mu rękę odjąć piłką stolarską, ale rabin nie pozwolił, kazał prosić pana doktora; a gdy żona moja oświadczyła, że mnie nie było w domu, że wkrótce mam powrócić, zatém czekano na mnie. Przybyłem do domu, odwiedziłem chorego, widziałem, że jest konieczna potrzeba rękę amputować, a instrumentów nie miałem. Posłałem natychmiast po instrumenta do pana Milera do Terespola, a te mi były przysłane, ale i żyd z żądaniem od pana Milera, aby mógł być przy operacyi. Uporządkowałem aparat do téj czynności, ułożyłem instrumenta, bandaże na tablicy i wezwałem chirurga wojskowego do pomocy, a posadziwszy chorego w krześle, podał mi pierwsze narzędzie do téj roboty pan Czapla, cyrulik zaś przysłany od Milera trzymał tablicę z aparatem; tu, com tylko zrobił pierwsze cięcie, mój chirurg wojskowy zemdlał; kazałem żydkowi podawać instrumenta i tak szczęśliwie skończyłem moją robotę, a gdy obandażowałem rękę, mój pacyent wstał z krzesła i mówił mocnym głosem: „Panie, już zdrów jestem!“ Jakoż szczęśliwie był wykurowanym. Widziałem go często jeżdżącego furmanką jednokonną, lejce mającego na szyi pod kłykciem lewéj ręki, w prawéj ręce bicz, i tak kierował konia, ruszając plecami w lewą lub w prawą stronę.

Miasto Biała jest w przyjemném położeniu, nad rzeką Roś, za którą jest piękny lasek nazwany Zofiówką, gdzie często bywaliśmy

na podwieczorkach u pana Bułta, majora i nadleśnego, gdzie była zrobiona kabanka (sic) z brzeziny okrąglaków. Tu pan nadleśny zrobił mi siurpryzę, dał na pieczyste ptaszków leśnych, a gdym zaczął jeść, on mówi do mnie: „nie jedz, bo będziesz samojedz, wszak to drozdy Drozd zajada.“

Raz idąc do pana nadleśnego, przez ciekawość zajrzałem przez okno do mieszkania pana kasyera cyrkułowego, tu widzę go stojącego nago i jego faworytę, młodą kobietę, trzepiącą onego po krzyżu pokrzywą.

Zdarzenie dające nam przestrogę ostrożności uniknienia od przypadku, jaki wyniknął w drodze jadącemu komisarzowi cyrkułowemu Święckiemu. W lecie jechał pomieniony bryczką, paląc fajkę, wtém zasnął, fajka wpadła w brykę między siano, ogień wybuchł nagle, konie wleciały z bryką między gumna i spaliło się kilka zabudowań gospodarskich.

Żona moja powiła mi córkę szczęśliwie; w dni kilka po porodzie, jak zwykle, odwiedziła żonę moją sąsiadka, nagadała się różnych zdarzeń, jakie się położnicom przytrafiać zwykły; dnia drugiego odwiedził téż mnie Konopka, rektor, ze swemi profesorami; jedliśmy śniadanie, wtém woła mię żona do siebie i mówi: „proś gości, aby odeszli, bo ja zmysły stracę.“ Goście odeszli, a żona moja dziwne rzeczy zaczęła wygadywać: „że jéj dzieci z ust wychodziły, żydów gromada nie daje jéj pokoju.“ Przestraszyłem się tak gwałtowną zmianą zagrażającą niebezpieczeństwem życia, straciłem przytomność, zacząłem płakać i desperować; tu wchodzi przyjaciel rozsądny Konopka, rektor, widząc mnie zdesperowanego rzecze: „Tu nie desperować trzeba, ale myśleć o ratunku.“ Tą mową przyjacielską obudził mię niejako z letargu, przyszedłem do przytomności, kazałem zawołać cyrulika żyda, kazałem puścić krew z nogi, dałem środki zaradcze, a dał Pan Bóg, że żona moja odzyskała zdrowie.

Austryacy zaczęli doprowadzać do porządku służbę cyrkułową, przyjechał doktor cyrkułowy i z nim chirurg. Już nas było trzech, a lubo obywatele mnie najwięcéj używali, jednak miałem niektóre nieprzyjemności od cyrkułowego doktora; mniéj dbałem o to, wynająłem dla siebie wygodne mieszkanie w bliskości ks. Reformatów tam się rozkwaterowałem, żyłem z przyjaciółmi i miałem przyjemność bawienia się osobliwie w nudną porę jesienną. Tu mieszkała pani Marywal, wdowa, z panną Jasińską — bywały u mnie, a przytém bywała młodzież z kancelaryi cyrkułowéj.

Dostałem w kuracyą pannę Głembocką, karlicę, mającą siostrę zamężną a mieszkającą w folwarku o dwie mile. Ta panna

była przy dworze j. w. Ogińskiéj w Siedlcach, tam używała krotochfil i wesoło się bawiła; atoli po śmierci hetmanowéj Ogińskiéj dwór i froncymer rozpuszczono, a moja pacyentka dostała się na wieś. Odmiana tak nagła życia wesołego na życie wiejskie stała się przyczyną choroby panny Głembockiéj, któréj, aby dać rychłą pomoc, kazałem ją do Biały przywieść—co wykonano. Pytając choréj coby jéj czyniło niepokój że sypiać nie może, powiedziała mi, że bziczki (sic) są tego przyczyną; zapytałem coby był za rodzaj tych bziczków, odpowie, że są różnéj postaci: piękni kawalerowie, żydzi i t. p. i jeśli oni mi pozwolą spać—to śpię, jeżeli nie—to nie śpię. Dałem jéj niektóre środki zaradcze, kazałem aby przysłano pojazd z końmi, bo chora chodzić nie może a agitacya jest dla niéj potrzebna. Przysłano pojazd, kazałem konie założyć, siedliśmy do pojazdu i udaliśmy się ja i pani Marywal do państwa Chrzanowskich, sędziów, chorą wioząc z sobą. Tam byli nam radzi, zjedliśmy śniadanie, ja wyszedłem z domu i kazałem furmanowi jechać do domu. Pożegnawszy państwa Chrzanowskich wychodzim, a tu ani koni, ani furmana niema, to zadziwiło moją chorą, ja udałem jakbym o tém nie wiedział. Mówię: moje panie, niedaleko do Biały zajdziemy piechotą, czas przyjemny, zboże już pod kłosem. — Ruszamy; wyszliśmy w pole, kobiety zaczęły chorą bawić gadaniną, śpiewaniem, i tak szczęśliwie chora doszła do domu.

Odtąd chodziła na spacery, lecz unikała kompanii. I tak: kiedy szła do mnie a usłyszała, że u mnie się goście znajdują, natychmiast uciekała do domu. Przykazałem służącym, aby dopilnowali kiedy przyjdzie i aby ją do pokoju wprowadzono, co wykonano parę razy, a tak już i sama przychodziła. Ruch ciała i dane środki zaradcze wkrótce chorą uzdrowiły co do antypatyi.

W tym czasie miałem podobne zdarzenie: w porę letnią wchodzę do pokoju, zastaję żonę moją i panią Marywal jedzące poziomki; częstują mnie, ja powiadam, że nie mogę jeść, bo mi szkodzą; Marywal śmieje się i mówi: a téż to grymasy. Na przekonanie zjadłem parę łyżeczek od kawy, w tym momencie mdłość tak mnie dotknęła, żem zbladł i omało nie zemdlałem, poszedłem do méj apteczki, wziąłem na wonity i natychmiast byłem zdrów.

Przypomnij sobie czytelniku ową pierwszą wizytę u pp. Miłosierdzia w klasztorze, gdzie panna de Lune odradzała mi, abym w Biały nie mieszkał;— zachorowała, a za kuracyą ofiarowała mi piękny podarunek i parę dukatów.

Przyjechał do Biały j. w. generał Kazanowski, który miał za żonę Radziwiłłową, wdowę po księciu Hieronimie Radziwille, dziedzicu dóbr Biały. Tu zaraz odkryli zabawy w zamku, bale, kome-

dye, sztuki owego sławnego Pinettiego, z których warto wymienić ważniejsze. Postawił żołnierza na stołku, dał mu wypić piwa butelkę i kazał mu za nie zapłacić, żołnierz odpowiedział, że nie ma pieniędzy, Pineti wsunął mu rurkę pod pas, kazał kaszlnąć, podstawił butelkę pod rurkę, a pełna piwa butelka naciekła. — Druga sztuka: wziął kurczę żywe i nad talerzykiem przerznął gardło kurczęciu, krew ściekła na talerzyk, kurczę w konwulsyach skonało, wziął one na rożenek, coś tam szeptał, mruczał parę minut, położył kurczę na stole, kurczę zatrzęsło się, wstało na nóżki i chodziło po stole. 3-cia: przyszedł do pani kreys-kapitanowéj, prosił aby mu dała pierścień brylantowy z palca, który włożył do pudełka i téż pudełko oddał do rąk kreys-kapitanowéj; obszedł wkoło salon, przychodzi do pani kreys-kapitanowéj mówiąc: „ja nieszczęśliwy, pokaż pani ów pierścień;“ odkrywają pudełko—pierścienia niema, rzecze: „co będę czynić ubogi—zginąłem;“ obchodzi wkoło widzów — dziw, i prowadzi jakąś szlachcianeczkę do kreys-kapitanowéj, mówi do niéj: „ty masz pierścionek,“ ta mu odpowie że niema; „szukaj między piersiami za gorsem“—ta szuka i pierścień znajduje. 4-ta: staje przed obywatelką porządnie ubraną, bierze połę salopy, zbiera w garść połę i nożem odrzyna część, którą miał w garści. Ta zawołała: „cóżeś zrobił?“—odpowie: „szkodęm pani zrobił.“ Wtém przyłożył część wyciętą salopy do miejsca wyciętego, chuchnął, coś pomruczał i salopa tak była cała, jakby nie była uszkodzona.

Zdarzenie wybuchłe z prochu. Żydkowie po skończonéj kampanii ostatniéj Kościuszki, nakupili prochu beczółkami, trzymali go po domach, bo nie było wolno sprzedawać, dopóki Rosyanie konsystowali w kraju. Pewnego dnia w szabas zebrali się na modlitwy do domu u brzegu ulicy zbudowanego, gdzie była prochu beczka do dwóch garncy i ta była otwarta bez dna. Żydzięta małe zrobiły sobie zabawkę, sypiąc na ławę nieco prochu na nim kładli trzy grosze miedziane a na te nasypawszy prochu nakryli trojakiem, a tak uformowała się kolumna, potém proch zapaliwszy, trojaki rozlatywały się po izbie, co ich bawiło. Udała im się ta zabawka razy kilka, ale gdy po zapaleniu prochu z trojakami, dostał się jeden z ogniem do beczułki, eksplozya tak była silna, że frontową ścianę na ulicę wywaliła i kilkunastu żydów modlących się poopalała, osobliwie twarze i ręce.

Byłem podówczas o milę od miasta u chorego, posłano natychmiast po mnie furmankę, a ja spiesznie do Biały przyjechałem, a że apteki w miejscu nie było, posłałem do Terespola po potrzebne lekarstwa, które wnet były przywiezione; dopilnowałem, abym ulżyć

cierpiącym, i z tych dziesięciu wykurowałem, jedenasty umarł. Ci, co się wyleczyli, pozbyli się brody, a żony ich dziękowały mi, żem mężów ich młodymi zrobił.

Przybył do Biały Kazanowski, generał b. wojsk polskich. Ten pan był ciągle chorym; ja i Miler mieliśmy onego w kuracyi, a gdy mu się polepszyło, radziliśmy generałowi, aby się udał do innego majątku na wieś; tam umarł.

Urodził mi się syn z imienia Symeon, a że żona moja sama karmiła córkę, przeto podobało się jéj karmić i syna. Wieczoru jednego niańka trzymała dziecię na ręku przy oknie, już się świeca, paliła, wtém zajechał sańmi furman od pana nadleśnego po mnie, ten furman miał kożuch wywrócony na wierzch stroną wełnistą, dziecię przestraszone widokiem tego kożucha w tym momencie dostało konwulsyj. Żona już go karmić nie mogła, ale na szczęście nasze naprzeciw nas mieszkała kobieta, która tegocześnie karmiła synka, którą ugodziłem do karmienia dziecka płacąc dziennie złp. 1. To dziecię w czasie paroksyzmu miało wydęcie dosyć znaczne na ciemieniu, gdzie jeszcze kości czołowe zrośnięte i skostniałe nie były, czego w wieku późniejszym ślad pozostał, bo wypukłość kości w tém miejscu na kilka linii pozostała, z czego wnosiłem, że ta kreatura będzie miała pamięć tępą — i tak się téż stało.

Mieszkałem lat kilka w Biały w sąsiedztwie ks. Reformatów, gdzie często bywało się na odpustowych fetach, na których nie zbywało ani na dobrém jedzeniu, ani na napojach; w takowe dni zwykle bywało dwa stoły: jeden w refektarzu dla mężczyzn, a drugi w furcie dla kobiet. Mieli Reformaci piękny owocowy ogród, a za murem ogrodu łąkę, na któréj ukwestowane barany pasły się. Przysłano mi na święta wielkanocne od moich przyjaciół 10 baranków, bo tam był zwyczaj mieć baranka przy święconém wielkanocném; zostawiłem dla nas jednego na święcenie, resztę oddałem Reformatom na wypas, a tak my i Reformaci mieliśmy baraniny na długi czas. Familia żony mojéj często brała Reformata z Biały do Mord na kapelana, bo mieli w swym pałacu kaplicę. Reformat, jadąc do Mord na kapelanią, wstąpił do nas na pożegnanie i darował staruszce, matce żony mojéj imbryczek od kawy i paczkę tabaki, bo ją pobierali beczułkami dla swego zgromadzenia. Nazajutrz dają rano kawę dla nas, nalewa żona nam takową, widzim kolor kawy zamocny, kosztujemy— aż zamiast kawy starucha kazała ugotować tabaki; sądziła, że Reformat przy imbryczku od kawy dał kawy, i to ją oszukało, a napój ugotowany był wylany za drzwi.

W tym domu raz pierwszy nauczyła nas stara kobiecina, mieszkająca na naszego mieszkania górze, robić litewski chołodziec, po

naszemu chłodnik, u pospólstwa zwany boćwiną, Przechodząc przez sień na podwórze, widzę moją komornicę jedzącą, pytam, coby jadła—odpowie, że chołodeć; skosztowałem, a ze smaku podobał mi się; mówię jéj, aby nauczyła moją kucharkę jak się to robi— „dobrze, panie, nauczę, ale jak go robią po pańsku;“ a że tam nie trudno o raki, które taż sama kobiecina łowiła, przyniosła takowych i zrobiła nam tę potrawę z szyjkami raczemi i ze śmietaną i z innemi ingredencyami do tego należącemi; od téj pory chłodnik stał się w lecie najlepszą dla nas potrawą.

Już rok 7-my kończyłem w Biały, kiedym już zamyślał objąć dzierżawę folwarku Burdziłówki, czyli probostwa Burdziłowskiego. Często byłem używany od j. w. stolników Ciecierskich. Wypadło mi być u nich dla moich interesów, przyjechałem do Mord, tam zastałem gości, tj. szwagra saméj stolnikowéj Ciecierskiéj, Szydłowskiego starostę, zamieszkałego w województwie kijowskiem, zkąd właśnie powrócił był także, Dominik, syn państwa stolników—ze szkół przybył—młody kawaler, ubrany po tegoczesnemu, miał na sobie kontusz z wylotami, których rękawy w tyle były pasem litym przypasane, patryota. Zdarzyło się, że pan Szydłowski starosta opowiadał swą podróż, narzekając na drogi błotniste i niewygodne, z dodatkiem, że się omało nie utopił. Na co się odezwał stolnikowicz w tych wyrazach: „kto ma wisieć, ten nie utonie.“ Powodem tego było zawieszenie tegoż starosty portretu w Warszawie na szubienicy, w czasie powstania w wielki czwartek, o czem wyżéj nadmieniłem. Matka kawalera okazała nieukontentowanie, a po skończonym obiedzie, zawoławszy syna do swych pokoi, dała onemu macierzyńskie napomnienie.

Młodzian ten był zadowolnionym z mego przybycia, bo zemną wolno mu było jechać na spacer, bezemnie zaś siedział jak zakonnik w swéj celi.

IV.

W tym czasie począłem myśléć o wydzierżawieniu folwarku Burdziłowski. Jako téż zrobiłem kontrakt na tę dzierżawę z księdzem Haliburtonem, naówczas administratorem dyecezyi Łuckiéj, po zgonie Naruszewicza, byłego biskupa tej-że dyecezyi, za którego życia bywałem w domu jego z Milerem. Oprowadzał nas ten prałat, pokazując piękne kawałki mineralogiczne, osobliwie skamieniałe gniazdo szerszeni; od dołu był krąg, wielkości okrągłego półmiska, po nim coraz mniejszych kręgów osiem w formie ostrosłupa, i inne mineralogiczne inkrustacye, o które, mnie nie znane, pytałem się prałata,

a ten mnie objaśniał; z nami chodził jego kuzyn, młody kawaler, do którego rzekł biskup:—„nie ciekawyś, mój kuzynie, nic umieć nie będziesz.“ Byliśmy u niego na obiedzie, gdzie się znajdowała Rybińska, kasztelanowa, a gdy się córki oddaliły, mówił do pani Rybińskiéj, że służące mojéj córki narzekają, że te panienki pachną, bo się perfumowały piżmem, a sługi wieśniaczki przerobiły piżmo na co innego. Było o nim zdanie króla Stanisława, że biskup Naruszewicz tak pisze, jakby pisać powinien Karpiński,—a Karpiński pisać by powinien jak Naruszewicz. Przytoczę tu zdarzenie na balu u króla, gdzie kobiety pierwszego rzędu miały welony siatkowe, król mówił do biskupa Naruszewicza: „napisz jakie wiersze na te siatkowe welony i ubiory.“ Naruszewicz w moment napisał wierszami chryjkę następującą:

Najjaśniejszy panie, pono
Sadzawki Im wyłowiono,
Po tak znacznym ryb połowie
Zawiesiły sieć na głowie.“

Tu wracam do mojéj dzierżawy do Bordziłówki, po wzięciu kontraktu od ks. Haliburtona, administratora dyecezyi Łuckiéj, któréj objęcie następowało po św. Marcinie, gdyż tam był zwyczaj o téj porze majątki dzierżawić. O téj porze i ja tam się wprowadziłem. Nie mogłem widziéć, jak jest uprawa pól, ani téż wschodu zboża, powziąłem tylko wiadomość od rolnika, że sąsiad mój, pan komornik Borkoski, trzymając lat kilka też probostwo, zupełnie z nawozu ogołocił, bo na swe grunta wszystek pognój wywiózł, o czem na wiosnę przekonałem się naocznie.

Na wiosnę wypada siać jarzyny, ziemi pod zasiewy ugnojonéj nie ma; inwentarz miejscowy: siedem sztuk rogatego bydła, moich trzy krowy i trzy konie, jeden karmiec. Obszedłem po chlewach i znalazłem, że od lat kilku nie ruszono w nich gnoju, którego do połowy ścian zawalono, na przedgumieniu dosyć mierzwy; kazałem orać na jarzyny i one zasiać, a z wierzchu mierzwą potrząść; resztę, gdzie nie stało mierzwą potrząść, kazałem gnojem nawieźć z chlewa, gdzie stało bydło; ogrody zasieliśmy, bo był grunt dobry, mało potrzebował nawozu. Późniéj ozimina pokazała się mierna; zboże piękne, łąki bardzo wyborne. Pańszczyzna była mała, bo nie miałem tylko ośmiu gospodarzy i dwie zagrodnice. Miałem w bliskości kościół księży Paulinów w Leśnie, a o milę sąsiada Wężyka stolnika, w którego domu już bywałem z Biały, i tam byłem często wzywanym do dworu, który był obfitym w familię, bo stolnik Wężyk z jednéj żony, z domu Bogusławskiéj, miał 24-ro dzieci i majątek dostateczny. Kiedy mi dochodziło zboże do żniwa, pan stolnik

odwiedził mnie i powiedział: „nie wiem kim będziesz zbierał, bo urodzaj zboża dość będzie piękny“; odpowiedziałem mu, że mam kilku oraczy, a jeśli ci nie zmogą zebrać, muszę nająć.

— „Obejdzie się—mówił—bez najmu, ja przyślę panu stu żniwiarzy na dni parę“—czego dotrzymał. Zebrałem z pola wszystko.

Już się zbliżała jesień, przybył do mnie z wizytą i zaprosił nas do siebie na obiad, bo co miesiąc prawie obchodził imieniny którego ze swéj familii. Sąsiedztwa było znacznych obywateli wokoło Witulina dosyć; przyjmował gości hojnie, tak, że mało kto od niego wyszedł trzeźwym. Przy stole nie pili więcéj tylko po jednym kieliszku wina, po obiedzie damy poszły do ogrodu, a mężczyźni jak zwykle do bawialnego pokoju, tam pili wino stare. W przedpokoju stał hajduk i nikogo daléj nie puścił, bo w przedpokoju było miejsce na natury potrzeby. W czasie obiadu, na który byliśmy z żoną moją zaproszeni, pili zdrowie kolejno; po skończeniu wiwatów przemówił pan stolnik do sąsiadów w te słowa: „Panowie sąsiedzi! oto mamy sąsiada nowego, pana doktora, dzierżawcę Bordziłówki, dobrze gospodaruje, ale nie ma inwentarza, więc ja ofiaruję owiec 40.“ Tu każdy odezwał się: zięć stolnika, sędzia Gołowski, podstolina Niewiadomska i goście inni odezwali się ze swemi ofiarami, tak że przy jednym obiedzie zostałem gospodarzem mającym z ofiary: owiec 90, krów trzy, pięknego buhaja i z drobiu różnego rodzaju sztuk 50, co mi natychmiast odesłano do Burdziłówki. Już nie turbowałem się o pognój, ale trzeba mi było konia wierzchowego do objeżdżania gospodarstwa; pojechałem na jarmark do blizkiego miasta, wpadł mi w oczy koń kary, a żem się nie znał na koniach, prosiłem mego sąsiada, aby mi dopomógł. Idziem zobaczyć owego karego, co mi się podobał, bo był spasły i piękny, zajrzeliśmy w gębę—a ten koń bez języka, co mię zdziwiło, bo raz pierwszy w życiu widziałem takiego potwora. Kupiliśmy więc kasztanka, na którym gospodarstwo objeżdżałem. Pole było podzielone na morgi i było już postanowiono wiele każdy rolnik morgów ma wyorać; łąki miałem bardzo blisko i w jedném miejscu. Żona moja téż zajęła się gospodarstwem, chowaniem indyków, gęsi, kaczek, co jéj się bardzo pięknie wiodło, osobliwie indyki, które potrzebują szczególnego dozoru; dla nich kazałem zrobić kotuch, czyli klatkę długą, obszerną, bez dna, a żeśmy mieli piękną, czystą, więc mógł mieścić w sobie kopę i więcéj; ta klatka co parę dni była przenoszona z miejsca na miejsce dla ochędóstwa. Karm dla nich w lecie był następujący: cały dziedziniec był zarośnięty zielem, które tam zowią srebrnikiem, to ziele żona moja kazała siekać drobno, oblewać kwaśném mlekiem i tém karmić indyki, co ich przedziwnie tuczyło.

Mój furman Mazurkiewicz, który nas z Końskich przywiózł, dobrze mi konie utrzymywał, bo oprócz obroku, co mógł zarwać, to im dawał; konie moje były jak spławy, a kiedym mu raz mówił, że ekonom skarżył się na Jana, bo czasem bierzesz zboże z gumna dla koni, odrzekł mi:—„to moje dzieci, wszak pan masz przyjemność jechać temi memi dziatkami.“

Ten rok pierwszy dzierżawy był dobry, gdyby nie taniość na wszystko; za indyki dano méj żonie po złp. 3, korzec żyta zł. 6. Miałem dwie karczmy, z tych prawie nic nie było, z praktyki było trochę dochodu, bo dom Wężyków i okolica była w moim dozorze, książę Woroniecki także do mnie się udawał, tak dla familii jako dla dworzan. Razu pewnego byłem u księcia w Uszlewie, który dopiero co się ożenił. Zarekomendował mnie żonie swojéj, przypatrzyłem się księżnéj; twarz piękna, na grzeczności i przyjemnéj układności nie zbywa, ale w krzyżu i w łopatkach kalectwo, co zagraża osobom rodzącym niebezpieczeństwem. Biorę księcia na stronę i mówię jako przyjaciel cierpiącéj ludzkości, winszuję księciu, żeś pojął osobę zacną przyjaciółkę dożywotnią, oraz przestrzegam księcia, abyś był bacznym, gdyby księżna pani zaszła w ciążę, abyś się starał o osobę mogącą w tym razie dać pomoc cierpiącéj—co mi przyrzekł.

Zdarzyły się imieniny w domu familii stolników Cieciersklch gdzie jak zwyczajnie podobne festyny odbywają się szumnie z muzyką. Kolega mój, Wojciechowski, doktór, przechodził przez tęż wieś, i dowiedziawszy się o festynie, idzie prosto na pokoje, prosi o skrzypce, gra jak wirtuoz, potém na klarnecie i flotrowersie, odbiera poklaski. Stolnik Wężyk z Witulina był na téj fecie, gdzie mój kolega Adalbert Wojciechowski dowiaduje się od liberyi pana Wężyka stolnika, że się ja znajduję w sąsiedztwie dóbr Wężyka; idzie do samego stolnika i oświadcza mu, że on jest moim kolegą, że jest doktorem. Powrócił pan stolnik do domu, a kiedy byłem w Witulinie, opowiada mi całą scenę o moim koledze, dodaje, że się obiecał być u mnie; czekałem owéj wizyty z niecierpliwością, po niejakim czasie, porą ranną wychodzę na łąki ku Leśnie, gdzie żadnego nie było gościńca, widzę zdaleka idącą jakąś osobę, prosto do mnie. Kiedy więc przyszedł do mnie, widzę mego kolegę Wojciechowskiego w surducie wytartym, kapeluszu wyszarzanym i butach już bardzo wysłużonych. Patrząc na niedolę mego szkolnego przyjaciela, łzy mi się z oczu puściły, kolega spojrzał na mnie, plunął i rzekł. „Ty masz żonę i dzieci, masz obowiązki dać onym pomoc, ja sam jeden jestem, mniéj dbam o to.“ Zaprowadziłem go do mojéj żony, kazałem dać śniadanie i gorzałeczki, któréj mój koleżka

był przyjacielem; nareszcie poszliśmy w pole, a pan Adalbert Wojciechowski, opowiedział mi swe zdarzenia w sposób jak następuje. „Wiadomo koledze, kiedym wraz z tobą był w klinice na Wesołéj u pp. Miłosierdzia i kiedym się doktoryzował. Nareszcie udałem się do Sandomierza, zkąd byłem wysłany na ucznia sztuki lekarskiéj, tam przybywszy praktykowałem szczęśliwie. Zdarzyło się mieć w kuracyi pewnego obywatela, który miał przy sobie swoję kuzynkę, młodą i piękną panienkę, więc pokochaliśmy się z intencyą pobrania się; jakoż oświadczyłem opiekunowi narzeczonéj. Ten odmówił nam, a jak późniéj dowiedziałem się, iż powiedział: że nie było w naszéj familii cyrulika. Zdesperowany ułożyłem projekt udania się do Wiednia, a sprzedawszy dwie kamienice dokonałem swego zamiaru. Przybywszy na miejsce, odwiedziłem profesorów akademii wiedeńskiéj, odkryłem im mój zamiar, że życzyłbym sobie być w wojsku lub przy szpitalu dla nabycia praktyki; odpowiedzieli mi, że ta rzecz należy do samego cesarza. Podałem prośbę, i sam byłem przedstawiony cesarzowi, od którego odebrałem odpowiedź, abym za dni trzy przyszedł po odpowiedź; idę dnia trzeciego i odbieram smutną dla mnie rezolucyą, że żaden cudzoziemiec nie może się znajdować w Wiedniu z powodu zaburzenia, jakie się wydarzyło w stolicy, kiedy pospólstwo francuskiemu posłowi, Bernadotte, chorągiew i znaki poselskie z jego pałacu zdarło. Zdesperowany udałem się do méj ojczyzny napowrót, a w Warszawie wyrobiłem paszport, zrobiwszy siebie koniuszym pewnego magnata z Sandomierskiego. Z Warszawy udałem się w podróż i natrafiłem na owe imieniny.“

Bawił u nas czas niejaki, sypiał w stodole na sianie.

Już się zbliżało ku jesieni, kiedy mi mój ekonom przyniósł list od koleżki, w którym żegna mnie i zabiera się w podróż do Parczewa, gdzie był także nasz kolega z Akademii Krakowskiéj, a że mu się nie podobała sztuka lekarska, doskonalił się w prawach jurysdyki, co ukończywszy powrócił do Parczewa, zkąd był na ucznia lekarskiego wysłanym. Na odchodném starałem się kolegę opatrzyć w odzież, a żona w bieliznę, chciałem go odesłać furmanką na miejsce, ale tego nie przyjął. Ofiarował mi swoję bibliotekę, po którą nie posyłałem, bo było za daleko.

Czas długi nie wiedziałem, co się dzieje z mym kolegą. Pewnego razu jestem u państwa Wężyków, zastaję u nich obywatela z Sandomierskiego; zapytałem, czyliby nie był mu znajomy doktór Wojciechowski, odpowiedział mi, że go zna i że praktykuje szczęśliwie. A czy téż pozwala sobie czasem trunku? Odpowiedział, że pije dobrze wino, ale nie do zbytku.

W tym roku, drugim dzierżawy, dał nam Pan Bóg córkę, którą mamka karmiła, żona moja nie dała baczności na karmicielkę, która potajemnie łykała wódeczkę, ztąd dziecię chorowało często i przed rokiem umarło.

Nadeszła zima, odpoczęliśmy nieco, żona zajęła się przędzeniem, bośmy mieli swój len, a nasza starucha mateczka, zawijała kądziołki, składała w przetak i wydawała do przędzenia.

Raz wieczorem siedziałem przy kominku w pierwszym pokoiku i miałem na nogach buty zimowe moskiewskie, futrzane; w momencie uczułem swąd spalenizny, spojrzałem do alkierza, widzę blask, wpadam i widzę palące się kądziołki, które, matka mając stoczek w ręku, zapaliła; nareszcie porwała zapalone z przetakiem kądziołki, wyrzuciła do pierwszego pokoju, gdzie było łóżko przy progu okryte firankami, które się zapaliły. Porwałem firanki, oderwałem, cisnąłem na podłogę, a depcząc nogami kądziołki zagasiłem ogień; zawołałem moję żonę i opowiedziałem całą scenę, poleciłem, aby napotém byli ostrożniejsi, co gdyby się stało pod moję niebytność w domu—bylibyśmy spłonęli do szczętu.

Przebyliśmy zimę szczęśliwie, kazałem w zimie wozić drzewo (na kościół, do czego byłem obowiązany kontraktem), z lasku Zofiówka, przyległego Bordziłówce. Ten lasek należał do Radziwiłłów, jak go nabyli, następujące będzie objaśnienie.

Ten las był pewnego szlachcica, osiadłego w Bordziłówce, a Radziwiłłowie chcieli mieć go dla siebie. Szlachcic nie chciał tego sprzedać, użyli więc następującego fortelu. Był dany bal u Radziwiłłów, na który zaproszony był dziedzic Zofiówki. JW. Radziwiłłowa wzięła do pierwszéj pary dziedzica Zofiówki, pili jego zdrowie, a kiedy widziano, że szlachcic już ma w głowie dobrze, przyszedł do niego jeden z balujących, winszując mu, że on jeden był tak szczęśliwy, że go j. o. księżna wzięła w taniec, a jeszcze w pierwszą parę. „Trzeba, abyś pan pokazał księżnie, że umiesz cenić tę jéj łaskę.“ Dziedzic odparł, że nie ma żadnéj sposobności do tego.— „Jakto nie masz? oto pójdź do j. o. księżnéj, pocałuj w rękę i ofiaruj jéj ten lasek, co go masz przy Bordziłówce“ Usłuchał rady szlachcic, poszedł do księżnéj i ofiarował lasek. Plenipotent książąt Radziwiłłów miał już napisane prawo donacyi, natychmiast podsunął pismo, a szlachcic podpisał, a tak bór szlachcica został ochrzczony imieniem księżnéj, Zofiówką, podobnie, jak owa Kabanka pod Białą, w któréj zajadałem drozdy.

W zimie wywózkę drzewa z tejże Zofiówki na kościół zacząłem, a na wiosnę założyliśmy kościół, przysposabiając drzewa na dopełnienie artykułu, kontraktem mnie od j. w. administratora, Hali-

burtona poleconego; mieliśmy kaplicę, w któréj nabożeństwo w dni świąteczne odprawiało się. Raz w niedzielę po nabożeństwie przyszedł do folwarku ksiądz młody przed obiadem, kazałem dać wódki i przekąskę, wypił mój gość kieliszek jeden, drugi, i daléj zjedliśmy obiad, napiliśmy się kawy z rumem, późniéj herbatki z arakiem. Księżyna młody był wesół, wpadł w dobry humor, powtórzyliśmy herbatkę po staropolsku, a mój gość śpiewał mi rubaszną piosenkę.

Ubawiliśmy się tą śpiewką, a gość odszedł, nie chcąc nam oznajmić zkąd i kto był. Podobne piosnki bywały śpiewane na zabawach obywatelskich, gdzie szlachta rubaszna, podweseliwszy bawiła się w domach poufałych. I tak, raz byłem słuchaczem piosnki na zabawie, gdzie się i kilku księży świeckich znajdowało. Jeden stary polak śpiewał wesołą piosnkę:

Idzie ksiądz przez groblę i mówi pacierze....

Nasza szlachta staropolska była sobie bez żadnych ceremonij: podochociwszy sobie trunkiem, nie uważała ani na osoby, ani na miejsce, śpiewała i bawiła się podług swéj woli.

Przypominam sobie moję bytność w Krakowskiéj Akademii, kiedy król Stanisław powracał z Kaniowa, gdzie miał naradę z cesarzową Katarzyną, cesarzem Józefem i Fryderykiem królem pruskim (sic!). W téj porze danym był bal w zamku krakowskim dla pierwszych obywateli, urzędników królestwa, gdzie podochociwszy sobie, szlachta śpiewała takie krakowskie piosnki, których wobec króla, prymasa i biskupa Naruszewicza nie należało śpiewać, a których tu nie mogę pisać.

Wracam do mojéj Bordziłówki. Nadeszła wiosna, drugiego roku mojéj dzierżawy, i w tym roku poniosłem klęskę niemałą. W miesiącu Marcu piorun uderzył w gumna moich włościan, zrobił szkodę, a także zapalił mieszkanie mego sąsiada Borkowskiego, komornika i córkę jedynaczkę ogłuszył; ale czuli sąsiedzi wynagrodzili mu tę szkodę nawet z zyskiem.

Tegoż roku w kwietniu mróz pomroził mi ogrodowizny i wybiło mi oziminy i jarzyny; to dla mnie było szczęściem, że Haliburton administrator, od którego trzymałem tę dzierżawę, kazał znawcom ocenić szkodę, jaką poniosłem od gradobicia, i tę w opłacie za dzierżawę przyjął.

W tym roku byłem wezwanym od kreys-kapitana Kreycberga, który zapytał mnie, czy mam upoważnienie od Akademii, abym miał wolną praktykę; a gdym mu odpowiedział, że mam patent od Stanisława króla polskiego, patent na sztabs-lekarza, ten mi rzekł: „*Rex non constituit medicos*; *debes venire pro examinibus Cracoviae.*“

Równe zlecenie dostało się Milerowi. Razem wyjechaliśmy: on do Lwowa, ja do Krakowa, w jesieni niezmiernie dżdżystéj, gdzie dojeżdżając do Krakowa, na tydzień przed Bożem Narodzeniem, jeszcze krakowiaki orali i sieli. Przybywszy na przedmieście zwane Wesołą, kazałem stanąć przed klasztorem pp. Miłosierdzia, gdzie niegdyś byłem adjunktem w klinice. Znalazłem pannę infirmerkę, która razem ze mną pracowała około chorych, panną mistrzynią klasztoru, która mnie zapytała po com przybył, gdzie mam swoje konie i ludzi ulokować. Odrzekłem: gdzie konie ulokuję—nie wiem, bo sam w Krakowie dłużéj być muszę dla zdania egzaminu.—Na co odpowiedziała mi panna przełożona: „Zostaw pan u nas konie i ludzi, wszak zasługi jego w tém miejscu są nam pamiętne.“

Tak uczyniłem, sam udawszy się do miasta. Meldowałem się prezesowi uniwersytetu, który przeznaczył mi jednego doktora, abym z nimi odbył *colloquia*, a to z tego powodu, iż odbywający egzamena, okazali się niezdatnymi. Tak ja przez dni trzy odbywszy *colloquia*, dostałem świadectwo: *Aptus ad examen rigorosum.* Z tém udałem się do prezesa, a ten kazał mi prosić moich dawnych profesorów na dzień jutrzejszy, na godzinę 10-tą do sali egzaminacyjnéj. Tam przybyłem, nadszedł prezes, profesor Kostecki, Palhalc, Szuster—profesor anatomii; pan Czerwiakowski, prof. chirurgii, pod tę porę chorował, na jego miejsce wzięto lekarza obwodowego z Wieliczki. Zaczęto egzamen, odpowiadałem pomyślnie przez półtoréj godziny, nareszcie zmęczony gadaniną, a będąc z młodu prędkomówcą, takem stanął, żem pytającemu się mnie owemu lekarzowi z Wieliczki, nic odpowiedziéć nie mógł. Zdziwiony tém prezes, pyta profesora Kosteckiego temi słowy: „*Nonne ille ebrius est*“—ten mu odrzekł, że jest prędkomówcą; kazał mi prezes odpocząć, a po półtrzeciogodzinnéj gadaninie skończyłem szczęśliwie egzamen. Powinszowali mi profesorowie, a prezes kazał późniéj przyjść do przysięgi. Dowiedziałem się, że idąc do prezesa, trzeba było jego froncymer udarować. Wchodzę do przedpokoju i zastaję uszykowanych w rząd mężczyzn i kobiety, dałem każdemu z osobna od reńskiego do dwóch; wszedłem do kancelaryi, zastałem prezesa, który powitawszy mię, wyrzekł: „*Debes persolvi pro diplomate 15 aureas nummos*“ — com natychmiast opłacił; potém wykonałem przysięgę, któréj rota była: aby zarówno majętnym, jak ubogim dać pomoc bez zwłoki czasu z ludzkością i uprzejmością etc.

Tegoż dnia byłem na śniadaniu u profesora Szustra i pytałem się, coby było za zdanie jego o nowo wyszłym systemacie Browna, którego młodzi lekarze bardzo naśladowali i wielu ludzi pozabijali; odpowiedział mi nauką: „co dobrego—to przyjm, a co złego—omiń.“

Był-to dzień wigilii Bożego Narodzenia; pożegnawszy nauczycieli i przyjaciół, ruszyłem w podróż, zamierzyłem nocować w Mogielnicy, pożegnałem moję dobrodziejkę, pannę starszą z Wesołéj, gdzie konie i ludzie moi mieli wygodę do zbytku. Mój dobry Jan Mazurkiewicz ruszył do Mogielnicy, a droga była grudziasta, bo dopiero pierwszy mróz chwycił, noc była księżycowa, właśnie przed karczmą Gasparego, blisko Mogielnicy, spada mój furman z kozła i pada na grudę, tak się rani, że potrzeba ratunku rychłego; wpadłem do karczmy, zastałem poczciwych krakowiaków, wezwałem ich do pomocy; ci przynieśli Jana mego bez przytomności, krwią zbroczonego do karczmy, konie wprowadzili do zajazdu. Opatrzyłem ranę na głowie i położyłem spać. Nazajutrz dowiedziałem się, że mój Jan był częstowany w wilią miodem i tak sobie podchmielił, że aż uległ temu przypadkowi. Rano zapytałem mego chorego, czy będzie mógł jechać do domu, powiedział mi, że może, że pana nie odstąpi. Raniutko przyjechaliśmy do Mogielnicy, poszedłem do kościoła, a przyszedłszy kazałem cyrulikowi opatrzéć Jana i w dalszą puściliśmy się drogę.

Na Nowy Rok przybyliśmy do domu, gdzie dowiedzieliśmy się o nowinie, że gdy sługa palił na kuchni, któréj komin był z chrustu pleciony i gliną wylepiony, a zapewnie i sadzami—zapaliło się. Na szczęście nasze, że pod tę porę w Bordziłówce stali na kwaterach kroaci, jeden z nich tak był mocny, że porwawszy duże naczynie, z wodą wpadł po drabinie i ogień zalał.

Téj zimy odbyliśmy urodziny j. o. księżnéj Woronieckiéj: przysłano po mnie, a ja przybywszy zastałem synka, którego kobieta ze wsi odebrała szczęśliwie.

Już rok trzeci zaczynał się dzierżawy, kiedy ksiądz Dąbrowski, wikary administratora Haliburtona, prosi, abym mu wyrobił prezentę u j. w. starosty Przeździeckiego, obiecując mi, że na drugie lat trzy puści mi téż probostwo w dzierżawę, które dlatego trzymać chciałem, żem się doczekał pięknego inwentarza.

Wyrobiłem Dąbrowskiemu prezentę, za którą był już proboszczem Bordziełówki. Już przy końcu dzierżawy dowiedziałem się, że namawia włościan, aby się skarżyli, że byłem dla nich ciężkim i srodze się z niemi obchodziłem, co było niesprawiedliwém, bom zawsze pamiętał, że oni są ludźmi. Jakoż to, co chciał, dokonał; ale oskarżony do konsystorza, był wziętym do karceresu i tam siedział, iż z drzewa, co było na kościół, dom wybudował mieszkalny, o czém późniéj dowiedziałem się. Ja po skończonéj dzierżawie, sprzedawszy inwentarz, wróciłem do Biały.

Tu przeniosłem się z familią i zamieszkałem w oficynie szkół bialskich, gdzie mając wolną praktykę, spokojnie mieszkałem i odwiedzałem j. w. Ciecierskich stolników, zkąd raz powracając do domu razem z komornikiem od stolnikostwa, a że pora obiadowa następowała, a pan komornik miał znajomość z panem wioski przez którą przejeżdżaliśmy, wstąpiliśmy więc do dworku, gdzie pan sędzia był nam rad. Nakryto do obiadu, w téj właśnie porze wchodzi do pokoju dwóch młodzianów w ubiorze strzeleckim, z fuzyami w ręku z polowania. Siedliśmy do obiadu, ja zacząłem kawalerów pytać, gdzieby pobierali nauki szkolne, na co mi nie odpowiedzieli. Pan sędzia, ojciec tych-że kawalerów, mówi do mnie:—„Ja jestem sędzią, choć tylko podpisać się umiem, a już mój urząd lat kilkanaście piastuję z łaski Bożéj, to i oni być mogą w urzędowaniu.“ „Panie sędzio—rzekłem do niego—dziś czasy wcale inne, teraz potrzebują urzędników z nauką, a nawet z wiadomościami prawa, a synowie pana jeszcze są w wieku takim, że mogą brać nauki; Biała ma szkoły, ma profesorów z ludzi uczonych, synowie pana już pojmują potrzebę nauki, spodziewać się można, że w leciech kilku odniosą korzyść, która da onym sposobność do wszelkich urzędowań.“ Stało się tak, sędzia oddał synów do nauki, a w cztery lat, skończywszy klasę czwartą, udali się do Lublina, a ja późniéj miałem przyjemność słyszéć, że byli sędziami.

Raz nad moje spodziewanie odbieram list od jw. Jana Potockiego z Boćków, abym przyjął miejsce doktora dworu jego i był pomocą dla jego włościan. Byłem tam rekomendowanym przez sędziego Trojanowskiego, męża prawdziwie godnego i wartego urzędu sędziawskiego, o którym.....

(*Brak reszty rękopismu*).

LISTY CZESKIE.

(*Dokończenie*).

Dwa stronnictwa czeskie.—Taktyka polityczna dr. Gregra.—Zgon biskupa Iirsika, jego zasługi.—Czeski uniwersytet w Pradze.—Rektor W. W. Tomek. Skład profesorów.—Uchwała co do wydziału medycznego. - Stypendya miasta Pragi.—Dziś a 40 lat temu.—Odbudowanie teatru narodowego.—Ochota na drugi teatr niemiecki kosztem krajowym.—Nadzieje lepszéj przyszłości.

Oddawna już nie wspominałem szczegółowiéj o rozterce w łonie narodowego stronnictwa czeskiego, czyli ściśléj mówiąc o rozdwojeniu narodu czeskiego na tak zwanych *młodych* i *starych* Czechów. Nie potrzebuję dowodzić, że rozdział narodu czeskiego na dwa obozy polityczne, zajmujące względem siebie nieprzyjacielskie stanowiska w walce narodowéj przeciwko Niemcom, w któréj i tak wszelkie możliwe szkody są po stronie czechów, jest sprawą nader drażliwą. Wszystkie zjednoczone siły narodu czeskiego wystarczyłyby zaledwie do prowadzenia téj walki z nadzieją szczęśliwego powodzenia; długotrwałe rozdwojenie narodu czeskiego na dwie partye, z których raz jedna, to znowu druga wyzyskiwana jest prawie jako sprzymierzeniec przez nieprzyjaciela kolejno przeciwko téj lub tamtéj; rozterka, wobec któréj i rząd także ma zawsze gotową wymówkę, że właściwie nie może nic zrobić dla narodu czeskiego, ponieważ nigdy nie będzie miał widoku zadowolenia całego narodu, przyprawiłaby Czechów o zupełną polityczną niemoc.

Zdrowy rozum narodu czeskiego pojął to doskonale, i szczególniéj od roku 1879, kiedy posłowie narodu czeskiego wstąpili znów do austryackiéj rady państwa, głosy wyborców odezwały się we wszystkich częściach kraju, ażeby posłowie czescy w austryackiéj radzie państwa tworzyli jednolite stronnictwo, albo (jak brzmi wyrażenie będące w obiegu) ażeby każdy poseł czeski był członkiem klubu zwanego *czesky klub na rziszke radie*, żeby postępował według przepisów obowiązujących w takiém zebraniu. Do tego czeskiego klubu przystąpili także usposobieni w duchu narodowym

czyli, jak ich Niemcy nazywają, konserwatywni posłowie wielkiéj własności ziemskiéj w Czechach, a nadto posłowie słowiańskiéj narodowości z Morawii.

Wśród narodu czeskiego znajdują się też, jak dziś wszędzie gdzieindziéj, rozmaite pod względem politycznym żywioły, więc i tak zwany radykalizm polityczny ma tam swoich przedstawicieli. Już jednostka prawdziwie liberalna nie chce być ani „klerykalną“ ani „feudalną,“ a kto stoi jeszcze daléj na lewo, ten za żadną cenę nie będzie przyjacielem ani sprzymierzeńcem szlachty i duchowieństwa, że już nie wspomnę o takich, którzy wszelką religią pozytywną uważają za plamę prawdziwéj ludzkiéj cywilizacyi. Tacy liberalni i radykalni byli z natury rzeczy skłonni do wytworzenia oddzielnego politycznego stronnictwa i do nazwania się młodymi Czechami albo Czechami przyszłości wobec tak zwanych starych Czechów, którzy nietylko nie mieli wstrętu do sojuszu z czeską szlachtą, ale zapatrując się na Polaków i Madziarów uważali, że nic nie może być pożądańszego nad udział o ile można najliczniejszy szlachty czeskiéj w reprezentacyi i w obronie narodowych interesów narodu czeskiego, i którzy względem duchowieństwa nie mogli z dwojakiéj przyczyny przyjąć nieprzyjaznego stanowiska: raz dla tego, że wogóle nie są ani anti-kościelnymi, ani anti-relijnymi, powtóre, że nie mogli zapomnieć iż właśnie duchowieństwo w Czechach przyczyniło się najsilniéj do narodowego odrodzenia ludu czeskiego.

Obecnie w 1883 r. można z pociechą zaznaczyć niezbity fakt, że znakomita większość narodu czeskiego stoi zdala od wszelkiéj zasadniczéj nienawiści do szlachty, do duchowieństwa i że żywioły skrajne ze swemi przeciwnemi poglądami są w zupełnéj, można powiedzieć, nic nieznaczącéj mniejszości. I tu zdrowy rozsądek ludu odróżnił to, co prowadzi do celu, od tego co jest bezcelowém.

Partya młodych Czechów w ten sposób, jak wiadomo, do życia powołaną została (patrz *Listy Czeskie*, II), że organ czeskiéj partyi narodowéj, założony w 1861 r. i podówczas jedyny, przeszedł w ręce dra Juliusza Gregra. Doktór Juliusz Gregr nie chciał się wtedy zadowolnić tém, że był redaktorem jedynego organu czeskiego stronnictwa narodowego, lecz pragnął zostać rzeczywistym jego właścicielem i panem nieograniczonym, a Rieger i Palacky, właściwi założyciele tego dziennika sądzili, że nie powinni uwzględniać tego życzenia, ponieważ mieli zupełne przekonanie, że w Czechach do obrony i urzeczywistnienia żądań i pretensyj czeskiego narodu powinno i musi istnieć tylko jedno jednolite stronnictwo narodowe. Dr. Juliusz Gregr był więc już gotowym reprezentantem młodych

Czechów, którzy lekceważąc wszelkie w ciężkich walkach życia zdobyte doświadczenie, nie uznając przez ciasną osobistą ambicyę powag wyrobionych pełném zasług działaniem na arenie życia publicznego, i przeceniając z lekkomyślném zarozumieniem własne siły, sądził się do tego przeznaczonym, aby razem z kilku towarzyszami równemi sobie wiekiem ująć ster politycznego kierownictwa narodu czeskiego i przyszłość swego kraju i narodu według własnych idei ukształtować.

Gdy już miał w ręku jedyny organ narodowy, chodziło tylko o to, ażeby wytworzyć nowe stronnictwo narodowe, które, rozumie się, miało przypuszczalnie stać się jedyną partyą narodową i ściągnąć do siebie cały naród czeski, tak jak „Narodni listy“ były téż jedynym organem narodu czeskiego. Nie potrzebuję dodawać, że wszystkie krańcowe żywioły były gotowe do połączenia się z tém nowém stronnictwem.

Opozycya przeciwko starym Czechom, pozbawionym teraz dobrodziejstw publicznego słowa, była naturalnie hasłem młodych Czechów. Dla charakterystyki nowego stronnictwa, ważna jest okoliczność jakim sposobem praktycznie przeprowadzoną była ta opozycya i jak w następstwie powstało to stronnictwo. Urzędowe zerwanie między Gregrem i uznanemi przywódcami narodu czeskiego Rigerem i Palackim nastąpiło w 1863 r. Dr. Juliusz Gregr oświadczył wtedy jako stanowczy przeciwnik Rosyi. Gdy późniéj przywódcy starych Czechów wraz z delegatami innych słowiańskich narodów udali się w 1868 r. na etnograficzną wystawę do Moskwy, wtedy Gregr pojechał z niemi, a kiedy w ostatnich czasach uwydatniał się coraz wyraźniéj między staremi Czechami wstręt do politycznego panslawizmu, wtedy dr. Gregr uważał za stosowne występować coraz głośniéj w swoim dzienniku z panslawistycznemi poglądami młodych Czechów.

Dr. Juliusz Gregr potakiwał z początku w zupełności tak zwanéj polityce abstynencyi t. j. powstrzymania się czeskich posłów od udziału w rozprawach na sejmie czeskim i w austryackiéj radzie państwa i uznawał tę politykę za odpowiednią celowi. Ponieważ jednak polityka abstynencyi powstała właściwie z początkowania starych Czechów Riegra i Palackiego, musiała tém bardziéj stać się przedmiotem opozycyi młodych Czechów, że na spodziewany skutek długo trzeba było czekać, a nawet szkodliwe jéj następstwa już się zaczęły pokazywać. Najszkodliwszém z tych następstw była zmiana konstytucyjna bezpośrednich wyborów do rady państwa, uchwalona w 1873 r. przez niemiecką większość rady, przewagą dwóch swoich głosów, osiągniętych jedynie dzięki nieobecności cze-

skich posłów. Ta zmiana zadała ciężki cios zasadzie autonomii krajowéj, pierwotnie bowiem austryacka rada państwa składała się z delegacyi pojedynczych królestw i krajów.

Partya młodych Czechów postawiła zatém przeciwko polityce abstynencyi, politykę działania (politika činnosti), a ponieważ i pomiędzy staremi Czechami znajdowało się od samego początku wielu zasadniczych przeciwników abstynencyi, więc w 1879 r. nastąpił powrót posłów czeskich do sejmu i do rady państwa. Po tém zwycięstwie swego stronnictwa dr. Juliusz Gregr uznał się widocznie za prawdziwego politycznego przywódcę stronnictwa czeskiego i nie był, jak się zdaje, zadowolony z tego, że w klubie czeskim tacy ludzie jak Rieger i hr. Henryk Clam-Martinitz nie dopuszczali go do przewodniego głosu. Z widocznym gniewem wystąpił z rady państwa i z sejmu, dla zaakcentowania zaś odpowiednio swego odosobnionego stanowiska, ogranicza obecnie swoją polityczną działalność do gwałtownéj opozycyi przeciwko uchwałom i postępowaniu, słowem, przeciwko całéj politycznéj akcyi czeskich posłów, w czém dziennik jego tak daleko się posuwa, że oświadcza się znów raczéj za polityczną abstynencyą (proponowaną w téj chwili przez dr. Gregra), aniżeli za działalnością, do któréj przecież dawniéj znaglał czeskich posłów.

Dr. Gregr zapędza się w tym nowym kierunku swéj politycznéj działalności do tego stopnia, że daje się wzywać jako jawny zupełnie sprzymierzeniec „zjednoczonéj lewicy“ przeciwko taktyce czeskich posłów rady państwa, co się wyraźnie z następnych faktów okazuje.

Większość w austryackiéj radzie państwa, do któréj obecnie czescy posłowie należą i z któréj pomocą, jak już wspomniałem, wiele ważnych rzeczy w interesie sprawy narodowéj przeprowadzili, składa się z rozmaitych frakcyj, wymienię tu, polski klub, czeski klub, klub Hohenwartha (Niemcy, Słoweńcy, Dalmaty), klub Lichtensteina (Niemcy nienależący do liberalnych i zwykle klerykalnemi nazywani). Szczególniéj ten ostatni klub domagał się niektórych zmian w dotychczasowém ogólném prawie szkolném, nad którém szczegółowo rozwodzić się nie mam zamiaru, ograniczając się tylko do wzmianki, że liberalni, jak np. niemiecka lewica gwałtownie przeciw tym zmianom powstawali. Tak nazwana „nowella szkolna“ miała zadowolnić żądania klubu Lichtensteina, załatwiła ją właśnie Izba panów a 27 kwietnia 1883 r. przyjęto nowellę w trzeciem czytaniu w Izbie deputowanych. Klub czeski, jako wierny sprzymierzeniec dzisiejszéj większości, uchwalił znaczną większością głosować za nowellą. Tymczasem lewica pokładała wszelką nadzieję

w pomocy młodych czechów i spodziewała się, że za pośrednictwem „Narodnich listów“ najprzód wywoła rozdwojenie i zamęt w szeregach posłów czeskich, przez co osiągnie odrzucenie nowelli szkolnéj, zawotowanéj małą tylko większością głosów, że tym sposobem upadnie nareszcie parlamentowa większość prawicy a za nią gabinet Taafego, w końcu że sama znów wróci do steru rządów. Dr. Juliusz Gregr popierał ze wszystkich sił w swoim dzienniku te plany niemieckiéj lewicy, dopóki usiłowania jego nie spełzły na niczém. Wiedeńska „Deutsche Zeitung,“ organ partyi niemiecko-narodowéj nienawistnie dla Czechów usposobionéj, która do téj chwili spodziewała się lepszego rezultatu usiłowań dra Juliusza Gregra, rozpoczęła następnemi słowy swój artykuł wstępny z d. 13 kwietnia 1883 roku:

„Kampania młodych Czechów przeciwko nowelli szkolnéj skończyła się druzgoczącą dla nich klęską.“

Do tego frazesu nie wiele pozostaje do dodania. Naród czeski wydał tym razem wyrok na szczególny sposób postępowania dra Gregra, którego tu bliżéj określać nie chcę. Narodni listy są wprawdzie jeszcze bardzo czytane, bo istotnie mają dobrą redakcyą i zręcznych współpracowników; ale czytelnicy tego dziennika nie są bynajmniéj stronnikami dra Juliusza Gregra. Wogóle z partyą młodych Czechów dziś rzeczy tak stoją, że jéj właściwie partyą nazwać nie można; co najwyżéj można zrobić uwagę, że wśród narodu czeskiego znajdują się, jak wyżéj powiedziano, rozmaite „liberalne“ i radykalne żywioły, które więcéj myślą o opozycyi za jakąbądź cenę aniżeli o karności w stronnictwie nieodbicie potrzebnéj w każdéj walce, ale wśród tych żywiołów każdy jest swoim własnym przywódcą, o przyznaniu zaś przez te żywioły dr. Gregrowi prawa do przewodzenia, mowy nawet niema. Jeżeli nie mylą mię wszystkie wskazówki, mógłbym nawet twierdzić, że stronnictwo młodych Czechów umarło na nowellę szkolną i że odegrało już do końca swoją polityczną rolę. Naród czeski przyszedł do przekonania, że tworzenie politycznych stronnictw dla zadowolenia jednostkowych ambicyi jest dla niego niedozwolonym zbytkiem.

27 lutego 1883 r. pochowano w Budiejowicach, w południowych Czechach, człowieka, któremu naród czeski przechowa wdzięczne i pełne czci wspomnienie, jako jednemu z najlepszych swoich synów. Obecność blisko 20,000 ludzi na uroczystości pogrzebowéj jest dowodem, że zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem i poważaniem. Miasto Budiejowice liczy na 23,000 mieszkańców tylko 12,000 Czechów, a tysiące uczestników smutnego obrzędu przybyły zdaleka, ażeby swemu ukochanemu pasterzowi duchownemu oddać ostatnią cześć.

Jan Iirsik urodzony 19 czerwca 1798 r., był od 1 listopada 1851 biskupem dyecezyi budiejowickiéj, a to co w tym charakterze uczynił w obronie interesów narodu czeskiego zasługuje na zaszczytną wzmiankę.

Miasto Budiejowice położone blisko granicy językowéj, było jak wiele innych miast w Czechach w XVIII wieku pozbawione swego dawnego przeważnie czeskiego charakteru i uchodziło za miasto niemieckie, jakkolwiek połowa mieszkańców należała do narodowości czeskiéj. Reprezentacya miejska była zawsze zupełnie niemiecką, a Czesi, jakkolwiek liczni, mniéj jeszcze dawali znaków publicznego życia, aniżeli np. w Pradze przed 1848 r. Biskup Iirsik najwięcéj przyczynił się w Budiejowicach do odrodzenia ducha narodowego między Czechami w tém mieście mieszkającemi i jemu to zawdzięczać wypada, że Budiejowice nie mogą już być nazwane miastem niemieckiém.

Pierwszym jego czynem w tym kierunku było wybudowanie w 1854 r. seminaryum studenckiego, w którém „młodzieńcy obu narodowości pod nadzorem dobrych wychowawców mieli być nakłaniani do pilnéj pracy i miłéj Bogu moralności, oraz ochraniani od niebezpieczeństw, które grożą młodzieży." Do tego zakładu przyjmowano uczniów uczęszczających do budiejowickiego gimnazyum niemieckiego; była to naturalnie pierwsza instytucya w Budiejowicach, w któréj zasada równouprawnienia narodowego znalazła praktyczne zastosowanie. Przy pomocy tego zakładu, który znacznie ułatwiał naukę w budiejowskiém niemieckiém gimnazyum dzieciom mniéj zamożnych rodziców, zwiększyła się naturalnie o wiele ilość uczniów gimnazyalnych. Liczba 328 uczniów w 1852 r. urosła w 1863 do 480, między któremi 269 należało do czeskiéj, 211 do niemieckiéj narodowości.

Ponieważ od chwili rozpoczęcia ery konstytucyjnéj, inaugurowanéj dyplomem październikowym z 1860 r., stronnictwo narodowe czeskie poczęło się silnie ruszać w Budiejowicach, krzątano się więc około utworzenia czeskich klas równoległych przy niemieckiém dotychczas gimnazyum. W 1863 r. otwartą została pierwsza równoległa klasa i aż do r. 1866 progimnazyum czteroklasowe podzielone było na czeskie i na niemieckie.

Już w tym czasie wniesioną została do ministeryum oświaty petycya o dozwolenie założenia samoistnego czeskiego progimnazyum w Budiejowicach, któréj niezałatwiono, mimo że biskup Iirsik zobowiązał się dostarczyć bezpłatne pomieszczenie dla zakładu. Dopiero w 1866 roku ówczesny rząd niemiecko-konstytucyjny, a zatém nieprzyjazny Czechom zwrócił się do niemieckiéj municypal-

ności Budiejowic z zapytaniem, co gmina budiejowska chce uczynić dla założenia samoistnego progimnazyum czeskiego. Pożądana odpowiedź nadeszła naturalnie wkrótce i brzmiała, że gmina miejska budiejowska nie potrzebuje zgoła czeskiego progimnazyum i z tego powodu nie jest bynajmniéj skłonną uczynić cokolwiek dla utworzenia tego zakładu; progimnazyum czeskie może być założone gdzieindziéj, np. w Trzeboniu (Wittingau).

Z Trzeboniem rozpoczęto natychmiast układy i tamtejsza municypalność podjęła się wziąść na siebie dostarczenie potrzebnego pomieszczenia i środków naukowych, opał i utrzymanie czystości w lokalu szkolnym. Wtedy biskup Iirsik zrobił rządowi propozycyę, że swoim kosztem to wszystko dostarczy do czego zobowiązała się rada miejska Trzebońska, a namiestnictwo czeskie zrobiło mu nadzieję pomyślnego téj sprawy załatwienia. Na zasadzie tego urzędowego zapewnienia rozpoczął biskup Iirsik na wiosnę 1868 r. budowę gmachu gimnazyalnego.

W całéj dyecezyi budiejowskiéj śledzono ze strony Czechów z natężoném zajęciem działalność biskupa, a kiedy stało się już wiadomem, że powszechnie poważany biskup ma już rozpocząć budowę, przyszły wiadomości ze wszystkich stron, ze wszystkich gmin wiejskich, żeby nie kupował materyału budowlanego, bo wszystko mu będzie bezpłatnie dostarczone. I w istocie 23 marca 1868 r. przybyło pierwszych 116 wozów, przyozdobionych chorągwiami z muzyką na czele — i szło tak daléj. Dziennie przyjeżdżało po 50 do 100 wozów, niektóre z bardzo wielkich odległości. Dla ludności czeskiéj w Budiejowicach były to prawdziwe święta, a jednocześnie były to dni kłopotów i trwogi dla władz politycznych. Materyału budulcowego nadeszło takie mnóstwo, że biskup Iirsik wybudował téż nowy kościół. Namiestnictwo czeskie wydało już rozporządzenie, że czeskie progimnazyum ma być otwarte w październiku 1868 r., a biskup Iirsik dał ze swéj strony zapewnienie, że postara się o pomieszczenie zakładu w razie gdyby gmach szkolny nie był skończony.

Wszystko zdawało się być w najlepszym porządku, ale patryotyczne plany biskupa Iirsika nie odpowiadały dążnościom ówczesnéj niemieckiéj partyi rządowéj; wymyślono więc w wiedeńskiém ministeryum oświaty mądry środek, dla pokrzyżowania zamiarów patryotycznego biskupa budiejowskiego. Reskrypt namiestnictwa czeskiego pod datą 29 lipca 1868 roku oznajmił biskupowi Iirsikowi, że wysokie ministeryum oświaty (minister Hasner) obstaje przytém, ażeby progimnazyum czeskie przenieść do Trzebonia, że zatém utworzenie czeskiego progimnazyum w Budiejowicach nie

może otrzymać sankcyi wysokiego ministeryum. „Ponieważ ministeryum—brzmiał dosłownie reskrypt—nie może pod tym względem odpowiedzieć życzeniu ani części ludności budiejowickiéj ani jego ekscelencyi biskupa,--pozostaje więc tylko czcigodnému biskupowi, w razie gdyby mu się wydawało niezbędném, połączyć czeskie progimnazyum z seminaryum chłopców i te zakłady razem utrzymywać w charakterze prywatnego zakładu naukowego, a nawet, o ile by to było zgodném z obowiązującemi przepisami nadać mu cechę instytucyi publicznéj.

Myślano w Wiedniu, że tym sposobem, bez otwartego sprzeciwienia się dążeniom narodowym w Budiejowicach, można będzie obalić plan biskupa Iirsika, który zakładając szkołę średnią w tém mieście pragnął tam wzmocnić stronnictwo czesko-narodowe, a wiedziano w Wiedniu bardzo dobrze, że dyecezya budziejowicka należy do najbiedniejszych, bo dochody roczne biskupa wynoszą tam tylko 12,600 fl.; ale wszystkie te rachuby zawiodła wielka patryotyczna ofiarność biskupa.

Biskup Iirsik złożył natychmiast deklaracyę, że jest zupełnie gotów uczynić to, do czego mu wysoki rząd pozostawia swobodę, i że nie tylko czeskie progimnazyum ale jednocześnie czeskie wyższe gimnazyum na swój koszt założy i utrzymywać będzie. Rząd wiedeński, związany swoją decyzyą, nie mógł odmówić przyzwolenia. Dnia 3 października 1868 r. nastąpiło uroczyste poświęcenie nowego gmachu szkolnego i otwarcie 5 klas z 268 uczniami. Do roku 1871, na otwarcie, zaopatrzenie i utrzymanie tego zakładu, wydał biskup Iirsik z prywatnego swego majątku 90,000 fl. Ograniczone środki biskupa wyczerpały się tak wielkiemi ofiarami, a utrzymanie czeskiego gimnazyum wyższego byłoby wymagało nowych wielkich wysiłków, kiedy szczęśliwy zwrot stosunków politycznych oddał ster rządów w ręce gabinetu Hohenwartha (luty 1871) w którym Czech Iireczek był ministrem oświaty. Za rządów Iireczka, gimnazyum czeskie w Budiejowicach przeszło w zawiadywanie państwa; w roku szkolnym 1882—3 uczy się tam 531 uczniów. Prorogatywy zakładu publicznego otrzymało 8 czerwca 1869 r.

Biskup Iirsik przyczynił się także dzielnie do założenia czeskich szkół elementarnych. Aż do 1870 r. nie było w Budiejowicach ani jednéj szkoły elementarnéj. Biskup powołał tam w 1871 r. siostry szkolne (Schulschwestern), wybudował dla nich oddzielny budynek i otworzył w nim czeską szkołę dziewcząt. W 1873 roku Matice Budejovicka, silnie przez niego popierana, otworzyła 5-klasową szkołę dla chłopców, do któréj w roku szkolnym 1882—3 uczęszcza 481 uczniów.

Biskup Iirsik przyczynił się zatém najwięcéj swoją patryotyczną działalnością do wskrzeszenia i wzmocnienia żywiołu czesko-narodowego w Budiejowicach i za to cześć niech będzie jego pamięci!

Uniwersytet czeski Carolo-Ferdinandea w Pradze otwarty został z początkiem roku szkolnego 1882—3, w październiku 1882, na mocy znanego już czytelnikom prawa; rozpoczęto od fakultetów prawnego i filozoficznego. Radość narodu czeskiego z powodu téj ważnéj zdobyczy narodowéj została nieco w ciągu lata 1882 r. zamąconą dekretem ministra oświaty z 29 czerwca 1882 r. który ogłoszony był w rządowym dzienniku praw z 8 lipca 1882 r. Dekret wywołał w sferach narodowych zbyt silne może wzburzenie, które się nawet tak krańcowo wyraziło, że nie brakowało głosów jawnie wypowiadających, iż przez dekret ministra cały uniwersytet czeski zupełnie stracił swoją wartość, i nie mógł mieć dla narodu czeskiego żadnego pożytku i że byłoby najlepiéj, gdyby wszyscy czescy studenci zapisali się bezzwłocznie na uniwersytet niemiecki. Dla objaśnienia tego niezwykłego wzburzenia podaję tu główną treść dekretu ministeryalnego.

„Dekret ministeryum wyznań i oświaty z 29 czerwca 1882 r. w przedmiocie przepisów *o składaniu teoretycznych egzaminów państwowych w językach niemieckim i czeskim*, potrzebnych z powodu wprowadzenia w życie uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym w Pradze.

„Zgodnie z najwyższém postanowieniem z 11 kwietnia 1881, dotyczącem wprowadzenia w życie uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym, należy przy egzaminach państwowych w Pradze i w Wiedniu kwestyę języka w ten sposób regulować, żeby kandydaci do egzaminów wykazali doskonałą znajomość języka niemieckiego i zdolność posługiwania się takowym.

„Komisya do egzaminów państwowych ma pozostać ze wszystkiemi swemi wydziałami *jako ciało jednolite* nawet po wprowadzeniu w życie uniwersytetu z językiem wykładowym czeskim.

„Każdemu kandydatowi składającemu egzamin państwowy przed komisyą egzaminacyjną w Pradze, zostawiona jest swoboda, bez względu na to w którym uniwersytecie słuchał lekcyi, składać takowy bądź wyłącznie w niemieckim języku, bądź téż w językach niemieckim i czeskim.

„W razie, jeżeli egzamin ma być składanym w językach niemieckim i czeskim, kandydat obowiązany jest składać przynajmniéj z jednego przedmiotu (którego wybór jest mu zostawionym) w języku niemieckim.

„Doktorat prawa pozyskany w uniwersytecie z czeskim językiem wykładowym, ma tylko w takim razie jednakowe znaczenie z egzaminami państwowemi złożonemi w zupełności, jeżeli w każdém *rigorosum* przynajmniéj jeden przedmiot składany był z powodzeniem w języku niemieckim.“

Szczegółowy rozbiór wszystkich opinii i objaśnień pochodzących z kół kompetentnych o tym dekrecie ministeryalnym, jak również protestów i rezolucyi sformułowanych przez studentów i przez inne stowarzyszenia zbyt daleko mnie zaprowadził; silne pierwiastkowo wzburzenie uspokoiło się już od tego czasu i ustąpiło miejsca spokojniejszemu rozważaniu. Cała sprawa ma dwie strony, a „Bohemia“ organ niemiecko-narodowéj partyi w Czechach, wyprowadziła niebawem po ukazaniu się dekretu ministeryalnego swoje ubolewanie nad tém, że rozporządzenie o egzaminach nie zawiera przymusu dla Niemców do uczenia się po czesku, tak jak Czechom nakazane jest przyswojenie sobie języka niemieckiego. Pozorny przywiléj dany niemieckiemu językowi, mógł pociągnąć za sobą, jako faktyczny skutek wyparcie Niemców z publicznych urzędów w Czechach. Tyle „Bohemia.“

Pod koniec lipca 1882 r. „Dziennik Poznański“ wydrukował korespondencyę z Wiednia, w któréj znajduje się co następuje: „Niepotrzebną zupełnie wrzawę wszczęli Czechy, a szczególniéj „Narodni listy“ (organ młodych Czechów) o rozporządzenie tyczące egzaminów, według którego przy egzaminach państwowych, kandydaci muszą wykazać znajomość języka niemieckiego. Profesorowie czescy uznali to rozporządzenie za odpowiednie celowi, zdawałoby się więc, że hałas się uciszy, tymczasem trwa jeszcze ciągle i budzi ogólne zgorszenie. Trzeba przytém wiedziéć, że sam cesarz zastrzegł tę troskliwość o niemiecki język, wydając decyzyę co do utworzenia czeskiego uniwersytetu. Bez znajomości niemieckiego języka Czesi byliby wykluczani nietylko ze wszystkich urzędów państwowych w innych prowincyach ale nawet w Czechach w okręgach niemieckich i mięszanych. To rozporządzenie jest raczéj dla Czechów dobrodziejstwem a jeżeli Niemcy ze swéj strony nie postarają się wyuczyć języka czeskiego, to rzeczą jest jasną że wyjdzie to tylko na własną ich szkodę, bo tym sposobem sami się z urzędów wykluczać będą.“

Ja dodam tylko, że nareszcie i ze strony rządu zostało postanowione, ażeby potępiane tak bardzo rozporządzenie o egzaminach uważane było za tymczasowe i żeby po upływie roku, senat akademicki uniwersytetu czeskiego na podstawie osiągniętego doświad-

czenia przedstawił swoją opinię do ministeryum oświaty. W rozporządzeniu wprowadzone zostaną zapewne zmiany w tym kierunku, że dla każdego uniwersytetu będzie ustanowiona własna komisya egzaminacyjna. Przy „jednolitéj“ komisyi egzaminacyjnéj dla obu uniwersytetów, profesorowie niemieckiego uniwersytetu egzaminowaliby czeskich studentów z przedmiotu mającego się składać po niemiecku, mogłoby się więc łatwo zdarzyć, że żaden nie otrzymałby świadectwa, iż zna dokładnie język niemiecki.

Kollegia profesorskie fakultetów prawnego i filozoficznego ukonstytuowały się już w ciągu lata 1882 r. i wybrały jeszcze przed upływem roku szkolnego 1881—2 pierwszego rektora (Rector magnificus) czeskiego uniwersytetu Carolo-Ferdinandea. Jednogłośny wybór padł na najstarszego z czeskich profesorów uniwersytetu WW. *Tomka*, zasłużonego historyka, którego kapitalne dzieło „Historya miasta Pragi“ (dotąd 5 tomów—całość ma wynosić 8 jakkolwiek Tomek zamierza zakończyć rokiem 1526) nie było dotąd prześcignione w żadnéj europojskiéj literaturze.

Według ordynacyi wyborczéj dla królestwa czeskiego z r. 1867 każdy rektor uniwersytetu prazkiego ma z urzędu głos w sejmie czeskim. Obecnie było w Pradze dwa uniwersytety, a zatém i dwóch rektorów, potrzebna więc była zmiana w ordynacyi wyborczéj ażeby i rektor czeskiego uniwersytetu posiadał głos w sejmie czeskim. Kiedy we wrześniu 1882 r. zebrał się sejm czeski, namiestnik Czech wniósł odpowiedni projekt rządowy, według którego w § 3b ma być nadal: „*Rectores magnifici* obu prazkich uniwersytetów.“ Zmiana uchwalona była jednogłośnie a pierwszy rektor czeskiego uniwersytetu zasiadł na ławie głosujących z urzędu obok rektora niemieckiego uniwersytetu.

Samo przez się rozumie się, że obaj rektorowie w sejmie czeskim są politycznemi przeciwnikami, starć jednak wynikających z ich urzędowéj pozycyi, dałoby się uniknąć tém łatwiéj że ze strony czeskiéj nie wyjdzie prowokacya. Obecnie wszystko zdaje się już być załatwionêm a nieszczęsna kwestya insygniów w ten sposób została usunięta, że dla uniwersytetu czeskiego przygotowane będą nowe insygnia (złote łańcuchy dla dygnitarzy, berła dla pedelów) ponieważ ze strony niemieckiego rektoratu nie chciano się zgodzić na wspólne użytkowanie z istniejących insygniów.

Zapis studentów na rok uniwersytecki 1882—3 dał pomyślny rezultat dla czeskiego uniwersytetu:

	Prawników	Filozofów	Wolnych słuchaczy	Razem
Czeski Uniwersytet . . .	667	212	142	1021
Niemiecki „ . . .	418	101	353 (1)	772

Uroczysta instalacya pierwszego rektora uniwersytetu czeskiego odbyła się 19 grudnia 1882 r. W długiéj, częścią po łacinie wygłoszonéj mowie powiedział rektor W. W. Tomek co następuje w czeskim języku o wysokiem znaczeniu tego uroczystego dnia.

„Uroczystość dzisiejsza stawia nas w obec najważniejszego wypadku w dziejach naszego przeszło od pięciu wieków istniejącego uniwersytetu. Od chwili swego założenia uniwersytet dążył zawsze do ogarnięcia wszystkich zakresów wiedzy i do postępu we wszystkich jéj gałęziach. Ale nigdy działalność uniwersytetu w kierunku rozszerzania wiedzy nie przeniknęła tak głęboko w życie narodów jak w naszych czasach. W wiekach średnich pole działania ludzi uprawiających naukę było znacznie szczuplejsze, ponieważ nauki wykładane były w języku uczonym—po łacinie. Dopiero nowsze czasy rozszerzyły granice zamykające dziedzinę wiedzy przez wykład nauki w różnych żyjących językach, co umożliwiło zbawienne rozszerzenie jéj wpływu na ukształcenie różnych stanów u wszystkich narodów. I nasz naród skorzystał z tego dobrodziejstwa gdy założona została czeska gmina prazkiego uniwersytetu."

„Ale dzisiejsza uroczystość budzi w nas mimowolnie wspomnienie dni minionych. Wprowadzenie języka czeskiego do uniwersytetu prazkiego nie byłoby możliwém, gdyby nasz język nie był doszedł już dawniéj do takiego wykształcenia, które go czyni odpowiednim do traktowania wszystkich nauk. Że zaś stał się takim to zasługa tych ludzi, którzy (jeśli już nie wspomnę o dawniejszych czasach) pracowali skrzętnie w ciągu ostatniego stulecia, bez widoków materyalnego powodzenia, nad kształceniem naszego języka na najróżniejszych polach wiedzy ludzkiéj i którzy umieli natchnąć młodsze pokolenia miłością do mowy ojczystéj, a nadto obudzić i ożywić we wszystkich warstwach narodu poczucie i dążenie do wyższego ukształcenia. Dzieło ich uwieńczone zostało otwarciem czeskiego uniwersytetu. Dla tego winniśmy w dniu dzisiejszym złożyć tu hołd

(1) Na obu fakultetach.

cieniom Dobrowskiego, Jungmanna, Szafarzika, Palackiego, Presla, Purkynyego, Czelakowskiego i ich współpracowników, jak również wszystkim tym którzy mozolnie przygotowywali to co dziś na nakrytych do uczty stołach stoi do użytku ogółu. Zadanie tych ludzi było bardzo trudne, co wtedy tylko w zupełności ocenimy, jeżeli wspomnimy o smutnych dniach poprzedzających czasy ich działalności, o tym głębokim upadku, w jakim półtrzecia wieku temu pogrążony był nasz naród, częścią z własnéj winy częścią przez niezasłużone gromy losu i z którego cudownym sposobem dźwignął się na nowo. Przejrzyjmy historyę różnych wieków i narodów a nie znajdziemy drugiego przykładu tak wielkiego materyalnego i duchownego poniżenia narodu, a zarazem tak szybkiego podźwignięcia się i pokrzepienia. Że się tak stało, zasługa w tém nie samego ludzkiego rozumu. Czcijmy w pokorze łaskę Boga, który się ulitował nad swoim ludem; podziękujmy mu że nam pozwolił dożyć tego radosnego dnia."

Fakultet prawny uniwersytetu czeskiego posiada 12 wykładających, a mianowicie: 5 profesorów zwyczajnych (Hannel, Oth, Randa, Talirz, Zucker); 6 nadzwyczajnych (Braf, Gundling, Heyrowsky, Kaizl, Prażak, Stupecky), 1 docenta (Storch).

Fakultet filozoficzny liczy 31 wykładających, mianowicie: I. do nauk filozoficznych 2 profesorów zwyczajnych (Durdik, Lindner), 1 nadzwyczajnego (Masaryk); II. do nauk matematycznych 1 prof. nadzwyczajnego (Studniczka) 1 docenta (Kraus); III. do nauk przyrodniczych, tj. do fizyki, 1 profesora zwyczajnego (Strouhal) 1 nadzwyczajnego (Seydler); do chemii 1 profesora nadzwyczajnego (Szafarzik); 2 docentów (Belohoubek, Nevo); do mineralogii 1 profesora zwyczajnego (Vrba); do geologii 1 profesora zwyczajnego (Krejci); do botaniki 1 profesora zwyczajnego (Czelakowsky) do zoologii 1 profesora zwyczajnego (Fricz); 1 docenta (Vejdowsky); IV. do nauk historycznych 1 profesora zwyczajnego (W. W. Tomek) 4 profesorów nadzwyczajnych (Emler, Goll, Kalousek Rezek), 1 docenta do geografii (Palacky), 1 nadzwyczajnego profesora do estetyki (Hostinsky ,V. do filologii literatury i językoznawstwa 4 profesorów zwyczajnych (Gebauer, Hattala. Kviczala, Vaniczek) 1 profesor nadzwyczajny (Tarnik) 1 docent (Kral) 2 lektorów (Kolar do języków polskiego i rosyjskiego, abbé Fauvein, do francuzkiego); wreszcie 1 lektor do nauki harmonii (Skutersky).

Co do podnoszonéj tak często umysłowéj przewagi niemieckiéj narodowości w Czechach, nie bez znaczenia w tém miejscu będzie uwaga że wymienieni wyżéj w liczbie 31 wykładających (z wyjątkiem abbé Fauvain), wszyscy należą do czeskiéj narodowości, gdy tym-

czasem z 32 wykładających na fakultecie filozoficznym niemieckiego uniwersytetu w Pradze, 13 pochodzi z niemieckiego cesarstwa i znowu z wyjątkiem francuza Cornu, 18 jest niemców austryackich a z tych tylko 8 należy do niemieckiéj narodowości w Czechach— do czego dodać jeszcze należy że 3 z tych niemców austryackich jest właściwie słowiańskiego pochodzenia.

Fakultet medyczny uniwersytetu czeskiego będzie otwarty z początkiem roku szkolnego 1883—4. Izba deputowanych austryackiéj rady państwa na wniosek komisyi budżetowéj zamieniła (w marcu 1882 r.) następującą rezolucyę swoję na uchwałę.

„Z uwagi na rezolucyą przyjętą przez Izbę deputowanych na posiedzeniu z d. 21 maja 1881 r. w przedmiocie otwarcia czeskiego fakultetu medyczngo, rząd c. k. wezwany jest o otwarcie z początkiem zimowego semestru 1883—84 r. fakultetu medycznego przy c. k. czeskim uniwersytecie Karola Ferdynanda w Pradze, nadto o przyłożenie starań pod względem obsadzenia teoretycznych katedr odpowiedniemi siłami profesorskiemi i o wczesne wniesienie do Izby deputowanych projektu potrzebnych na to dodatkowych kredytów.“

Kredytów już zażądano,—układy o obsadzenie teoretycznych katedr również są rozpoczęte.

Otwarcie fakultetu teologicznego natrafia jeszcze na różne trudności, między któremi na pierwszém miejscu stoją rokowania z jego Eminencyą kardynałem księciem arcybiskupem w Pradze. Faktem jest, że znaczna większość alumnów książęco-arcybiskupiego seminaryum w Pradze (około 3/4) należy do czeskiéj narodowości.

Kolegium deputowanych miasta Pragi uchwaliło na posiedzeniu swém z 3 sierpnia 1882 r. na wniosek rady miejskiéj, ażeby z powodu uroczystości otwarcia czeskiego uniwersytetu Karola Ferdynanda zamieszczać co rok, począwszy od 1883 r. w preliminarzu pod pozycyą wydatków na utworzenie *20 stypendyów po 250 fl. dla słuchaczy pomienionego zakładu*, sumę 5,000 fl. Udzielanie tych stypendyów ma być pozostawione imieniem kolegium deputowanych radzie miejskiéj; korzystać ze stypendyów mogą ci nawet słuchacze uniwersytetu, którzy stale w Pradze nie są osiedleni. Kolegium uchwaliło daléj że stypendya dawane będą od października 1882 r. co już miało miejsce. 20 stypendyów rozdzielono w ten sposób że po sześć wypadło na każdy z fakultetów; 2 pozostałe stypendya zostawione były do dyspozycyi rady miejskiéj, która je może według potrzeby i własnego uznania przyznać słuchaczom tego lub owego fakultetu.

Ponieważ fakultet medyczny nie był jeszcze otwarty w roku szkolnym 1882—83, przeto kolegium deputowanych upoważniło radę miejską do udzielenia 6 stypendyów na ten rok dla fakultetu me-

dycznego przeznaczonych doktorom medycyny, którzy mają zamiar poświęcić się profesurze na fakultecie medycznym czeskiego uniwersytetu, a ewentualnie, kilka stypendyów skumulować ażeby stypendyści mogli odbyć dłuższą podróż zagranicę. Maximum takiego stypendyum na podróż ustanowiono w wysokości 1000 fl.

Założenie uniwersytetu czeskiego w Pradze wskazuje początek nowéj ery w życiu narodowém ludu czeskiego. Kiedy wspomnę o czasach z przed 1848 r., kiedy życie i działalność pioniera narodowych dążeń tego ludu było szeregiem abnegacyi, prac bezinteresownych i bez rezultatów, walk bezowocnych z przeszkodami niepodobnemi do usunięcia, kiedy dzieło naukowe po czesku napisane, nawet przy wyrzeczeniu się ze strony autora honoraryów, nie mogło znaleźć nakładcy a ukazanie się udatnéj poezyi stanowiło ważny wypadek; kiedy szczupła garstka literatów czeskich w Pradze zbierała się w niedzielę po południu w małym pokoiku, ażeby naradzić się nad materyałem, który miał stanowić dalszą treść dwóch czeskich pism beletrystycznych, i kiedy teraz po 40 latach patrzę na poważną ilość ludzi specyalnie uzdolnionych wykładających na obu fakultetach uniwersytetu czeskiego, następnie na tylu niepospolitych poetów, pisarzy dramatycznych, beletrystów i dziennikarzy, którzy od tego czasu wyrobili się z młodszego pokolenia i z których wielu osobiście nie znam; kiedy wreszcie muszę sobie powiedzieć, że właściwie dopiero teraz, dopiero w 1883 r. naród czeski znalazł trwałą i pewną ostoję, to zdaje mi się że mam prawo wyrzec, iż naród czeski zdaje się być przeznaczonym do odzyskania między cywilizowanemi ludami Europy, tego stanowiska, które już wprawdzie raz zajmował przed 4 wiekami, z którego jednak, jak to rektor Tomek trafnie wypowiedział w swojéj mowie instalacyjnéj, wyparty był częścią z własnéj winy, częścią niezasłużonemi gromami losu.

Nowy teatr narodowy czeski blizki jest powtórnego ukończenia. Wiadomo, że spalił się 13 sierpnia 1881 r. zanim jeszcze budowa całkowicie ukończoną była; ogień zniszczył dach i wnętrze, a mianowicie scenę i widownię; foyer i loża cesarska pozostały nieuszkodzone; mury główne niewiele ucierpiały, tak, że nie trzeba było ich rozrzucać. W ciągu krótkiego czasu, bo zaledwie w kilka miesięcy, z ofiar dobrowolnych powstała na nowo suma 1,200,000 fl. co umożliwiło niezwłoczne rozpoczęcie odbudowy. Wprowadzono tu wszelkie możliwe ulepszenia, tak w wiązaniu dachowém pod względem bezpieczeństwa od ognia, jak i na scenie i widowni pod względem takiego rozdziału miejsc, że ze wszystkich stron zapewniony jest swobodny widok na scenę. Zamiast dawnego oświetle-

nia gazowego zastosowane będzie oświetlenie elektryczne. Przylegający do wielkiego teatru narodowego tymczasowy mały teatr został zamknięty w początku kwietnia 1883 r., wnętrze zaś tego budynku spożytkowane będzie i urządzone na potrzeby teatru narodowego.

Otwarcie wielkiego teatru narodowego naznaczone jest na dzień św. Wacława 28 września 1883 r.

Nowy czeski teatr narodowy jest pod każdym względem gmachem wspaniałym i wewnętrzném urządzeniem odpowiada również wszelkim najnowszym wymaganiom wytworności i wygody. Przez wybudowanie tego nowego czeskiego teatru, stanął zupełnie w cieniu niemiecki teatr wybudowany w 1784 r., jakkolwiek we wnętrzu jego zrobiono od tego czasu znaczne zmiany i ulepszenia. Taki stosunek nie licował ze stawianym zwykle przez Niemców aksiomatem o wyższości żywiołu niemieckiego w Czechach; nie chciano też z téj strony rzeczy w takim stanie zostawić. Najnaturalniejszym środkiem byłoby, idąc za przykładem Czechów, ogłosić wezwanie do niemieckiéj ludności i za pomocą składek dobrowolnych uzyskać kapitał na budowę nowego teatru niemieckiego. Ale to widocznie wydało się przywódcom stronnictwa niemieckiego niedość pewném, uważali więc za rzecz o wiele dogodniejszą wybudować drugi, piękniejszy teatr niemiecki kosztem kraju. Mieli jeszcze większość w sejmie czeskim, jakkolwiek już w 1882 r. mówiono wiele o bliskiém rozwiązaniu tego sejmu. Ponieważ więc przy nowych w takim razie wyborach, większość niemiecka w sejmie czeskim zamieniłaby się prawdopodobnie w większość czeską, więc zwłoka w sprawie budowy teatru niemieckiego była niebezpieczną i dlatego w obozie niemieckim chodziło o to, aby posiedzenia sejmowe 1882 r. z pewną jeszcze większością niemiecką wyzyskać i przeprowadzić odpowiednią uchwałę sejmową. Cała rzecz prowadzona była w takiéj tajemnicy, że nikt po stronie czeskiéj nie domyślał się co może jeszcze przynieść koniec sesyi sejmowéj z października 1882 r.

Mniejszość czeska w sejmie zdumioną była niepomału, kiedy, w ostatnich dniach sesyi, przedstawiony został przez większość niemiecką komisyi krajowéj wniosek zredagowany *in camera caritatis*, bez współudziału dwu czeskich członków, według którego kraj miał dostarczać przez 40 lat corocznie po 40,000 fl., a zatém ogółem 1,600,000 fl. na budowę drugiego teatru niemieckiego. Oburzenie między Czechami na tę formalną napaść było tém większe, że zdawali sobie najdokładniéj sprawę, iż nie zdołają przeszkodzić powzięciu przez sejm stosownéj uchwały. Ale uchwała sejmowa nie

przyszła do skutku, bo posiedzenia zostały przez rząd zamknięte 23 października, zanim ten przedmiot nadszedł pod obrady *in pleno.*

Ztąd naturalnie wielka radość w narodowym obozie czeskim i równie wielkie, jeżeli nie większe, oburzenie w niemieckim. Wszczęła się gwałtowna wojna dziennikarska w „sprawie teatru."

Dzienniki niemieckie dowodziły cyframi, że od 1873 roku kraj wydał:

na teatr czeski	1,178,787 fl.
na niemiecki .	675,501 „
więc na czeski więcéj o	503,286 fl.

Gazety czeskie wykazywały znowu cyframi jeszcze gruntowniéj stwierdzonemi, że od roku 1859 prowincya czeska wydała:

na teatr niemiecki . . .	1,243,224 fl. 62½ kr.
„ „ czeski	1,178,968 „ 86½ „
zatém na niemiecki więcéj o	64,255 fl. 76 kr.

daléj, że od 1798 r. do 1859 z majątku krajowego wydano w okrągłych cyfrach na teatr niemiecki 700,000 fl., gdy w ciągu tego całego czasu, wydatek na teatr czeski wynosił tylko *kilka tysięcy guldenów*, tak że można była według tego powiedzieć: od 1798 r. do 1883 wydano z majątku krajowego w okrągłych sumach:

na teatr niemiecki . .	1,950,000 fl.
„ „ czeski. . . .	1,190,000 „
więc na niemiecki więcéj o	760,000 fl.

Do tego łączy się jeszcze ważna okoliczność, że naród czeski drogą dobrowolnych składek dostarczył na czeski teatr:

od roku 1851 do 1881. . .	1,050,000 fl.
po pożarze	1,200,000 „
razem .	2,250,000 fl.

gdy tymczasem ludność niemiecka Czech na teatr niemiecki w Pradze nie poświęciła *ani jednego krajcara.*

W końcu Niemcy rozpoczęli składkę na budowę drugiego niemieckiego teatru w Pradze, która dotychczas (koniec kwietnia 1883) przyniosła przeszło 300,000 fl.

Widzimy z tego wszystkiego, że walka narodowa w Czechach prowadzi się na całéj linii z wielką zaciętością i że koniec jéj obecnie przewidzieć się nie da. Naród czeski jest główną przeszkodą do niemieckiéj hegemonii w Austryi, jak również do urzeczywist-

nienia tych wielko-niemieckich planów, w których idzie po prostu o egzystencyą Austryi. I dlatego to życie narodowe ludu czeskiego pozostaje w ścisłym związku z utrzymaniem monarchii austryackiéj. Do ucisku Niemców naród czeski nigdy nie może dążyć, jeżeli nie zechce narazić własnego bytu. Ale naród czeski podniesie się niewątpliwie tak wysoko w swoim duchowym rozwoju, że Niemcy nie będą mieli żadnéj przyczyny uważać równouprawnienie z nim jako poniżenie, a ogólny postęp ludzkiéj cywilizacyi w Europie przyczyni się również do tego, ażeby każdy europejski naród uważał, despotyczne panowanie nad innym narodem i tamowanie mu swobodnego rozwoju jego indywidualnego życia, za niezgodne z chrześciańską kulturą i uobyczajeniem. Nadejście tych lepszych czasów jest w ręku Boga.

Dr. Gabler.

PRZEKŁADY EURYPIDESA

(Tragedye Eurypidesa. Przekład Z. Węclewskiego, 3 części, str. XLIV, 398,485,413. Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiéj 1881—1882).

Ten, którego Arystoteles w poetyce swojéj najtragiczniejszym z tragików helleńskich nazwał, używał istotnie zarówno u spółziomków swoich jak i u późniejszych narodów jeżeli nie sławy to popularności największéj. Świadczą o tém wiadomości o liczbie przedstawień sztuk jego w Grecyi, świadczą sądy krytyków, a po części także świadczy o tém cyfra zachowanych do dziś dnia dramatów jego. Nie samemu to bowiem trafowi przypisać wypada, iż utworów Eurypidesa mamy ogółem 19, gdy tymczasem po Eschilu i Sofoklesie zostało nam tylko po 7. Przyczyną tego faktu nie jest szczególna płodność Eurypidesa, któremu krytyka przyznaje 75 do 92 dramatów, gdyż Sofoklesowi znacznie więcéj taż krytyka przypisuje (od 113 do 131), ale prawdopodobnie wielka liczba egzemplarzy dzieł jego wywołana niepospolitym na nie popytem.

Krytycy aleksandryjscy, rozpatrując porównawczo utwory poetów, naznaczyli wprawdzie Eurypidesowi trzecie w rzędzie tragików miejsce i to określenie znaczenia jego utrzymywało się w teoryi ciągle, lecz w praktyce działo się trochę inaczéj. Rzymianie w szczupłym zakresie swojéj twórczości tragicznéj brali sobie za wzór właśnie tego trzeciego tragika, nie zaś dwu pierwszych. W wieku odrodzenia najwcześniéj ogłoszono drukiem niektóre tragiedye Eurypidesa, już-to dla ich patetyczności, już-to dla mnóstwa sentencyi sceptyczno-filozoficznych, tak dobrze przypadających do gustu humanistom z końca XV i początku XVI stulecia. W dalszym rozwoju dramaturgii mianowicie we Francyi, stał się Eurypides wzorem dla neo-klasycyzmu, a jego najgorliwszy zwolennik Racine upodobanie swoje przekazał z kolei swoim naśladowcom.

Dopiero w skutek zmiany pojęć estetycznych pod koniec wieku zeszłego zaczęto wracać do poglądów krytyki aleksandryjskiéj, uzasadniając jéj ogólnikowe określenie szczegółowym dramatów Eurypidesa rozbiorem. Najgłośniejszym i najbardziéj wpływowym rzecznikiem tego zmienionego zapatrywania był August Wilhelm Schlegel, który w odczytach o dziejach sztuki dramatycznéj, przyznawszy pewne zalety tragiedyom Eurypidesa, i wytknąwszy ich wady, ustalił kilka sądów estetycznych, utrzymujących się do dni obecnych a stanowiących miarę wartości poetycznéj Eurypidesa wśród ogółu inteligencyi.

Taki jest w najogólniejszych zarysach przebieg dziejowego traktowania poety „najtragiczniejszego.“ Jak w wielu innych sprawach tak i w téj myśmy szli za prądami ogólnemi, o samodzielnym sądzie nie myśląc, lecz ulegając temu, który był panującym, czy to w kierunku entuzyastycznym czy krytycznym.

Przypatrzmy się temu kilkowiekowemu rozwojowi w tych szczupłych zjąwiskach w jakich się on u nas uwydatnił.

I.

Zajęcie się nasze Eurypidesem datuje od początków XVI stulecia, i wypływa oczywiście z ogólnego humanistycznego prądu. Ani Eschila ani Sofoklesa nie drukowano wówczas w kraju; druku krajowego tragiedyi Eurypidesowych także nie mamy co prawda, ale jest z r. 1511 wydanie wiedeńskie Hekuby i Ifigienii w tłómaczeniu Erazma z Roterdamu drukowane przez Victora *dla kraju*, jak świadczą herby Polski, Litwy, Krakowa i Akademii w niém się znajdujące (1) Fakt to wprawdzie odosobniony i nie może dowodzić wielkiego zamiłowania do studyów nad Eurypidesem, ale bądź-co-bądź wykazuje, że predylekcye humanistów dla tego tragika znalazły oddźwięk i u nas.

Toż samo znaczenie przypisać można tłómaczeniu krótkiego urywka z Alcestys, tragiedyi Eurypidesa, dokonanemu przez najznakomitszego poetę wieku XVI przez Jana Kochanowskiego. Pomiędzy fragmentami po nim pozostałemi, znaleziono urywek p. n. „Alcestis męża od śmierci zastąpiła.“ Czy tytuł dany był przez samego poetę, czy téż przez wydawcę „Fragmentów“ (z r. 1590) Jana Januszow-

(1) Zob. Jochera Obraz literatury t. I, str. 6, K. Estreichera „Bibliografia polska XV—XVI stulecia,“ 1875, str. 141. Podane tu są trzy biblioteki polskie, w których egzemplarze wydania tego do dziś dnia się przechowują.

skiego, trudno dziś wiedzieć. Dlaczego nie wymieniono autora, z którego urywek był tłómaczony, to tylko domysłem wyjaśnić da się. Autorowie nasi z XVI wieku, naśladując i przerabiając poetów greckich i rzymskich, rzadko bardzo uważali za potrzebne objaśnienie, skąd pomysły swe i wyrażenia czerpali, nie dlatego, żeby milcząco plagiatu się dopuścić, lecz dlatego, że wśród sfery inteligentnéj dla któréj pisali, wzory owe klasyczne jako dostatecznie znane przypuszczali.

Tłómaczenie Kochanowskiego 85 początkowych wierszy dramatu, który powszechnie za jeden z najpiękniejszych się poczytuje, może było rodzajem przygotowania do oryginalnie napisanéj w stylu tragiedyi starożytnéj „Odprawy Posłów Greckich;" a gdyby to przypuszczenie odpowiadało rzeczywistości, mielibyśmy powód mniemać, że tęż „Odprawę" pod wpływem Eurypidesa poeta nasz utworzył.

Charakter przekładu odznacza się zupełną niemal wiernością w dyalogach, gdy tymczasem w przemowach dłuższych i w śpiewie jest dość swobodną parafrazą. Porównywając tłómaczenie to z dziś ustalonym tekstem (1), potrzeba zawsze pamiętać, że Kochanowski miał przed sobą oryginał w wielu punktach od obecnie rozpowszechnionego odmienny. To mając na pamięci, nie weźmiemy może poecie naszemu za dowód niewierności, kiedy w dwu miejscach użył zdania pytającego zamiast twierdzącego („Toli Alcestis obierała, kiedy zastąpić męża i umrzeć zań rzekła?" „A odwiodęż ją pod ziemię głęboką?") Potrzeba-by mieć tekst, z którego Kochanowski tłómaczył, ażeby wiedzieć, czy odstąpił od niego, tłómacząc wiersz 38 i 39. *Apollo* tu mówi: „Nie bój się krzywdy i gwałtu odemnie," *Śmierć* odpowiada: „Jako się nie bać, takim ciebie widząc." Dzisiaj przyjęty tekst podaje zupełnie co innego. *Apollo* mówi: „Nie bój się, mam prawo za sobą i słuszne powody;" *Śmierć* odpowiada: „Na cóż więc trzymasz łuk, jeśli masz prawo?"

Niewiernością już jest widoczną, gdy wbrew temu, co parę wierszy daléj sam Kochanowski miał napisać, powiadał, że Apollo *ubłagał* Parki, zamiast podszedł (oszukał). Niedokładnie oddana jest myśl poety, gdy Apollo ma się oddalić z domu Admetowego mówiąc: „żebych przy tym nieszczęściu nie był" poeta bowiem zaznacza przyczynę w słowach, „żeby mię zakała (śmierci) w tym domu nie dotknęła." Nie może też zadowolnić wyrażenie śmierci:

(1) W zestawieniach posługuję się tekstem z wydania Fixa, Paryż u Didota, 1855.

Na nowe *krzywdzisz* łamiąc nasze *prawa*
I *łupy* nasze gwałtem wydzierając.

W oryginale bowiem czytamy: „Znowuż źle czynisz, umniejszając i niszcząc prawa podziemia.“ Słowo greckie *adikejs* przełożył poeta przez *krzywdzisz* wbrew zwyczajowi języka polskiego, który przy tém słowie domaga się przedmiotu wyraźnego (kogo? co?), a do dwu imiesłowów oryginału dołączył dwa wyraźne przedmioty (*prawa*, *łupy*), lubo tekst przedstawiał tylko jeden (*timas*).

W wierszu 58 Apollo mówi do śmierci u Kochanowskiego:

Jakoś rzekł? Czy się nie pomścisz, choć mądry?

Według tekstu dziś przyjętego całkiem inaczéj to ironiczne zdanie rozumiéć wypada. „Coś rzekła?—mówi Apollo—toś ty chyba sofistka mimo naszéj wiedzy?“ (1). Oprócz téj niewierności względem tekstu (dzisiejszego przynajmniéj) uderza nas użycie rodzaju męskiego w przemowie do postaci rodzaju żeńskiego (rzekł, mądry); w niektórych wydaniach wiersz ten zaliczono do mowy śmierci, przemawiającéj do Apollina; ale ta okoliczność dając dostateczne wyjaśnienie co do tego wiersza, nie daje go względem wiersza 46, o którym już poeta nasz nie mógł miéć najmniejszéj wątpliwości, że jest przez Apollina do śmierci wystosowany. Śmierć pyta Apollina, dlaczego Admet jest na ziemi a nie pod ziemią, Apollo odpowiada: „iż za się żonę dał, po którąś *przyszedł.*“ Widoczną jest rzeczą, że Kochanowski mając przed oczyma wyraz grecki *thanatos* rodzaju męskiego, miał go i w myśli przy tłómaczeniu i nie zwrócił uwagi na wyraz polski. Być może, iż wyraz *śmierć* byłby zastąpił wyrazem Zgon, gdyby był sam wydał „Fragmenta,“ albo téż byłby przerobił te parę ustępów, w których początkowo nie zważał na różnicę rodzajów.

W śpiewie chóru, który w wydaniach Kochanowskiego przypisany jest Apollinowie zbyt zwięźle wyrażone jest zdanie wypowiadające niepewność, czy Alcestis żyje jeszcze czy nie:

Ale nigdziéj przyjaciela
Nie masz, coby nam powiedział
Jeśli już umarłéj płakać
Królowéj mamy, *czy jeszcze*
Żywa Alcestis. .

---

(1) Mimochodem wspomniéć trzeba, że i przekład tego wiersza podany przez p. Węclewskiego dokładnym nazwać trudno. Czytamy tu: „Co rzekłaś? mimo wiedzy mądrą nawet jesteś?“ Wyrażenie: *mimo wiedzy* daje do myślenia, że śmierć *bezwiednie* jest mądrą, a tego w oryginale nié ma.

Przełożywszy wiernie wiersze początkowe, w dwu końcowych skraca poeta nasz wyrażenie Eurypidesa, który powiada: „czy żyjąc patrzy jeszcze na światło córka Peliasza, Alcestis.“

Prócz powyżéj zaznaczonych odstąpień od oryginału, są jeszcze inne cechy w przekładzie Kochanowskiego zasługujące na wzmiankę. Cyklopów, „kowali Zeusowego ognia,“ przetwarza na „kowali *gromnych*,“ wyraz „płomień“ którym Zeus ranił w piersi syna Apollinowego wykłada przez „piorun“ dodając mu z własnego pomysłu epitet „prędkolotny.“ W wyrażeniach tych widzimy dążność do większéj zrozumiałości; wyrażenia przenośne zastępuje pospolitemi, lub zatraca przez to pewien subtelny odcień poetyczny. Z tejże dążności pochodzi, jak się zdaje, zamiana greckich nazw na łacińskie, o ile się do bogów odnoszą; stąd-to wspomniany tu jest: Jupiter, Parki zamiast: Zeus, Mojry. Z téjże wreszcie dążności wynikło użycie wyrażenia *przeżegnać kosą* włożone w usta śmierci. Wyrażenie greckie katarchesthai odpowiada co do rzeczy saméj wyrażeniu polskiemu *przeżegnać*, ale ponieważ o *żegnaniu* jako o formie przed spełnieniem ofiary dokonywanéj nie mogło być oczywiście mowy, więc téż razi to słowo (1), zamiast którego można było użyć wyrazu *poświęcać*, tém bardziéj, że i dalszy ciąg zdawał się takiego słowa wymagać („Bo to już bogom ziemnym *poświęcony*“ itd.). Śmierć grecka ma w ręku nie *kosę* ale *miecz* obosieczny (*ksifos*). Nawiasowo już tylko wspomnę, że w wierszu 67, który czytamy u Kochanowskiego: „Do zimnéj *Trąby*“ zaszła widoczna pomyłka druku; winno być *Tracyi* (wymawianéj dwuzgłoskowo), lub *Traki*.

Co do wiersza, użytego przez tłómacza, to ten w dyalogach jest nierymowy, 11-zgłoskowy; w chórze również nierymowy, 8-zgłoskowy. O zachowanie jakiegokolwiek rytmu nie stara się Kochanowski bynajmniéj, tak samo zresztą jak w swojéj „Odprawie posłów.“ Wiersze więc jambiczne i trochiczne następują po sobie dowolnie. Dwa pierwsze wiersze składają się z poprawnych jambów, trzeci już kuleje, a czwarty już przechodzi w trocheje; i znowu trzy dalsze są jambiczne; w ten sposób i wszystkie następne. Wielka-to szkoda, że Kochanowski znając metrykę klasyczną i widząc możność zastosowania jéj, w pewnéj naturalnie mierze, do wierszy polskich, nie postarał się o poprawność w tworzeniu wierszy rytmicznych, lecz

---

(1) Dziwna rzecz, że i p. Węclewski poszedł tu za Kochanowskim, tłómacząc ten wiersz: „Idę do niéj (Alcestis) *przeżegnać* ją mieczem“. Lubo wyraz żegnać pochodzi od *segnen* (błogosławić), w pojęciu jednak naszém ściśle się z nim łączy wyobrażenie oznaku krzyża. W słowie *pożegnać* już się to wyobrażenie zatarło.

poprzestał tylko na jednakowéj liczbie zgłosek, nie troszcząc się o jednakową liczbę akcentów i jednakowe ich następstwo. Zaniedbanie się jego posłużyło następcom za wzór, tak że dzisiaj, gdy teoretycznie są już ustalone szczegóły naszéj rytmiki, praktyka (z nielicznemi wyjątkami) wciąż jeszcze wzorowi owemu hołduje i ma w nim pewną wymówkę. A przecież czysty rytm jambiczny jest u nas możliwym, pokazują to pojedyńcze wiersze Kochanowskiego, Korzeniowskiego, jako też całe utwory oryginalne lub tłómaczone Ostrowskiego i Jenikego. Potrzeba-by tylko większéj o dźwięczność wiersza dbałości, potrzebaby zapoznawania uczniów w szkole z zasadami rytmiki; a moglibyśmy przywyknąć do formy wierszowania, która, w przekładach zwłaszcza, nader częste znaleść-by mogła zastosowanie.

W ciągu wieku XVII i XVIII nie mieliśmy ani wydań ani przekładów Eurypidesa. W ogólności nauka języka greckiego w tych wiekach podupadła, a interes dla arcydzieł tragicznych helleńskich zniknął. Tłómaczono w XVII stul. tylko tragedye Seneki, który był naśladowcą Eurypidesa, a częściowo zapoznawano się z Racinem, (Andromacha, w przekładzie Stanisława Morsztyna) również zwolennikiem greckiego tragika. W XVIII stuleciu wzory francuskie przesłoniły całkowicie niemal wszelkie inne, lubo co do tragiedyi, dla szkół głównie bywały spożytkowywane, gdyż publiczność dopiero z początkiem wieku XIX w nich choć trochę zasmakowała.

Ciekawy pod względem pojmowania stosunku tragików francuskich do greckich wywód znajdujemy w III-im tomie (r, 1784) „Nowego Dykcyonarza historycznego“ ogłoszonego przez Józefa Ignacego Boelckego, sekretarza gabinetu Jego Król. Mci Stanisława Augusta. Naturalnie wywód to nie oryginalny, lecz przełożony z francuskiego; dla charakterystyki wszakże poglądów szczegół to wagi podrzędnéj, gdy wszystkie ogólne przyjmowano z Francyi. „Eurypid—czytamy tedy w Dykcyonarzu—wygórował w wyrażeniu miłości, a osobliwie zbytniéj i zapalczywéj, *jaka powinna być na teatrach*; jest *uprzejmy*, tkliwy i poruszający w swych pismach.“ Po téj pochwale następuje zestawienie go z tragikami francuskimi. „Racine wskrzesił go w ostatnim wieku, dowcip jego odziedziczył, ale *więcéj mu dodał wdzięków i gustu. Trzeba być ciemnym*, lub też mocno uprzedzonym dla starożytności, *ażeby przenosić poetę greckiego nad poetę francuskiego*... Sofokles i Eurypid, *choć mają wiele niedoskonałości*, tyle dokazali u Ateńczyków, ile w naszych czasach Racine i Corneille. Ich błędy mówi pewny dowcipny autor, powinny być przypisane ich wiekowi; a wszystko to, co tylko się pięknego i wybornego w ich dziełach znajduje, do nich samych należy... Aczkolwiek Eurypid nic

miał tyle wygórowania co Sofokles, którego można nazwać Corneillem Greków, wiedział jednak, gdzie się podnieść, gdy tego rzecz wymagała. Najpospolitsze myśli przechodząc przez jego głowę, nabywały tego toku, który je czyni wspaniałemi. A co najbardziéj rodzaj ludzki interesować może, wszystkie sztuki jego tchnęły jak największą moralnością. Czerpał on ją w szkole Sokratesa i zasłużyłby był sobie na nieskończone pochwały, *gdyby ją był umiał zawsze dobrze umieścić*“ (str. 234 i 235).

Niewątpliwie zdania tu wygłoszone, przyjmowane były na wiarę ich autora albo też znajdowały oddźwięk u tych, co sobie skądinąd takie pojęcie o Eurypidesie i tragiedyi francuskiéj wyrobili. A zdania takie odstręczały od tłómaczenia Eurypidesa, boć lepiéj już było przekładać tego, który sztukom swoim dodał więcéj wdzięków i gustu, i nie okazywać się tak „ciemnym,“ żeby poetę greckiego nad francuskiego przenosić. Narazić się na zarzut ciemnoty lub zbyt wielkiego dla starożytności uprzedzenia wymagało pewnéj odwagi. Taką odwagę miał August Wilhelm Schlegel, ośmielając się ogłosić r. 1807 w Paryżu i to w języku francuskim porównanie Fedry Rasyna z Fedrą (a raczéj Hipolitem) Eurypidesa i wykazując bezwarunkową wyższość utworu greckiego nad francuskim, zarówno pod względem moralnym jak i dramatycznym.

II.

U nas nie rychło miano się zapoznać z dopiero co wymienioną rozprawą Schlegla; nie ona więc zwróciła umysły inteligencyi ku tragiedyi greckiéj i Eurypidesowi. Wzmocnienie nauki greczyzny w uniwersytecie wileńskim, zreformowanym r. 1803, i w szkołach od niego zależnych, gorliwa działalność znakomitego filologa Grodka, który szczególniéj na teatr grecki zwracał uwagę studentów i ogółu; rozbudzenie słowem zamiłowania do studyów klasycznych sprowadziło nowe, jakkolwiek nieliczne usiłowania w sprawie przyswojenia utworów tragicznéj muzy helleńskiéj językowi naszemu. Sofokles oczywiście jako pierwszorzędna potęga najpierw ściągnął baczność na siebie; lecz nie zapomniano i o Eurypidesie jako o najtragiczniejszym z tragików.

Profesor literatury w uniwersytecie wileńskim, ks. Filip Neryusz Golański w pracy swojéj p. n. „Allegorye starożytne w stosunku do I wieku sławnych ludzi Plutarcha“ (Wilno 1801), rozbierając mity greckie z punktu widzenia wieku XVIII, rozwodził się szeroko nad ich spożytkowaniem przez tragików i z tego powodu przy-

toczył w treści „Ifigenią w Tauryce“ Eurypidesa i dał z niéj obszerne wypisy w tłomaczeniu prozą. Tłómaczenie to co do myśli jest dość wierne, ale wcale niepoetyczne, co do nastroju chybione, a oprócz tego zeszpecone kilku niewłaściwemi wyrażeniami (ale, *moja pani! interesować się* i t. p.).

Jan Mihanowicz jezuita, młodo zmarły w r. 1814, wstąpiwszy do zakonu w r. 1799 na Białéj Rusi i odbywszy trzyletnie studya otrzymał na rok jeden uwolnienie od wszelkich obowiązków, aby mógł z całą swobodą oddawać się studyowaniu języka i pisarzów greckich. Studya te prowadził z wielkiém zamiłowaniem, a „lubo dobrze język francuski posiadał, wolał jednak zawsze z łacińskich i greckich pism niż z francuskich korzystać, to często powtarzając, iż lepiéj jest wodę czerpać ze źródła niż ze strumyków“ (1). Oprócz innych prac pozostawił przekład dwu tragiedyi Eurypidesa: *Fenicyanki* i *Orestes*. Pierwsza pozostała w rękopiśmie, drugą wydrukowali jezuici w swoim „Miesięczniku Połockim“ w r. 1818 (tom II i III), zalecając ją czytelnikom w słowach wielce dla tłómacza pochlebnych. „Lubo niezawsze mógł stosować się do wyrazów greckiego pisarza—powiadali —myśli jednak jego niemal wszędzie wiernie na język polski wyłożył, ducha téż rymotwórczego i właściwą pisarzom greckim wymowę zachował. Co się polskiego języka dotyczy, każdy przyzna, iż tłómacz starał się naśladować najlepszych wzorowego wieku pisarzów.“ Tak zachwalali jezuici białoruscy pracę swego brata w zakonie; czy w słowach ich jest prawda istotna, czy téż tylko panegiryk, to krótki rozbiór okaże (2).

Co do języka polskiego, ten rzeczywiście jest dosyć czysty, lecz naśladowanie najlepszych wzorowego wieku pisarzów zasadza się na użyciu dla rymu form i wyrazów archaicznych. Mamy tu więc formy: *Troiey*, *oycowi*, *sępowie*, *nazowię* i t. p.; mamy wyrazy: *szędziwy*, rycerz *odważony* (odważny), śmierć *ukwapiona*, pry i t. d., słowo *dostrzedz* w znaczeniu *dopilnować*, *dochować*. Rymy są wogóle słabe, częstochowskie, wiersze idą po sobie owemi sławnemi dwójkami zamykającemi w sobie sens gramatyczny, rozmówcy mityczni używają wyrazu *pani!* w piątym przypadku, jakby się znajdowali w salonie; co więcéj następują nawet na drogie u sukien kobiecych *korunki!*...

---

(1) *Miesięcznik Połocki*, tom II, str. 256, 7.

(2) Zaznaczyć warto, że w *Miesięczniku Połockim* nie umiano nawet podać właściwego tytułu tragiedyi Eurypidesa; powiedziano bowiem, że Mihanowicz przetłómaczył tragiedyą *Fenijczycy*, gdy znamy tylko *Fenicyanki*; widać rękopismu tłómacza pod ręką wtedy nie mieli a zbyt mało biegli byli w literaturze greckiéj i tym sposobem przekręcili napis.

Z tych cech zewnętrznych łatwo już wnieść, że tłómaczenie jest raczéj parafrazą w guście francuskim dokonaną, z podziałem na akty i sceny. Obok tekstu greckiego miał widać tłómacz jakiś przekład francuski rozwlekle opisujący, co poeta grecki w zwięzłych zawarł słowach. Konieczność gonienia rymu zwiększała jeszcze tę skłonność do gadatliwości; a wiersz 11-zgłoskowy dokonał reszty w kierunku. Stąd powstał przekład, który pod względem ilości wiersza jest zapewne dwa razy większy od oryginału. Że o zachowaniu cech subtelniejszych nie mógł nawet marzyć ks. Mihanowicz, to się samo przez się rozumie. Dyalog np. w tragiedyach greckich wogóle, a więc i u Eurypidesa składa się z długich ustępów, z dwuwierszowéj, jedno- i półwierszowéj wymiany zdań. Gdzie rozmówca wykłada rzecz swoję, lub się broni, tam Eurypides używa formy długiéj przemowy; gdzie zdania się ścierają żywo, tam zwykle jeden wiersz każdéj z osób starczy, nareszcie, gdzie odpowiedzi mieniają się jak błyskawice, tam w półwierszach się zamykają. Jest w układzie tych rozmów wielki artyzm, który nadaje właściwą cechę twórczości dramatycznéj greckiéj; Mihanowicz, przynaglony nieporadnością językową i wierszową, postępuje sobie w oddaniu tego artyzmu z zupełném niedbalstwem; naturalnie nie skraca dyalogu nigdy, ale w rozszerzaniu pozwala sobie wiele. Przykłady znaleść można w każdym występie (*epejzodion*). Oto np. w występie II, po dwu dłuższych rozmowach, idzie w 62 wierszach wymiana zdań między Menelausem a Orestesem, i jeden i drugi stale tylko jednego wiersza używają, ponieważ Menelaus zaczyna i kończy jest więc zdań jego 32, Orestesa 30. Mihanowiczowi udało się wiele jednowierszów zachować, ale w 20 miejscach musiał użyć dwuwierszy, a w jedném — aż trzech wierszy.

Zostańmy jeszcze przy tym występie, ażeby się przypatrzyć rodzajowi przekładu. Menelaus wchodząc na scenę wypowiada 24 wiersze; Mihanowicz tłómaczy je w 34; jest-to stosunek jeszcze dość dobry, gdyż bywają takie wypadki, że 10 wierszy oryginału tłómacz oddawał 20-ma. Posłuchajmy choć kilku:

Glaukus, co wieszczkiem Nereusza słynie,
Znajomy wszemu, co po morzu płynie,
Co wieszczym duchem prawdziwie natchniony,
Wydaje wyrok niczem niecofniony,
Glaukus nad wodą nam się jawnie stawił,
Ucichło morze, a on tak mi prawił:
„O Menelae! już brat twój rodzony
Między umarłe w grobie położony,
Żona *fatalną wannę mu sprawiła,*
Otarła z potu a życia zbawiła.“

Pomijając braki dykcyi i wierszowania, zaznaczyć należy, że cała ta rozwlekła gadanina przedstawia się w oryginale jako zwięzłe 5-wierszowe wspomnienie. „Znajomy *wszemu* co po morzu płynie“ wyrażono w greckim przez dwa wyrazy: „wieszczek żeglarzów.“ „Co wieszczym duchem prawdziwie natchniony“ — również w dwu wyrazach: „bóstwo prawdomówne.“ Wiersz: „wydaje wyrok niczém nie cofniony“ nie istnieje w oryginale i jest bezsensowym, boć Glaukos nie ogłaszał żadnego wyroku, tylko dawał Menelausowi wiadomość. Pompatycznego wyrażenia: „ucichło morze!“ niema również w tekscie greckim. Przemowa Glaukosa jest bardzo krótka i bardzo prosta w greckim: „Menelausie! brat twój leży martwy, zginąwszy w ostatniéj kąpieli przygotowanéj przez żonę.“

Przenieśmy w myśli tę rozwlekłość i tę dowolność przekładu, stwierdzoną w tym krótkim ustępie, na cały utwór, a otrzymamy przybliżone wyobrażenie o nudach, jakie musiał czytelnikom sprawiać. Przekład ten nie mógł oczywiście zalecić Eurypidesa ogółowi polskich czytelników; owszem mógł się on do tragiga tego zrazić całkowicie.

W r. 1829 wyszła w Wilnie książeczka p. n. „Orestes, trajedya Eurypidesa w pięciu aktach, z greckiego na polski język wierszem przełożona;“ druk M. Romma i Z. Szrift-Gissera, w 8-ce, str. VI, 112. P. Estreicher w „Bibliografii Polskiéj XIX stulecia“ umieszczając tytuł jéj, nie podał nazwiska tłómacza, który nigdzie w całéj książce nie był wymieniony. P. Węclewski w „Historyi literatury greckiéj“ (str. 169) rzucił nawiasowo domysł, że to praca Eliaszewicza, znanego w owych czasach tłómacza dwu tragiedyj Sofoklesa. Domysł ten jest błędny, z porównania okazuje się, że to po prostu przedruk przekładu Jana Mihanowicza z „Miesięcznika Połockiego.“

Takie są ślady zajmowania się Eurypidesem w początkach naszego stulecia. Obok nich zapisać należy wyrabiające się pod wpływem nowego prądu literackiego, romantyzmu, poglądy na poezyą starożytną, a więc i na tragiedyą. Mam tu szczególniéj na myśli przekłady prac braci Schleglów. W roku 1830 wyszły w Warszawie: 1) „Porównanie Fedry Rasyna z Fedrą Eurypidesa, rozprawa Augusta Wilhelma Schlegla“ (str. 119); 2) „Kurs literatury dramatycznéj A. W. Schlegla, przekład Erazma Komarnickiego;“ tom pierwszy (jedyny jaki był drukowany), zawierał obraz dramaturgii greckiéj. Z datą zaś r. 1831 ogłoszono 1-szy tom „Obrazu literatury starożytnéj i nowożytnéj Fryderyka Schlegla.“ Jak w XVIII wieku francuskie, tak wówczas niemieckie poglądy, wprost tamtym przeciwne, zaczęto za pośrednictwem dzieł tych rozpowszechniać. Do obrobienia ich jednak szczegółowego a samodzielnego nie przyszło

na razie, gdyż wypadki r. 1831 inny kierunek ruchowi umysłowemu nadały.

Przez lat 20 studya klasyczne, po części z powodu zamknięcia dwu uniwersytetów (warszawskiego i wileńskiego) oraz liceum krzemienieckiego, po części z powodu pewnego lekceważenia dla literatury starożytnéj, zostały zaniedbane, a z niemi razem i zajęcie się Eurypidesem. W tym przeciągu czasu jeden tylko Alfons Walicki, znany jako profesor filologii i tłómacz Sofoklesa, wykończył przekład „Medei" Eurypidesa, lecz przekład ten druku się nie doczekał.

A gdy około r. 1850 nanowo się obudził pewien, dość chłodny zresztą interes dla literatury greckiéj, to się zwrócono przedewszystkiem do Sofoklesa i Eschila, pobocznie tylko traktując Eurypidesa. Z początku wychodzą tylko rozprawki po niemiecku i po łacinie, a zatém dla szczupłego jedynie grona czytelników. Rozpoczyna szereg praca Morawskiego p. n. „Das erste Stasimon aus Euripides Iphigenia in Tauris, übersetzt und erklärt" (Tarnow, 1853 w programie szkolnym). Praca ta dowodzi, że najtragiczniejszy z tragików stał się już przedmiotem studyów specyalnych. W roku 1858 znajdujemy rozprawkę filologiczną Władysława Kolanowskiego, któréj przedmiot stanowiła sztuka najpierw na język polski jeszcze w XVI wieku tłómaczona (*Quaestiones criticae in Euripideam Alcestidem*, Poznań). Tenże autor w dziesięć lat potém wydał rzecz ogólniejszéj treści tegoż dramatu dotyczącą: *De natura atque indole fabulae Euripideae, quae Alcestis inscribitur*, Ostrowo) (1). W r. 1867 Szczerbowicz-Wieczór drukuje w „Bibliotece Warszawskiéj" studyum źródłowe p. n. „Eurypides nieprzyjaciel kobiet," gdzie zebrał wszystkie zdania, jakie tragik grecki z powodu niewieściego w utworach swoich wygłosił. W r. 1868 Jul. Czwalma ogłasza w Berlinie doktoryzacyjną zapewne rozprawę *De Euripidis studio ae quabilitatis.* Wreszcie r. 1874 w Rosztoku wydaje swoję doktoryzacyjną dysertacyą Jan Łabujewski, zastanawiając się szczegółowo nad 50 wierszami z „Elektry" (*Quaestiones de cantico quod legitur apud Euripidem in Electro v. 433—485*).

Co do przekładów, to te zjawiają się dopiero od roku 1865. Początek dał p. Zygmunt Węclewski, znany już wówczas z prac swoich nad dramaturgami greckimi. W owym roku ogłosił on tłómaczenie „Hekuby" Eurypidesa. Wspominam ją tutaj jedynie dla zaznaczenia zasługi pierwszeństwa chronologicznego; a ponieważ

(1) Może zresztą jest-to rzecz taż sama tylko pod innym napisem. Znam ją tylko bibliograficznie.

tłómacz niezmordowany dał nam późniéj przekład wszystkich dramatów Eurypidesa, powiem więc niebawem o jego tłómaczeniach wogóle, zaznajomiwszy wprzód czytelników z odosobnioną pracą na tém polu p. Grabowskiego.

P. Stanisław Grabowski „magister nauk filologiczno-historycznych b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, b. nauczyciel gimnazyum,“ ogłosił w Warszawie, nakładem własnym książeczkę o 68 stronach p. n. „Medea, tragedya Eurypidesa.“ W przedmowie usprawiedliwia wydanie swego tłómaczenia najprzód tą okolicznością, że „Eurypides najmniéj był w kraju naszym tłómaczony i najmniéj jest znany,“ a powtóre tém, że charakter jego twórczości zbliża się niektóremi cechami do prac pisarzy nowożytnych. Na czém głównie zbliżenie to polega, stara się tłómacz wyjaśnić w następnym zawiłym myślowo i składniowo okresie: „Starożytna estetyka zarzucała mu zbytek patetyczności; ale możnaby twierdzić, że patos Eurypidesa służył mu jako środek do jeszcze większego uplastycznienia swoich kreacyj niż to inni dramaturgowie czynili, a nadto *mu* przedstawiał *możliwość* nadania swoim figurom większéj *psychologicznéj realności.*“ Co tłómacz rozumie przez plastyczność, jakim sposobem za pośrednictwem patosu można nadać figurom większą *psychologiczną* realność; tego pochwycić niepodobna, ale zagłębiać się podobno w sens ukryty nie ma potrzeby, gdyż p. G. widocznie nad oddaniem myśli przez wyrazy niewiele się zastanawiał, jak to widać ze zdania o tém, coby Szekspir z Medei zrobił. „Shakspear—czytamy tu—byłby może ze szkodą jedności w sztuce bardziéj wszechstronnie postać Medei *narysował* i do plastyki *posągu* radby on zapewne dodał nieco uświetniających *kolorów.*“ Mniejsza już o to, że rysunek raptem w posąg się przeobraża, ale co znaczy nadanie uświetniających kolorów posągowi? Trzymając się przenośni, znaczyłoby to, że Szekspirby posąg swój... pomalował.... Czy p. G. to chciał wyrazić i czy na tém według niego właściwość Szekspira polega; a potém, czy posąg pomalowany zyskuje co na piękności?

Zaniechajmy kwestyj estetycznych a przejdźmy do samego przekładu. Z przedmowy już widać, że tłómacz niezbyt dzielnie włada językiem ojczystym. Nie było-to potknięcie się tylko, ale podobno nieudolność trwała. W tłómaczeniu spotykamy takie formy jak *weszedłeś*, *krzykła*, *buchła*, *zmięknieć*, oczy *zamkle*, *szorek* i gniew, przepadnij *złoczyńczynio*, *zabójczynio*; takie zdania jak: „jednakżem w takim *nie jest* położeniu“; „straszny-to gniew gdy *ten*, *który* mąż z żoną pomiędzy sobą jak dwie tarcze *zewrą*“!; „z cudzoziemką cię *dobrze nie osławi*“; „i nie pozwolisz, *gdy* kto z nieprzyjaciół *uprowadzić-by* mię zechciał od ciebie“; jeśli żona szacuje mię cokol-

wiek, *to ci jeszcze, to jeszcze ciebie* pieniędzmi obdarzy," chmura gniewem *napchana* i t. d.

Stosunek przekładu do oryginału pod względem zarówno myślowym jak i estetycznym skromnych nawet wymagań zadowolnić nie może. P. Grabowski tłómaczy dyalogi najlichszym wierszem białym o 11 zgłoskach nie dbając ani trochę o zachowanie jakiegotakiego rytmu; dykcyi używa jaknajprozaiczniejszéj i jaknajbardziéj powikłanéj; chóry oddaje bezładnie; estetycznego zatém zadowolenia dać czytelnikowi nie jet w stanie, a poecie ujmę czyni ogromną. Ale gdyby na tém tylko poprzestał! Przeciwnie, w każdym niemal wierszu wykazuje albo błędne albo niedokładne zrozumienie tekstu. Tak np. zwięzłe wyrażenie Eurypidesa: „Na brodę twoję zaklinam cię; nie kryj nic przed spółsłużebną; jeśli potrzeba, milczenie o tém zachowam" oddaje tłómacz w 4 rozwlekłych wierszach, w których jakby podwójny dawał przekład tego ustępu, bojąc się, czy trafił w sens istotny:

Na twoją brodę błagam cię, o *starcze*
Zdumieję się twojemu milczeniu.
Na twoją brodę! przed wspólniewolnicą
Dłużéj nie skrywaj tajemnicy swojéj.

Że ani w pierwszém ani w drugiém nie odtworzył właściwéj myśli oryginału, dowodzić chyba nie potrzeba. Takiego rodzaju ustępów w przekładzie jest bardzo dużo; lecz obok nich są inne dowodzące, że autor poprostu nie rozumiał tekstu. Oto przykład jeden z kilku:

Taki przynajmniéj wspólny punkt widzenia
Jest mój i twój, że czujesz dobrze pewnie,
Że pragnęłabym, ażebyś milczała,
Jeśliby siła się na to znalazła,
By za nieszczęścia *Jazon się pomścił*
Na tym, co córkę swą dał mu w zamęście.

Zupełnie co innego ma na myśli Medea, z któréj mowy wyjęte są niby zdania powyższe; myśli ona o swojéj a nie o Jazona zemście. Oto przekład dosłowny: „To więc tylko na tobie wymódzbym chciała, ażebyś milczała, jeślibym wynalazła jaki sposób i środek pomszczenia się na małżonku (Jazonie) za to złe które mi wyrządził, na tym co mu daje swą córkę (Kreonie) i na téj co zań idzie." Zresztą i te dowody staną się może zbytecznemi, gdy powiem, że wyraz grecki *nymphe*, znaczący po prostu tyle co „narzeczona" oddaje tłómacz przez wyraz *nimfa!*

Używając słowa najwyrozumialszego, powiedziećby trzeba, że przekład „Medei," to robota studencka bez uwagi najmniejszéj do-

konana na prędce i oddana do druku w stanie okropnéj mazaniny, w któréj było tu i owdzie po parę tłómaczeń jednego zdania, nie usuniętych następnie nawet w korekcie.

Od téj tandetnéj bazgraniny przechodzimy z prawdziwém zadowoleniem do pracy sumiennéj, gruntownéj i rozumnéj prof. Zygmunta Węclewskiego, który dokonawszy już poprzednio przekładu wszystkich tragiedyj Eschila i Sofoklesa, podjął mozolne zadanie przetłómaczenia wszystkich dramatów Eurypidesa. Jak Eschil i Sofokles tak i Eurypides wyszedł w przekładzie polskim nakładem biblioteki kórnickiéj, która nie pożałowała kosztów na bardzo ładne pod względem typograficznym wydanie.

Nie będę się tu szczegółowo rozpisywał nad rodzajem przekładu prof. Węclewskiego; przed siedmiu laty w tém piśmie przedstawiłem już swoje uwagi nad tłómaczeniem tragiedyi Sofoklesa dokonaném przez niego; teraz zaznaczyć tylko mogę, że sposobu przekładu p. Węclewski nie zmienił, powtarzać więc tego, co się dawniéj powiedziało, nie widzę potrzeby. Poprzestanę więc na charakterystyce ogólnéj.

Przedewszystkiem, jak widać z powyższego przeglądu prac nad Eurypidesem, nie mieliśmy od XVI wieku aż do naszych czasów, nawet próby przekładu wszystkich dramatów tragika greckiego. Prace owe były luźne, odosobnione. P. Węclewski pierwszy daje nam całość Eurypidesa. Jest-to zasługa ogromna. Kto chce się obecnie zapoznać u nas z utworami jego, nie potrzebuje się już uciekać do przekładów francuskich lub niemieckich, bo ma tłómaczenie w języku ojczystym, najmilszym i najzrozumialszym. A gdy jeszcze weźmie dawniejsze przekłady Eschila i Sofoklesa, będzie mógł zapoznać się z najznakomitszemi, w całości do nas doszłemi, tworami tragiki greckiéj.

Ażeby zaznajomienie się to o ile możności uprzystępnić, zrobił p. Węclewski wszystko, co było w jego mocy.

Na czele przekładu pomieścił życiorys Eurypidesa źródłowo opracowany oraz rozprawkę o jego dziełach. W życiorysie zebrał starannie a nawet skrupulatnie te okruchy, jakie nam z przekazanych przez starożytność wiadomości pozostały, popierając każdy ważniejszy szczegół stosowną cytatą z oryginałów greckich, na podstawie których biografią kreślił. Wszędzie stara się o krótkość i zwięzłość, nigdzie nie puszczając wodzów nie tylko wyobraźni, ale nawet dozwolonéj kombinacyi zdarzeń. Stąd życiorys przedstawia greckiego poetę trochę w odosobnieniu od epoki, w któréj żył, a raczéj nie uwydatnia tego potężnego ruchu umysłowego, jaki w Attyce z V wieku panował. Suche wymienienie nazwisk mówi

naturalnie wiele tym, co epokę tę dobrze znają, ale dla szerszego ogółu jest niemém. Nie znaczy to jednak bynajmniéj, ażeby ten szerszy ogół nie mógł nic skorzystać z życiorysu Eurypidesa, jeśli go przeczyta uważnie; owszem poznać on może to wszystko, co *faktycznie* o tragiku greckim wiemy. Takie zadanie założył sobie niewątpliwie autor i spełnił je wybornie. Zarzut powyżéj uczyniony wyraża to jedynie, że z uwzględnienia tła dziejowego odniósłby zwykły czytelnik większy pożytek aniżeli z suchego wyliczenia szczegółów czysto biograficznych.

W rozprawie o dziełach Eurypidesa tłómacz podawszy wiadomość o liczbie utworów przypisywanych tragikowi, wylicza 19 sztuk jego obecnie jeszcze istniejących, kreśli w najogólniejszych rysach ich treść, ustala jeżeli to tylko jest możliwém czas, w którym zostały przedstawione. Następnie ujmuje pogląd swój na twórczość Eurypidesa w formę charakterystyki zmian, jakie tenże w teatrze greckim „prawie we wszystkich kierunkach“ zaprowadził. Za punkt wyjścia w charakterystyce téj posłużył tłómaczowi bezpośrednio lub pośrednio piąty odczyt A. W. Schlegla o literaturze dramatycznéj; wszystkie główniejsze zdania p. Węclewskiego można już odnaleść u Schlegla, szczegóły nawet w dowodzeniu bywają téż same; mimo to przecież niepodobna nazwać charakterystyki podanéj przez p. Węclewskiego kopią charakterystyki Schleglowskiéj; przeprowadził ją bowiem w sposób sobie właściwy. Podaję ją w streszczeniu ogólnikowém.

Widząc—mówi p. W. jak stopniowo szerzy się gminowładztwo i pojmując dokładnie zmianę zaszłą i rozrywanie się węzłów w stosunkach społeczeńskich starodawnych a uświęconych *prawami natury* (?), podjął się Eurypides rozwiązać, ze sceptyczną bystrością i trzeźwością rozumu filozoficznego, zadania wielkie czasu i zbudować na szczątkach starego państwa *przyrodzonego* (?) gmach nowy. Wśród ruchu i wrzątku czasu nieszczęsnego, nad którym górował, wyzuł przeto tragiedyą z szaty idealności i ściągnął ją do nagiéj rzeczywistości życia codziennego. Żaden téż sofista ani filozof nie przyczynił się bardziéj do wstrząśnienia staréj wiary ludowéj niż Eurypides... Prawda, szanując zwyczaj, pokazywał jeszcze w dramatach swoich widzom uświęcone wiekami bóstw postacie: szafował nawet niemi rozrzutniéj niż wielcy jego poprzednicy, ale boskości i świętości już w nich nie było.., Czémże są po największéj części bogowie Eurypidesa? Są oto albo osobą deklamującą prolog, albo maszyną sprowadzającą rozwikłanie zagmatwanéj akcyi dramatycznéj: schodzą przeto z tronów swoich i zniżają się do rzędu sług teatralnych... Z tém wszystkiém wpływ bóstwa, potęga przeznaczenia nie ustały

całkowicie w dramatach Erypidesa. U Eschila i Sofoklesa bogowie wtrącają śmiertelników w nieszczęścia nieuchronne; u Eurypidesa zsyłają na nich namiętności niepokonane...

Eurypides, będąc głębokim i bystrym znawcą serc ludzkich, był wybornym malarzem namiętności; malował chętnie niemoc woli, boleśny szał, obłąkanie, zgryzoty sumienia lub rozpacz. Nikt nie wystawił na scenie w rysach żywszych i silniéj wstrząsających serca widzów okropnéj walki duszy, natłokiem nieszczęść przywalonéj i strasznemi bólami szarpanéj, lub téż okropnego obrazu rozumu zwichniętego wśród bezmiaru niedoli. Czasami, idąc za wzorem poprzedników swoich każe bohaterkom swoim (jak Ifigienii, Poliksenie, Makaryi, Ewadnie, Alceście, Andromasze, Elektrze) okazywać serce bohaterskie wśród nieszczęść największych, wywołując tym sposobem najwyższy stopień patetyczności; częściéj jednak „poeta dręczy i katuje widzów przez nieznośny nadmiar niedoli i powodzią narzekań.“ Wyprowadza więc na widownię to starców zgrzybiałych, którzy z biedą wielką wloką się po scenie i lada chwila mogą wyzionąć ducha, to nieszczęśliwców upadających pod brzemieniem niedoli, dręczonych niedostatkiem, cierpieniami fizycznemi i obłąkanych, to bohaterów pokrytych łachmanami, łamiących się z niepokonanemi przeciwnościami... U Eschila i Sofoklesa patetyczność była punktem wyjścia, u Eurypidesa—celem... Bohaterowie dawniejszych tragiedyi, co jakby półbogi jakie ukazywali się widzom, teraz pozbawieni blasku fantastycznego, odłączającego ich od reszty śmiertelników, zniżyli się do ich poziomu, a podzielając biedę i słabości ludzkie, zrównali się z „podłym gminem,“ niczem się już od niego nie odróżniając.

Retoryczne wykształcenie Eurypidesa silnie się odbiło na jego utworach. Lud za jego czasów zachwycał się szermierką słów, słuchał chętnie jak na scenie odtwarzano fortele i kruczki mównicy i kratek sądowych, spoglądał z lubością na osoby przypominające mu żywo mówców, adwokatów i sofistów. Prawda, mowy włożone przez Eurypidesa w usta osób przedstawiających wieki bohaterskie są niekiedy satyrą na nadużycia i przesadę, których się dopuszczali w rozumowaniu i wymowie niektórzy spółcześni celem obałamucenia umysłów; atoli nierzadko poeta, nicując złe, nie zdołał się uchronić zarazy. Dowodzi zaś Eurypides w tym względzie mistrzostwa prawdziwego; a wytrawny i obrotny, używa talentu—co na pochwałę jego wyznać należy—zawsze na poparcie najzacniejszych nauk moralnych.

Skłonność do satyry „obcéj wcale duchowi tragiedyi“ sprawiła, że starców wystawia Eurypides „nie tylko jako zgrzybialców nie-

dołężnych, ale oszpeca ich oraz przywarami sierdzistości, przechwalania się i gadulstwa i piętnuje ich opacznością rozumu,“ a w opisie słabostek i wad kobiecych nie zna miary, gdy nawet w tych utworach, w których niewiasty wzruszają i wzbudzają podziwienie prawdziwą bohaterskością kłuje ich żądłem nielitościwego dowcipu. To też nie bez słuszności można Eurypidesa uważać za poprzednika albo nawet za twórcę „nowszéj komedyi“ attyckiéj, która zamiast osób zwykle chłostała biczem satyry obyczaje.

Pod względem formy, sztuki Eurypidesa zastanawiają przedewszystkiém *proglogami* i *teofaniami* (*deus ex machina*). Prologi objaśniają rzecz, która ma się odegrać przed oczami widzów, pod wielu względami: gdzie się dzieje, na jakiém jest stanowisku w chwili, gdy się czynność dramatyczna poczyna, a jeżeli bóg mówi prolog—jaki obrót nawet weźmie sprawa. Eurypides potrzebował ich aby umotywować przyczyny, dla których tak silne namiętności wstrząsać mają ludźmi, co na scenę wystąpią. Teofanie znowuż były mu potrzebne dlatego, że wątek dramatów jego jest zbyt zwikłany, ażeby bez zewnętrznéj pomocy rozsnuć się mógł do końca. Gdy namiętne czyny osób działających nie mogą doprowadzić żadnéj strony do stanowczego zwycięztwa lub do zgody, wówczas ukazuje się maszyną dźwigane—w powietrzu zwykle—bóstwo, oznajmia wolę przeznaczenia i w sposób dyktatorski przywraca spokój. W początkowych utworach nie używał Eurypides tego środka; dopiero późniéj za jego pomocą starał się sprowadzić „duchowne uspokojenie,“ na którém dramatom zbywało, przez ukazanie bóstwa w sposób wzniecający zdumienie, strach lub przerażenie.

Chóry, lubo w części wielkiéj poetyczne, mało albo wcale nawet nie łączą się z akcyą w tragiedyach Eurypidesa. Odgrywa on tu zwykle rolę siebie niegodną: jest powiernikiem lub spółwinowajcą głównéj osoby. Bardzo téż często posługuje się poeta chórem w tym celu, aby zająć publiczność nie ukrytą myślą i dążnością tragiedyi—jak to dawniéj czyniono—lecz tylko własną osobą i osobistemi swemi sprawami. Dawał poeta chórowi niby poufne zlecenia i to z taką gorliwością, iż zdarzyło mu się, że kładąc w usta chóru żeńskiego w (zagienionéj) tragiedyi Danae myśli swoje, przez roztargnienie mówić mu kazał w rodzaju męskim.

Co się wreszcie tyczy saméj roboty artystycznéj, to „powtarzanie jednostajne tych samych środków i wrażeń, daléj dyspozycya samowolna lub zbiegiem okoliczności sprowadzona, nieprawdopodobne i nie dość uzasadnione ukazywanie się osób, nieprzewidziane intrygi, prologi sztuczne, rozwiązanie przez *deus ex machina* załatwiane, są-to wady najczęściéj u Eurypidesa napotykane. Styl jego miał błędy i zalety myśli, których był tłómaczem. Już Arystoteles

zarzucał mu zbytnią miękkość, ozdobność — a równocześnie wielkie zaniedbanie. Z tém wszystkiém przyznać należy stylowi Eurypidesa „szlachetną prostotę, dźwięczność i potoczystość; choć wytworność przeradza się niekiedy w zbytnią słów okwitość.“

Oprócz tego ogólnego poglądu na całą twórczość Eurypidesa, tłómacz przy każdéj jeszcze z osobna tragiedyi zwraca baczną uwagę na jéj układ, na stosunek części do całości, przedstawiając we „wstępie“ do każdéj z 19 sztuk szczegółową jéj treść, przy czém uwzględnia podanie, które jéj posłużyło za osnowę. Po każdéj zaś sztuce następują liczne „objaśnienia“ podające albo wytłómaczenie napomkniętego w utworze szczegółu mitologicznego, albo też tekst, którego się tłómacz trzymał. We „wstępach“ zwykłym przewodnikiem p. Węclewskiego jest Hartung wydawca krytyczny Eurypidesa i badacz jego dramatów, w „objaśnieniach“ własna niepospolita erudycya tłómacza. Objaśnienia zazwyczaj są krótkie i zwięzłe, ale zawsze jasne dają pojęcie o przedmiocie, który dał do nich powód; a obfitość zaspokoić może wymagania nawet takiego czytelnika, co bardzo powierzchne ma z mitologii wiadomości.

Sam przekład odtwarza jak najwierniéj całą myślową stronę utworów Eurypidesa. Jako znakomity filolog rozumie doskonale tekst i oddaje go z całą ścisłością sumiennego badacza; jeżeli by się można było posprzeczać o znaczenie jakiego zdania, to w bardzo nielicznych wypadkach a właściwie wtedy tylko, gdyby się inaczéj tekst czytało. Jeżeli jednak strona treściowa najskrupulatniejszym nawet wymaganiom czyni zadość, to strona estetyczna wiele pozostawia do życzenia. Wprawdzie tłómacz włada polszczyzną wybornie, posiadając znaczny zapas wyrazów i wyrażeń; styl jego jest jędrny i poprawny; ale ma on dwie właściwości, które go dla dzisiejszych czytelników mniéj przyjemnym czynią: jest wzorowany z jednéj strony na pisarzach zygmuntowskich, z drugiéj na niemczyznie, powtóre oddaje dobrze poważne, surowe lub uroczyste usposobienie, ale nie odtwarza uczuć miękkich, łagodnych, nie ma polotu poetycznego. Sam p. Węclewski wyznaje ze skromnością godną uczonego, że poetą nie jest; grubsze rysy chwyta dobrze, subtelniejsze odcienie mowy poetyckiéj usuwają się z pod jego władztwa. A użycie archaicznych wyrazów nie przyczynia się bynajmniéj ani do jasności mowy ani do obudzenia wrażeń poetycznych. Trudno doprawdy zgadnąć, jaką wyższość widzi tłómacz w pytajnikach *przecz*, *żali* nad dzisiejszemi: *czemu*, *czy* itp. w przysłówkach *ninie*, *oblicznie*, w słowach: *puszyć*, *słusza*, *kuczyć*, *pątować*, w rzeczownikach: *szczyt* (zam. tarcza), *chochoł* (=pagórek), *witez* (=bohater), *dźwierze* (drzwi), *tążenia* milome (=tęsknota), *szyd*, *chełpa*, *zerwisko*, =*pochutnywanie* itp.,

których używa często i z prawdziwym zamiłowaniem. Czytelnik częstokroć nie może zrozumieć myśli, nie rozumiejąc pojedyńczego wyrazu, jaki podobało się tłómaczowi wtrącić przez predylekcyą dla staroświecczyzny; a cóż mówić o wrażeniu estetycznem, które powinno być szybkiem, bezpośredniem, zwłaszcza gdy nie chodzi o myśl zawiłą, lecz o obraz poetyczny.

Co do wiersza, to jak dawniéj tak i teraz przekłada p. Węclewski opowiadanie i rozmowy trzynastozgłoskowym wierszem białym. Ma to być niby miara jambiczna, lecz niestety tak przeplatana trochaiczną jak przed trzema wiekami u Kochanowskiego. Można oczywiście przywyknąć do téj ciągłéj zmiany rytmu; ale trudno nie wyrazić żalu że tłómacz, który zadał sobie tyle pracy w przyswojeniu nam tragików greckich, nie chciał dopełnić miary zasług swoich przez utrzymanie rytmu... Prócz ogólnéj téj cechy znamionującéj przekład wszystkich tragiedyi, zdarzają się, rzadko co prawda, takie już całkiem nieharmonijne wiersze, jak dwa następne:

Przecz pierś kryć w szacie itd.
Znamy
Ją ja, ty i ci, którym dała się we znaki.

Gorzéj jeszcze bywa w częściach lirycznych tragiedyi. W nich używa tłómacz rymu; nie przychodzi mu on na zawołanie, a nawet trudnym bywa do schwytania; zaczyna się więc gonitwa, w któréj tłomacz ostatecznie zwycięża, lecz z wysiłkiem wielkim tak że czytelnik wysiłek ten odczuwa. Oto przykład:

Biada ci, Admecie, *tak*.
Biada! bo cóż poczniesz, *cóż*,
Synu Feresowy, *nuż*
Żony znieść przyjdzie ci brak
Nie lża jedno—*tak już źle*—
W pierś zabójczy *wrazić nóż*
Lub na stryczku zawieslć *się!*

Owe smutne wstawki zarówno wyrazów pojedyńczych, jak i całych wyrażeń (których nawiasem mówiąc w oryginale nie ma) na to tylko, ażeby zrymować z sobą dwa wiersze, dowodzą wyraźnie, jak mozolne były wyścigi z rymem, kiedy skrupulatny filolog zdecydował się na pewną względem tekstu niewierność... A nie jest to przykład odosobniony czyli, jak lubi się wyrażać tłómacz, „osamiony;“ podobnych do niego jest w przekładzie Eurypidesa liczba znaczna.

Nie kładźmy atoli zbyt wielkiego nacisku na te wady i usterki pod względem formy; pomimo ich istnienia przekład czytać się daje, z pewnym wprawdzie przymusem, ale i z pożytkiem zarazem. Jako tłómaczenie wierne filologicznie, przekład tragiedyi Eurypidesa przez p. Węclewskiego dokonany, jako pierwszy całkowity w piśmiennictwie naszém, jest i pozostanie na długo nader cennym nabytkiem. Nie prędko zapewne doczekamy się przekładu doskonałego pod względem estetycznym, gdyż dotychczas nie mamy tłómaczenia ani jednéj sztuki Eurypidesa któremu-by zaletę tę przyznać było można; korzystajmy więc z tego doskonałego pod względem filologicznym a niestrudzonemu pracownikowi na niwie filologii klasycznéj złóżmy zasłużone podziękowanie za pracę dokładną, gruntowną i sumienną.

Piotr Chmielowski.

Finanse Rosyi w XIX wieku.

XXI.

Widzieliśmy powyżéj, jak znacznemi deficytami zamknęły się lata 1853, 1854 i 1855 oraz do jakich środków musiał się rząd uciec dla zadosyćuczynienia wydatkom nadzwyczajnym. Przytoczone tam szczegóły aż nazbyt wybitnie odsłaniają nam ówczesną niemoc finansową, sprowadzoną reakcyjnym systemem rządzenia nieuznającym rzeczywistych potrzeb narodu, abyśmy potrzebowali na nowo okoliczność tę uwydatniać. Tutaj winniśmy zaznaczyć tylko, iż pomimo faktycznego zakończenia wojny w 1855 r., wydatki wojenne nadzwyczajne pochłaniały jeszcze olbrzymie sumy, niedziw przeto, że przewyżka wydatków nad dochodami wyniosła w jednym 1856 roku 258 milionów rubli.

Zsumowawszy deficyty wywołane przez wojnę krymską od r. 1853 po 1856, otrzymamy ogromną sumę 796 milionów rubli. Połowę tych rozchodów pokryto nowemi biletami kredytowemi, resztę zaś wpływem z wewnętrznych i zagranicznych pożyczek.

Wskutek tak znacznych emisyi, kurs rubla w tranzakcyach z zagranicą, począł upadać; w obrębie zaś państwa na złoto i srebro wytworzyło się mienne, a cena wszelkich przedmiotów poczęła nadmiernie wzrastać.

Dla powstrzymania upadku kursu i zażegnania zbliżającego się przesilnia, rząd nie szczędził ciężkich ofiar. W tym wyłącznie celu zaciągnięto w 1855 roku pożyczkę zagraniczną w ilości 50 milionów rubli, następnie d. 12 kwietnia 1857 r. zniesiono obowiązujący dotąd zakaz wywozu złota zagranicę, a d. 19 tegoż miesiąca, przedsięwzięto próbę przywrócenia wymiany biletów kredytowych na kruszec.

Żądanie jednak złota było tak wielkie, że po 15 dniach, pomimo utrudnień jakie czyniono, rząd widział się zmuszonym do ograniczenia wymiany, już nie drobnemi szykanami w manipulacyi, lecz wprost przez wyraźny nakaz; chcąc zapobiedz jednak znaczniejszemu upadkowi kursu—rozpoczęto na giełdzie sprzedaż 2,200,000 półimperyałów na rachunek skarbu. Lecz gdy i ta ilość niewystarczała dla zaspokojenia wszystkich żądań, d. 22 listopada 1857 roku zatwierdzoną została decyzya komitetu finansowego: aby bądź-cobądź nie dać zejść wartości rubla na giełdzie petersburskiéj niżéj 360 centimów (około 90 kop. met.).

Dzięki wszystkim tym środkom, zdołano rzeczywiście powstrzymać dalszy upadek kursu, ale — jak to niebawem zobaczymy — na bardzo krótko.

Łatwo zrozumieć, że tak rozpaczliwy stan finansów nie mógł pozostać obojętnym dla nowego panującego. W styczniu 1857 roku poleconém zostało, aby członkowie komitetu finansowego zajęli się rozpatrzeniem kwestyi, jakie mianowicie należy przedsiębrać środki dla wyprowadzenia Rosyi z ciężkiego finansowego położenia?

Komitet finansowy po rozpatrzeniu położenia, przedewszystkiem oświadczył, iż główném, najpilniejszém zadaniem polityki finansowéj powinno być usunięcie przewidywanego na rok 1857 deficytu, mającego dosięgnąć 74 milionów rubli; daléj, że deficytu tego żadną miarą nie można było uniknąć inaczéj, jak tylko przez zmniejszenie wydatków i wreszcie, że należało koniecznie wprowadzić oszczędności zmniejszając wydatki ministeryum wojny i marynarki, żądających dla siebie 117 milionów rubli, gdy ogół dochodów państwa po potrąceniu ciężaru długów, wynosił 158 milionów rubli.

W myśl tego oświadczenia, komitet finansowy poruczył kilku członkom swoim rozpatrzenie, przy współudziale ministra wojny, etatu tego ministeryum na rok 1857. Lecz działalność delegatów wskutek raportu ministra wojny Najwyżéj zatwierdzonego, niebawem ograniczoną została. Delegacyi pozostawiono do rozpatrzenia jedynie kwestyą, czy wydatki nie dałyby się zmniejszyć, nie kontrolując *ani cen dostarczanych dla wojska przedmiotów, które stałyby się przez to — według zapewnień ministra — „zagadkowemi,“* ani nie rozpatrując składu armii, ani wreszcie wynagrodzenia służby etatowéj i oficyalistów poza etatowych.

Po takiém zredukowaniu zadania komisyi wydatkowéj ministeryum wojny, oczywiście nie można już było marzyć o znacznych oszczędnościach. Jednakże pomimo tak powierzchownego nawet rozpatrzenia wydatków ministeryum wojny, uznano za możliwe zredukować je o 7,100,000 rubli. Co się zaś tyczy zaprowadzenia

oszczędności w innych ministeryach, komitet finansowy zaproponował wprowadzenie maksymalnych normalnych etatów na okres trzyletni 1858—1860 r., biorąc za podstawę dla każdego zarządu, albo średnią normę wydatków z dziesięciu lat ostatnich, albo etat 1857 roku zmniejszony o 2% do 3%. Wnioski komitetu uzyskały sankcyą monarszą 31 maja 1857 roku. Ale wyż wspomniane ograniczenia nie przyniosły wielkich korzyści. Deficyt w roku 1857 wynosił 38,4 milionów rubli.

W następnym 1858 roku deficyt wykazano wprawdzie tylko w sumie 4,9, lecz w rzeczywistości dodawszy do tego wydatki z tak nazwanych „specyalnych funduszów," wyrastał on do 16 milionów rubli.

I to było tylko fikcyą. Wydatki ministeryum wojny wykazano w ogólnym budżecie państwowym zupełnie mylnie. Ogół bowiem tych wydatków na rok 1858, przewidywany był rzeczywiście w ilości 93 mil. rubli, — do budżetu wciągnięto tylko 76 milionów rubli, pozostałe zaś 17 mil. rubli, postanowiło ministeryum zaspokoić z remanentów, oraz innych własnych funduszów.

Zarządowi skarbowemu — dla zaspokojenia powyższych deficytów—nie pozostawało nic innego, po wypuszczeniu w 1857 roku na 12 mil. rubli kredytowych i na 6 mil. rubli biletów skarbu państwa, jak tylko uciec się znowu do praktykowanych poprzednio pożyczek z kas depozytowych i Banku pożyczkowego. Źródło to, nietylko wkrótce się wyczerpało, lecz nadto, dzięki błędnym i zupełnie chybionym środkom, przedsięwziętym przez ówczesny zarząd skarbu, wystawiło w wysokim stopniu na szwank wypłacalność państwa.

Doniosły wpływ tych przedsięwzięć na następną politykę finansową skłania nas do bliższego zastanowienia się nad tym przedmiotem.

XXII.

Wiadomo, że aż do reformy bankowéj roku 1860, o któréj niżéj mówić będziemy, rosyjskie instytucye kredytowe dzieliły się: na instytucye zajmujące się wyłącznie czynnościami kredytu państwowego, jako: Bank asygnacyjny i Komisya umorzenia długów, oraz banki obsługujące kredyt prywatny, krótkoterminowy: Bank handlowy i Kasy pożyczkowe i długoterminowy albo hipoteczny: Kasy depozytowe, Prikazy i Bank pożyczkowy.

Instytucye, przeznaczone do zaspakajania potrzeb krótkoterminowego kredytu, przy niskim rozwoju handlu i przemysłu, słabe

miały obroty; fundusze depozytowe przeto, od których płaciły 4%, mogły były służyć jedynie na wydawanie pożyczek pod zastaw nieruchomości, albo na pożyczki, zaciągane przez skarb państwa.

Wielkie emisye pieniędzy papierowych w ciągu ostatnich kilku lat dokonane, przewyższając o wiele potrzeby obiegu, wywołały tak znaczny napływ depozytów, że banki nie znajdując dla nich korzystnego pomieszczenia, wskutek coraz bardziéj zmniejszających się żądań pożyczek pod zastaw poobdłużanych już poprzednio nieruchomości, częstokroć były wystawiane na straty.

W takim stanie rzeczy rząd uważał, że ma prawo korzystania z tych swobodnych kapitałów i nie licząc się wcale z ich naturą, mianowicie, iż są to wkłady wymagalne, zadłużył się był instytucyom kredytowym do 1857 r. na 553 mil. rubli.

Ażeby ulżyć budżetowi w płaceniu procentów, które wynosiły przeszło $36\frac{1}{2}$ milion. rubli, zarząd skarbu przedsięwziął konwersyą wszystkich pożyczek na termin 56 lat, obniżając zarazem procent od nich z 5% do 4% i amortyzacyę do $\frac{1}{2}$%.

Podobne obniżenie stopy procentowéj od pożyczek rządowych, mogło naturalnie być dokonane jedynie tylko przy odpowiedniem zmniejszeniu procentu, wypłacanego przez instytucye kredytowe właścicielom depozytów.

Otóż zmniejszenie takie nastąpiło z początku z 5 na 4%, a następnie zmniejszono znowu stopę procentu o 1% t. j. z 4 na 3% dla osób prywatnych, a do 1½% dla dekasteryj rządowych. Tak znaczne obniżenie odsetek sprowadziło zupełnie niespodziewane a groźne następstwo; w przeciągu niespełna pół roku do dnia 1-go stycznia 1858 r. zapas gotowizny w bankach i kasach depozytowych zredukował się z 140 mil. do 95 mil., a żądania zwrotu depozytów wzrastały tak szybko, iż rząd, dla odwrócenia grożącego bankructwa, widział się zmuszonym przedsięwziąć rozmaite środki.

Wstrzymano udzielanie pożyczek pod zastaw nieruchomości, zarządzono emisyą 4%-wych biletów komisyi umorzenia długów i depozyty wszelkich instytucyj, gmin i towarzystw polecono lokować jedynie w tych biletach; skoro zaś i te środki okazały się niewystarczającemi dla zabezpieczenia wypłacalności banków, przedsięwzięto emisyą 5%-wych biletów bankowych, przeznaczonych wyłącznie do wymiany na nie biletów depozytowych instytucyi kredytowych, oraz wzmiankowanych 4%-wych, bez przerwy procentujących biletów komisyi umorzenia długów.

Daléj, przekonawszy się dowodnie, jak niebezpieczném jest dla kredytu państwa obracanie wkładami, zarząd skarbu licząc, że wskutek podniesienia się kursu papierów procentowych przez wzmo-

żenie na nie popytu, posiadający wkłady zamieniać je będą na wypuszczane przez rząd 5% bilety bankowe, obniżył znowu stopę odsetek od pozostałych depozytów prywatnych wymagalnych z 3 na $2\frac{1}{2}$%, zapowiadając nadto, iż z dniem 1 stycznia 1860 roku będzie liczone tylko 2% rocznie i że wzbronioném jednocześnie będzie przyjmowanie wkładów bankowi pożyczkowemu, kasom depozytowym i radom opiekuńczym, a dozwoloném będzie składać je jedynie w Banku Handlowym, i to tylko do dnia 1 lipca 1860 roku (1).

Na skutek wyż wzmiankowanych rozporządzeń, ilość depozytów od dnia 1 stycznia do dnia 1 lipca 1860 roku, zmniejszyła się rzeczywiście o 580 mil. rubli, tak, że pozostało wówczas wszystkiego 338 mil. rubli. Ale i owe 338 mil. rub. przedstawiały tak poważną kwotę, że chcąc postawić banki w możności zadosyćuczynienia żądaniom depozytaryuszów i uchronić je od zagrażającéj im z dnia na dzień niewypłacalności,— obok wszystkich przedsiębranych już środków—okazała się jeszcze potrzeba nowéj, nadzwyczajnéj pomocy, w braku zaś wszelkich innych źródeł, postanowiono uciec się do emisyi biletów kredytowych, pomimo, iż szkodliwy wpływ nadmiernéj ich ilości w obiegu i tak już dotkliwie czuć się dawał w gospodarstwie państwowém.

Nagłe wydalenie depozytów z instytucyi kredytowych, które odegrywały niejako rolę zbiorników dla nieopatrznie podczas wojny krymskiéj wypuszczonych 478 milionów rubli biletów kredytowych, musiało oczywiście złe jeszcze pogorszyć. Pojawienie się na rynku pieniężnym masy biletów kredytowych, wydawanych za depozyty bankowe, podniosło nadmiernie wszystkie wogóle ceny i wywołało rozmaitego rodzaju przedsiębiorstwa i spekulacye, po większéj części pośpieszne, źle obmyślane i ryzykowne. Naturalnym znowu

---

(1) Ażeby zastąpić te instytucye, na skutek prac komisyi zajmującéj się reformą państwowych instytucyj kredytowych, wprowadzonym został ukazem z d. 31 maja 1860 roku następujący porządek rzeczy:

Do Banku handlowego, zreorganizowanego, przyłączono ekspedycyą biletów kredytowych i przemianowano go na Bank państwa. Bank pożyczkowy zniesiono a czynności dotyczące wydanych przez niego pożyczek, przekazano petersburskiéj kasie depozytowéj.

Wszystkie depozyty, zostające w państwowych instytucyach kredytowych, polecono przelać do Banku państwa, włożywszy na niego obowiązek opłacania odsetek i zwrotu kapitałów i postanawiając jednocześnie, że depozyty powierzane Bankowi państwa nie ulegają aresztowi, ani alienacyi za żadne, jakiekolwiekbądź należności.

Dla zasilenia zaś funduszów Banku państwa, w następstwie zatwierdzone zostały przepisy o 4% metalicznych biletach Banku państwa i Bank już w ciągu roku 1860 wypuścił takowych na sumę 60 milionów rubli.

tego wynikiem było rozczarowanie publiczności i podejrzliwość, która przyniosła uszczerbek przedsiębiorstwom istotnie poważnym i użytecznym, tembardziéj, że okazał się wielki brak specyalnie uzdolnionych kierowników.

Następstwem usunięcia depozytów z instytucyi kredytowych było, że posiadacze biletów kredytowych, wydawanych przez banki za depozyty, nie mając dobréj lokacyi, radzi nieradzi zmuszeni byli nabywać za nie papiery procentowe, które wskutek wzmożonego tym sposobem popytu, znakomicie podniosły się w cenie; za 6% pożyczkę w grudniu 1858 roku płacono 136½ za sto, za 5%-wą pożyczkę płacono 115 za sto.

Tak znacznéj podwyżki kursów, nieodpowiadających bynajmniéj wartości papierów procentowych w innych państwach, nie omieszkali rozumię się wyzyskać kapitaliści zagraniczni.

Nieustanne deficyty w budżetach rosyjskich i coraz znaczniejsze zadłużanie się państwa dla ich pokrycia, obudziło już było samo przez się nieufność zagranicznych kapitalistów do kredytu rosyjskiego, a że nadto oni sami podówczas przyciśnięci byli pamiętném przesileniem 1857 roku, które srodze dotknęło Amerykę, Anglią, Niemcy i inne państwa, zaczęli więc gromadnie odsyłać do Rosyi znajdujące się w ich posiadaniu walory, żądając za nie wysłania odpowiedniéj ilości brzęczącéj monety.

Teraz dopiero zarząd skarbu spostrzegłszy błąd popełniony, starał się przeszkodzić odpływowi kruszcu, przez zmniejszenie korzyści na sprzedaży papierów procentowych i w tym celu puścił sam na giełdę za 5 milionów rubli 4%-wych obligacyi z funduszu wymiany biletów kredytowych.

Manewr ten jednak okazał się bezskutecznym. Popyt na monetę brzęczącą dla wysyłki zagranicę tak dalece się wzmagał, iż w końcu rząd, dla podtrzymania coraz bardziéj upadającego kursu wekslowego, widział się zmuszonym znowu wyprzedać złota przeszło za 87,000,000 rubli. Skutkiem takich forsownych operacyi kurs rubla rzeczywiście się podniósł.

W 1858 roku płacono rubla kredytowego średnio biorąc 93 kop. metal., w maju zaś 1859 roku zaledwie 83 kop., poczém kurs zaczął się tak znacznie polepszać, iż średnia wartość w ciągu tego ostatniego roku wyniosła ostatecznie 90 kop. W 1860 roku widzimy kurs dość jednostajny, wartość rubla kredytowego wynosi 92 kop. met. ale jak tylko w lutym 1861 roku rząd usunął swą pomoc, wartość rubla spadła do 84 kop., ażeby następnie podnosić się wskutek wyż opisanych operacyi.

Nie dość tego; w nadziei skuteczniejszego oddziaływania rząd sam zaczyna zajmować się arbitrażem. W r. 1861 administracya skarbu wystawiła na rynki zagraniczne za 35 mil. rubli przekazów, a nabyła w Rosyi weksli na sumę 15 mil. rubli. Na pogorszenie położenia finansowego składały się nawet takie przedsięwzięcia, które wistocie, według słusznych zapatrywań rządu, powinny były wywrzeć wpływ przeciwny.

Rząd udzielając koncesyi na budowę 4,000 wiorst kolei bardzo możnéj spółce zagranicznych bankierów, tworzących „Główne towarzystwo rosyjskich dróg żelaznych" — liczył, że tym sposobem uda mu się ściągnąć do kraju zagraniczne kapitały. Lecz stało się inaczéj: wywołane błędną polityką finansową rządu przymusowe wycofanie wkładów z banków, skłoniło posiadaczy biletów kredytowych do poszukiwania akcyi nowo-zawiązanego głównego Towarzystwa.

Akcye zyskały niebawem premią dochodzącą do 12%, z czego naturalnie nie omieszkali skorzystać założyciele Towarzystwa, sprzedając akcye nie zagranicą, jak to było przewidywaném, lecz w Rosyi.

Toż samo miało miejsce i z akcyami drogi Dynabursko-Ryskiéj.

Oczekiwana reforma włościańska również wpłynęła w znacznéj mierze na powiększenie wywozu złota zagranicę; wielu bowiem zamożniejszych obywateli uważając reformę tę za bardzo niebezpieczną dla ekonomicznego i politycznego bytu państwa, starało się umieszczać kapitały swoje w papierach, nie zostających w zależności od państwowego kredytu.

Obawy te dochodziły do tego stopnia, że wielu obywateli zastawiało swoje majątki, jedynie w celu umieszczenia otrzymanych tą drogą kapitałów po za granicami kraju.

Niemniéj ujemny wpływ na kurs wywierał także nader niekorzystny stosunek wywozu rosyjskich wyrobów do sprowadzanych w nadmiernych ilościach, wskutek powiększonego popytu, z zagranicy towarów.

Wszystkie te okoliczności razem sprowadziły nadzwyczaj przykre położenie finansowe: wartość znaku kredytowego upadła i okazał się zupełny brak brzęczącéj monety, wywożonéj z korzyścią zagranicę.

Ciągłe chwianie się kursu, powodowane sztucznem podtrzymywaniem go przez rząd, jak również nadmiar pieniędzy papierowych w obiegu, sprowadziły ogólną drożyznę, wystawiły na szwank i niebezpieczeństwo wszelkie obroty handlowe, stały się przyczyną ogólnego zastoju w handlu, za którym poszedł upadek nietylko państwo-

wego, lecz i prywatnego kredytu. Jednén słowem, rozmaitego rodzaju udręczenia, wypływające z rozprzężenia rosyjskiego systemu finansowego,—coraz bardziéj doskwierać zaczęły.

Pomimo to wszystko ministerya, zamiast ograniczać swoje wydatki, zaczęły po dawnemu domagać się nadzwyczajnych kredytów, kiedy minister finansów odmawiał takowych, uzyskiwano je poza jego plecami z mocy specyalnych monarszych rozkazów. W takich okolicznościach ówczesny minister skarbu—Kniażewicz, uważał za właściwe przed złożeniem projektu budżetu na rok 1860, przedstawić w osobnym referacie poglądy swoje: „na ówczesne ekonomiczne i finansowe położenie państwa.“

W referacie tym zwracał on głównie uwagę na to, że ocalenie finansów rosyjskich i gospodarstwa narodowego od zupełnéj ruiny, zawisło od współczesnego działania dwu czynników:—zaprowadzenia możliwych oszczędności i zniesienia wszelkich wydatków, które nie są nieodzowne. I powtórzyła się znana czytelnikom naszym procedura.

Komitet finansowy uznał za swój *„święty obowiązek“* przedstawić monarsze i poprzeć u tronu wnioski ministra Skarbu w przedmiocie zmniejszenia wydatków wogóle, a szczególniéj ministeryum wojny.

Ale ówczesny minister wojny generał-adjutant Suchozanet, uważał także za swój święty obowiązek bronić swego budżetu i uznał za możliwe zmniejszyć wydatki wojenne i *to li tylko chcąc ze swéj strony przyłożyć się do urzeczywistnienia celów komitetu* o 1,87 miljonów rubli.

Komitet niezgadzał się z zapatrywaniami ministra wojny. Cesarz akceptował wnioski komitetu finansowego, ale jednocześnie 13 lutego 1860 r. własnoręcznie na przedstawieniu dopisał:

„Co się tyczy zmniejszenia etatów ministeryum wojny, zostanie przedsięwziętém wszystko, co się okaże możliwém, nie sprowadzając zupełnéj dezorganizacyi w wojennym ustroju.“

W ostatecznym rezultacie *możliwość* sprowadzoną został do tego, że etat ministeryum wojny nietylko nie został zmniejszony, lecz przeciwnie, powiększono go o 16 milj. rubli w porównaniu z rokiem 1859.

Wszystkie te usiłowania zrobienia oszczędności wymagały długiego czasu, budżet więc na rok 1860 zaledwie w kwietniu zakomunikowano Ministeryom i Zarządom.

Deficyt przewidywany na rok 1860—23,9 milj. rubli, po zmniejszeniu go przez komitet finansowy do 15,6 postanowiono pokryć przez zaciągnięcie pożyczki zagranicznéj. Lecz była to tylko próba.

Bezzwłoczne zaciągnięcie pożyczki 8 milj. funt. str. niepowiodło się i zrealizowaną ona została zaledwie w 1863 r.

Tymczasem przewidywany deficyt 23 mil. zmniejszony do 15 milj., w ciągu roku wzrósł do 51,3 milj. rubli.

W takim stanie rzeczy, na pokrycie niedoboru nie pozostało istotnie innego środka, jak emisya 5 nowych seryi na sumę 15 miljonów rubli biletów skarbu państwa i ucieczka do biletów kredytowych.

Nie dziw przeto, że przy takiem gospodarowaniu długi państwa coraz bardziéj wzrastały i z początkiem 1860 roku same długi zewnętrzne Rosyi, dosięgły olbrzymiéj jak na owe czasy sumy 305,020,824 rubli.

XXIII.

Nietylko rozstrój finansowy, ale i bolesne doświadczenie, nabyte w czasie wojny Krymskiéj, przekonały dowodnie, że dotychczasowy system gospodarki państwowéj przeżył się, i że należy koniecznie skupić wszystkie siły dla radykalnego przeistoczenia, zarówno skarbowości, jak i administracyjnego systemu.

W pierwszym rzędzie potrzeb, najsilniéj odczutych przez rząd i społeczeństwo ówczesne, staje bezspornie, budowa dróg żelaznych; widzimy więc usiłowania do zdobycia, jak można najrychléj, środków na ten cel niezbędnych. Ale zupełny upadek państwowego kredytu niweczy te zamiary i w okresie od 1853 do 1861 r. zdołano zbudować zaledwie 975 wiorst. Bo i zamierzone zniesienie poddaństwa i inne reformy uznane za konieczne, wymagały również olbrzymiéj pomocy finansowéj że strony rządu. Oswobodzenie włościan, pociągało za sobą kompletne przeistoczenie wzajemnych stosunków wszystkich stanów. Poprzednia patryarchalna administracya, sprawowana przez właścicieli ziemskich wyłącznie w celu zabezpieczenia praw stanów uprzywilejowanych, nie mogła ostać się nadal.

Zniesienie znowu władzy dziedziców i urządzenie administracyi lokalnéj, wyradzały nieodzowną konieczność radykalnych przeobrażeń w wielu gałęziach administracyi centralnéj.

Przytém administracya ówczesna przedstawiała zupełnie taki sam obraz jaki się odsłania przy rozwaleniu niektórych części budynku, którego przeróbka została zdecydowaną: dopóki stał nietknięty, oko profana nie dostrzegało żadnych niedostatków, albo najwyżéj niewielkie; kiedy zaś przystąpiono do odbudowy, dopiero mieszkający w nim, spostrzegają z przerażeniem, jak dalece wszyst-

ko tu było spruchniałe, zmarszałe, zgniłe. I rzeczywiście, na wszystkich szczeblach rozgałęzień służby skarbowéj i sądownictwa, pod pozorami porządku i skrupulatności, ukrywały się bezprzykładne grabieże i sprzeniewierstwa funduszów publicznych, nadużycia władzy, opieszałość sprawiedliwości—a co najgorsza,—sprzedajność i samowola urzędników, do tego stopnia posunięte, że przestały już nawet razić.

Do usunięcia i zmniejszenia choć częściowego, tak głęboko zakorzenionego w administracyi zepsucia, niepomiernie przyczyniło się krytyczne roztrząsanie przez prasę kwestyi społecznych i finansowych.

Pod wpływem budzącéj się samowiedzy społecznéj i ogólniejszego zajęcia się sprawami publicznemi, stało się możliwém w tak krótkim (stosunkowo do poprzedniéj epoki nagromadzania się złego) czasie, zaprowadzić jaką taką przynajmniéj kontrolę dochodów i wydatków, znieść monopole, złagodzić częściowo podatek pogłówny, wprowadzić reformę sądową, nowe prawo prasowe, uczynić oświatę przystępniejszą, wprowadzić samorząd gminny i miejski, powszechną służbę wojskową itd.

Ale wszystkie te reformy, przedsięwzięte prawie jednocześnie, wymagały znakomitego powiększenia wydatków; gdy tymczasem wynalezienie źródeł, z których możnaby je było zaspokoić, było zadaniem nader trudném w ówczesném krytyczném położeniu państwa

Gospodarstwo finansowe jak wiemy—smutną wiodło egzystencyę. Wszystkie usiłowania w dziedzinie skarbowości okazywały się niefortunne; każdy nowo próbowany środek, dla braku jednolitości w systemie, sprowadzał rezultaty wprost przeciwne oczekiwanym, i ogólny stan rzeczy tylko pogarszał się z każdym rokiem, wytwarzając położenie poniekąd bez wyjścia.

Nowych źródeł dochodu nie można było odnaleść, a próby przedsiębrane w celu zmniejszenia wydatków, nie przynosiły—jakeśmy to widzieli—żadnéj korzyści. Każde ministeryum,—każdy zarząd, miał swój wyłączny budżet, obejmujący jego wyłączne dochody i jego specyalne wydatki, tworząc niejako status in statu.

Rozmaite zarządy posiadały 295 kapitałów, wynoszących 52 milj. rubli, o których ministeryum skarbu nie posiadało żadnych wiadomości.

Tymczasem 19 lutego 1861 roku, za najwłaściwszy sposób rozwiązania sprawy włościańskiéj uznano wykupienie gruntów włościańskich.

Bezpośrednia materyalna pomoc rządu w nabywaniu przez włościan gruntów, znajdujących się w ich używalności, zasadzać się miała na wydawaniu włościanom pożyczek na wykup, w wysokości $^4/_5$ szacunku wykupywanego gruntu; szacunek zaś oznaczano, kapitalizując na 6% czynsz, opłacany przez włościan dziedzicowi.

Włościanie, zostawszy tym sposobem właścicielami wykupionych zagonów i uwolniwszy się od opłaty czynszów na rzecz dziedzica, zobowiązani zostali umarzać udzieloną im przez rząd pożyczkę na wykup, w ciągu lat 49, w ratach odpowiadających 6% od wypożyczonéj sumy. Te 6% składało: 5% procentu, ½% na amortyzacyę i ½% na utworzenie kapitału zapasowego, przeznaczonego na utrzymanie instytucyj zawiadujących czynnościami likwidacyjnemi i pokrycie wydatków i strat nieprzewidzianych.

Ogólna suma mających się udzielić pożyczek na wykup, obliczoną została w przybliżeniu na miljard rub. Oczywiście, suma taka nie mogła być wypłaconą w gotowiźnie, postanowiono zatém wydawać rzeczone pożyczki papierami procentowemi, potrącając uprzednio z kwoty przypadającéj każdemu właścicielowi, długi zaciągnięte przez niego w dawnych instytucyach kredytowych państwowych.

Opłatę odsetków i amortyzacyę w ciągu 49 lat, zarówno od wydanych świeżo papierów procentowych, jako téż i od potrąconych z funduszu wykupowego długów, zaciągniętych przez dziedziców w dawnych instytucyach kredytowych,—rząd przyjął na siebie, znajdując na to zasób we wpływach z rat, jakie postanowiono ściągać od uwłaszczonych włościan.

Ogłaszając przepisy z d. 19 lutego 1861 r. zabezpieczono się téż od przepełnienia rynku pieniężnego przez puszczenie tak wielkiéj ilości papierów procentowych wykupowych, co pociągnęłoby za sobą nizki ich kurs, i w tym celu postanowiono wydawać na rachunek tych pożyczek, dwojakiego rodzaju papiery procentowe:

a) 5%-owe świadectwa wykupowe imienne, których przechodzenie z rąk do rąk wymagało dopełnienia pewnych formalności, utrudniających obieg tego papieru, i temi świadectwami wypełniano znaczniejszą część pożyczki wykupowéj—i

b) 5% procentowe bilety bankowe, które odróżniono od poprzednio wypuszczonych w zamian za bilety depozytowe instytucyi kredytowych, nazywając je „biletami 2-éj emisyi.“ Biletami temi wypełniano, obok świadectw imiennych, mniejszą część pożyczki wykupowéj; lecz na to, w razie żądania dziedziców, rząd wypłacał im tę część gotowizną także, po nominalnéj cenie biletów, licząc rubla za rubla, i zaliczał na rachunek kapitału zapasowego ewentual-

ną stratę, jaka mogła by się okazać przy sprzedaży tych biletów na giełdzie.

Daléj, każde świadectwo wykupowe, w trzech terminach, co pięć lat, powinno było być wymienione w $^1/_3$ części na 5%-owe bilety bankowe, które postanowiono umarzać przez losowanie, w ciągu lat 49 od daty ich wydania. Ale prawo z dnia 19 lutego 1861 r. regulowało sposób wykupu gruntów, jedynie przez włościan czynszowych. Tymczasem przy układaniu tabel w 1862 r. przekonano się, że znakomita większość włościan pozostaje na prawach pańszczyznianych. Wobec tego, musiano się zdecydować rozciągnąć prawo wykupu i na grunta pańszczyźniane.

Na rachunek jednak pożyczek, udzielonych na wykup w dobrach pańszczyźnianych, postanowiono wydawać również 5%-owe bilety bankowe, lecz w mniejszéj ilości, niż w dobrach czynszowych, a resztującą część pożyczki, zamiast 5%-owemi świadectwami wykupowemi, wypłacać $5\frac{1}{2}$%-owemi świadectwami, których sposób umorzenia, miał być oznaczony dopiero po upływie lat 10-u. Dochód od tych świadectw, powiększono o $\frac{1}{2}$% w porównaniu z dochodem od świadectw „wykupowych,“ ażeby w ten sposób wynagrodzić właścicielom dóbr pańszczyźnianych, mniéj korzystne dla nich warunki obrachunku, niż z właścicielami dóbr czynszowych.

Zrazu, prawo uwłaszczenia zostawiono wyłącznie do woli dziedziców, bez względu na to, czy włościanie zgadzają się na uwłaszczenie, czy nie.

W 1862 zaś i 1863 roku prawo żądania wykupu przyznano także instytucyom kredytowym w następujących wypadkach: *a*) jeżeli majątek zastawiony w tych instytucyach, był dwa razy bezskutecznie wystawiany na sprzedaż przez publiczną licytacyę, za zaległości bankowe, i *b*) jeżeli dług bankowy zabezpieczony był wyłącznie na gruntach pozostających w używalności włościan i właściciel zalegał w opłacie rat przez dwa lata (1).

Kiedy zaś w 1863 roku wybuchło powstanie w Królestwie Polskiém, znoszące wszelkie powinności włościan względem dziedziców, nastąpiło natychmiast potwierdzenie tego stanu rzeczy i zarazem postanowiono przymusowy wykup gruntów włościańskich, z tą jednak modyfikacyą, że obywatelom tutejszym nie miano wydawać do rąk papierów procentowych, a tylko, miano im wypłacać ze

---

(1) Główny zarząd wykupowy, od chwili rozpoczęcia czynności z dniem 27 października 1861 roku do dnia 1 stycznia 1863 roku, przyznał 20,687,292 rub. pożyczek na wykup, które oswobadzały 193,161 włościan uwłaszczonych na 673,989 diesiatin, gruntu.

skarbu dochód od kapitału likwidacyjnego. Po upadku jednak powstania i tutejszym obywatelom wydano listy likwidacyjne, na tych samych prawie warunkach, co i dziedzicom w guberniach wielkorosyjskich. Jak widzimy, w ogóle u autorów projektu reformy włościańskiéj, przeziera pewna obawa, — brak stanowczości, —które usprawiedliwia ciężkie położenie finansowe w 1861 r. Obawy te okazały się nawet uzasadnionemi: wartości bowiem wykupowe natychmiast po ich wypuszczeniu, spadły w cenie, rynek pieniężny obawiał się przepełnienia, a nie dowierzał zobowiązaniom Skarbu. Był on przekonany, że wykup obowiązkowy sprowadzi bezprzykładne powiększenie i tak już znacznych zaległości, i Skarb Państwa nie podoła opłacie procentów i amortyzacyi wszelkich papierów likwidacyjnych. Zapobieganie bowiem upadkowi ich kursu przez utrudnienie przechodzenia ich z rąk do rąk, o którém powyżéj wspomnieliśmy—wywołało wprost przeciwny rezultat, gdyż właśnie przyczyniało się tylko do obniżania ich wartości; usiłowanie zaś zatrzymania tych wartości w granicach państwa, nietylko nie wyszło na korzyść, lecz przeciwnie, uniemożebniło polepszenie się kursu. Wszystko to naturalnie musialo odbić się na Skarbie Państwa, wywierając, zamiast dodatniego—ujemny wpływ na stan finansów.

XXIV.

W roku 1861, pomimo że deficyt wynosił podług przewidzenia budżetowego tylko 2,2 milj. a w rzeczywistości 11,5 miljonów rubli, Ministeryum finansów było zmuszone wypuścić 12 seryi biletów Skarbu Państwa na 36 milj. rubli.

Następny budżet 1862 roku, tém jest ciekawszy, że był to pierwszy budżet podany bo wiadomości publicznéj.

Z zestawienia zwyczajnych wydatków z takiemiż dochodami okazuje się, że deficyt miał wynieść 11,8 milj. rubli, lecz w rzeczy samej doszedł do 22,2 milj. rubli i na nowo pokrytym być musiał przez wypuszczenie biletów Skarbu Państwa.

Nader charakterystyczna okoliczność towarzyszyła opublikowaniu po raz pierwszy budżetu państwa w Rosyi. Fakt to autentyczny, bo go nam opowiadał ówczesny minister skarbu, sekretarz stanu M. Reitern; rzuca zaś jaskrawe światło na sposób zapatrywania się na sprawy finansowe w szczególności, a państwowe w ogóle, w ówczesnych sferach biurokracyi.

Ukaz, rozkazujący podać budżet państwa do publicznéj wiadomości, minister finansów odesłał do wydziału z poleceniem, aby go wraz z budżetem natychmiast odesłano do drukarni.

— Wieczorem tego samego dnia—opowiada p. Reitern—zgłasza się do mnie naczelnik owego wydziału, rz. r. s. Kluczarew, z zapytaniem: czy to czasem nie pomyłka i czy istotnie budżet ma być ogłoszony drukiem.

Otrzymawszy odemnie odpowiedź twierdzącą, Kluczarew oniemiał . . . . Po chwili zaś wybąknął :

— „ Ogłoszenie budżetu wywoła niechybnie rewolucyą ....zatém, niechcąc przykładać ręki do tak strasznéj zbrodni stanu, podaję się do dymisyi i proszę o natychmiastowe uwolnienie mnie ze służby.“

I to mówiąc, wręczył przygotowaną już poprzednio na ten wypadek prośbę o dymisyję.

Daremne były wszelkie tłómaczenia i parswazye p. Reiterna: ogłoszenie budżetu opóźniło się, trzeba było bowiem czynność tę polecić komu innemu.

Fakt to niezmiernie charakterystyczny i pouczający. Ogłoszenie budżetu państwa, to jest, zrzucenie odwiecznéj zasłony, okrywającéj rzeczywisty stan finansów, kiedy one doszły do takiego rozstroju, że wytworzyło się położenie bez wyjścia niemal, w pojęciach ówczesnéj biurokracyi, poczytuje się za pobudkę do rewolucyi!... Wszelka jawność dla ludzi tych czasów, była najstraszniéjszém widmem... Ale cóż się okazało? Ogłoszenie budżetu drukiem, nietylko nie wywołało żadnego przewrotu w społeczeństwie, lecz przeciwnie, pierwszy ten dowód racyonalniejszego zapatrywania się rządu na potrzeby społeczne,—boć przecie nikt nie może kwestyonować, że każdy opodatkowany ma prawo wiedziéć, na jakie wydatki ściągają się od niego przeróżne opłaty,—ten pierwszy krok na drodze postępu, przyniósł niezaprzeczoną korzyść, choćby pod tym względem, że odsłonił nieprzejrzaną dotąd zasłonę, po za którą ogół mógł się spodziewać nierównie znaczniejszych wydatków na cele, z którymi społeczeństwo nie współczuło.

Ale takich biurokratów, jak p. Kluczarew, co w każdém odwołaniu się rządu do społecznych żywiołów, widzą podnietę do „rewolucyi,“ zapominając o tém, że właśnie trwanie w ciemnocie i odsądzanie społeczeństwa od kontroli i współpracy dają pochop do gwałtownych wstrząśnień, nie brak, niestety! i dzisiaj jeszcze w administracyi. A jednak, alboż trudno byłoby się tym panom dowiedziéć, że wszelkie rewolucye są rezultatem rozdwojenia pomiędzy rządem i społeczeństwem, a najskuteczniejszym środkiem ich zażegnania—zadość uczynienie potrzebom ogółu,—co możebném jest jedynie przy wspólnéj pracy społeczeństwa i rządu około powszechnego dobra.

Z żalem przychodzi też zaznaczyć, że od 1862 r., kiedy budżet po raz pierwszy został ogłoszony, nie postąpiono ani na krok naprzód w dziedzinie skarbowości państwowéj. Co się tyczy dochodów, panuje tu wciąż dawna fiskalność, wycieńczająca klasy opodatkowane; w wydatkowaniu zaś, ta sama odwieczna dowolność, niekrępowana w niczém, nieodzowną kontrolą prewencyjną.

Jedyną, na jaką zdołano „zezwolić," kontrolę—stanowi sprawdzanie dowodów poczynionych już wydatków—zatem nieodwołalnych.

Tymczasem życie państwa potężnieje; potrzeby z każdym dniem wzrastają; koleje, telegrafy, prasa, podnoszenie się poziomu oświaty—wywołały mnóstwo palących kwestyj, które nie mogą doczekać się rozwiązania. A jednak, tylko czyniąc zadość rzeczywistym potrzebom ludności, można osłabić wpływy marzycielstwa i zabezpieczyć spokój o jutro.

Lecz powróćmy do finansów.

Upadek wartości rubla stał się znowu w r. 1862 „kwestyą palącą", więc posypały się najróżnorodniejsze projekty przywrócenia metalicznego obiegu.

Z pomiędzy wszystkich tych projektów, jeden, mianowicie E. Łamańskiego zasługuje na bliższe poznanie, gdyż dał pochop do rozpoczęcia praktycznych usiłowań, które we wszystkich szczegółach rozpatrzyć musimy.

Projekt reformy obiegu powierczego w Rosyi, opracowany przez p. Łamańskiego i przedstawiony w listopadzie 1861 roku, dla przywrócenia obiegu metalicznego zalecał: wprowadzenie wymiany znaków kredytowych na kruszec, podług ustanowionéj z góry taryfy, wzorując się na programie, przedstawionym w Anglii w 1819 r. przez dwie komisye parlamentarne.

Wprawdzie główna myśl tego projektu przez ówczesną administracyę finansową przyjętą została, wprowadzono weń jednak tyle zmian zasadniczych i tak ważnych, że w istocie zatarto niejako analogią pomiędzy tém, co projektował Łamańskij, a co przedsiewzięto w latach 1861 i 1862, wznawiając wymianę biletów kredytowych na kruszec. Jeżeli pozostała tu jaka łączność, była ona pozorną tylko i zupełnie wypadkową.

Dla przywrócenia obiegu kruszcowego, Łamańskij proponował przedsiębrać następujące środki:

Przedewszystkiém wyłączyć bank państwa z pod zarządu ministeryum skarbu, a oddać go pod „wyłączne i bezpośrednie" zawiadywanie Rady państwowych instytucyi kredytowych, do któréj powołać przedstawicieli rządu, szlachty i kupiectwa.

Jeżeliby okazało się niemożebném dokonać tego wcześniéj, to poczynając „od r. 1865“: Bank państwa, z instytucyi czysto państwowéj, przekształcić na instytucyę mięszaną—państwowo-akcyjną.

Rząd miał się wyrzec „na zawsze“ prawa emisyi, zrazu biletów kredytowych, a następnie wszelkich innych wartości, czy to procentowych czy bezprocentowych, mających przywiléj znaków pieniężnych w obowiązkowém przyjmowaniu ich przez kasy skarbowe w wypłatach.

Prawo emisyi znaków pieniężnych, przejść miało odtąd na Bank zreformowany na powyższych zasadach.

Bankowi przyznaném być miało prawo wypuszczenia nowych bezprocentowych biletów „na całą sumę, na jaką wycofa z obiegu bilety kredytowe, świadectwa depozytowe i 4%-we bilety metaliczne, oraz na złożone złoto i srebro w sztabach, bez ograniczenia téj ostatniéj ilości.“

„Dla ożywienia obrotów handlowych, do czasu ostatecznego zatwierdzenia ustawy w r. 1865, miano przyznać Bankowi, w razie potrzeby, w ciągu sześciu miesięcy po rozpoczęciu wymiany swoich biletów, prawo powiększania emisyi tychże biletów do 20 mil. rub. pod zastaw weksli krótkoterminowych.

Jako rękojmię wymiany na kruszec nowych znaków pieniężnych, mających się wypuścić zamiast biletów kredytowych i innych omówionych powyżéj papierów, rząd przekazać był powinien Bankowi:

a) fundusz metaliczny wymiany w ilości 100 mil. rubli;

b) 200 mil. rubli w 5%-wéj rencie, któréj obligacye Bank miałby prawo sprzedawać w sposób i w ilościach, jaki uzna dla siebie za najkorzystniejszy;

c) 200 mil. r. w 1%-wych obligacyach skarbu, nieulegających sprzedaży, lecz amortyzujących się w ciągu lat 100;

d) 200 mil. r. w dobrach rządowych, mianowicie: w lasach, zakładach górniczych, fabrykach i kolejach żelaznych. Dochód z tych nieruchomości do czasu sprzedaży ich przez Bank, należeć miał do skarbu, Bank zaś miał mieć prawo sprzedawać je nie inaczéj jak po uprzedniém porozumieniu się z ministrem skarbu.

Otrzymawszy taką rękojmię, Bank byłby obowiązany rozpocząć *natychmiast* wymianę wedle kursów ustanowionych, tak, ażeby, poczynając od 1 stycznia 1865 roku, wymiana dopełnianą była po kursie nominalnym 5 rs. 15 kop. za półimperyał.

Zreformowany w ten sposób Bank, winien był zupełnie zaniechać przyjmowania wkładów procentowych, wymagalnych na żądanie.

Taki był właściwy, jednolity projekt p. Łamanskiego, tymczasem ówczesna administracya skarbowa, na czele któréj stał już Michał Reitern, usunęła z niego wszystkie kardynalne podstawy a podjęła przeprowadzenie samego rezultatu. Nic przeto dziwnego, że doznano najfatalniejszego zawodu.

Surowe warunki, postawione w programie Łamanskiego, wskazywały wyraźnie, jak niezbędną jest najwyższa oględność w przedsiębraniu środków mających na celu ulżenie gniotących skarb państwa ciężarów; tymczasem ministeryum skarbu zdawało się, że za pomocą samych operacyi giełdowych potrafi zawładnąć rynkiem, wymódz zaufanie publiczności i zmusić giełdę do podniesienia wartości znaków kredytowych, do imiennéj ich ceny!?...

W tym celu, powiększając najpierw niezbędny w każdym razie fundusz wymiany, zostaje zaciągniętą w r. 1862 nowa pożyczka zagraniczna za pośrednictwem Rotschildów na sumę 15 mil. funt. ster. (wpłynęło z niéj 88 mil. rubli).

Następnie w myśl zatwierdzonego w d. 25 kwietnia 1862 roku wniosku komitetu finansowego, zostają ogłoszone przepisy, regulujące wymianę wypuszczonych 722 mil. rubli biletów kredytowych przez Bank państwa na monetę brzęczącą, poczynając od d. 1 maja 1862 r. po kursie z góry oznaczonym, a rozpoczynając wymianę od ceny odpowiadającéj ówczesnemu kursowi giełdowemu, mianowicie, licząc zrazu 5 rub. 70 kop. za półimperyał i 110½ kop. za rubla srebrnego, z zapowiedzią, iż wartość rubla kredytowego będzie stopniowo podnoszoną aż do zrównania jéj z d. 1 stycznia 1864 r. z monetą brzęczącą.

W ciągu 8 miesięcy 1862 r. przedsięwzięta operacya szła dosyć pomyślnie i z funduszu wymiany ubyło jedynie 16,7 mil. rub. monety brzęczącéj. Ale w 1863 r. postać rzeczy całkiem się zmienia. Stopniowe podnoszenie wartości rubla kredytowego w stałych, z góry oznaczonych terminach, wywołuje spekulacyą, pod któréj wpływem jako téż i pod wrażeniem ówczesnych zawikłań politycznych, będących następstwem powstania w Królestwie Polskiém, rozpoczął się coraz silniejszy odpływ kruszczu, tak, że do 3 sierpnia 1863 r. wydano 49 mil. rubli.

Tak gwałtowne drenowanie funduszu wymiany, zagrażające rychłem wyczerpaniem go, przypisać należy głównie następującym okolicznościom:

1) Powiększonéj wymianie i wywożeniu zagranicę kapitałów, które w obawie wojny z państwami zachodniemi, jak również w przewidywaniu zgubnych następstw reformy włościańskiéj, szukały pewniejszego zabezpieczenia się i dochodu.

2) Znacznemu chwianiu się za granicą kursów papierów procentowych rosyjskich: różnica bowiem pomiędzy cenami na giełdzie petersburskiéj a cenami zagranicznemi, z drugiéj zaś strony różnica kursu wekslowego, wywoływana oficyalném podnoszeniem wartości rubla kredytowego, przedstawiała ogromne pole dla spekulacyi, która nie omieszkała rozwinąć się w niebywałych rozmiarach.

Ażeby zmniejszyć żądania kruszczu, oznajmiono, że poczynając od d. 6 sierpnia Bank państwa wymieniać będzie bilety nie na złoto, lecz na srebro.

Zwodniczą jednak była nadzieja że wymiana na srebro, podtrzymywana wydawanemi przez Bank, w razie żądania, wekslami po oznaczonym kursie, pozwoli przetrwać przesilenie i doczekać się czasu przyjaznéj reakcyi.

Żądania gotowizny zmniejszyły się istotnie, ale natomiast w odpowiednim stosunku wzrosło żądanie weksli i Bank zmuszony był wydać w bardzo krótkim czasie 29 mil. rubli w przekazach. Pomimo tak złowrogich oznak, podnoszono ciągle cenę rubla kredytowego i dociągnięto tym sposobem operacyę do listopada. Ale widnokręg polityczny nie wyjaśnił się bynajmniéj, a na rynku giełdowym w całéj Europie zapanowała trwoga.

Mowę cesarza Napoleona III z d. 5 listopada n. s. przy otwarciu ciała prawodawczego, wszystkie giełdy przyjęły jako zapowiedź jeżeli nie saméj wojny, to co najmniéj długich politycznych zawikłań.

Na giełdzie petersburskiéj kursa papierów rosyjskich i waluty nagle i znacznie spadły. Pożyczki 5%-we, płacone z początkiem 1862 r. $104^{3}/_{4}$, spadły w styczniu 1863 r. do $99^{1}/_{2}$, a w listopadzie t. r. do $98^{3}/_{4}$; kurs d. 1 listopada, pomimo nieustających wysiłków Banku, spadł blisko o 7 procent... W takim stanie rzeczy dalsza wymiana stała się oczywiście niemożebną i z dniem 5 (17) listopada 1863 r. została wstrzymaną. Pierwszém—rozumie się—następstwem wstrzymania wymiany był stopniowy upadek wartości rubla kredytowego z 98 kopiejek do 77 kop.

Tak tedy usiłowanie przywrócenia metalicznego obiegu zupełnie się nie powiodło, a państwo niezdoławszy utrwalić imiennéj wartości znaków kredytowych, wystawione zostało na ogromne straty, przez zaciągnięcie uciążliwych pożyczek zagranicznych i przez rozwinięcie się poniekąd ohydnéj ale nieuniknionéj i pomyślnym uwieńczonéj skutkiem spekulacyi.

Chlubne to były ze strony rządu i godne uznania wysiłki, ale trudno też zaprzeczyć, że wobec oczywistéj niemożebności utrwa-

lenia równowagi w budżecie państwa, przedsiębranie tak stanowczych środków było poniekąd przedwczesném, a właściwie samo postępowanie zbyt nagłém. Nie ulega wątpliwości, że ówczesna administracya skarbowa byłaby nieskończenie lepiéj postąpiła i pomyślniejsze téż osiągnęła rezultaty, gdyby, nie zobowiązując się do tak rychłego przywrócenia wymiany za nominalną cenę, zwróciła była usiłowania swoje ku temu, aby zabezpieczyć kurs od gwałtownego chwiania się bardziéj szkodliwego niż sam upadek wartości.

XXV.

Zanim przejdziemy do skreślenia historyi i cyfr budżetowych, musimy rozejrzeć się w staraniach podjętych przez skarb około popowiększenia dochodów.

System podatkowy Rosyi należał do najwadliwszych, jakie sobie można tylko wyobrazić, zwłaszcza w państwie mającém bądź-co-bądź pretensye do kultury.

Pomimo coraz większego obciążenia podatników, dochody skarbu nie wzrastały ani odpowiednio do wzrostu produkcyjnych sił państwa, ani w proporcyi podwyższania podatków.

Skutkiem przeświadczenia o tém wyznaczoną została d. 10-go lipca 1859 r. specyalna komisya dla zbadania systemu podatków i opłat.

Komisya ta zaraz przy jéj ustanowieniu miała sobie poruczone za zadanie: Ulżyć stanom opodatkowanym, wprowadzając bardziéj prawidłowy rozkład podatków i usunąć rozmaite ścieśnienia przy poborze podatku pogłównego; usunąć z systemu poboru podatku pogłównego, przeszkody utrudniające projektowaną przez rząd reformę sporządzania spisów ludności i praw o pasportach; wskazać podstawy dla przejścia od odpowiedzialności zbiorowéj za regularne opłacanie podatków do odpowiedzialności osobistéj.

Większość tych chwalebnych zamiarów pozostała dotąd projektem tylko. Czysto biurokratyczny skład rzeczonéj komisyi nie mógł, bardzo naturalnie, podołać rozwiązaniu kwestyi tak silnie zespolonych z ogólnemi warunkami bytu. Natomiast niezaprzeczoną korzyść przyniosło wiele innych prac komisyi w kwestyach mniéj skomplikowanych. I tak: w następstwie prac téj komisyi, a szczególniéj członka jéj, przyszłego ministra finansów Michała Reiterna, wypowiedzianą była opinia rady państwa, zatwierdzona w d. 4-go lipca 1860 r. mająca niezmiernie doniosłe znaczenie dla dochodów państwa, a wprowadzająca z d. 1 stycznia 1863 r. akcyzę od trunków.

W obowiązującym do owego czasu systemie dzierżaw (*otkupów*) prawa propinacyjnego, handel trunkami w rozmaitych miejscowościach Cesarstwa, rozmaitym podlegał przepisom. W guberniach wielkorosyjskich i sybirskich, prawo handlu trunkami oddawano w dzierżawę przez licytacyą. W tak zwanych guberniach uprzywilejowanych, handel ten był zupełnie wolny, z wyjątkiem miast i miasteczek rządowych, w których istniała tak zwana dzierżawa kieliszkowa (czarocznyj otkup). W guberniach Nadbaltyckich handel ten nie był nigdzie i niczem krępowany. W Królestwie Polskiem—jak wiadomo, handel trunkami krępowały rozmaite przepisy, zarówno co do ilości zakładów, jako też i miejscowości, w których one mogły być otwierane.

Jakkolwiek przepisy obowiązujące naówczas co do handlu trunkami w Cesarstwie, dopełniał pewien regulamin, jedynym jednak ich celem były korzyści fiskalne i zabezpieczenie dzierżawców od wszelkiego współzawodnictwa; ścieśnienia bowiem, które miały mieć na widoku ochronę moralności, były zupełnie fikcyjne i nie dotyczyły w niczem istoty tego handlu. Nieuniknioném też następstwem podobnego systemu, musiały być rozliczne nadużycia, które przekonały o niezbędnéj konieczności wprowadzenia zamiast dzierżawy, systemu akcyznego, jako formy poboru podatku od trunków.

Nowa ustawa o akcyzie uświęciła zupełną swobodę, zarówno hurtowéj jak i cząstkowéj, sprzedaży trunków. Handlu tego, w tym systemie, nie krępowały żadne ograniczenia, ani co do miejscowości, ani co do ceny, ani co do mocy sprzedawanych trunków. Dla zażegnania zaś złych wpływów, jakie mogłoby wywrzéć otwieranie zakładów szynkowych, przyznano prawo udzielania pozwolenia na handel trunkami w każdéj odrębnéj miejscowości, osobom i instytucyom, które najwięcéj były w tém interesowane. Zapobiegając zaś wytworzeniu się na nowo w tym handlu monopolów, wzbroniono w miejscowościach nie należących do osób prywatnych, oddawania pod jakimbądź pozorem prawa sprzedaży wyłącznie jednéj osobie, lub ograniczania téj sprzedaży w jakibądź sposób na korzyść jednéj lub kilku osób.

Takie są główne zasady ustawy akcyznéj z 1860 r.

Teoretycznie biorąc, przepisy te są bardzo dobre, w praktyce jednak okazały się mniéj pochwały godnemi. Odrazu bowiem powstała w całém Cesarstwie olbrzymia ilość szynków, bezprzykładnie ludność rozpajających. Do tego naturalnie przyczyniała się przeważnie łatwość w otrzymywaniu pozwolenia na zakładanie szynków od osób i instytucyi, którym prawo przyznawało przywiléj udzielania patentów. Dzierżawcy monopoliści, wysysający przez tak długie

lata niemal wszystkie materyalne i moralne siły narodu, nie mogli się w żaden sposób pogodzić z myślą, że zyskowny ich proceder musi się raz już skończyć i nie szczędzili też zabiegów, czyniąc wszelkie możliwe starania, celem albo zupełnego zaniechania przez rząd zamierzonéj, a nawet i postanowionéj już reformy, albo przynajmniéj wstrzymania jéj chociażby na czas jakiś.

O jednéj z tych intryg, znajdujemy w oficyalnych papierach niezmiernie ciekawą wiadomość:

„Kiedy ministeryum Skarbu—czytamy w powołanych dokumentach—zajęte już było czynnościami przygotowawczemi do wprowadzenia z d. 1 stycznia 1863 r. systemu akcyznego, znaczniejsza część dzierżawców monopolu wódczanego oraz kilku handlujących (ogółem 49 osób) wystąpiło z projektem zaprowadzenia: zamiast zarządu akcyznego, agentury dla poboru dochodu od trunków, któréj członkowie tworzyć będą zarazem towarzystwo dla budowy dróg żelaznych na przestrzeni 2,800 wiorst.“

Projekt ten miał wielkie szanse powodzenia, gdyż popierały go, prawie wszystkie powagi ówczesnego świata urzędniczego, będąc w nim—rozumie się—grubo zainteresowane... Trzeba uznać zasługę ministra Skarbu, że zdołał, memoryałem wyczerpującym sprawę, przeświadczyć cesarza, iż projekt rzeczony, nie jest w gruncie rzeczy niczém innem jak tylko powierzchownie zmienionym systemem dzierżawnym, a bez porównania mniéj jeszcze korzystnym dla Skarbu niż dawniejszy i bardziéj uciążliwym dla ogółu, gdyż założyciele agentury domagali się zarazem podwyższenia ceny okowity; a daléj że ten porządek rzeczy byłby monopolem o tyle cięższym, iż z lokalnego—istniejącego po guberniach i powiatach—stałby się powszechnym w całém państwie.

Co się zaś tyczy nierozdzielnéj z tym projektem propozycyi wybudowania bez rządowéj poręki i subsydyów 2.800 wiorst kolei, korzyści, jakie Skarb miał na tém osięgnąć, były prostem urojeniem wymysłem dla podejścia łatwowiernych, skoro agentura zastrzegała sobie wypłatę po 80 tys. rs., na wiorstę drogi 5%-wemi biletami metalicznemi a nadto jeszcze, prawo zaciągania pożyczek pod zastaw tychże dróg. Tym sposobem,—nawet w najlepszym razie,—drogi owe, nietylko nie przyszłyby rządowi darmo—jak to starali się naiwnie wmówić w odezwie, lecz przeciwnie, kosztowałyby skarb bardzo drogo, bo 11,200,000 rub. rocznie.

Wreszcie, minister Skarbu, zrobiwszy silny nacisk na to, że pozostawienie nadal systemu dzierżawnego byłoby bezwarunkowo zgubném dla Rosyi, omawiany zaś projekt, utrzymuje i nawet potęguje wszystkie ujemne strony dotyczasowego systemu, nie przedsta-

wiając żadnych, bodajby już tylko samych fiskalnych korzyści, upraszał cesarza o odrzucenie prośby monopolistów wódczanych.

Tak bezstronny, chociaż zupełnie uzasadniony wniosek ministra Skarbu, wywołał,—naturalnie—ogromne niezadowolenie wszystkich zainteresowanych w téj sprawie... Ale cesarz stanął po stronie ministra Skarbu i w d. 25 maja 1862 r. rozkazał „ogłosić, że projekt agentury wódczanéj, stanowczo zostaje odrzucony i że nieodwołalną wolą cesarza jest, aby nowy system akcyzny wprowadzony został z d. 1 stycznia 1863 r.“ Prostując przytém tendencyjnie rozsiewane, fałszywe pogłoski w tym przedmiocie, wyjednał minister Skarbu rozkaz cesarski: „aby powyższą rezolucyę, jak również i sam projekt agentury poboru dochodu od trunków w połączeniu z towarzystwem budowy dróg żelaznych, ogłosić we wszystkich stołecznych i gubernialnych gazetach.“

Kiedy tym sposobem monopoliści wódczani tracili grunt pod nogami, starali się wynaleźć inne źródło dochodu dla siebie. Posypały się projekta dzierżawy dochodu tabacznego. Lecz ministeryum finansów wszystkie propozycye odrzuciło i ułożyło nowy projekt ustawy tabacznéj, który zyskał zatwierdzenie Rady państwa 4 lipca 1861 r. i wspierał się na następujących głównych zasadach:

Rozpostarto kontrolę nad sprzedażą i transportem surowego tytoniu produkcyi krajowéj, otwarcie fabryki tabacznéj uczyniono zawisłem od zezwolenia ministra Skarbu; fabrykom tabacznym pozwolono prowadzić wyłącznie hurtową sprzedaż swych wyrobów, opatrzonych przepisanemi opaskami; otwierać składy dla sprzedaży hurtowéj wyrobów i tytoniu wyłącznie krajowéj produkcyi, pozwolono tylko kupcom dwóch pierwszych gildyi; 15% przewyżki w dochodzie z akcyzy, w porównaniu z dochodem 1858 r. przeznaczono na dodatkowe wynagrodzenie służby akcyznéj; dotychczasowa cena opasek i opłat za świadectwa akcyzne, została podwyższoną.

Wkrótce potém zniesiono i monopol solny.

Ukaz z dnia 14 maja 1862 r. wprowadzał jednakowy w całém państwie system akcyzy od soli, na następujących zasadach: 1° Skarb, wyrzekając się operowania solą na własną rękę, tj. wyzyskiwania źródeł solnych, rozwożenia soli po magazynach i sprzedaży zarówno hurtowéj jak częściowéj, postanawiał pozbyć się rządowych źródeł solnych, oddając je do wyzysku osobom prywatnym: 2° pomienione zakłady rządowe polecono sprzedać lub wydzierżawić; 3° akcyzę od wydobytéj soli oznaczono na 30 kop. od puda.

Żeby zrozumieć doniosłość téj reformy, trzeba sobie przypomnieć, że do tego czasu istniał w Rosyi rządowy monopol soli. Rząd, jako właściciel wszystkich główniejszych źródeł solnych w ca-

łém państwie, wyzyskiwał je na własną rękę, utrzymując całą armię oficyalistów, zajmujących się eksploatacyą soli, rozwożeniem jéj do rozmaitych miejscowości, utrzymywaniem dróg prowadzących do zakładów solnych i wreszcie sprzedażą soli z własnych magazynów. Sól wydobywana ze źródeł prywatnych, mogła być sprzedawaną albo Skarbowi po cenach z góry oznaczonych, albo osobom prywatnym, lecz w tym ostatnim razie, trzeba było opłacić na rzecz Skarbu akcyzę, któréj wysokość oznaczały także corocznie właściwe postanowienia. Sól sprowadzona z zagranicy, ulegała opłacie bardzo wysokiego cła.

Ale nie kończyły się jeszcze na tém zabiegi ówczesnéj administracyi skarbowéj około polepszenia warunków pracy przemysłowéj.

Chaos jaki panował w przepisach dotyczących handlu i przemysłu, obowiązujących do roku 1863, doczekał się także uporządkowania.

Ukaz z d. 1 stycznia 1863 r. polecił pobierać opłaty: *a*) za świadectwa handlowe i przemysłowe i *b*) za patenty na prowadzenie handlu lub procederu przemysłowego. Cenę świadectw i patentów, oznaczono według miejscowości i przemysłów od 2 rubli do 250.

Daléj wprowadzono na rok 1863 oddzielny podatek od nieruchomości w miastach, miasteczkach i osadach. Z drugiéj zaś strony zniesiono pogłówne od mieszczan. Do opłaty podatku od nieruchomości, pociągnięto wszystkie nieruchomości, znajdujące się w obrębie miast, miasteczek i osad.

Oprócz wymienionych już przez nas rozporządzeń z dziedziny skarbowości wydanych w r. 1862 pozostają nam jeszcze do zanotowania: prace komisyi nad przejrzeniem przepisów regulujących przemysł fabryczny i pracę rzemieślniczą. Potrzeba radykalnych zmian i w tym przedmiocie oddawna czuć się dawała, przepisy, regulujące do owego czasu obie te gałęzie przemysłu, przedstawiały w praktycznem zastosowaniu mnóstwo niedogodności, z tego względu głównie, że prawo w odmienny sposób traktowało fabryki i zakłady przemysłowe, a inne wkładało obowiązki na rzemiosła.

XXVI.

Jednocześnie z tak doniosłemi reformami finansowemi, zestawiono budżet na rok 1863. Budżet ten, wskutek zmian w układzie przewidzeń budżetowych, miał być pierwszym dokładnym obrazem wszystkich dochodów i wydatków państwa.

Do budżetu tego wciągnięto rzeczywiście z jednéj strony 42 milj. rub. dochodów, które dotąd nie były pomieszczane w budżetach, z drugiéj znowu 37 milj. rubli wydatków, tak samo przez przewidzenia budżetowe pomijanych. Zastosowanie się do nowych prawideł wyrodziło w praktyce tyle trudności, że budżet mógł być zestawiony ostatecznie zaledwie na d. 2 maja 1863 roku. Przewidywany deficyt wynosił 15,7 milj. rubli; ale wydatki, zwiększone głównie z powodu wojennych działań w Król. Polskiem i na Litwie, przewyższyły przewidzenia o 39 milj. rub., z których ministeryum wojny pobrało 26,4 milj. rub. a ministeryum marynarki 5,5 mil. rub.

W ostatecznym rezultacie okazał się brak dochodów na 44,9 milj. rubli. Oprócz tego, na pokrycie wydatków spowodowanych stłumianiem powstania w guberniach zachodnich, przeznaczoną została 10% opłata z czystego dochodu nieruchomych dóbr szlacheckich tych gubernij.

Wpływy z téj opłaty, właściwie zaś kontrybucyi, miały być włączone, na ogólnych zasadach, do dochodów państwa; ponieważ jednak ukaz z d. 8 lipca nie określał sposobów wydatkowania z tych funduszów, dało to powód do nieporozumień pomiędzy zarządem miejscowym a ministrem Skarbu.

Generał-gubernator Wileński hr. Murawiew, domagał się od ministeryum Skarbu asygnowania różnych sum, na rachunek rzeczonéj kontrybucyi, nie motywując wcale wydatków, które miał zaspokoić. Minister Skarbu znowu, wychodząc z zasady, że wydatki państwowe dokonywać należy na zasadzie przewidzeń budżetowych, albo na mocy specyalnych rozkazów cesarskich, żądał od Wileńskiego generał-gubernatora poprzedniego przedstawienia Cesarzowi i uzyskania zatwierdzenia na poczynione już przez siebie wydatki na rachunek wpływów z téj kontrybucyi, oraz na pozwolenie czynienia ich nadal. Takie żądanie nie mogło dogadzać samowolnemu Murawiewowi. Odmówił więc tego wręcz, twierdząc, że wydatki, wobec okoliczności ważnych które je wywołują, są tak nagłe iż należy je uskuteczniać natychmiast, a to stanowczo nie pozwala na przeprowadzenie uprzedniéj korespondencyi celem uzyskania odpowiedniego pozwolenia, że przeto wydaje się mu daleko właściwiéj donosić o każdym wydatku, po jego dokonaniu, ministrowi Skarbu, aby tenże wyjednywał następnie zatwierdzenie cesarskie. Powyższy wniosek Murawiewa uzyskał sankcyę monarszą na dniu 20 września 1863 roku.

Budżet na r. 1863 polecono podać do publicznéj wiadomości, ale z pewnemi ograniczeniami: mianowicie, poprzestać na ogłoszeniu samych paragrafów w ogólnych sumach, pomijając wszelkie szcze-

góły; nie wspominać wcale o wydatkach sekretnych, tylko je pomieścić pod ogólną nazwą „wydatków nadzwyczajnych;" w paragrafach, obejmujących wydatki „na pensye osobiste" nie wymieniać osób, nakoniec kredyty przyznane z powodu stanu wojennego, wykazać w oddzielnym aneksie do etatu.

W roku 1864 zbierano się do niemałoważnéj reformy, do zaprowadzenia w Cesarstwie Instytucyi ziemskich, urządzenia w Król. Polskiém gmin wiejskich i komisyi likwidacyjnéj, zniesienia główniejszych ceł wywozowych i opłat pobieranych na rzecz miast portowych, wprowadzenia nowych instytucyj sądowych, nowych ustaw procedury cywilnéj i karnéj, oraz kar wymierzanych przez sędziów pokoju i dopełnienia przepisów o handlu trunkiem.

Gdy w ten sposób wrzało życie prawodawcze, zestawienie budżetu na rok 1864, napotykało wiele trudności, tak, że dopiero 4-go maja mógł on być ogłoszonym. Przewidywany deficyt, podobnie jak w roku poprzednim powiększał się wydatkami nadzwyczajnemi do 26,3 mil. rubli, ostatecznie zaś wyniósł 46 mil. rub.

Dla zadość uczynienia tak znacznym wydatkom, wypuszczono 18 seryi biletów skarbu na 54 mil. rubli, nadto obrócono fundusze z zaciągniętych pożyczek anglo-holenderskiéj i pożyczki premiowéj, nad którą chwilkę zastanowić się musimy.

Oficyalnie wyrażonym celem pierwszéj pożyczki premiowéj, miało być dostarczenie Bankowi państwa odpowiednich środków na powiększenie jego operacyi, zamierzających przyjść w pomoc przemysłowi, oraz zdobycie środków na budowę, nader ważnych dla państwa dróg żelaznych pomiędzy Moskwą a morzem Czarném. W rzeczywistości zaś pożyczka ta była konieczną dla zwrócenia Bankowi państwa długów pozaciąganych przez skarb dla pokrycia deficytów.

Ukaz i przepisy o sposobie zaciągnięcia wewnętrznéj 5%-wéj pożyczki premiowéj na sumę 100 mil. rubli, ogłoszono dnia 13 listopada 1864 r. zapisy zaś otwarto w rozmaitych miejscowościach cesarstwa w terminie od 3 do 12 grudnia t. r.

Pomimo jednak tak wczesnego uwiadomienia publiczności, długiego czasu przeznaczonego na zapisy i tak powabnych widoków—nadziei tylu wygranych, zapisy na tę pożyczkę miały przewyższyć oznaczoną kwotę, zaledwie o 15 mil. rubli; w rzeczywistości zaś publiczność nie pokryła żądanéj sumy i znaczną bardzo kwotę zapisał sam Bank państwa.

Budżet na rok 1865 zdołano po raz pierwszy przedstawić cesarzowi do zatwierdzenia we właściwym czasie t. j. w połowie grudnia. Ale tak samo w 1865 r. jak i lat poprzednich, dochody zwy-

czajne o 22,4 mil. rub. nie wystarczały na pokrycie wydatków, pomimo, że wydatki istotnie produkcyjne na wszelkie pożądane reformy, zmniejszono do możliwego minimum. Lecz i ta cyfra deficytu była fikcyjną. Wydatki bowiem nadzwyczajne przewidziane w cyfrze 4 milionów rubli, wzrosły do 36,2 mil. rub., z których ministeryum wojny i marynarki, zaczerpnęły 16,6 mil. rubli i w rezultacie okazał się brak 25 mil. rub. tak jak lat poprzednich.

Tymczasem stan finansów państwa nie upoważniał bynajmniéj do lekkomyślnego szafunku funduszami. Złe bowiem jakie się nagromadziło, zaczęło się uwidoczniać nie przez samą tylko niemożność odnalezienia nowych źródeł dochodu. Rosya pod tę porę przechodziła nadto jedno z najcięższych przesileń ekonomicznych.

Rolnictwo i połączone z niém gałęzie przemysłu, stanowiące w Rosyi główne źródła narodowego bogactwa, znalazły się w nader trudném położeniu po zniesieniu pańszczyzny, wobec zupełnego braku oszczędności i kredytu, które jedynie mogły dostarczyć kapitału obrotowego, niezbędnego dla racyonalnego prowadzenia gospodarstwa przy pomocy najemnika.

W niemniéj trudném położeniu znajdował się i przemysł przetwórczy. Przy wielkiéj podaży kapitałów wydalonych z banków przez obniżenie stopy odsetek, jak również skutkiem gorączki opanowującéj zazwyczaj ludzi, gdy nietylko nie daje się czuć brak pieniędzy lub znaków zastępujących je, uważanych powszechnie za rzeczywisty kapitał, lecz przeciwnie widocznym jest ich nadmiar,— rzucono się lekkomyślnie do zakładania fabryk i organizowania przedsiębierstw nie mających racyi bytu nawet w warunkach normalnych. Nie długo trzeba było czekać na ujawnienie się różnicy między własnościami pieniędzy papierowych, a monety brzęczącéj. Sztucznie ożywiony popyt nie mógł trwać długo. Z jednéj strony zmniejszało się spożycie wśród mas ludu, z drugiéj znów powiększał się znacznie przywóz z zagranicy wyrobów rękodzielniczych, już-to jako rezultat wprowadzenia taryfy celnéj z 1857 r., która obniżała cło od wielu artykułów, już-to skutkiem olbrzymiego rozwinięcia się kontrabandy, przez otworzenie granic w czasie powstania.

Do tego wszystkiego dodać jeszcze trzeba zupełny upadek kredytu w społeczeństwie: straty bowiem jakie poniosło wielu ryzykownych przedsiębiorców wyrodziły zupełny brak zaufania, nawet do najpoważniejszych przedsięwzięć.

Oprócz wszystkich tych trudności, wynikających z fatalnego ustroju stosunków wewnętrznych, wrogo jeszcze a nader silnie, na kredyt Rosyi i jéj pomyślność, oddziaływały téż naówczas wpływy

zewnętrzne, wojna domowa Stanów Zjednoczonych i wojna Austryacko-pruska. Nic przeto dziwnego, że przy współczesném działaniu wewnętrznych ekonomicznych zawikłań i zewnętrznych politycznych oraz finansowych trudności, kurs papierów rosyjskich i kurs wekslowy uległ znacznéj obniżce. Renta 6%-wa w październiku 1867 r., zbiega do niebywałego od 1814 roku minimum — mianowicie do 80. Kurs wekslowy nie mniejszéj doznaje porażki, gdyż w 1866 r. podczas starcia pod Sadową, spada on do 68 kop. metalicznych za rubla kredytowego. Był to kurs niepraktykowany jeszcze od czasu skonwertowania asygnat. Już sam ten upadek kursu wekslowego zmniejszał ogromnie wartość dochodów państwowych a powiększał wydatki. Następstwem wszystkich tych okoliczności, musiało być naturalnie nadzwyczajne podrożenie gotowizny, tak, że stopa skupu w Banku państwa doszła 9%. Że zaś położenie to pogarszały jeszcze w wysokim stopniu zawikłania, wywołane uwłaszczeniem włościan, nastało więc ostatecznie nieuniknione, ciężkie, wszystkim pamiętne, przesilenie 1866 r.

Jak zazwyczaj w podobnych razach posypały się na ówczesnego ministra skarbu ciężkie gromy, skargi i narzekania. W oczach społeczeństwa on jeden był wyłącznie winien temu, że gromadzące się w ciągu całych wieków biedy, ujawniły się wreszcie jaskrawo.... Nikt przypomnieć nie chciał tego co się działo dawniéj, a opłakany stan finansowy i ekonomiczny państwa wogóle, przypisywano wyłącznie środkom przez ostatniego ministra przedsiębranym.

Taka opinia ogółu a nadewszystko przeświadczenie o niemożności usunięcia własną inicyatywą istotnych przyczyn opłakanego stanu, skłaniają p. Reiterna, do podania prośby o uwolnienie go od tak ciężkich obowiązków.

Jednocześnie wszakże z podaniem o dymisyę wręczył on cesarzowi memoryał, specyalnie na ten tylko użytek wydrukowany, w którym nader śmiało i otwarcie, tak jak zwykł był to czynić przez cały czas zarządzania ministeryum, przedstawia monarsze istotny stan rzeczy, wyłuszcza rzeczywiste przyczyny, które doprowadziły państwo do tego położenia i ostrzega przed następstwami, nieuniknionemi tak w dziedzinie finansowéj jak i politycznéj, jeżeli bedzie ono i nadal po wytkniętéj kroczyć drodze.

Po odczytaniu tego memoryału, cesarz cofnął zdecydowaną już dymisyę, poczém nastał nawet niejaki zwrot ku lepszemu.

Przewidywany na r. 1866 deficyt w ilości 60,6 mil. rubli, jak również przepowiednie następstw, skreślone przez ministra skarbu w rzeczonym memoryale, przeraziły cesarza do tego stopnia, że polecił

zwołać, pod swoją osobistą prezydencyą, radę ministrów dla przedsięwzięcia środków, mających na celu zmniejszenie wydatków.

Na posiedzeniu mającém się odbyć w d. 6 października 1866 r., każdy minister obowiązany był przedstawić własne w tym przedmiocie wnioski, które miały być poddane szczegółowéj wspólnéj krytyce. Okoliczność ta dała powód do niezmiernie charakterystycznego zarysowania się znamion, cechujących dokładnie cały rosyjski system skarbowego zarządu, dlatego nie chcemy tutaj epizodu tego pominąć.

Pan J. M. Tołstoj, wyniesiony następnie do godności hrabiego, a niedawno przedtém mianowany ministrem poczt i telegrafów, powstawał upornie przeciw zmniejszeniu wydatków, dowodząc stanowczéj niemożebności zaprowadzenia jakichbądź oszczędności w powierzonéj mu gałęzi. Nie przekonywały go żadne argumenty i uległ wówczas dopiero, kiedy cesarz zwrócił się do niego z bardzo energicznemi słowy, rozkazawszy bezwarunkowe zmniejszenie wydatków do wskazanéj przez ministra finansów normy. Ale hr. Tołstoj był w wielkich łaskach u cesarza, ażeby więc wykazać wpływ swój i podnieść zachwiany w oczach innych ministrów urok przewagi swéj nad monarchą, nie omieszkał wyjednać sobie—składając wkrótce potém osobiście sprawozdanie cesarzowi — pozwolenia na nowe wydatki, przewyższające znacznie oszczędności, do których w tak ostry sposób został zmuszonym....

Mimo to jednak narady te—trzeba przyznać—przyniosły niejaki pożytek. Wprawdzie na krótko, wszelako wstrzymano rzeczywiście powiększanie wydatków na uzbrojenia i wogóle na cele nieprodukcyjne, natomiast postanowiono przyśpieszyć budowę dróg żelaznych, w celu zaś zasilenia skarbu państwa i przywrócenia równowagi na rynku pieniężnym, upoważniono ministra skarbu, stosownie do wniosku komitetu finansowego, przy pomocy emisyi biletów kredytowych, powiększać fundusz wymiany oraz metaliczną gotowiznę kasy Banku państwa.

Postanowieniem komitetu fiansowego zatwierdzonem d. 2 (14) czerwca 1867 r. upoważniono Bank państwa do zaczerpnięcia z funduszu wymiany biletów kredytowych, oprócz podniesionych już i puszczonych w obieg 38 mil. rub. jeszcze 35 mil. rub., zobowiązując jednocześnie Bank państwa i jego oddziały do przyjmowania monety brzęczącéj, zarówno rosyjskiéj jak i zagranicznéj, oraz złota i srebra w sztabach, po cenach oznaczanych peryodycznie przez zarząd Banku państwa, stosownie do kursu wekslowego. Nie ulega wątpliwości, że zarówno minister skarbu jak i komitet finansowy, zgadzając się na to postanowienie, wiedzieli dobrze, że składa

się ono z samych sprzeczności i że przedsiębrany środek był tylko nic prawie nieznaczącą poprawką przy nowéj emisyi biletów kredytowych.

Bądź-co-bądź poprawka ta odegrała ogromną rolę w rosyjskim obiegu pieniężnym, ze względu na okoliczność, o któréj wówczas jeszcze nie myślano, a mianowicie na bardzo przyśpieszoną budowę dróg żelaznych.

W czasie bowiem kiedy uchwalono rzeczone postanowienie, ani minister skarbu, ani Komitet finansowy, nie przypuszczali pewnie, że fundusz wymiany na skutek dopływu kapitałów z zewnątrz wzrośnie w krótkim czasie do 231 mil. rub. metalicznych.

Ale o tém mówić będziemy późniéj, przy rozpatrywaniu finansowych rezultatów lat następnych.

XXVII.

Przechodzimy do okoliczności, która—zdawałoby się—niema związku z finansami, a jednak nie może być tutaj pominiętą, tak wielki wpływ wywarła na cały bieg państwowego życia Rosyi a temsamém i finansów.

Dnia 4 kwietnia 1866 r. Karakozow targnął się na życie cesarza Aleksandra II-go. Okoliczność ta niezmiernie silnie oddziałała na cesarza, który z punktu widzenia rosyjskiego władcy, szczerze poświęcił się sprawie reorganizacyi państwa.

Jakkolwiek bowiem wprowadzone do owéj chwili reformy wywołał po części duch czasu, rzeczą jest jednak dobrze wiadomą, że dla ich urzeczywistnienia, potrzeba było ze strony cesarza, szczeréj chęci, a nawet i stanowczéj woli, ażeby nie uledz namowom i oprzeć się intrygom niezadowolonéj z reform, a potężnéj liczebnie i nader wpływowéj, partyi zwolenników starego porządku rzeczy, tak zwanych „krepostników."

Wiedząc zatém z jakim trudem i ile wyświadczył dobrego swemu narodowi, cesarz Aleksander II-gi mógł był spodziewać się od niego tylko oznak wdzięczności.

Dochodziły go prawda wieści o istnieniu malkontentów, których niezadawalniały częściowe reformy i którzy domagali się gwałtownego przewrotu, nie dawał im jednak posłuchu, podejrzywając w nich tendencyjną przesadę. Dopiero wystrzał Karakozowa upewnił go o słuszności przestróg i uczuł się srodze dotkniętym niesprawiedliwością losu.

Wprawdzie historya poucza, że niewdzięcznością odpłacano niemal wszystkim reformatorom, że każde śmielsze działanie, każ-

da silniejsza akcya wywoływała niechybnie mniéj więcéj silną reakcyę.

W najbliższém otoczeniu reformatora nie zamarły były jeszcze dążenia przeciwnego kierunku. Nie omieszkało téż ono wyzyskać téj okoliczności, aby zapewnić tryumf swoim wpływom i zdobyć sobie przewagę w przeistaczaniu wprowadzonych już reform, osłabianiu dobroczynnych ich następstw, cofaniu państwowego życia w ciągu całych następnych lat czternastu.

Pierwszym sygnałem tryumfu tych dążeń, ku spaczeniu i zawróceniu liberalniejszego kierunku prawodawstwa ostatnich lat, było wezwanie słynnego Murawiewa do przeprowadzenia śledztwa nad Karakozowem. Jednym zaś ze środków, które i w dziedzinie skarbowości musiały się dać odczuć, była zasadnicza zmiana ustroju administracyi gubernialnéj.

Już w dniu 13 maja ogłoszono reskrypt cesarski wydany na imię prezesa komitetu ministrów, wykładający w nowym duchu „zasady, jakiemi winni się kierować ministrowie i głównozarządzający w zarządzie powierzonych im dziedzin.“ Daléj, dnia 14 czerwca t. r. na posiedzeniu komisyi, utworzonéj, stosownie do rozkazu cesarskiego pod prezydencyą ks. Gagarina, w celu uchwalania środków wzmacniających administracyjno-policyjny nadzór w guberniach, ministrowie: spraw wewnętrznych—sekretarz stanu Wałujew i dóbr państwa—generał-adjutant Zielenoj, wraz z szefem żandarmów hr. Szuwałowem, przedstawili szereg środków, które—ich zdaniem — były bezwarunkowo nieodzowne i które należało wprowadzić natychmiast, aby osiągnąć pożądany administracyjno-policyjny nadzór w guberniach.

Podług nich główną wadą administracyi lokalnéj w guberniach, była ograniczona kompetencya gubernatorów; pozbawienie ich należytego wpływu na wszelkie władze administracyjne, istniejące w guberniach, a zależne od specyalnych zarządów; brak wreszcie władzy nad personelem tych dekasteryi, jak również „przeciążenie korespondencyami z rozmaitémi zarządami.“

Dla usunięcia tych niedogodności, wymienieni członkowie rzeczonéj komisyi proponowali: w osobie naczelnika gubernii, jako przedstawiciela władzy wykonawczéj państwowéj i gospodarza gubernii, zjednoczyć nadzór nad wszelkiemi władzami administracyjnemi i osobami sprawującemi jakikolwiek urząd we wszystkich gałęziach administracyi cywilnéj, z wyjątkiem urzędów pocztowych, telegraficznych i izb kontrolnych.

W tym celu gubernatorom przyznano prawo: 1) dokonywania w każdéj chwili niespodziewanéj rewizyi; 2) wstrzymania wprowa-

dzenia w wykonanie, każdego rozporządzenia władz tych lub osób jeżeli ono sprzeciwiać się będzie prawu, albo uznane zostanie przez gubernatora za niezgodne z pożytkiem ogółu; 3° wydawania w wypadkach nagłych, własnych rozporządzeń pod osobistą odpowiedzialnością.

Oprócz tego, odnośnie do zarządów gospodarstwa skarbowego, tj. izb skarbowych, zarządów dóbr państwa i akcyznych, projektowano udzielić gubernatorom: 1° prawo mianowania i uwalniania wszystkich urzędników do klasy VII włącznie, 2° w razie odkrycia przewinienia służbowego, prawo nakładania na winnych kar administracyjnych, zarządzania co do nich śledztwa i oddawania ich pod sąd.

Co się tyczy utrzymania porządku państwowego i publicznego bezpieczeństwa, projekt rzeczony przyznawał gubernatorom, jako najwyższéj władzy policyjnéj w gubernii: 1° prawo wzywania do siebie, dla udzielania osobistych wskazówek, urzędników wszystkich władz, nawet członków sądu, jak również i każdą prywatną osobę— i 2° prawo rozwiązywania, w razie dostrzeżenia czegokolwiekbądź przeciwnego porządkowi i bezpieczeństwu—wszelkich zebrań, stowarzyszeń, klubów i arteli (związków).

Wreszcie, bardzo prosta już konsekwencya nakazywała autorom projektu, powierzyć naczelnikom powiatów (*isprawnikom*), nadzór administracyjno-policyjny, stosownie do wskazówek gubernatora, nad wszystkiemi urzędami i osobami sprawującemi funkcye rządowe w obrębie powiatu.

Takie były środki proponowane przez ministra Spraw wewnętrznych, dóbr państwa i szefa żandarmów dla zaprowadzenia—jak utrzymywali należytego i niezbędnego porządku w guberniach.

Sklejony na prędce powyższy projekt, pomimo, że dotyczył najżywotniejszych interesów państwa, rozbierany był bardzo powierzchownie, a popierało go tylko czterech członków komisyi: gen. piechoty hr. Murawiew, gen.-adjut. Zielenoj, hr. Szuwałow, i sekretarz stanu Wałujew, inni zaś członkowie oświadczyli się stanowczo przeciw rozszerzaniu władzy gubernatorów. Najbardziéj interesującemi dla nas, były oświadczenia w tym względzie ministra Sprawiedliwości i ministra Skarbu, które też tutaj streszczamy:

Zdaniem ministra Sprawiedliwości, rzeczywistego radcy tajnego Zamiatina, takie rozszerzenie władzy gubernatorów, jakiego się przedstawiony powyżéj projekt domaga i zestrzelenie w ich ręku zwierzchniéj władzy nad wszystkiemi, najróżnorodniejszemi dziedzinami miejscowego zarządu, nadałoby gubernatorom stanowisko, jakie zajmowali niegdyś, przy carach, namiestnicy i wojewodowie.

Gdy tymczasem, w obecném położeniu, przy rozwiniętém zupełnie inaczéj życiu społecznėm, przy rozszerzonych stosunkach, bardziéj uspecyalizowanéj administracyi, a jednak skomplikowanéj czynności rozmaitych gałęzi państwowego zarządu, podobny ustrój staje się wprost niemożliwym.

Najlepszym tego dowodem, że jeszcze za panowania cesarzowéj Katarzyny II-éj, działalność dawniejszych namiestników, uznaną została za szkodliwą dla dobra państwa i dlatego też zastąpieni oni zostali przez gubernatorów, którym nadano znacznie mniejszą władzę, w porównaniu z tamtymi. Podobny powrót do minionéj dawno przeszłości, można przedsiębrać jedynie tylko po szczegółowém, sumiennėm i wszechstronném zbadaniu wszystkich racyi przemawiających za i przeciw. Konieczna potrzeba i pożytek podobnéj reformy w stosunkach państwowych,—ciągnął daléj p. Zamiatin—powinny być poparte niezbitémi argumentami i dowodami, których bynajmniéj nie znajdujemy przy rzeczonym projekcie.

Wreszcie, minister sprawiedliwości zwracał uwagę, że zamiar wprowadzenia wszystkich tych modyfikacyi w atrybucyach władz, przez postanowienie władzy wykonawczéj, nie zaś w drodze prawodawczéj, sprzeciwia się zasadniczym prawom państwowym i popierał to następującém dowodzeniem.

Nie ulega wątpliwości, że można i należy nawet nadawać niekiedy obszerną władzę naczelnikowi oddzielnego kraju, jeżeli kraj ten znajduje się w tak wyjątkowém położeniu, że trzeba go ogłosić w stanie wojennym. W podobnym jednak wypadku, prerogatywy te udzielane są pewnéj osobie, zaszczyconéj szczególném zaufaniem cesarza. Ale rozciągać podobne prawa na wszystkich gubernatorów,—a zatém i na pełniących ich obowiązki—wice-gubernatorów, znaczyłoby to zmienić zasadniczo cały istniejący ustrój państwowego zarządu, co nie może być dokonaném na téj drodze.

Minister Skarbu sekretarz stanu Reitern, ze swéj strony twierdził że wszystkie administracyjno-prawodawcze postanowienia, wydane w ciągu ostatnich lat 10 zmierzały do tego aby nadawać władzę téj osobie, na któréj ciąży odpowiedzialność za pomyślność sprawy; tymczasem nowy projekt bez żadnéj widocznéj racyi, idzie wprost w przeciwnym kierunku. Daléj zwracał p. Reitern uwagę na pośpiech, z jakim oczywiście musiał być redagowany projekt, skoro nie zbadano nawet, co obowiązuje legalnie, i wtrącił pytanie, czy i prawo rozporządzania funduszami skarbowemi, ma również przysługiwać gubernatorom, pod osobistą ich odpowiedzialnością, z obowiązkiem składania tylko raportów o przyczynach wydatkowania? Jakkolwiek dodał—nie przypuszcza—iżby można było przyznać gu-

bernatorom moc szafowania funduszami skarbowemi, skoro jéj nie posiadają główni zwierzchnicy, nie wyłączając samego ministra Skarbu.

Kończąc zaś swoje uwagi sekretarz stanu Reitern, wyraził nadzieję i przekonanie, że cesarz prawdopodobnie nie zezwoli na przedsięwzięcie kroków, które—w formie i pod pozorem czasowego rozporządzenia zmieniałyby do gruntu istniejący porządek rzeczy i pozbawiły ministra Skarbu możności odpowiadania za całość dochodów państwowych. Nie zezwoli, bez wysłuchania wszechstronnéj w téj materyi dyskusii i rozpatrzenia konkluzii ministra.

Tak energicznie a prosto wypowiedzianą opinię ministra Skarbu, poparli też prezes komisii ks. Gagarin, oraz dwaj jéj członkowie: sekretarz stanu Panin i gen-adjutant Milutin. Wynikła więc scysya w łonie komisyi, którą cesarz rozstrzygnął, skreśleniem na przedstawionym mu raporcie następującéj rezolucyi: „*Wykonać w myśl wniosku czterech członków*, albowiem wszystkie dochodzące do mnie wiadomości z wewnętrznych gubernii, *potwierdzają nieodzowną potrzebę bezzwłocznego przedsięwzięcia zamierzonych kroków.*“

Wobec tak stanowczo wyrażonéj woli cesarskiéj, poruczono sprawę komitetowi ministrów i wygotowano odnośne postanowienie o wzmocnieniu władzy gubernatorów.

Szczęściem dla Rosyi, wprowadzenie nowych instytucyi sądowych było już ostatecznie zdecydowane i nieprzyjaciołom „innowacyi“ nie stało już czasu, ani téż nie mieli możności powstrzymania wprowadzenia w życie, reformy sądowéj i i nowéj procedury karnéj.

XXVIII.

Badanie rezultatów finansowych staje się robotą znacznie łatwiejszą, poczynając roku 1866, wskutek wydanych 3 stycznia t. r. niezmiernie ważnych dla dziedziny skarbowości przepisów; o obwiązkowém ogłaszaniu przez kontrolera państwa sprawozdań z dokonanych w ciągu roku operacyi budżetowych.

Przeciąg czasu 16 letni, który zawiera epokę sprawozdań kontrolera, rozdzielimy na dwa okresy jeden do r. 1875 w którym zapowiadać się zaczęła wojna wschodnia i drugi po chwilę obecną.

Lecz zanim podamy ostateczne rezultaty finansowe okresu od 1866 do 1874 r. zaznaczyć winniśmy, że w 1866 roku zniesiono, istniejący dotąd odrębnie, Skarb Królestwa Polskiego i utworzono w Radzie ministeryum Skarbu Cesarstwa, osobny wydział do spraw skarbowych królestwa polskiego, któremu poruczono referowanie tych

spraw i znoszenie się w tych przedmiotach, z miejscowym zarządem w królestwie.

Deficyt roku 1866, z przyczyn wyżéj podanych, jak to widzieliśmy wyniósł ogromną sumę 60,6 milj. rub. W następnym 1867 roku spadł on wprawdzie do 9,9 milj. rub., lecz za to w 1868 wzrósł znowu do 19,7 milj. rub. a w 1869 roku wynosił jeszcze 11,3 miljonów rubli.

Dopiero w 1870 roku zmniejszył się on do 4,9 milj. rub. a w następnych dwóch latach rezultaty budżetowe przedstawiały niebywałe zjawisko: przewyżkę dochodów nad rozchodami 4,5 i 4,4 miljonów rubli.

Wprawdzie rok 1873 przyniósł znowu deficyt, lecz nieznaczny, bo zaledwo 1,2 mil. rubli, dopiero 1874 rok dał znaczną przewyżkę dochodów nad wydatkami 14,4 milj. rubli. Przyczyna takiéj nadzwyczajnéj zmiany była dość prosta. Na zmniejszenie deficytu i uzyskanie przewyżek budżetowych, przeważnie wpłynęła żwawiéj poprowadzona budowa dróg żelaznych, ożywiając potężnie wytwórczość krajową, wywołując ogromny napływ kapitałów zagranicznych i zmieniając korzystniéj położenie rynku pieniężnego. Pomimo bowiem przykrego położenia finansowego, starania około budowy niezbędnych dróg żelaznych nie przestały szczerze zajmować administracyi skarbowéj.

Rząd udzielając wciąż ze swoją poręką, nowe koncesyę, mające na celu ściągnięcie kapitałów niezbędnych na przeprowadzenie najpotrzebniejszych w owym czasie dróg państwowych, silnie popierał towarzystwa budowy i—przyznać trzeba,—złożył w tém dowody zdrowego na rzecz poglądu.

Podczas, gdy na dniu 1 stycznia 1857 roku, posiadano w całem państwie, wraz z Królestwem Polskiem, wszystkiego 979 wiorst dróg żelaznych zupełnie ukończonych, na dniu 1 stycznia 1865 roku, sieć dróg oddanych do ruchu, mierzyła już 3,566 wiorst a na ich budowę wypuszczono 395,3 milj. rubli w akcyach i obligacyach.

Skoro tylko podaż kapitałów na budowę dróg żelaznych, zaczęła się wzmagać, skoro tylko ustaliło się zaufanie w publiczności, do tego rodzaju przedsiębiorstw, rząd w 1867 r. utworzył specyalny fundusz na budowę dróg żelaznych. Fundusz ten o ile okazywał się niedostatecznym, dopełniany był przez wypuszczanie obligacyi i wielce przyczynił się do posunięcia naprzód sprawy budowy dróg żelaznych w Rosyi. Jedynie dzięki pomocy tego funduszu, z d. 1 stycznia 1868 r. ogólna długość ukończonych i budujących się dróg dosięgła już 7,225 wiorst, a ruch otwarty był na przestrzeni 4,325 wiorst.

Jeżeli policzymy i dodamy wszystkie subwencye, udzielone przez rząd w okresie od 1862 do 1868 r. na budowę dróg, zakup szyn, dopłatę procentów (porękę), pożyczki udzielone towarzystwom, zakup ich akcyi i t. d. to się okaże, że rząd wydał w tym czasie do 113 mil. rubli.

Już same te cyfry wykazują, jak dodatni wpływ musiało wywrzeć takie ożywienie pracy, nie dziw przeto, że podatki znacznie łatwiéj i obficiéj wpływały do kas państwa.

Dzięki budowie dróg żelaznych, wzrosła w kraju produkcya, a z nią wzrosły i dochody państwa, szczególniéj od trunków, od cukru, z poborów celnych, z dochodu z dróg żelaznych i t. d. Z powiększeniem dochodów, pożyczki na pokrycie deficytów okazują się zbyteczne, a zaciągają się wyłącznie na cele produkcyjne — na budowę tychże samych dróg żelaznych. Nie dziw przeto, że kredyt rosyjski zagranicą wciąż się polepszał; chętniéj dostarczano żądanych funduszów i na dogodniejszych ofiarowano je warunkach, bo dawano na zasiew, z którego czas miał przynieść obfite plony. Ale na tém nieograniczają się jeszcze dobroczynne wpływy jakie wywarła budowa dróg żelaznych. Przedewszystkiem, dzięki znacznemu napływowi kapitałów zagranicznych, podniósł się także kurs wekslowy i w myśl ukazu z d. 2 (14) czerwca 1867 r. Bank państwa zaczął nabywać monetę brzęczącą po cenie 5 rubli 98 kop. za półimperyała, płacąc przytém biletami kredytowemi z własnego kapitału obrotowego; następnie zaś dla dopełnienia tego kapitału, bank zlewał nabytą monetę do funduszu wymiany biletów kredytowych, przenosząc zarazem odpowiednie sumy z kapitału rezerwowego tych biletów do własnego kapitału obrotowego.

W następstwie téj operacyi i dzięki puszczeniu w obieg znaczniéj ilości biletów kredytowych z funduszu rezerwowego, w zamian przelanéj do funduszu wymiany monety brzęczącéj, nietylko powiększył się ów fundusz, ale zarazem powiększył się téż i napływ biletów kredytowych do kas bankowych, co postawiło Bank w możności rozszerzenia operacyi swoich i zwrócenia z dniem 1 stycznia 1869 r. kapitałowi rezerwowemu zaczerpniętych tam tytułem pożyczki 58 mil. rubli.

Ale to dopiero jedna strona medalu i zapatrując się na ten przedmiot, wyłącznie z tego punktu widzenia, urobionoby sobie jednostronne, zupełnie błędne mniemanie: zobowiązania bowiem, jakie rząd przyjął na siebie względem prywatnych towarzystw kolei żelaznych, oddziaływały znowu na budżet w kierunku wprost przeciwnym, obciążając go wydatkami poprzednio nieistniejącemi. Ciężar zaś ten o tyle bardziéj przygniatał, że bezpośrednie zobowiąza-

nia t. j. właściwy dług państwa i tak był już wielki i że jednocześnie prawie przychodziły powiększać je inne pośrednie ciężary.

Zbytecznem byłoby objaśniać, że co się tyczy kolei, mowa tu o zobowiązaniach, wypływających z poręki procentów od akcyi i obligacyi towarzystw dróg żelaznych, jaką rząd wielu towarzystwom zapewnił. Ówczesny minister finansów dobrze rozumiał, że ostrożność była konieczną. Wzrastanie dochodów było czasowém; za lada niepomyślną zmianą, okoliczności przyjazne mogły ustąpić i utrzymanie równowagi budżetowéj okazać się niemożebném, a to tembardziéj, że ciągłe powiększanie wydatków wojennych zagrażało finansom państwa stanowczą ruiną. Wydatki na utrzymanie siły zbrojnéj w roku 1873, wzrosły w porównaniu z r. 1859 o 73,8 mil. rubli.

Prawda, że te wydatki łożone były na nowe podboje: d. 29-go maja 1873 r. wojska rosyjskie dowodzone przez generała Kaufmana, wchodziły do Chiwy, a dnia 24 sierpnia tegoż roku, spisano umowę z chanem Chiwy, mocą któréj kraj ten stawał się lennym Rosyi.

Minister finansów jako światły mąż stanu, usiłował powstrzymywać państwo od tego rodzaju zdobyczy okupywanych wielkiemi ofiarami, które obarczają naród i oprócz czczéj sławy nie przynoszą nikomu korzyści.

Sposób administrowania nowo-zawojowanemi krajami, nie mógł być innym jak tylko najgorszym, o ile zaś dobrobyt zależy od administracyi, pokazał Rosyi dobitnie przykład kolonii rosyjskich w Ameryce.

W 1867 r. ustąpiła Rosya — właściwie sprzedała Stanom Zjednoczonym północnéj Ameryki swoje kolonie w Ameryce.

Rezultat wykazał, że rząd amerykański zrobił na tém kupnie doskonały interes. Świeżo ogłoszone drukiem sprawozdanie o stanie téj części Ameryki i należących do niéj wysp przekonywa, że nędzna kolonia pod nowym kierunkiem, jakby na skinienie czarodziejskiéj różczki, zupełnie się przeistoczyła; dobrobyt mieszkańców wzrósł tak dalece, że zwracają oni już na siebie uwagę nietylko swą zamożnością, ale i dążeniem do udoskonalonych form cywilizowanego życia; dochody prowincyi powiększyły się w dziesięćkroć— i to wszystko w niespełna lat piętnaście. Przykład kolonii Amerykańskich powinien-by służyć za najwymowniejszy argument, walczący przeciw stronnikom polityki reakcyjnéj, którzy uważają społeczeństwo rosyjskie za niedość dojrzałe jeszcze, aby można było w niem szczepić liberalniejsze zasady i odsądzają naród od udziału w zarządzie krajem dla tego, że nie chcą widzieć korzyści jakieby to mogło przynieść.

A jednak, ten sam poddany rosyjski, zamieszkujący w najsurowszym klimacie, w najtrudniejszych warunkach przyrodniczych, jakie widzimy na oddalonym północno-wschodzie — ten sam mówimy rosyjski poddany, bez żadnéj pomocy ze strony rządu, przeistacza się i w tak krótkim czasie z nieokrzesanego nędzarza w człowieka zamożnego i cywilizowanego, dla tego jedynie, że mu pozostawiono pełną swobodę działania i przyznano prawo współudziału w sprawach polityczno-społecznych, przeistoczenie to nadto nastąpiło spokojnie, bez żadnych wstrząśnień i zaburzeń i nowy porządek społeczny ustalił się w koloniach odrazu i raz nazawsze.

Ale bo postęp i cywilizacya mogą się rozwijać jedynie na podstawie samodzielności społeczeństwa, która znowu łatwo daje się pogodzić z monarchiczną formą rządu.

Lecz powróćmy do ministeryum wojny i zabiegów około ograniczenia jego wydatków. Widząc szybki i bezustanny wzrost wydatków na utrzymanie siły zbrojnéj, — wzrost, którego żadne usiłowania Rady państwa i ministeryum skarbu, nie były w stanie pohamować; gdyż ministeryum wojny potrafiło zawsze wyminąć lub odeprzeć wszelkie tych instytucyi przedstawienia, postanowiono uciec się do środka wyjątkowego, któryby choć w części mógł złe odwrócić i nadal przynajmniéj zmniejszył wzrastanie fych wydatków.

W tym celu zamierzono, sposobem próby, na okres od 1874 do 1878 r. wyznaczyć maximum na wydatki ministeryum wojny, któregoby ono pod żadnym pozorem nie mogło przekroczyć. Maximum to na rok 1874 miało wynosić 174 mil. rub., czyli przewyższało o 5 mil. rub. wydatki 1873 r., a na następne lata wspomnianego okresu, przeznaczano stale po 179 mil. rubli rocznie. Wydatki wywołane przez wojnę lub ekspedycye wojenne, zostały naturalnie z tego wyłączone i kredyty na te cele należało wyjednywać i nadal przepisanym poprzednio trybem.

W dalszym ciągu ukaz z d. 13 czerwca 1873 r. zastosował te same przepisy do budżetu ministeryum marynarki.

Podług brzmienia ukazu, prawidła te, co do ministeryum marynarki, powinny były być wprowadzone w wykonanie „natychmiast,“ a jako normalne maximum przeznaczano na wydatki téj służby w okresie 1874—1878 roku: 25,4 mil. rubli rocznie, i nadto 400,000 rub. tytułem dodatków do pensyi, tak zwanych *stołowych dieniег*.

Ministeryum skarbu przywiązywało wielką wagę do téj reformy, inaczéj bowiem — zdaniem ministra finansów — gdyby ministeryum wojny nie było żmuszone stosować swych wydatków do środ-

ków, jakiemi rozporządza, musiałoby się koniecznie znaleźć z czasem w niemożności zadośćuczynienia, istotnie niezbędnym i naglącym potrzebom, jakie w ciągu roku ujawnić się mogą. W praktyce jednakże środek ten niewielki przyniósł pożytek. W dalszym ciągu niniejszego przeglądu poznamy, jakich sposobów, przy obecnym ustroju skarbowości rosyjskiéj, szukały ministerya wojny i marynarki, ażeby i nadal wydatkować tam najwięcéj, gdzie największe dają się osiągać oszczędności, ale takiéj natury, że mogą nie być przelewane do funduszów budżetowych tylko do prywatnych kieszeni.

To téż przy pierwszém zetknięciu się z nieprzyjacielem mogła była Rosya zaraz ocenić, jak wrogo podobny ustrój podrywa jéj siły bojowe.

(Dokończ. nast.) *Jan Bloch.*

POWIEŚĆ KRONIKARZA POLSKIEGO

O WALTERZE I HELGUNDZIE.

Powieść o „Walgierzu Wdałym" nie jest publiczności naszéj obcą: podał ją najprzód Sommersberg w *Scriptores rerum Silesiacarum* w tomie II z r. 1738, i to w kronice łacińskiéj, którą zatytułował „Boguphali II episcopi Posnaniensis Chronicon Polonorum cum continuatione Pasconis custodis Posnaniensis"; potem była dość często powtarzana i przytaczana, zawsze z tego samego źródła: podał ją pomiędzy innymi Michał Baliński w *Tygodniku Wileńskim* z r. 1819 pod tytułem „Walgers i Helgonda" (t. VIII, str. 225—237, 257—270) i Wiszniewski w *Historyi literatury polskiéj* tom I, str. 241; wedle uwagi podanéj w Wiszniewskim na zacytowaném dopiero co miejscu, dawniéj już była ta powieść wierszem przełożona i drukowana w „Zebraniu rytmów Załuskiego" V, 3, ztamtąd zaś przedrukowana w Mrówce Poznańskiéj na r. 1822 N. V, str. 101 i nast. (1). Z uczonych niemieckich zwrócił, nie wymieniając dawniejszych, Jak. Grimm uwagę na powieść o Walterze i Helgundzie umieszczoną w kronice Bogufała w przedmowie do „*Lateinische Gedichte des X und XI Jahrhunderts* von J. Grimm und Schmeller," r. 1838 i piérwszą jéj część uważał za powtórzenie powieści osnutéj na staroniemieckiéj tradycyi i wierszém łacińskim ułożonéj w St. Gallen w piérwszéj połowie X wieku przez mnicha Ekkeharda, a przejrzanéj i wygładzonéj

---

(1) Drukował też powieść wspomnianą Wójcicki w *Klechdach, starożytnych podaniach* etc. w Warszawie r. 1837, których nie miałem pod ręką. Za czasów Księstwa Warszawskiego znana była tragedya J. Dembowskiego pod tyt. „Hrabia Tyniecki," drukowana r. 1810, a równocześnie grywano na teatrze Warszawskim „Helgundę" Antoniego Hofmana. Bentkowski *Historya literatury Polskiéj* I, 524.

przez późniejszego Ekkeharda IV, mnicha tegoż klasztoru, przed r. 1031. Za wskazówką Grimma poszedł Geyder w Haupta *Zeitchschrift für deutsches Alterthum* IX, r. 1852; Müllenhof w „Zeugnisse und Excurse zur deutschen Heldensage“ w *Zeitschrift* XII, 274 i nast.; Liebrecht w kilku rozprawkach; San-Marte w „Walther von Aquitanien“ (tłómaczenie łacińskiego poematu i objaśnienia) r. 1853 i inni. Za wskazówką J. Grimma poszedł także Szajnocha w rozprawie „O Walgierzu Wdałym“ w *Szkicach historycznych* t. II z r. 1857, w któréj pierwszą część powieści kronikarza polskiego wywodzi albo wprost z San-Galleńskiego poematu albo z innego źródła pokrewnego, „mógł się, powiada na str. 10, Bogufał zasilić pośrednio z trzeciéj ręki.“ Ci, którzy wywodzili powieść o „Walgierzu Wdałym,“ wprost z poematu łacińskiego, pamiętali i przypominali o tém, że w Tyńcu był klasztor Benedyktynów, jeden z najdawniejszych w Polsce, jak przypuszczali niektórzy, osiedlony zakonnikami z San Gallen lub téż na wzór San-Galleńskiego urządzony; Wiszniewski w *Hist. lit. pol.* I, 241 rzucił tę myśl, że powieść z nad Renu przyniesiona przez czeskich pielgrzymów, z Czech może dostała się do Polski. W ostatnich czasach opracował rzecz o Walterze na Tyńcu Robert Rischka w rozprawie: „Verhältniss der polnischen Sage von Walgierz Wdały zu den deutschen Sagen von Walther von Aquitanien“ w *programie gimnazyum w Brodach na r. 1880*. Autor, podjąwszy myśl Müllenhofa w *Zeitschrift* XII, 274, dowodzi wielkiéj starożytności podania o Walterze zlokalizowanego w Tyńcu, twierdząc że z owych czasów, w których niemieckie jakieś plemię mieszkało nad Wisłą, przechowywało się od pokolenia do pokolenia, mało miejscowym ulegając wpływom, w pierwotnym kształcie i dla tego w tym pierwotworze powieści o Walterze (Urprodukt der ältesten Walthersage str. 19) upatruje usymbolizowany myt starogermański o bóstwie słońca i bóstwie ziemi, który najwybitniéj upostaciował się w powieściach o Odynie i Freji. Przeciwko takiemu zapatrywania odezwał się słusznie Jan Karłowicz, autor znanego studyum o Meluzynie i o Wandzie (*Ateneum* 1876, czerw. i lipiec; Jagicza *Archiv für slavische Philologie* II, 594 nast.), w artykule umieszczonym w niniejszém piśmie (*Ateneum* 1881 listopad) pod tyt. „Podanie o Walterze z Tyńca,“ gdzie z właściwą sobie znajomością powieści wędrujących zestawił niektóre pokrewne treścią opowiadania o zwycięzkiém uprowadzeniu narzeczonéj i o niewiernéj żonie, dodając najstosowniejsze mytyczne wytłómaczenie głównego jądra podania o Walterze z Tyńca. Z przyjemnością zaznaczam, że przedstawienie rzeczy w ważnych punktach zgodne jest z tém, co stanowi punkt wyjścia i tło niniejszego studyum. Z takiego równego zakresu wi-

dzenia rozchodzą się kierunki poszukiwań; my niedotykając kwestyi mytycznego ocenienia powieści, w czem odsyłamy do studyum pana Karłowicza, chcielibyśmy wykazać, jakiemi drogami, w jakich warunkach, sferach i okolicznościach powieść o Walterze przyszła do Polski i weszła do kroniki polskiéj.

I.

Powieść sama w kronice t. z. Bogufała składa się z dwu części. W pierwszéj Walter (albo Walcer lub Walcerz, nie Walgerz, jak Sommersberg w swoim manuskrypcie czytał, gdzie stało Walczersz) (1) hrabia na Tyńcu, z rodu Popiela, przebywając w młodzieńczych latach na dworze króla Franków, poznał córkę jego Helgundę i zyskał jéj względy i serce pięknym śpiewem, którym w nocnych godzinach, podkradłszy się za pomocą przekupionego strażnika pod okna królewny, zachwycał ją wraz z całym jéj fraucymerem. Królewicz Alemański, który bawił także na dworze króla Franków dla nabrania dworskich obyczajów i który zyskał był względy króla i Helgundy, widząc teraz siebie wzgardzonym, opuszcza dwór królewski i wraca do ojczyzny w tym zamiarze, aby Waltera z królewną jadącego ku Polsce nad Renem przy przewozie zatrzymać i dla tego nakazuje przewoźnikom żądać grzywnę od przewozu i rycerza uwożącego dziewicę zatrzymać. Walter uwiózł Helgundę, królewicz zaś Alemański, kiedy nie mógł przez ludzi swoich u przewozu na Renie uciekających wstrzymać, bo Walter bez wahania żądaną grzywnę zapłacił a bez straty czasu Ren konno przepłynął, sadzając obok siebie Helgundę, dopędził go za Renem i w walce chciał piękną zdobycz odebrać. Walkę opisuje kronikarz obszernie i malowniczo. Bohatyrowie najprzód zuchwałemi słowy wyzywają się do walki; Helgunda stanęła o podal walczących; naprzód królewicz Alemański zagrzany jéj widokiem, natarczywie nacierał na przeciwnika, ale kiedy w zapale walki i w upojeniu chwilowego powodzenia za daleko się posunął, stracił Helgundę z oczu, natomiast Walter, który dotąd w walce ustępował i który skutkiem cofania się ujrzał przed sobą ukochaną Helgundę, nowy poczuł zapał, zdwoił męstwo i Alemańskiego królewicza zabił. Z Helgundą szczęśliwie dojechał do Tyńca. Tu poczyna się druga część powieści, właści-

---

(1) U Sommersberga II, 38 tylko na pierwszém miejscu stoi Walgersz, potém Walter; Paprocki i Bielski mają Walcer; rękopis Sieniawski t. z. Bogufała ma Walczersz tj. Walcerz.

wie druga powieść. Walter zniewolony skargami ludu na ucisk książęcia Wisława na Wiślicy, który również był z rodu Popiela, po bezskutecznem napominaniu wyruszył zbrojno przeciwko niemu, w boju zwyciężył, pojmał i w wieży zamku swojego na Tyńcu osadził. Kiedy zaś hrabia Walter na wezwanie króla poszedł na wojnę i długo nie wracał, Helgunda skarżyła się przed młodą swoją służebnicą na opuszczenie, mówiąc, że źle być zaślubioną wojownikowi, bo oto ani żoną ani wdową nie jestem. Powiernica radzi dla rozrywki z więzów wypuścić pięknego Wisława, (formae elegantissimae, corpore venustum, aspectu decorum) i przywołać do siebie. Wiarołomna żona usłuchała rady, poznała Wisława i ujęta jego pięknością, uciekła z nim do Wiślicy. Kiedy Walter z boju wróciwszy dowiedział się co zaszło i pospieszył z zemstą w sercu w zbroi jeszcze pyłem okrytéj natychmiast do Wiślicy, żona w nieobecności Wisława z udaną pokorą męża przyjmuje, zaręcza, że była gwałtem uwiezioną, uwodziciela podejść i wydać obiecuje, Waltera ukrywa, ale następnie zdradza i w ręce Wisława wydaje, który nie tylko skrępowanego żelaznemi obręczami do ściany sypialni przykuć rozkazał, ale dla większéj wzgardy codziennie na pieszczoty swoje z Helgundą patrzéć kazał. Tymczasem siostra Wisława, równie brzydka jak Helgunda była piękną, któréj brat straż nad ofiarą swoją poruczył, ulitowała się nad Walterem i uwolniła z więzów pod warunkiem, że ją poślubi i że brata nie zabije. Nadeszła chwila strasznego odwetu. Walter miecz swój podany sobie ukrywszy za sobą, w pozycyi zwykłéj, jak gdyby zawsze jeszcze był przykuty do ściany, czekał chwili, kiedy Wisław z Helgundą przyszli w porze poobiedniéj na wywczasy, i kiedy oboje byli sobą zajęci, porwawszy za miecz, zabił jednym zamachem.

Powieść tę powtórzył późniéj Bartosz Paprocki w *Herbach Rycerstwa Polskiego* i Marcin Bielski w *Kronice świata*, z któréj znów powtórzył Joachim Bielski w *Kronice Polskiéj* z r. 1597. Paprocki, który jako źródła swoje przytacza Andrzeja z Żarnowa (Andreas de Zarnow), przedewszystkiem zaś powołuje się na polską kronikę po łacinie pisaną przez jakiegoś bezimiennego, nazywa Helgundę Heligundą i królewną francuską, nie frankońską, wymienia nazwisko królewicza Alemańskiego t. j. Arinoldus, wymienia także imię siostry Wisława t. j. Ryngę, robi tegoż Wisława „opiekunem majętności Walcera,“ wywodzi w końcu Toporów od Waltera. Zresztą odmiany są mało znaczne. U Bielskiego powieść jest krótka, zwłaszcza pierwsza jéj część, tak że o śpiewie nie ma wzmianki, a walka kilku słowami zbyta. Jednakże jest tu wzmianka o skarbach, które Walter z Helgundą uwozi. Imiona te same, co u Paproc-

kiego, tj. Walcer i Heligunda, która tutaj téż jest córką francuskiego króla, ale nie ma tu imion Arinolda i Ryngi. Pomiędzy opowiadaniem Bielskiego i Paprockiego widoczny jest związek w tych słowach: „Ta tedy jako się raz dała wziąć jednemu, dała się wziąć potym y drugiemu,“ których nie ma w t. n. Bogufałowéj kronice.

Wszystko to pokazuje, że powieść o Walterze miała w Polsce pewną popularność, skoro od Waltera, może przez wzgląd na jego potężną broń, wyprowadzono ród Toporów. Że jednakże powieść ta nie jest narodową, pokazują imiona Waltera, Helgundy, wreszcie i inne z wyjątkiem Wisława; nie ulega téż wątpliwości, że powieść o Walterze i Helgundzie należy do cyklu starych niemieckich podań i poematów epicznych, osnutych na pewnych mytycznych i historycznych wspomnieniach; należy ona nawet do bardzo znanych i w średnich wiekach bardzo rozpowszechnionych powieści i poezyi niemieckich, choć dziś po większéj części tylko fragmenta średniowiecznych tych podań o Walterze i Helgundzie opowiadanych lub opiewanych pozostały lub téż wzmianki o nich spotykać można.

Przedewszystkiem rozpowszechniony był łaciński poemat Ekkeharda, jak pokazuje liczny szereg manuskryptów (15), w których się kopia jego przechowała. Wedle tego, co dziś jest ustaloną opinią o autorze tego poematu, napisał go około r. 930 młody mnich w San Gallen Ekkehard na znany z niemieckich podań temat o Walterze, podany mu przez nauczyciela stylu (Geralda, który to dzieło ucznia swego biskupowi Erkenbaldowi przypisał), późniéj inny mnich również Ekkehard, tego imienia czwarty, przed r. 1031 poematowi nadał poprawniejszą formę łaciny. Wedle téj powieści Attyla, król Hunnów, z wielką potęgą wyrusza przeciw królom zachodu, z których każdy okupuje pokój daniną i zakładnikami: Gibicho król Franków w Wormacyi, którego syn Gunter był małą dzieciną, dał w zakład Hagena (Hagano) Trojańskiego rodu; król Burgundyi z nad Saony dał córkę Hiltgundę; król Akwitanii Alpharis syna Walthera. Zwycięzca z skarbami i zakładnikami wrócił do Pannonii. Walter i Hagen męztwem i dzielnością zyskują względy Attyli, Hiltgunda była w łaskach królowéj Ospirin. Hagano na wiadomość o śmierci Gibichona, kiedy Gunter zerwał przyjaźń z Hunnami, uciekł z dworu Attyli, Waltera starano się ująć i usidlić ślubem z córką magnata Huńskiego. Ale Walter, od dziecka zaręczony z Hiltgundą, postanawia z nią ujechać i umówiwszy się z nią, w czasie uczty, na któréj wszystkich bezmiernie winem upoił, potajemnie opuszcza dwór Attyli z Hiltgundą, która bogate ze sobą zabrała skarby. Kochankowie odludnemi okolicami, żywiąc się zwierzyną i rybami, kierują się ku Renowi. Przewoźnikowi Walter płaci myto od przewozu ry-

bami, które miał w zapasie i które na stole królewskim poznano jako nie w Renie złowione. Z tego, co przywołany przewoźnik opowiedział, Hagen domyślił się, że to towarzysz jego Walter od Hunnów ucieka, a Gunter chce skarb mu odebrać ojcowski: „skarb, woła, który ojciec mój dał Hunnom, wraca teraz“. Gunter z towarzyszami pędzi w ślad za Walterem, który znużony daleką drogą, w lasach Wasichenwald (saltus Vosagus) w ciasnym wądole wypoczywa, głowę złożywszy na łonie kochanki, Hiltgunda czuwała nad śpiącym. Spostrzegłszy nadjeżdżających rycerzy, przelękniona budzi Waltera, który poznaje w drużynie Guntera swojego druha Hagena. Po krótkich bezskutecznych układach, do których Hagen skłaniał, a które Gunter odrzucił, Walter stoczył przy wejściu do ciasnego wąwozu 12 walk pojedyńczych, które Ekkehard szczegółowo opisuje. Hagen, który do ostatniéj chwili nie chciał brać w walce udziału przeciwko swojemu przyjacielowi, dopiero na ratunek królowi pośpiesza i walczy. Walka skończyła się zwycięztwem Waltera, ale każdy z trzech głównych bohatyrów coś stracił: Walter prawe ramię, Hagen prawe oko i kilka zębów, Gunter nogę. Przy uczcie, która po walce nastąpiła, bohatyrowie stroją żarty z strat swoich, po uczcie Walter daléj wraca ku Akwitanii.

Jeden rzut oka na treść tego łacińskiego poematu pokazuje, że z wyjątkiem głównego motywu miłości zawiązanéj przez Waltera na obcym dworze z piękną królewską córką Helgurdą (Hiltgundą) i ucieczki kochanków uwieńczonéj tryumfem Waltera nad ścigającym nieprzyjacielem lub rywalem wszystko u Ekkeharda jest inaczéj, jak w powieści kronikarza polskiego, w któréj Walter nie jest zakładnikiem i w któréj on sobie Helgundę jedna śpiewem; i jak początek jest inny, tak też i walka o Helgundę jest inna, w łacińskim poemacie z królem Franków, któremu głównie o skarb chodzi, w polskiéj zaś powieści z rywalem; w powieści polskiéj braknie téż wzmianki o skarbach, bardzo więc ważnego motywu (1).

Podobnie, jak powieść kronikarza polskiego nie ma bezpośredniego związku z powieścią poetyczną Ekkeharda, tak też nie ma ona bezpośredniego związku z powieścią o Walterze i Hildegundzie w „Wilcinasaga,“ w któréj stanowi epizod w rozdziałach od 84 do 87, Wedle téj kompozycyi z XIII wieku, Walther von Wasichenstein (trzymam się tłómaczenia niemieckiego Hagena i Rassmanna w Thidrekssaga), siostrzeniec Ermenricha, króla Rzymskiego, jest zakładnikiem wuja swojego na dworze Attyli w Suza (Soest w Westfalii).

---

(1) Por. Müllenhof, Zeitschrift X, 155 o skarbach w podaniach i poezyach niemieckich.

razem z nim przebywa jako zakład pokoju na dworze Attyli i żony jego Erki Hildegunda, córka Iliasa jarła Grecyi. Pewnego razu Walter w czasie uczty w ogrodzie u Attyli Hildegundę przyjaznemi słowy sobie ujmuje i namawia do ucieczki, oboje też przed wschodem słońca uciekają, Hildegunda z wielu kosztownościami swéj ciotki Erki. Attyla wysyła pogoń za uciekającymi, pomiędzy dwunastu rycerzami także Hagena. Ale Walter pokonywa wszystkich przeciwników, z wyjątkiem Hagena, który uciekł i ukrył się w lesie. Walter po trudach walki pokrzepia się z Hildegundą upieczonym dzikiem, kiedy już resztki pieczeni spożywają, zjawia się pod wieczór Hagen i podkrada pod Waltera, ale ten ostrzeżony przez Hildegundę, rzuca tak silnie ogryzionym grzbietem na nieprzyjaciela, że mu oko wybija. Hagen ucieka, Walter spokojnie daléj z Hildegundą wraca do Ermenricha, który Attylę nowemi podarunkami znowu przejednał.

Z innych poetycznych opracowań powieści o Walterze zostały tylko fragmenty, jeden z nich, urywek anglosaskiego poematu z IX wieku, przechowany w dwu kartkach, które znalazł prof. Werlauff w Kopenhadze, przedstawia sytuacyą walki Waltera (Valder) z Gunterem i Hagenem dnia drugiego (1); inny, znaleziony przez Karajana, jest resztką poematu niemieckiego z XIII wieku i przedstawia, jak Walter gości u Guntera w Wormacyi i pod przewodem Volkera zmierza z Helgundą daléj ku Leugres (Leng'es, Lengers), gdzie ojciec jego Alpker ma stolicę (2). Wedle tego urywku walczył Walter, jak się zdaje, nie z Gunterem, ale z Hunnami.

Oprócz tego są dość częste wzmianki o Walterze i Helgundzie w niemieckich poematach, jakby na dowód, jak bardzo rozpowszechnioną była ta powieść. I tak w „Niebelungenlied," w strofie 1694 Etzel wspomina o ucieczce Waltera z Helgundą z jego dworu, a jeden z Hunnów wspomina w strofach 1734—36 o Walterze i Hagenie, jak na dworze Attyli dzielnością się odznaczali („Er und der von Spâne trâten manchen Stic... zu êren dem künige"). Podobnie w poemacie o „Biterolfie". Walter tu jest już w spokojnem posiadaniu swojego dziedzicznego królestwa, Biterolfowi, który jest jego siostrzeńcem, wspomina o Attyli (Etzel) i doznanych od niego względach, przypomina swoję ucieczkę z Helgundą i ucztę, która poprzedziła; za to uwiezienie Helgundy żąda Hildebrand od niego odwetu. W obydwóch poematach wzmianki o Walterze są tego rodzaju, że je z łacińskiego poematu Ekkeharda wytłómaczyć można, jednakże

(1) Wydał Stephans 1860, powtórzył Müllenhof *Zeitschrift* XII, niemieckie tłómaczenie Weinholda podali Scheffel i Holder w „Waltharius" 1874, 70.

(2) Karajan, Frühlingsgabe für Freunde älterer Litteratur, 1839.

w Biterolfie Rüdiger odgrywa ważną rolę, gdy tymczasem w łacińskim poemacie nie ma o nim mowy. I w innych poematach i powieściach są wzmianki o Walterze i Helgundzie. Ten, który składał powieść „Vom üblen Weibe,“ musiał zupełnie inną historyą o Walterze i Helgundzie słyszeć, jak wszystkie nam znane, bo tutaj mąż źle traktowany od swojéj złéj żony, porównywa te razy, które od niéj odbiera, z walkami olbrzyma Aspriana, Witticha, Dietricha i innych i czyni tę uwagę, że Walter z Hildegundą lepiéj się znosili („Walter und Hildegund hätten sich besser vertragen“) (1). Najdziwniéj brzmi powieść o Walterze w Cronicon Novaliciense (2). Wedle tych fragmentów dawnéj jakiéjś kroniki z XI wieku, była tradycya u Benedyktynów w Novalese o Walterze z królewskiego rodu, który dokonawszy wiele czynów sławnych i zwiedziwszy wiele krajów, w końcu postanowił grzechy swojego żywota zmazać w klasztorze Novalese i tutaj jako mnich ogrodownictwem się zajął; królowi Dezyderyuszowi odebrał grunt klasztorowi bezprawnie wydarty, i po śmierci pochowany został wraz z wnukiem swoim w grobie kamiennym, który sam sobie wykuł *(fecit in summitate cuiusdam rupis sepulcrum in eadem petra laboriosissime excisum)*. Kronikarz tego Waltera, który pomiędzy innemi w braku broni w walce o grunt klasztorny cielęciu wyrwał łopatkę i nią walczył, uważał za jednę osobę z Walterem Akwitańskim i z wiadomego nam poematu Ekkeharda całą powieść o Walterze przytoczył w streszczeniu i obfite podał wyjątki.

Otóż widoczna jest rzecz, jak powieść o Walterze była rozpowszechniona i jak rozmaite o nim opowiadano szczegóły. Z odmianą widowni wypadków i z odmianą motywów poetycznych i sceneryi powieści te Walterowi coraz to inną téż naznaczają ojczyznę. W łacińskim poemacie tą ojczyzną jest Akwitania, w innych poematach np. w „Nibelungennot“ i „Biterolfie“ nazywają go Walther von Spâne, von Spâniland, w fragmencie Karajana—Herr von Lengers, Alpkers von Spaniland sun; Lengesaere nazywają go téż „Dietrichs Flucht“ strofa 5884 i „Ravennaschlacht“ zwrotka 47 (Walther der Lengesaere zwr. 712); w „Biterolfie“ mianują go panem Karlingii, Arragonii i Nawarry; w niektórych poematach, jak „Dietrichs Flucht“ (3), „Alphart,“ „Rosengarten,“ nazwany jest wprost Walther

(1) Wilh. Grimm, Die deutsche Heldensage N. 52, str. 157; por. Müllenhof Zeitschrift XII, 270.

(2) Muratori, Scriptores rer. ital. T. II, p. 2, str. 704.

(3) W tym poemacie wspominany jest i Lengesaere i Walther von Kerlingen, co Müllenhof *Zeitschrift* V, 4 wytłómaczył niedokładném zoryentowaniem się poety w dwóch epokach.

von Kerlingen, co jest nazwą z późniejszych czasów, kiedy panowanie Karolingów obejmowało Akwitanią; w „Wilcinasaga“ nosi on imię Walther von Wasichenstein, Waskenstein i jest siostrzeńcem Ermenricha, który go dał jako zakładnika Attyli w Suza. Wasichenstein lub Waskenstein jest zapewne to samo co Wasgenwald (1) i przypomina zwycięstwo Waltera w walce z Gunterem, ale w „Wilcinasaga“ leży gdzieś w państwie Ermenricha.

Skoro rzeczy tak się mają, to nie ma w tém nic tak dalece uderzającego, że Walter jest téż hrabią i na Tyńcu. Skoro w „Wilcinasaga powieść o Walterze, która tu zdaje się mieć charakter i pochodzenie gotyckie, lub jak Müllenhof się domyśla, frańkońskie, i skoro ona tu wsunięta w pewien system historyczno-geograficznych wspomnień, uległa zmianie, a główny w niéj bohater pomimo to że nazwiskiem przypomina pierwotną powieści osnowę, jednak z południowéj pochodzi ojczyzny, a Hildegunda nawet ze wschodu, to mogła ta sama powieść umieścić się w innych jeszcze warunkach i to w duchu dla „Hunnów“ przyjaznym albo przynajmniéj obojętnym i mogła być zlokalizowaną w okolicach, które panowaniu tych „Hunnów“ były bardzo bliskie.

Takie przypuszczenie wyklucza koniecznie hypotezę o odwieczńéj starożytności Bogufałowéj powieści w okolicach Krakowa i Tyńca, i polega przeciwnie na innèm przypuszczeniu o późniejszém przekształceniu pierwotnéj powieści, która bez wszelkiego wątpienia jest niemiecka. Należy ona w całym charakterze swoim, głównie zaś z powodu imion Waltera i Helgundy do systemu poezyi bohaterskiéj niemieckiéj *już skończonego i gotowego*, zatém przypada na epokę idącą po gminoruchach, kiedy różne podania i powieści pod świeżem wrażeniem wielkich wstrząśnień i wypadków pomieściły się obok siebie na pewném tle historyczném i zlały w pewną całość. Wtedy, w szóstym wieku po Chr. w nadwiślańskich okolicach już germańskich ludów zapewne nie było. Wandalowie, o których mogłaby być mowa, wywędrowali już bardzo rychło, jak nieulega wątpliwości, ze wszystkiemi rodami, nie zostawiając żadnego w dawnych siedzibach. Teorya niektórych historyków, jakoby w krajach pierwotnie przez Niemców a następnie przez Słowian osiadłych pozostały z epoki gminoruchów znaczne pokłady pierwotnie germańskiéj ludności, które w epoce kolonizacyi niemieckiéj w XII i XIII wieku przyczyniły się do szybkiego zgermanizowania krajów zachodniéj Słowiańszczyzny, teorya ta Fabriciusa, Platnera i innych, historyków głównie pomorskich nie ma już dziś zwolenników

(1) O położeniu Wasichensteinu (Waskastein) zob. *Germania* 25, 329 i 26, 380.

a ciekawe owo miejsce w Prokopa Wojnie Wandalskiéj (I, 22), na które i Freytag się powołał, że do Geisericha ze staréj ojczyzny przyszło poselstwo od pozostałych Wandalów z prośbą, aby im przyznane było prawo własności do gruntów opuszczonych przez tych, którzy wywędrowali, nie odnosi się do Szląska, bo wedle tegoż Prokopa te resztki, które z Godegizlem nie wywędrowały (*residui, qui Godigisclum non secuti erant*) zostały około Maeotydy, ztąd ojciec Geisericha wyruszył (rozdz. III). To co się stosuje do krajów nadelbiańskich i nadodrzańskich, stosuje się także i do krajów nadwiślańskich. Gdyby zaś z czasów wędrówek pomimo to rzeczywiście miała zostać po plemionach germańskich osiadłych u wierzchowiu Wisły jakaś resztka ludności niemieckiéj i powieść o Walterze miała być tego dowodem, to Walter i Helgunda w takim razie byliby weszli w genealogią Popielów, a przynajmniéj otrzymali imiona słowiańskie. Imiona więc w każdym razie dowodzą, że powieść z Niemiec przywędrowała, podobnie jak imiona w Eddzie skandynawskiéj pokazują niemiecki jéj początek.

Przypuścić można, że powieść o Walterze przyszła do Polski mniéj więcéj w téj formie, w jakiéj ją kronikarz polski zapisał i jest w swoim rodzaju niewątpliwie bardzo ciekawą, bo nie ma jéj podobnéj. Kiedy i zkąd przyszła? tego zaledwie przez kombinacyą domyślać się można, że do Krakowa, wogóle w krakowskie okolice przywędrowała, pokazuje zlokalizowanie jéj w Tyńcu i w Wiślicy, i to zdaje się pokazywać, że przyszła w tym czasie, kiedy do Małopolski i do Krakowa przeniosła się przewaga życia politycznego w Polsce. Wedle mojego przypuszczenia, zjawiła się wtedy, kiedy handlowe stosunki Krakowa ożywione były, przyszła więc również drogą handlową, jak szły sagi północno-niemieckie do Rusi i naodwrót bardzo rychło powieści ruskie do Niemiec, jak np. podania o Waldemarze t. j. Włodzimirzu Kijowskim, o Ilii Muromcu (Ilias von Riuzen) (1), o Smoleńsku, o Półtusku (Połotesku, „Palteskia"), jak np. do Rusi dostała się powieść o Dietrichu Berneńskim, który w starszéj kronice Nowogrodzkiéj nazwany *poganyj zlyj Dedrik v grâde Wr'nê.* Rozkwit handlu krakowskiego i ustalenie stosunków handlowych Krakowa z północą, wschodem i południem przypada już na wiek XIII, w wieku zaś XIV dochodzi za Władysława Łokietka, szczególniéj Kaźmierza Wielkiego poważnéj miary, zwłaszcza od kiedy handel w Krakowie wszystkim zagranicznym kupcom był dozwolony r. 1354. Handel z Torunianami i z Węgrami już za Włady-

---

(1) Müllenhof, Zeitschrift XII, 349 i 353; „Waldemar wahrscheinlich nur aus der russischen Sage und nicht unmittelbar aus der Geschichte genommen" (353).

sława Łokietka, a następnie Kaźmierza Wielkiego był uregulowany i postanowienia tyczące się drogi handlowéj od Torunia do Węgier obowiązywały nietylko Krakowian, ale i Sandeczan (Kodeks dyplomatyczny Krakowa wydał Piekosiński 1879, dypl. z r. 1329, str. 17; zatwierdzenie w dypl. Kaźm. W. z r. 1358 str. 38); handel Krakowa z Koszycami uregulowany był r. 1324 (Kodeks ed. Piekosiński str. 17), z Wiedniem r. 1362 (str. 40).

Wedle tego przypuszczenia, które tu po pierwszy raz jest wypowiedziane, powieść o Walterze pojawiła się od północy, od Sasów, nie bezpośrednio, ale w każdym razie z nadbaltyckich okolic. Wszakże Soest, gdzie wedle Wilcinasaga była główna Attyli i całego cyklu powieści o jego przewagach i dworze siedziba, należało do głównych miast związku hanzeatyckiego. Saskie powieści i pieśni jak wiadomo złożone są w luźny system w Wilcinasaga, obok tego znaczna ich część znajduje się w historyi Saxona Gramatyka. Ztamtąd więc niejeden promyk paść może na naszę powieść o Walterze, hrabi na Tyńcu. Wedle Wilcinasaga, ściga Dietrich Berneński Tydreka syna Waldemara ruskiego aż do lasu, który się zowie Burgwald, i na tém miejscu stoi taki dodatek w opowieści: „dieser Wald liegt zwischen Pulinenland und Hunenland" (Hagen II, 231). Że przez Pulinaland rozumie się Polska, nie ulega wątpliwości, chociaż to przeciw systemowi geograficznemu Wilcinasagi wykracza; Pulinaland, Pulien z resztą i częściéj w Wilcinasaga zachodzi i zwykle ma znaczyć Apulią, znaczy także i Polskę, o któréj również w bojach między Attylą i Waldemarem częste są wzmianki. W rozdziale zaś 84 Wilcinasagi, t. j. w ustępie o Walterze i Helgundzie, Walter nazywa się von Wasichenstein i jest siostrzeńcem Ermenricha, *króla Pulii* („Ermenrich, der über Pulien herrschte"). Walter więc uwożąc z sobą z dworu Attyli, gdzie był zakładnikiem, Helgundę, która również była w zakład dana przez Irona, króla Grecyi (identyfikowanego z Iliaszem, bratem Waldemara, t. j. z Ilią Muromcem), *wracał do Pulii*, i to mogło dać powód do zlokalizowania powieści w Polsce. Czy Tyńcowi dlatego dostał się ten zaszczyt, że Wilcinaburg (także Walterburg nazwana) leży na granicy Pulii i Hunii (zob. wyżéj), czy też z innego ważniejszego powodu, o to już trudno się i pokusić. Wilcinasaga jest powieścią czysto niemiecką, a jednakże Wilcinowie i słowiańscy Wilcy (Lutrycy) uchodzą za jedno już-to z podobieństwa nazwisk, już téż i z tego powodu, że panowanie Osantrixa, króla Wilcinów, sięga bardzo daleko na wschód i ogarnia całą Polskę. Jeżeli więc Waltersburg nazywa się także Wilcinaburg i jeżeli Wilcinaburg leży na granicy „Pulii" i Hunii, t. j. późniejszych Węgier, to w powieściach zamiłowany słuchacz, nie-

znający dokładnie geografii i całokształtu sagi, mógł wpaść na domysł, że Walter z Helgundą zmierzał do Polski (Pulii), i że zamek jego, który przez zbliż enie nazwisk w Waltersburgu upatrywał, powinien leżeć na granicy „Pulii i Hunii.“

Inną drogę kombinacyi nastręczała powieść Saxona Gramatyka o bohaterze Starkân, który walczył w Rosyi z Wisinusem, pod Konstantynopolem olbrzyma Tannę pokonał, a potém do Polski się zwrócił. Na tém miejscu opowiada Saxo Gramaticus: „Poloniæ partes aggressus, athletam, quem nostri Wasce, Teutones vero diverso litterarum schemate Wilzce nominant, duelli certamine superavit“ (wyd. P. E. Müllera I, 274). Ta historya ma o tyle związek z powieścią o Walterze, że Starkân (t. j. mąż potężnego ramienia) to samo ma znaczenie co *robustus*, przydomek Waltera w polskiéj kronice, śmielszą już byłaby kombinacya, że ponieważ Waske i Wilce ma być to samo, więc i Waskastein (Wasichenstein i Wilcinaburg „na granicy Pulii i Hunii“ jednę i tę samę miejscowość oznacza. W każdym razie uwagi godną jest rzeczą, że pomiędzy śpiewakami saksońskimi a Polską były jakieś związki, skoro owi zasłyszeli coś o jakimś siłaczu polskim, nazwiskiem Wasko albo Wilce. Jeszcze jeden ślad prowadzi od podań, powieści i pieśni saksońskich do polskich powieści, t. j. nazwisko Wisław, które w formie Vizleo, Wisleue, zachodzi w Wilcinasaga jako przydomek Wildebera przebranego za niedźwiedzia towarzyszącego Isungowi do Osantrixa po to, aby oswobodzić Witigena; nazwisko to, Wislau, znane było także zaginionemu poematowi niemieckiemu, o którém Mone pisze (horae belgicae I, 51); jest to więc nazwisko w zakres powieści niemieckich przyjęte. Jeżeli Wisleue tłómaczą dzisiejszém niemieckiém wyrażeniem: *Weisser Löwe*, to jak na niedźwiedzia jest to niezrozumiałe, prawdopodobniejszą jest rzeczą, że to nazwisko przejęte od bohatera nie-niemieckiego, wedle naszego przypuszczenia Wisława; Wislan w Biterolfie („Wislan Künic von Beheim“) może być przekształceniem imienia Wacława, ale do takiego przekształcenia dać mogło powód imię w zakresie powieści niemieckich już używane.

O pochodzeniu powieści o Walterze na Tyńcu z północy napomyka też i szczegół o pięknym Waltera śpiewie. Ten zachwycający śpiew przypomina kilka północno-niemieckich poematów i powieści: przedewszystkiem Gudrunlied, gdzie Horant uroczym śpiewem Hildę dla Hettla zyskuje i z sobą uwodzi; daléj w jednéj pieśni północnéj, opiewającéj uwięzienie Hildy, córki Hagena, śpiew odgrywa niepoślednią rolę; w Snorraedda i innych północnych powieściach to samo się powtarza (W. Grimm, Deutsche Heldensaga 328);

w historyi Saxona Gramatyka Hilda co noc śpiewem poległych bohaterów wskrzesza i do nowéj walki zagrzewa. Motyw ten zdaje się być wybitną cechą północno-niemieckich i wogóle północnych powieści i podań.

Wedle tego, cośmy dotąd powiedzieli, powieść o Walterze przeniesioną została z północy w podkarpackie okolice. Takie przenośnie geograficzne nie powinny uderzać w ustnych lub pisanych poetycznych powieściach, przywiązanych do historycznych wspomnień. Walter Akwitański przeniesiony został do Hiszpanii, bo tu i tam Gotowie siedzieli, — a cesarz Ortuit z Holmgardu (Ilmengard t. j. Nowogród) przeniesiony został do Wyższych Włoch nad jezioro Garda jedynie dla podobieństwa nazwisk (1).

Do zlokalizowania powieści o Walterze i Helgundzie w podkarpackiéj okolicy mogła się przyczynić okoliczność, o któréj kronikarz polski wspomina na końcu, że w Wiślicy pokazywano nagrobek Helgundy. „Huius itaque Helgundae sepulcrum (napis grobowy?) in castro Wisliciensi omnibus cernere cupientibus in petra excisum usque ad praesens demonstratur.“ Paprocki z pewną odmianą tak o tém pisze (wyd. Turowskiego str. 61): „Téj Helgundy ciało tam w Wiślicy schowano i twarz na kamieniu wyciosano, która była r. 1242 na zamku, czego potwierdza Andrzéj z Zarnowa (na tego i na anonyma powołuje się Paprocki). A ten historyk opowiada Walcera z domu Toporów, jakoż tego potwierdzają pewne znaki, że Tyniec ze wszystką włością był téj familii Toporów.“ Więc na zamku w Wiślicy widziano grobowiec jakiejś Helgundy. To mogło dać powód do przeniesienia powieści o Walterze w strony Krakowskie, jak widzimy, już w tych czasach, kiedy powieść ta złożoną była już z dwóch części, z których druga ma widownią w Wiślicy.

Jak Waltera przygody w polskiéj kronice dowodzą, że jakieś okruchy powieści i podań niemieckich znane były w Krakowie (tego samego dowodzi w późniejszych czasach Rüdiger, a co do dawniejszych téż owi kowale i złotnicy Kadłubka, którzy swojém rzemiosłem, *ars vulcania*, powieściowego Wielanda przypominają), tak i na odwrót w poetycznych podaniach niemieckich niejednokrotnie jest mowa o Polsce, która występuje często obok Ruzenland; pomiędzy rozlicznymi zaś bohatyrami wymieniają poemata niemieckie i polskich bohatyrów. Znowu tu Wilcinasaga trzyma pierwsze miejsce. Król Wilkinus z wielkiém wojskiem najeżdża Polskę i spustoszywszy wiele krajów nad morzem, najeżdża Ruś, zdobywa Smoleńsk,

(1) Müllenhof, Zeitschr. XII, 352.

Kijów, „Pałtesk,“ Holmgard (rozdz. 45). Późniéj los szczęścia się odwrócił. Hertuit osadził syna swego Osanricha (Osantrixa) nad Wilcinami, Waldemara nad Rusią i Polską, Ilię nad Grecyą (r. 49). Attyla z pomocą Dietricha walną wojnę toczy z ruskim Waldemarem i pustoszy kraje Waldemara, Polskę i Ruś (Hagen r. 178); „bis das er in Pulinenland und Ruzenland kam, da heerte und verwüstete er das Land König Waldemars“ (Rassmann II, 307). Kiedy w téj wojnie Dietrich, syn Waldemara, w niewolę wzięty przez Dietricha Berneńskiego, potém uciekł pomimo poręczenia Erki, ciotki swojéj, wtedy Dietrich Berneński goni za nim i dościga go przy lesie Burgwald, który leży na granicy Polski i Hunii (Hagen r. 281). Potém kiedy wojna na nowo się wszczęła, Attyla znów ruszył ku Rusi i Polsce i pustosząc doszedł do „Pałteskii“ (Hag. r. 287). I inne niemieckie powieści i poemata wspominają o Polsce. Przy przyjęciu Kriemhildy na dworze Etzla w Nibelungennot występują różnych narodów rycerze, pomiędzy nimi (zwr. 1279):

Von Riuzen und von Kriechen reit da manic man,
Den Poelân und den Vlâchen sach man swinde gan.

W Nibelungenklage pomiędzy wojownikami Kriemhildy występują także:

Der herzoge Herman, ein fürste ûzer Poelân,
Unde Sigehêr von Walâ•hen.

W Biterolfie występuje w zwrotkach 5888 i 8569 Hornboge von Polân, również w Dietrichs Flucht; w Ravennaschlacht wymieniony jest pomiędzy rycerzami Etzla Hagene von Polân (zwrotka 5886). W Biterolfie oprócz wspomnianego już Hornboge von Polân, w którym może źle spamiętane imię Chrobrego się ukrywa, występuje także Herman ûz Polân, jeniec Etzla, za którym Helche się wstawia; na inném miejscu tego poematu (zwr. 2670) występuje Künic ze Polân, a w zwrotce 8731 Stutfuchs ûz Pullelant. Wszystko to dowodzi, że powieściarze i poeci niemieccy wciągali Polskę w zakres powieści o Wilcinach i o Hunnach.

Powieść polska o Walterze w pierwszéj części zdaje się być odłamkiem powieści saksońskich i wogóle północnych, które drogą handlową nad Wisłą bezpośrednio lub téż uboczną drogą pośrednio przywędrowały do Polski wtedy, kiedy widownia i zakres tych powieści coraz bardziéj się rozszerzały — ku wschodowi. W krajach nadbaltyckich znano niejedno z podań ruskich i polskich i użyto tych odrobin do ornamentacyi i wypełnienia powieści i śpiewów szczególniéj z cyklu o Wilcinach-Wilcach i o Hunnach. W patry-

cyuszowskich familiach Krakowskich XIII i XIV wieku powieści te przechowywały się i jedna z nich, t. j. powieść o Walterze, w kompilowanéj kronice z wieku XIV znalazła pomieszczenie w takiém miejscu i w taki sposób, które pozwalają domyślać się pewnych owego kompilatora intencyi, na swój czas charakterystycznych. Historya o Walterze w Kronikę Bogufała wsunięta jest pod r. 1135 w tém miejscu, gdzie podstępny pewien Węgier („Pannończyk“) zjawił się na dworze Bolesława i udając prześladowanego od swojego króla, wcisnął się w zaufanie Bolesława, obiecując przytém Pannonią dawnemu poddać panowaniu, „spondens Pannoniam subicere pristinæ ditioni.“ A potém bezpośrednio idzie ustęp taki: „Erat *enim* temporibus *illis* urbs famosissima in regno *Lechitarum*.... nomine Wyslicia, cuius *olim* princeps tempore paganismi fuerat Wyslaus decorus, qui et ipse *de stirpe regis Pompilii* duxerat originem.“ Powiązanie tego ustępu z tém co bezpośrednio poprzedziło, za pomocą spójnika *enim* jest niezawodnie nie jasne, i być może, że układacz kroniki coś opuścił, ale w każdym razie widoczną jest rzeczą, że historyą o Popielowiczu Walterze z czasów Lechitów pogańskich łączył ze stosunkiem, w jakim wedle niego w owych czasach „Pannonia“ (Węgry) była względem Lechii, to widać szczególniéj z obietnicy owego zdradzieckiego zbiega „Pannończyka,“ że Pannonią dawnemu chce poddać panowaniu. Kompilator ten przyczepił, być może, idąc w tym względzie może za utartą już wskazówką innych, do pierwotnéj powieści o Walterze i Helgundzie dalsze koleje Waltera, t. j. wiarołomstwo Helgundy.

II.

Część pierwsza powieści kronikarza polskiego o Walterze i Helgundzie wiąże się z szeregiem innych, które nie tylko na ten sam temat są osnute, ale te same główne mają osoby. O drugiéj części sądzono zwykle, że to dodatek, dokomponowany w duchu zmysłowego średniowiecznego romantyzmu i, jak J. Grimm się wyraził: w duchu słowiańskich tradycyi obcych duchowi niemieckich podań („dass sie in eine slavische, der deutschen Richtung fremde und sie störende Überlieferung auszuweichen scheint.“ J. Grimm und Schmeller *Lateinische Gedichte* etc. str. 113), co San Marte wyraził w tych słowach, że nie chce tego rodzaju kompozycyi poetycznéj zazdrościć. Tymczasem powieść o wiarołomnéj żonie napotyka się jako osobna powieść u różnych narodów i w ogóle należy do najpowszechniejszych azyatyckich i europejskich, nie zapomniała też o niéj

i poezya średnio-niemiecka, jak dowodzi „Nussberg“ (v. Hagen Gesammtabentheuer N. 19). Powieść o Wisławie i Helgundzie, t. j. druga część powieści polskiéj o Walterze, jest więc wzięta z osobnéj powieści i jest tylko jedném ogniwem w długim łańcuchu historyi związanych jednym tematem i jednym duchem, punkt wyjśca wszystkich jest wschód, a główną stacyą, przynajmniéj dla polskiéj powieści, Ruś południowa, w szczególności Kijów.

W *Panczatantra*, zbiorze indyjskich powieści wydanych przez Benfeya r. 1859 (Pantschatantra, Fünf Bücher indischer Fabeln, Märchen und Erzählungen) jest historya o niewiernéj żonie taka (część IV, powieść 5, str. 303): Pewien bramanin miał żonę, którą nad życie kochał, a ponieważ ona z familią się kłóciła, nie mogąc znieść niesnasek, zabrał żonę i opuściwszy wszystko, poszedł z nią w świat i był dla niéj z wielkiém poświęceniem. Kiedy raz wśród lasu dla spragnionéj szukał wody, powróciwszy zastał ją już nie żywą, a kiedy usłyszał głos z góry, że żona wróci do życia, jeżeli bramanin połowę życia swojego dla niéj poświęci, nie wahał się uroczystym głosem ślub uczynić, i natychmiast żona ożyła. Przyszli oboje do pewnego miasteczka, bramian poszedł po żywność, gdy tymczasem żona, która czekała na niego w pewnym ogrodzie, spostrzegłszy ułomnego człowieka zajętego czerpaniem wody, ujęta pięknym jego śpiewem, zbliżyła się do niego i ponętnemi słowy zniewoliła go sobie. Mąż na jéj żądanie musiał karła nakarmić i zabrać z sobą na dalszą wędrówkę, żona zaś ułomnego towarzysza w koszu nosiła a męża, kiedy u studni miał wody zaczerpnąć, w tę studnią zepchnęła. W pewném miasteczku celnicy kosz z karłem zabrali, a kobieta przed królem chytrze oświadczyła, że ułomny jest jéj mężem, którego krewni prześladują, a którego ona z poświęceniem pielęgnuje. Król wzruszony taką historyą, nazwał kobietę siostrą swoją i opatrzył dwiema wioskami, aby mogła z chorym swym towarzyszem żyć swobodnie. Tymczasem mąż z studni wyciągnięty, przyszedł do tego samego miasteczka, a żona skoro go spostrzegła, oskarżyła jako prześladowcę chorego karła i zniewoliła tém króla, że bramanina na śmierć skazał. Skazany wyprosił sobie tylko tę łaskę, aby mu skarżąca wróciła to, co jéj kiedyś darował. Żona po niejakiém wahaniu rzekła: otóż masz sobie, coś mi dał, i natychmiast ducha wyzionęła. Bramanin zaś królowi opowiedział rzecz całą. — Benfey w przedmowie do Panczatantry robi przegląd powieści osnutych na tenże sam temat i przytacza ich sporą liczbę i dawniejszych azyatyckich i późniejszych europejskich, pomiędzy owemi np. powieść z Somadewy o Dhûmini, która męża swojego Dhanjaka bez względu na jego poświęcenie bez granic

zdradziła i w studnię zepchnęła, oddając się okaleczonemu człowiekowi bez rąk, nóg, bez nosa i uszu, a wreszcie mężowi ze studni cudownie wyciągniętemu przed królem zadała okaleczenie żebraka. Ale ten, kiedy król męża na śmierć skazał, wyznał wszystko, a król kobietę skarał.

Pomiędzy przytoczonemi przez Benfeya powieściami indyjskiemi zasługuje na uwagę szczególniéj jedna, w któréj pewien bhilla zazdrosnemu mężowi żonę uwodzi, mąż zaś ściga uwodziciela i wiarołomną, ale żona podstępnie niewinną udaje, męża w kryjówce chowając i obiecując uwodziciela mu wydać; potém jednak samego wydaje w ręce uwodziciela. Oboje przywiązują go do drzewa i ucztując razem, wśród pieszczot naigrawają się z niego. W takiém udręczeniu mąż modli się do bogini Czandi, która niebawem pomoc i sposobność daje uwolnienia się z więzów za pomocą miecza uwodziciela, tymże mieczem téż pokrzywdzony mąż rywala zabija. Żona skrycie głowę zabitego swego kochanka z sobą zabiera i przez zemstę przed królem męża swojego oskarża, jakoby jéj męża zabił, ale król prawdę wykrył i żonę srodze skarał, bo uszy i nos obciąć jéj kazał.

Te powieści, mianowicie ostatnia, wystarczą do objaśnienia niektórych ruskich bylin osnutych na równy temat. Najbardziéj rozpowszechnioną, jak się zdaje, była i jest bylina o Michajle Potyku i Awdotyi (lub Maryi) Liebowidjewnie Łybedi, bo w Rybnikowa zbiorze jest siedm o nim bylin w tomie I i II, i w Kirejewskiego zbiorze również kilka ich się znajduje (innych zbiorów nie mam pod ręką). Potyk, jeden z bohaterów Włodzimierza, w dalekich stronach spostrzegł na zwierciedle wód białego łabędzia (w rusk. rodz. żeńskiego), który w téj chwili, kiedy bohater miał łuk do wystrzału wymierzony, zamienił się w piękną dziewicę, z tą Potyk zaręczył się i zaślubił ją, przyczém oboje ślubowali sobie, że ten, który drugiego przeżyje, żywo z nim do grobu wstąpi. Awdotya (Marya) Łybed' umarła, a Potyk w pełnéj zbroi w grobowcu z nią dał się zamknąć. W nocy zjawił się smok, Potyk go zabił i krwią z niego tryskającą (wedle innych wersyi, żywą wodą przez smoka przyniesioną) żonę do życia przywrócił i w Kijowie znów się pojawił. Tu niektóre byliny się kończą z tym dodatkiem, że kiedy Potyk umarł, Awdotya z nim zstąpiła do grobu, który tym razem oboje na zawsze pochłonął. Inne byliny opowiadają daléj, że w czasie niebytności Potyka, Awdotyę książę litewski (lub téż inny) uwiózł i że Potyk żonę odnalazł, która ułudnemi słowy siebie jako ofiarę umiała wystawić i niebacznego bohatera ogłupić zdołała, wreszcie w kamień zamieniła, a kiedy do życia cudem przywrócony znowu

się u niéj pojawił, znowu obłudnie winę z siebie zrzuciła i upojonego męża tym razem do ściany przykuła. Siostra księcia zakochała się w bohaterze, uwolniła go z męczarni, odebrawszy przyrzeczenie, że ją zaślubi, i brata z kochankiem odjechała.

Jeszcze więcéj zbliżone są do indyjskiéj powieści o bhilli, który mężowi żonę uwiódł, byliny o Iwanie Godinowiczu i Maryi (Nastasi) Dmitriewnie (Rybn. I, 13, 14; II, 33, 34), która, choć z Koszczejem Trepetowiczem zaręczona, pozwala się uwieść Iwanowi Godinowiczowi, siostrzeńcowi Włodzimirza. Koszczej ściga ich i dopędza uciekających wśród pola, kiedy odpoczywają pod namiotem, Marya zaklina się, że ją gwałtem uwiedziono. Następuje walka między Iwanem i Koszczejem, w któréj pierwszy zwycięża i uklęknąwszy Koszczejowi na piersi, woła o nóż na Maryę, ale wypadek ma być inny, aniżeli Iwan się spodziewa. Koszczéj przedstawia Maryi, że jeżeli pójdzie za Iwana, będzie tylko jego służebnicą („praczką“), za nim (Koszczejem) będzie potężną, bogatą panią. Marya dała się nakłonić i, jak jéj kazano, pochwyciwszy Iwana za włosy ściągnęła z Koszczeja, razem z nim Iwana spętała i tak poszła z poganinem na wywczasy do namiotu. Wtém, podobnie jak w azyatyckiéj powieści, następuje cud: ukazuje się czarny ptak w powietrzu i woła: nie przy Koszczeju zostanie zwycięstwo, ale przy Iwanie, i proroctwo natychmiast się spełnia, bo kiedy Koszczéj z łuku strzela do kruka, strzała mija ptaka i spadając wprost na głowę Koszczeja, uderza go i zabija. Marya teraz bierze miecz Koszczeja i idąc z nim do Iwana, mówi do niego: jeżeli mię poślubisz, oswobodzę cię tym mieczem z więzów, jeżeli nie, zabiję cię nim. Ale miecz wypada z drżących rąk Maryi, pada na więzy i rozcina je. Następuje kara i Iwan pochwyciwszy miecz obcina Nastasi ręce, że go pochwyciły za złote włosy i o ziemię rzuciły, obcina wargi za to, że z ustami Koszczeja się zetknęły, ucina język za to, że żądał zabicia Iwana. Tak pokaleczywszy Maryę (Nastasię), Iwan precz odjechał, mówiąc: Teraz szukaj sobie męża albo zostań wdową, ja cię nie potrzebuję. Podobną bylinę przytacza J. Karłowicz o Iwanie Hodynowiczu ze zbioru Kirszy Daniłowa (*Ateneum*, 1881, listopad, str. 224).

Motyw wschodnich powieści o złéj i wiarołomnéj żonie wszedł także w skład bylin o Dobryni Nikityczu, którego zdradza kochanka Marynka i czarami zamienia w czworonóżne zwierzę.

Liebrecht już dawno (Benfey, *Orient und Occident* I, 1862, 128) rzucił był domysł, że niektóre powieści europejskie o wiarołomnéj żonie przywędrowały ze wschodu, mianowicie anglo-saska powieść, powieść polska o Wisławie i Helgundzie, niemiecki poemat Nussberg i powieść o cesarzu Gordyanie w *Gesta Romanorum* i odwoływał się

do *Panczatantry* IV, 5 i analogii przytoczonych przez Benfeya w przedmowie, późniéj kiedy zmarły przed kilku laty akademik Schiefner zwrócił uwagę w *Mélanges russes* IV, 242, na byliny ruskie o Potyku i Iwanie Godinowiczu, z tém większą pewnością powtórzył swoje twierdzenie w Benfeya *Orient und Occident* 1864, III, 357, i powieści o Potyku i Iwanie Godinowiczu uważał za stacye pośredniczące pomiędzy wschodniemi a europejskiemi powieściami. W istocie też powieść anglo-saska tak bardzo przypomina powieści wschodnie i ich ruskie echo, że o związku nie podobna powątpiewać. Sophus Bugge, który względem téj genealogii anglo-saskiéj powieści miał wątpliwości, przyznawał jednakże, że rdzeń powieści mógł przyjść od wschodu (1). Ciekawą także Bugge przytoczył rzecz, że podobna powieść o królu Hjorleiv znajduje się w północnéj *Halvssaga* rozdz. 8.

Do téj saméj familii powieści należą pomiędzy innemi jeszcze trzy, t. j. powieść w *Nugae Curialium*, poemat niemiecki *Nussberg* średniego peryodu i opowiadanie łacińskie o Rudolfie ze Schlüsselberga, które znajduje się w Wiedeńskim manuskrypcie N. 4739 z lat 1459—1460 razem z łacińską dość wczesną, jak się zdaje, redakcyą powieści staro-francuskich znanych pod nazwą Dolopatos i z innemi powieściami, a zaczyna się od tych słów: „Erat olim in Franconiæ partibus miles quidam Rudolphus de Sluesselburg“ (2). Gualterus Maper podaje w *Nugae Curialium* opowiadanie De Rasone et eius uxore, gdzie wymieniony Raso w sąsiedztwie pogańskiego admirała (*admirabilis, quod nomen dignitatis est*) rezyduje na warownym zamku wraz z drugą swoją żoną i synem. W czasie jednéj z wypraw żona ucieka z dziwnie pięknym admirałem, którego Raso był w boju pochwycił i w zamku swoim uwięził, straż oddając żonie, przyczém uciekająca do ucieczki użyła ulubionego wierzchowca swojego męża. Raso, więcéj straty konia niż żony żałując, jako żebrak przebrany zakrada się do pogańskiego miasta, żona go poznaje i wydaje admirałowi, który go na śmierć skazuje, ale syn od śmierci go wybawia i admirała zabija. Gdy Raso po drugi raz jako żebrak przebrany zakradł się do miasta pogańskiego, podsłuchał zmowę wiarołomnéj żony swojéj z pewnym rycerzem, z którym przed świtem uciec się układała. Raso sam stawia się na umówione miejsce a ponieważ wśród ćmy nocnéj żona go nie poznaje, więc z nią ucieka, a że konie zmienili więc ucieka na własnym wierzchowcu. Wnet go

---

(1) Germania XI, 1866, 173.

(2) Mussafia, Ueber die Quelle des Dolopathos. Sitzungsber. der Wien. Akad. hist.-phil. Kl. 1864, Nov.

jednak żona poznaje, kiedy strudzony spać i chrapieć poczyna i radzi na wypoczynek się zatrzymać. Wtém nadjeżdża rycerz, a równocześnie ulubiony rumak budzi Rasona, który przywołuje w pobliżu ukrytego syna. Wszczyna się walka, w któréj niewierna żona ginie z ręki pasierba swojego, który jéj głowę ucina i jako znak tryumfu z sobą zabiera (1).

Bardzo do téj powieści zbliżony jest poemat *Nussberg* przynajmniéj w jednym punkcie. Chrześcijański król pewien pobudował w bliskości pogan warowny zamek, który nazwał Nussberg, i oddał dzielnemu rycerzowi, którego także Nusbergiem nazwano. Ten dzielny rycerz pojmał saz w boju samego króla pogan i osadził w swym zamku, ale przez szacunek dla jego godności swobodnie się po zamku poruszać pozwolił. Żona chrześciańskiego rycerza upodobała sobie pogańskiego króla i, kiedy mąż do swojego króla pojechał, uciekła z jeńcem i jego ludźmi, których z więzów oswobodziła (2).

Powieść o Rudolfie ze Schlüsselberga przypomina w wielu względach pierwotną, azyatycką brzydotę i naiwność. Rudolf ma trędowatą żonę, z nią i dwoma dziećmi idzie w świat do Portugalii, gdzie królowéj tego królestwa oddaje wielkie przysługi w walce przeciw dwom pogańskim królom. Gospodarz, u którego Rudolf stanął w gościnie, wskazał uzdrawiające źródło, w którém trędowata zupełne zdrowie odzyskała, jednakże mąż ciężką z gadzinami walkę stoczyć musiał, które przystępu do źródła broniły. Przyszedłszy do zdrowia, żona za namową gospodarza z dziećmi idzie do jednego z królów pogańskich i niepomna ślubów i wdzięczności wchodzi z nim w nowe związki. Mąż przebrany za przekupnia, idzie za żoną i w mieście pogańskiém przy świątyni towary swoje rozkłada. Syn go poznaje, donosi matce, która go pochwycić i przed króla wieść każe. Król daje jéj wolność wydania wyroku. Niegodziwa kobieta wymyśla najsroższe dla męża męczarnie, bo do słupa przywiązanego na rozpalone węgle postawić każe, gdy tymczasem sama w przytomności męża z pogańskim królem pieszczotom się oddaje. Ratunek przynosi syn, który wtedy, kiedy matka z królem twardym snem zasnęli, ojca oswobadza i do ojczyzny z nim ucieka.

Wszystkie te powieści mają ścisły pomiędzy sobą związek. głównym motywem jest wiarołomstwo niewdzięcznéj żony; oszukany małżonek jest w azyatyckich powieściach wzorowym i poświęcenia pełnym mężem, w europejskich téż i dzielnym rycerzem, jego rywal nie zawsze jest piękny lub nie zawsze pięknie śpiewa; wstrętna

(1) Germania V, 58. — (2) v. Hagen, Gesammtabentheuer N. 19, str. 445.

sytuacya pieszczot w obec związanego i zohydzonego męża powtarza się tylko w jednéj indyjskiéj, w jednéj ruskiéj i jednéj średniowiecznéj o Rudolfie powieści, z nimi w tym punkcie zgadza się téż polska powieść; we wszystkich powieściach ratunek dla pokrzywdzonego męża zjawia się niespodziewanie czyto od wyższéj istoty, czy też od osoby blisko stojącéj uwodziciela albo pokrzywdzonego; prawie we wszystkich europejskich miecz odgrywa niepoślednią rolę; nie we wszystkich żona odbiera karę, zwłaszcza w europejskich braknie często tego zakończenia, które w logicznėm przeprowadzeniu i umotywowaniu powieści jest koniecznėm.

Otóż niewierna Helgunda, która opuszcza dzielnego Waltera i daje się uwieść „pięknemu Wisławowi" (princeps forme elegantissime, et corpore venustus et aspectu decorus) i która męża ohydnem postąpieniem swojem zdradza i bezcześci, jest rodzoną siostrą tych wszystkich powiększéj części bezimiennych żon wiarołomnych, o których powieści były tak rozpowszechnione. Być może, że ta historya o bezwstydzie jéj przyszła do Polski już razem z powieścią ową pierwotną o Walterze i Helgundzie z północy, dokąd mogła przyjść od wschodu przez Rosyą. W skombinowaniu takiem dwóch powieści pierwotnie od siebie niezależnych nie ma nic tak bardzo uderzającego, mogło ono nastąpić w Polsce lub gdzieindziéj. W braku wszelkich pewnych w tym względzie danych możnaby różne przypuszczenia robić. Idąc za drobnemi wskazówkami, które leżą w obrębie naszego widnokręgu, uważamy za najprawdopodobniejsze przypuszczenie to, że kombinacya nastąpiła w Polsce. Skoro zbiegiem różnych szczegółów powieść o Helgundzie zlokalizowaną została w Wiślicy, to mogło powieściarzom polskim w rodzaju owego kronikarza, który nagromadził tyle ciekawych powieści o Lechu, Leszkach, Popielowiczach, nastręczyć się zamglone przesłoną kilku wieków wspomnienie o owym poganinie księciu panującym „nad Wiślanami" (*w Wislěch*, wedle legendy o św. Metodym) bardzo opierającym się przyjęciu chrześcijaństwa, o którym od dawna może przypuszczano, że rezydował na zamku w Wiślicy i którego imię Wisław wykombinowano tak jak Krak z Krakowa, Kij z Kijowa. O takim poganinie, który uporczywie opierał się przyjęciu chrześcijaństwa (1), dość naturalną było rzeczą przypuścić, skoro sobie grób

(1) Wedle legendy o św. Metodym wyd. przez Miklosicha w r. XI, upominał św. Metody pewnego znakomitego księcia w nadwiślańskiéj ziemi („in terra Vistulanorum sedens" tłómaczy Miklosich), aby się dał dobrowolnie ochrzcić, jeżeli nie chce, aby jako jeniec przez moc (plěnen nud'mi) był do chrztu św. przynaglony. „Co się téż stało" dodaje legenda.

Helgundy w Wiślicy pokazywano, że on był jej uwodzicielem, zwłaszcza jeżeli znano także wersyą taką powieści, gdzie o królu pogańskim była mowa. Co zaś nie może ulegać wątpliwości, to że powieść polska jest z dwóch osobnych skombinowaną, granicę pomiędzy obydwiema nie trudno oznaczyć, przypada ona tam, gdzie inne o Walterze i Helgundzie powieści się kończą i gdzie owe w końcu przez nas wymienione się zaczynają. Chodziło by tylko o to, zkąd wziąć bezpośredni punkt wyjścia do wędrówki, jaką odbyła druga ta część naszéj powieści, zanim przyszła do Polski? Mnie się wydaje najprawdopodobniejszą rzeczą, że z południowéj Rusi i z Kijowa, z którym od dawna były handlowe stosunki i inne czy to przez małżeństwa książąt czy téż i sprawy wojenne. Do takiego przypuszczenia zniewalają mnie pewne względy. Nasamprzód chciałbym tu, o ile wiem, po pierwszy raz zwrócić uwagę na to, że powieści polskie o Bolesławie Chrobrym wędrowały na Ruś i wchodziły w skład powieści o Włodzimierzu. Nie przypuszczałbym, że powieści Gallusa o stołach suto zastawionych (omni die quadraginta mensas principales) i ucztach na dworze Bolesława (epulantibus et exultantibus) w czemkolwiek wpłynęły na powieści o ucztach Włodzimierzowych, ale sądzę, że powieść Gallusa I, 13 (1) o porywczym sądzie Bolesława i o interwencyi jego żony przeniosła się do Kijowa i weszła w zakres opowiadań o Włodzimierzu. Gallus opowiada, że królowa roztropna i zmyślna niejednego na śmierć przez króla skazanego wybawiła, do czasu ich w ukryciu chowając, dopóki król nie okazał żalu za niebaczny wyrok swój na śmierć skazujący („regina plures pro culpa morti deditos... ab imminenti mortis periculo liberavit eosque in carcere quandoque nesciente quandoque vero dissimulante rege sub custodia vitae misericorditer reservavit“... „rex illorum morti..... condolebat seque praecepisse eos perimi poenitebat“). W takiéj chwili królowa pytała, czy byłoby mu miło, gdyby jaki święty ze śmierci ich wskrzesił, a gdy król odpowiedział, że wieleby dał za to, gdyby się to stać mogło i gdyby tak plama niesławy z imienia rodziców i krewnych zmytą być mogła, wtedy królowa przyznawała się do tego, że w dobréj wierze utaiła winowajców (pii furti se ream et consciam accusabat) i z dwunastu króla towarzyszami i ich żonami rzucała się do nóg królowi i t. d. a więźnia wypuszczono... i przed królem w łaźni stawiono. Pomiędzy bylinami zbioru Kirejewskiego znajduje się (I, 66) jedna następującéj osnowy: Przy pewnéj uczcie księżna Apraksya wyrzuca mężowi swemu, księciu Wło-

(1) Wyd. Bielowski I, str. 408.

dzimierzowi, że obsypuje innych bohatyrów podarunkami, o Ilii zaś zapomina. Książę podarował Ilii wspaniałe sobole, ale Ilia nie kontent z takiego podarunku, rzuca sobole o ziemię. Włodzimierz każe go zamurować w podziemnéj pieczarze. Ale księżna rozkazawszy do sklepienia podziemny wyprowadzić ganek, przez trzy lata Ilię w ukryciu karmić kazała. Po trzech latach Tatarzy oblegają Kijów pod dowództwem Kalina. Włodzimierz strwożony niedolą miasta, biada nad tém, że Ilię uśmiercić kazał, któryby niewątpliwie dał sobie radę z nieprzyjacielem. Wtedy księżna poddaje myśl, aby kazał zobaczyć, czy może Ilia jeszcze żyje. Książę rady usłuchał i Ilię żywego z pod ziemi wydobyto.

Powieść o porywczym sądzie Bolesława Chrobrego jest niewątpliwie podaniem, ale to podanie opiera się na fakcie historycznym o gorliwem wymierzaniu sprawiedliwości przez Bolesława Chrobrego i na tradycyi o niepobłażliwem spełnianiu obowiązków sędziego. Tradycya mówiła, że Bolesław był ostrym, bezwzględnym sędzią. Na téj podstawie podanie tworzyło sobie sytuacye niebacznie wydanych ostrych wyroków i sytuacye żalu i skrupułów. Podanie to więc jest w harmonii z historyą. Inaczéj Włodzimierz, którego historya wielbi głównie jako krzewiciela światła chrześciańskiego na Rusi, o czynności jego jako gorliwego sędziego wprost nic uwagi godnego nie podaje. Przytém i to warte wspomnienia, że pomiędzy licznemi bylinami nie ma o wyrokach Włodzimierza i interwencyi księżny częstych wzmianek, temat ten zdaje się nie należeć ściśle do powieści cyklu Włodzimirzowego.

Mogła być wymiana podań i powieści także w przeciwnym kierunku. Co do naszéj powieści o Walterze, Helgundzie i Wisławie, są tego niektóre wskazówki. Powieść o niewiernéj żonie była na Rusi południowéj i w Kijowie dość rozpowszechnioną i niejednokrotnie użytą była jako motyw powieści lub bylin (ostatniego wyrażenia używam z zastrzeżeniem i w tém przypuszczeniu, że może już w 12, 13 wieku istniały tam byliny podobne do tych, które dziś śpiewają w gubernii Ołoneckiéj, bo wzmianki o bylinach sięgają bardzo rychłych czasów (1). Do tych, które już wyżéj wymieniłem, dodają powieści o Salomonie i Kitowrasie. Prof. Jagić wykazał (Archiv für slavische Philologie I, 103 nast.), że motywa powieści o Salomonie w ruskich bylinach w różnych przekształceniach się powtarzają. Otóż właśnie jedna do południowéj Rusi, jak się zdaje, bardzo rychło (Arch. f. sl. Phil. I, 110) przyniesiona powieść przypada

(1) Jagić: Gradja za historiju slovinske narodne poezije. Zagreb 1876, str. 42 nast.

także do charakteru powieści o Walterze, Helgundzie i Wisławie. Powieść jest taka. W Jerozolimie panował król Salomon, w Łukoryi brat jego Kitowras we dnie nad ludźmi, w nocy zaś nad zwierzętami, sam w zwierzę przemieniony (Imię Kitowras przekształcone z greckiego Κένταυρος wedle prof. Wesołowskiego bardzo wcześnie już na południe Dunaju u Słowian bułgarskich w powieściach znane było i w tém przekształceniu dostało się na Ruś). Kitowras zasłyszał o piękności żony Salomona i wysłał czarnoksiężnika pewnego do Jerozolimy, aby królowę przywiózł. Czarnoksiężnik dopłynął do Jerozolimy na okręcie, na którym wiózł mnóstwo pięknych towarów i wystawiwszy je tutaj na widok i na targ, przywabił także i królowę na okręt, która ciekawością zdjęta, piękne towary widzieć chciała, i natychmiast z nią do Kitowrasa odpłynął. Salomon puścił się w pogoń z rycerzami swymi. Sam, przebrany za żebraka, dostał się do ogrodu Kitowrasa i żonie swojéj dał się poznać pierścieniem ślubnym, który dał w podarunku jednéj ze służebnic. Odszukany i przywołany, źle został przez żonę przyjęty, która go wydała Kitowrasowi, gorzéj jeszcze przez Kitowrasa, który go na śmierć skazał. Ocalił się, dając umówione znaki, na które jego rycerze w stanowczéj chwili na pomoc przybiegli. Kitowras i niewierna żona ponieśli taką karę, na którą Salomon był skazany, tj. umarli przez powieszenie. Skoro motywa téj powieści przybrały w operacyi poetycznych przekształceń różne postaci, nie byłoby nic nadzwyczajnego w przypuszczeniu, że jedno z tych przekształceń podobne było we wszystkich szczegółach do powieści znanych nam już o niewiernéj żonie. Na tém miejscu warto poznać jeszcze bliżéj wspomnianą już bylinę o Dobryni i Marynce. Dobrynia kochał się w Marynce, znającéj się na czarach, ale Marynka mu przeniewierza się. Pewnego razu zastał u niéj Tugaryna i gniewem się uniósł, Marynka zaś przemieniła go w wołu i dopiero siostra Dobryni przymusiła ją groźbą, że ją w sukę przemieni, do tego, że czarnoksiężniczka bohatyrowi ludzką przywróciła postać. Dobrynia zaś wiarołomną zabił. W opowiadaniu Paprockiego o Walterze i Helgundzie jest mowa o żelaznym wole, na którego Wisław Waltera, kiedy się w ręce jego dostał, wsadzić kazał. Rzecz wcale nie zrozumiała, bo powieści, które na świadectwo powołane być mogą w tym punkcie, są z sobą zgodne że mąż do ściany przybitym lub też związanym został, natomiast ów wół—Dobrynia w bylinie ruskiéj zdaje się tę zagadkę rozstrzygać. Jeszcze jeden szczegół kieruje nić poszukiwań naszych ku Rusi południowéj, ku Kijowu. Walter w powieści polskiéj nazywa się Walter Wdały czyli wedle rozpowszechnionego nazwania Walgierz Wdały, z wytłómaczeniem po łacinie: fortis, manu fortis („fortis viri-

bus, nomine Walterus robustus, qui in polonico vocabatur wdaly Walter"). Przydomek ten brzmi właściwie *udały* zwykły przydomek ruskich bohatyrów Włodzimirzowego cyklu, gdzie *udały*, *udalec*, a dla bohatyrek *udałaja palenica* (Rybnikow I. str. 97,135,136 itd.) jest stałym epitheton ornans i nawet Tatarzynom walecznym nie bywa odmawiany.

Że ten przydomek dostał się w polskiéj powieści bohatyrowi z niemieckim nazwiskiem, wypadało to ztąd, że Walter w niéj zastąpił innego bohatyra z imieniem ruskiem takiéj powieści; z któréj powstała druga część naszéj, zresztą wypadało to z etycznéj ekonomiki danych motywów, wedle których Walter powinien być dzielnym, a Wisław tylko pięknym. Wyraz *udały*, który nie spotyka się w polszczyznie żadnéj epoki (Linde go nie zna) przyszedł z Rusi, podobnie jak *bohatyr*, który wprawdzie jest wschodniego pochodzenia (baghatur, bohader), ale formą swoją pokazuje, że za pośrednictwem Rusinów dostał się do nas.

III.

Kronika nazwana kroniką Bogufała zawiera różnorodne części. Nazwę swoję ma ona ztąd, że w skład jéj weszła kronika biskupa Poznańskiego Bogufała († 1253) doprowadzona do r. 1249, która zaginęła. Jedyny wiadomy odpis tej kroniki znajdował się w posiadaniu uczonego Czecha Jana Hodiejowskiego († 1566), wiadomość o nim bliższą podał znany historyk czeski Gelasius Dobner w przypiskach do Hajka kroniki w Pradze 1763 w części II, str. 7 i 8. Kronika ta miała zupełnie inny początek, aniżeli znana dziś kronika Bogufała i Paska (znanego pod nazwiskiem Baszkona), nie było mianowicie w niéj historyi o Pannonii i o Lechu. Z owéj pierwotnéj kroniki Bogufała, z kontynuacyi Paska i z innych zapisków annalistycznych (niektóre wyosobnił Smolka *Polnische Annal.* 90 nast.) i kronikarskich ułożył nieznany historyk 14 wieku tę kronikę, którą dziś powszechnie cytują jako kronikę Bogufała. W ten elaborat swój powsuwał ów kompilator 14 wieku bardzo wiele rzeczy, które w jego epoce miały na historyczne położenie Polski i sąsiednich krajów i narodów rzucić pewne światło. Że w téj jego kompilacyi są rzeczy, które wypadków dopiero 14 wieku dotyczą, nie ulega wątpliwości „np. wzmianka o Domaracie biskupie poznańskim († 1320) i innym biskupie poznańskim Janie Łodzia, który dopiero 1335 objął biskupstwo w Poznaniu. Inne ustępy, które bez ubliżenia związkowi całości wypuścić by można, wyróżniają się stylistycznie

z całości; inne jeszcze ustępy okazują się jako późniejsze wtręty (z 14 wieku), w tém że w nich jest mowa o Lechitach, gdy tymczasem w reszcie kroniki mowa jest o Polakach. Temu też kompilatorowi z 14 wieku przypisać należy ustęp na początku jego elaboratu o Lechu, Czechu i Rusie. W téj historyi, która wtedy może po pierwszy raz pojawiła się w Polsce, wyprowadza on wspomnianych protoplastów trzech głównych narodów słowiańskich rozsiadłych na północ Dunaju z jednego gniazda i wiąże tym sposobem, te narody z czwartym szeroko za Dunajem rozsiadłym narodem Serbo-Kroatów. Wedle téj powieści plemię Lecha zaległo nietylko ziemię nad Wartą i Wisłą, ale i dalsze ziemie na północny zachód aż po za ujście Łaby. Kompilator więc t. n. Bogufałowéj kroniki stawia się na stanowisku, jeżeli tu wolno użyć nowoczesnego wyrażenia, pansławistycznèm i w wielu miejscach mówi o pokrewieństwie ludów słowiańskich. Co zaś nie mniéj ważną jest rzeczą, to że podaje tłómaczenie niektórych nazw nie tylko z polskiego języka, jak np. Zgorzelica—Brandenburg, ale i z innych słowiańskich, o których wie, że są wprawdzie różne ale nawzajem sobie zrozumiałe (mutuo se intelligentes), więc Kaszuby tłómaczy: „Kasz huby" tj. *plica rugas* (polski wyraz musiał być „guba," jak wnosić należy z przytoczonego w Lindem gubać się=podkasać się); Piast zdaje się z ruskiego *piast'* pol. pięść tłómaczyć; Ziemowit tłómaczy, rozkładając to na „se mowit," dając więc znać, że mu ruszczyzna nie obca. Ciekawa także rzecz, że Serbo-Kroatów nazywa *Raci*, tak jak Węgrzy ich od stolicy żupanów Rasa nazywali, nazwę tę więc ma od Węgrów. Najciekawszy jednakże jego wywód, nie etymologiczny, ale, jeżeli tak wolno powiedzieć, geograficzno-etnograficzny, jest wywód Węgrów, Hungarów, od Słowian Lechitów z okolic Prenzlow z nad rzeczki Wkry (dziś Uker). Wyłożywszy swój system etnograficzny tyczący się Słowian i swoje zapatrywanie na stosunek Słowian i Niemców. powiada daléj: Item de Hungaris, qui et *ipsi sunt Slavi*, non est obmittendum. Hungari enim dicuntur a quodam fluvio, qui Wtra (Wcra tj. Ukra) nominantur, de quodam magno lacu defluens, circa quem nunc civitas Przemislow (Prenzlow) est situata, versus mare septemtrionale (1). Daléj czytamy, że parci przez Gotów, przez Teutonią, Burgundyą, „Lambardyą" wrócili do *pierwotnéj* ojczyzny tj. Pannonii gdzie ich król *Tyla* (Tyla nomine, in scripturis Attila) stałe obrał siedlisko i gdzie od zbiegających się zewsząd słowiańskich narodów ogólnèm nazwiskiem Wandalami byli nazwani, pierwotni zaś Wtranie (tj. Ukranie) od tego, że z Hunnami się zmieszali, którzy od gór

(1) Bielowski, Monum. Pol. hist. II, 471.

Sycylii (może korupcya zam. Scytyii) nazwani byli Hungari („ab Huntis sicut et Wtranis tj. Ucranis"). Zdaje się, że pisarz miał na myśli takie następstwo nazwisk: Ugri (Ucri), w Pannonii zaś Hun=Ugri, razem Hung(a)ri. Po nad wszystkimi Słowianami Lechici mieli panowanie i u nich było starszeństwo („Quorum maioritas semper apud Lechitas" str. 467; „semper Lechitarum imperio subiecti" str. 471).

Takie zapatrywanie na pochodzenie Węgrów i na stosunek słowiańskich ludów do siebie, których wszystkich gniazdo miało być w Pannonii, musiało popłacać i mieć pewne polityczne znaczenie, kiedy chodziło o przeprowadzenie sukcesyi Ludwika Węgierskiego na tron polski, kiedy chodziło o trwały sojusz dwóch narodów nietylko wspólnym interesem politycznym, ale także jak rozumiano, pokrewieństwem plemion" związanych. Wtedy Polacy bliższą znajomość zabrali z Kroatami i wtedy to przypominały się lub i tworzyły powieści o dawnych między pokrewnemi narodami związkach (1) i w takich czasach i usposobieniach, wśród okoliczności wymienionych wchodzili także w pokrewieństwo sami Węgrzy, Hunnów zaś wcielono w tę familią jako dawno z Słowianami zmieszanych. Cały ten mozaikowy obraz pierwotnych między Słowianami i sąsiedniemi narodami stosunków nie należy do właściwej Bogufała kroniki i dostał się wedle naszego przypuszczenia dopiero dość późno w 14 wieku do skombinowanej kroniki, której wszystkie odpisy dopiero z 15 wieku pochodzą, może nawet i ów manuskrypt króla Stanisława, jeżeli sądzić wolno z podobizny, lubo zwykle podają epokę jego na koniec wieku XIV-go.

Na téj kanwie pomieszczona jest w wspomnianéj dopiero co kompilacyi z XIV-go wieku powieść o Walterze i Helgundzie, również nie należąca do pierwotnego składu kroniki Bogufała, bo wyróżnia się stylistycznie od reszty, np. frazesami: tracto temporibus spatio, post aliquam temporis revolutionem, cum duorum annorum absentiae circulus iam revolvisset itp. Nie bez powodu wybrał kompilator dla téj powieści miejsce pod r. 1135, tu bowiem jest mowa o zjawieniu się na dworze Bolesława Krzywoustego owego podstępnego „Pannończyka" (Węgra), który ofiarował Bolesławowi swe usługi rzekomo na to, aby *znów oddać Lechitom panowania nad Pannończykami*, i któremu Bolesław nie domyślając się zdrady oddał Wiślicę, i na tém miejscu wsunięta jest historya o Wisławie itd. Cha-

---

(1) Zob. moją rozprawę: Ueber die Namen für Polen und Lechen. *Archiv für slav. Phil.* III, 469.

rakterystyczne są owe słowa o dawném Lechitów nad Pannończykami panowaniu, które ów podstępny „Pannończyk“ przywrócić ślubował: „spondens Pannoniam subjicere *pristinae* ditioni“; Wincenty Kadłubek, z którego ten ustęp jest wypisany, ma tylko te słowa: „Pannoniam sese Polonorum ditioni subacturum“ (III, 22). Więc i na tém miejscu pamiętał nasz kompilator o owym rzekomo odwiecznym związku między Lechią a Pannonią, siedzibą Węgrów.

W powieści saméj o Walterze stosunek Waltera do Hunnów (w innych powieściach Walter zawsze jest zakładnikiem Attyli i z jego dworu z Helgundą ucieka) jest zapomniany, Walter nie jest Hunnów nieprzyjacielem, w miejsce króla Attyli wstąpił król Franków. Walterowa powieść jest tu więc przedstawiona w duchu dla „Hunnów“ przychylnym lub przynajmniéj obojętnym. W imieniu zaś Franków mógłby ktoś upatrywać znamię starożytności, my w tém nazwisku upatrujemy nazwę za Dunajem nietylkó od czasów panowania Łaciników „Franków“ w Konstantynopolu, ale już i dawniéj rozpowszechnioną i przypuszczamy, że ona tak samo jest użytą wedle nomenklatury Węgrów, jak Raci (Kroaci), i jak Tyla (Attyla). Nazwa Franków nie może i z tego powodu uchodzić za znamię starożytności, ponieważ obok niéj jest nazwa Alemannów, ten zaś „Almannorum regis filius“ wziął tu względem Waltera tę samę nieprzyjazną rolę na siebie, co „Almannorum tyrannus“ quidam w powieści o Wandzie u Kadłubka. Zresztą i Alemanni lepiéj są znani Węgrom, niż Polakom: Gallus i Kadłubek używają powszechnie nazwy Teutoni i Lemanni (1).

Wrócić się nam wypada jeszcze raz do tego, cośmy na początku powiedzieli o okolicznościach, wśród których nasza powieść weszła w kronikę polską 14 wieku. Staraliśmy się wyrozumieć, że ten, który ją w swojéj skombinowanéj kronice umieścił, słyszał ją zapewne w téj formie, która „Hunnom“ niemiłą nie była. Ta negatywna strona, tj. zamilczenie w ogóle o Hunnach jako nieprzyjaznym dla Waltera narodzie, tłómaczy się dość prostym sposobem z tego, cośmy powiedzieli. Uznaliśmy także za rzecz prawdopodobną, że powieść nasza przyszła do Krakowa pierwotnie do kół patrycyuszowskich i może uczonych niemieckich (pośród duchowieństw) i mogła przez dłuższy czas krążyć po Krakowie i mogła powoli przywiązywać się do niéj pewna intencya wyróżnienia Wiślicy, ale oprócz tego wszystkiego zwrócić trzeba uwagę na to, że autor kompilowanéj kroniki ma wielką sympatyą dla tego, co niemieckie. W owym wstę-

(1) Zob. uwagę Lelewela w *Polska wieków średnich* I, 225.

pie, o którym była już mowa, i który wypłynął z jego pióra, wywodzi Słowian i Niemców od rodzonych dwóch braci, wnuków Jafeta, mówi o ich wspólności i dodaje, że nie ma pomiędzy innemi dwoma narodami takiéj wspólności, jak między Niemcami i Słowianami: „Sic et Theutonici cum Slavis... simul conversatione incedunt, nec aliqua gens in mundo est sibi tam communis et familiaris, velut Slavi et Theutonici (1). Widać więc, że zapatrywanie na bliskie między Niemcami i Słowianami związki popłacało w Krakowie w 14 wieku już tak, jak w szesnastym za czasów Jodoka Ludw. Deciusa, który tych niemiecko-polskich związków i sympatyi dowody dał obfite w swojéj kronice.

Wł. Nehring.

---

(1) Bielowski Monumenta II, 471.

O BUDOWIE WEWNĘTRZNEJ GAZÓW.

I.

Oswojeni od dzieciństwa z pojęciem gazu, znając różne rodzaje ciał lotnych, które wytwarza chemia, a technika na usługi nasze przygotowuje, nie potrafimy łatwo zdać sobie sprawę z trudności, jakie przedstawiał rozwój téj gałęzi wiedzy. Nie wieków już ale tysiącoleci całych trzeba było, aby zrozumieć, co to jest ciało lotne, aby poznano że gazy mogą być różne, jak różne są ciała stałe i ciekłe. Rzeczywiście, z wyjątkiem powietrza, inne gazy jakby przypadkowo tylko w przyrodzie występują; czciciel ognia bijąc pokłony płomieniom wyrywającym się z ziemi, nie mógł pojąć, że te ognie cudowne są to jedynie płonące gazy; a i sama atmosfera, chociaż wszędzie otacza człowieka, ale pozbawiona barwy, woni i smaku, nie łatwo do zmysłów jego przemawiać i o istnieniu swém świadczyć mogła.

Dla Arystotelesa powietrze było żywiołem przedstawiającym kombinacyę zasady ciepła z zasadą wilgoci, i trzeba przeskoczyć aż do Rogera Bakona, zatém do wieku trzynastego naszéj ery, aby się dowiedzieć, że istnieje inny rodzaj powietrza, który płomienie gasi.

Wobec tak szczupłych wiadomości o własnościach powietrza nie będzie nas téż dziwić, że nie przypuszczano zgoła jego ciężaru; a choć pompy budował już Ktezybijusz w Aleksandryi, w drugim wieku po Chrystusie, podnoszenie się wody tłómaczono zawsze ową słynną zasadą, że przyroda próżni się lęka. Zdaje się, że o ciężkości powietrza wyraźnie mówi dopiero w piętnastym wieku Mikołaj Krebs, zwany De Cusa lub Cusanus; sądzi on nawet, że możnaby ciężar powietrza poznać, gdyby ze szczytu wysokiéj wieży opusz-

czano kamienie i drzewo i gdyby spółcześnie wypływała woda z naczynia,—a to z oporu, jaki ciała te w powietrzu napotykają. Zadaje on téż pytanie, czy powietrze jest cięższe, czy téż lżejsze od dymu i radzi w tym celu ważyć pęcherze, wypełnione najpierw powietrzem a następnie dymem, sam jednak doświadczenia tego nie wykonywa. Możnaby téż — mówi Cusanus — na jednym talerzyku wagi umieścić znaczną ilość suchéj i ściśniętéj wełny i zrównoważyć ją ciężarkami; wtedy talerzyk z wełną opadać lub podnosić się będzie stosownie do tego, czy powietrze staje się suchszém czy téż wilgotniejszém, a ztąd możnaby wnioskować o zbliżającym się stanie pogody.

Siedemnastemu dopiero stuleciu przypada chwała poznania głównych zasadniczych własności powietrza. W r. 1643 wykazał Torricelli, że atmosfera wskutek ciężaru swego wywiera ciśnienie na swą podstawę, na całą powierzchnię ziemi, i pamiętném doświadczeniem nauczył, że na każdą powierzchnię ciśnie z siłą takąż samą, z jakąby cisnął słup rtęci, wynoszący w miarach dzisiejszych 76 centymetrów. W kilka zaledwie lat późniéj, w r. 1650, Otton Guericke urządził pierwszą pompę powietrzną, a słynne półkule magdeburskie i długi szereg innych, niemniéj przekonywających doświadczeń, rozpowszechniły i spopularyzowały naukę o ciśnieniu powietrza, — od przestrzeni napełnionéj gazem nauczono się rozróżniać próżnię.

Odtąd téż dopiero rozpoczyna się istotny rozwój téj gałęzi wiedzy, a zasób wiadomości naszych o własnościach fizycznych powietrza wzrasta tym biegiem przyśpieszonym, który cechuje postęp nauki w ciągu dwu ostatnich stuleci.

Jakkolwiek tedy wyróżniono już stan lotny ciał od stałego i ciekłego, to długo jeszcze powietrze atmosferyczne było jedynym tego stanu przedstawicielem. W początkach wieku ośmnastego Wolf zwrócił uwagę na różnicę, jaka zachodzi między parą, dymem i t. p. ciałami a powietrzem zwykłém, ale dopiero u samego schyłku zeszłego stulecia, gdy chemia pierwsze swe kroki stawiała, poznano inne gazy, które z różnych substancyi wydobywać się nauczono. Cavendish w r. 1766 odkrył powietrze palne czyli wodór, w r. 1744 Priestley, Scheele i Lavoisier — tlen i azot. Lavoisier téż zbadał bliżéj kwas węglany, poznany w r. 1648 przez Blacka. Odtąd gazów namnożyło się obficie, a dla dzisiejszego czytelnika byłoby już rzeczą zbyteczną przypominać, że ciała lotne są nader różne, że są między niemi bezbarwne i barwne, bezwonne i wonne, niepalne i palne, chemicznie niezłożone i złożone.

II.

Ogólne własności fizyczne gazów dają się ująć w sposób bardzo treściwy. Wraz z cieczami przeciwstawiają się one ciałom stałym z powodu ruchliwości swych cząstek, i dla tego nie posiadają jak ciałka stałe postaci samodzielnéj; od cieczy znów wyróżniają się dążnością do rozprzestrzenienia się, do zajmowania objętości jak największéj, zkąd nietylko własnéj postaci ale i własnéj objętości nie posiadają. I atmosfera ziemska rozbiegłaby się w bezgraniczną przestrzeń świata, gdyby nie ulegała ogólnéj własności materyi — ciążeniu. Dążność ta do rozprzestrzenienia się stanowi istotną cechę gazów i usprawiedliwia nadawaną im nazwę płynów sprężystych. Wskutek téj dążności gaz wywiera zawsze ciśnienie na gazy, któremi jest otoczony, zupełnie jakby ugnieciona sprężyna, i dlatego ciśnienie to nazwano sprężystością, albo lepiéj prężnością gazu.

Im silniéj gaz jest ściśniętym, tém gwałtowniéj dąży do rozprzestrzenienia się, tém większa wzbudza się w nim prężność i wogóle w każdéj chwili wyrównywa ciśnieniu zewnętrznemu. Gaz może być ściśniętym w miechu np.; powietrze swobodne, w pokoju np. zostaje pod ciśnieniem atmosfery otaczającéj; w zwykłych więc warunkach prężność powietrza wyrównywa ciśnieniu atmosfery.

Domyślamy się téż łatwo, że prężność gazu wzrasta, gdy objętość jego maleje, a wkrótce po pracach Torricellego wzajemna ta zależność prężności i objętości zwróciła na siebie uwagę badaczy. Spółcześnie też niemal Boyle w r. 1662 i Mariotte w r. 1679 wykryli, że czynniki te związane ze sobą w sposób jak najprostszy, prężność bowiem wzrasta w tymże samym stosunku, w jakim objętość maleje. Słynna ta zasada da się wypowiedzieć i w ten jeszcze sposób, że objętość gazu jest odwrotnie proporcyonalna do ciśnienia, a wysłowienie to uczy wyraźnie, jak prostym prawom ulegają gazy w porównaniu z ciałami stałemi; boć i te ostatnie pod przewagą ciśnienia objętość swą zmniejszają, ale na każde z nich jednakie ciśnienie wywiera wpływ odmienny, a zależność jest tak zawiła, że nie mamy o niéj świadomości żadnéj. Wewnętrzna więc budowa gazów jest bez porównania prostszą, aniżeli ustrój ciał stałych i ciekłych, a jeżeli kusimy się o rozwiązanie zagadki istoty materyi, jéj budowy wewnętrznéj, to pojmujemy dobrze, że najpierwiéj najłatwiéj rozwiązać to zadanie będziemy mogli, przypatrując się materyi w stanie lotnym. Dla tego teorya gazów dla fizyków dzisiejszych szczególny powab przedstawia, a rozwój jéj wiąże się z najwalniejszemi zagadnieniami, które nauka stawiła sobie w ciągu ostatnich dziesiątków lat.

III.

O istocie materyi wnosić możemy jedynie z jéj objawów; objawy te skłoniły chemików a daléj i fizyków do poglądu, że materya nie wypełnia przestrzeni w sposób ciągły, nieprzerwany, ale że składa się z cząstek oddzielonych znacznemi stosunkowo przerwami, ciała bowiem w znacznych granicach objętość swą powiększać i zmniejszać mogą. Kwestya ta otwiera przed nami obszar rozległy, aby jednak nie zbijać się z tropu i nie odchodzić od głównego przedmiotu, który ma nas teraz zajmować, pomijamy tu okoliczność, że nauka dzisiejsza uważa najdrobniejsze cząstki za bryłki niepodzielne, że atomy te nie są jednostajnie w ciele rozłożone, ale skupione są w grupy pewne, które chemia określa ściśle i nazywa cząsteczkami czyli molekułami, że daléj umie ona ocenić stosunkowe ciężary atomów i cząsteczek różnych ciał (1). Nas obchodzi tu wzgląd inny; skoro u przeważnéj liczby ciał cząsteczki są wzajemnie szczepione, to musi się przystać na to, że utrzymują się one w sposób podobny, jak ziemia utrzymuje ciała będące na niéj, że się nawzajem przyciągają. Z drugiéj znów strony, ponieważ cząstki nie zbijają się w jednę nieprzerwaną masę, ale owszem rozdzielone są znacznemi, w stosunku do swych wymiarów, przestrzeniami, należy przyjąć, że między cząsteczkami ciał działa i siła wręcz przyciąganiu przeciwna, to jest wzajemne odpychanie. Fizycy przypuszczają mianowicie, że między cząstkami materyalnemi rozpościera się substancya niewypowiedzialnie subtelna, któréj atomy o wiele jeszcze mniejsze od atomów istotnych, ważkich, nawzajem się odpychają. Substancya ta zwana eterem, rozlewa się po całéj przestrzeni światowéj, przenika ciała i skupia się gęściéj dokoła atomów, które unoszą się w niéj jakby w oceanie bezgranicznym. Nieujęta i niepojęta ta substancya niezbędną jest w nauce dzisiejszéj; ona to bowiem rozprowadza promienie światła i ciepła, do niéj téż zaczynamy się teraz odwoływać dla wyjaśnienia zjawisk elektryczności (2). Możnaby wyobrażać sobie cząsteczkę materyalną, jako skupienie atomów otoczonych wspólną powłoką, wspólną atmosferą eterową; gdy zatém atomy różnorodne jedną podobną oblekają się powłoką, następuje połączenie chemiczne.

---

(1) Ob. „Najnowsze poglądy na naturę pierwiastków chemicznych.“ (*Ateneum*, r. 1880, tom II).

(2) Ob. w *Ateneum* artykuł: „Eter i jego znaczenie w fizyce.“

Guma kurcząca się po rozciągnięciu, albo odzyskująca pierwotną objętość po ściśnięciu, daje nam obraz przyciągania i odpychania międzycząsteczkowego; a dopóki ciało stanu swego nie odmienia, obie te siły wzajemnie się równoważą. U ciał wszakże lotnych, których cząsteczki rozbiegają się jak najdaléj, odpychanie góruje nad przyciąganiem, opór jedynie zewnętrzny rozprzestrzenianiu się cząsteczek kres kładzie. W podobnyż sposób określić można warunki, sprowadzające stan stały i ciekły ciał; łatwo dostrzedz jednak, że odwoływanie się do przyciągania i odpychania międzycząsteczkowego nie zdoła wystarczyć do wyjaśnienia ogółu odnoszących się tu zjawisk.

IV.

Stan skupienia każdego ciała ulega przeobrażeniu pod wpływem ciepła; pojęcia przeto o budowie wewnętrznéj materyi odpowiadać winny wyobrażeniom, jakie o istocie ciepła posiadamy. Dopóki ciepło uważane było za płyn nieważki, osłabianie i niszczenie spójności łatwo tłómaczyć można było wdzieraniem się tego cieplika między cząstki ciał. Wedle obecnych wszakże pojęć ciepło jest objawem ruchu, a pogląd ten oparty jest na prostych i dobrze znanych faktach.

Skoro na ciało padają promienie ciepła, wybiegające ze słońca, z ognia, z pieca rozgrzanego wreszcie, ciało natychmiast się ogrzewa. Promienie te nie są właściwie ciepłem, stają się niém skoro zostaną przez ciała zatrzymane, pochłonięte. Czemżeż jest tedy promień ciepła? Mówimy, że słońce, że ciała rozżarzone wysyłają promienie światła i ciepła, nie są to wszakże objawy różne; w wiązce promieni słonecznych nie masz oddzielnych promieni światła i ciepła: tenże sam promień, który, działając na nasze nerwy czuciowe, ogrzewa nas, wznieca wrażenie światła, gdy na nerw wzrokowy pada; z wiązki promieni powstrzymać można, przytłumić te lub owe, ale w jednym promieniu nie można przygasić światła, nie usuwając zarazem i cieplikowego jego działania. Promienie światła i ciepła są to różne objawy jednéj i téj saméj przyczyny, ale nie są to różne przyczyny; a prawdzie téj nie uwłacza zgoła, że są promienie ciemne, które zgoła nie świecą, ale obecność swą zdradzają jedynie działaniem cieplikowém, albo i chemiczném wreszcie. Jak ucho nasze w pewnych tylko granicach kołysania się struny słyszy, a ruchów jéj zbyt wolnych lub zbyt szybkich nie ujmuje, tak i oko w pewnych tylko granicach na światło promieni jest wrażliwe.

Jeżeli więc promień ciepła identyczny jest z promieniem światła, to natura jego nie jest zagadkowa; światło bowiem jest objawem drgań eteru, objawem ruchu, który w nieograniczonym tym oceanie rozbiega się jak fale głosowe w powietrzu, którego obraz poniekąd dają nam fale po powierzchni wody sunące. I ciepło przeto promieniste jest takiém samém, a raczéj tém samém drganiem, tąż samą falą eteru. Skoro zaś promień pochłonięty wytwarza w ciałach ciepło, to ciepło nie może być płynem, nie może być substancyą, bo ruch przecież materyi nie wytworzy. Ruch może tylko ruch wzbudzać, może się w inny ruch przeobrażać. Ciała pochłaniają ciepło, ale nie tak, jak gąbka wodę; pochłaniają je, jak las gęsty wstrzymuje szalony zapęd wichru, — ruch, który unosił masy powietrza, wstrząsa drzewa, a powietrze po za lasem jest już spokojne. Tak to atomy i cząsteczki ciał przejmują ruch falowy eteru.

W bardziéj bezpośredni sposób do tychże samych pojęć prowadzi nas ogień, który Indyanin wznieca tarciem dwu kawałków drzewa, który my sami rozpalamy tarciem zapałki o ścianę. Gdy ciało zimne ogrzewa się u pieca, tłómaczyć to możemy przechodzeniem ciepła, jakby przelewaniem się płynu; tu jednak oba ciała są zimne, gdzież szukać źródła ciepła? Jeszcze w końcu zeszłego wieku Rumford umieścił rurę armatnią w skrzyni napełnionéj wodą, a oparłszy o dno rury stępione dłuto, wprawił ją w szybki obrót. Woda ogrzała się i zagotowała wkrótce, i wrzała, dopóki trwał obrót rury. W miarę, jak woda przechodziła w parę, zastępowano ubytek jéj nową ilością, a działanie to wciąż trwało; ciepło więc ogrzewając wodę, nie wywiązuje się tu z rury lub z dłuta, bo w ciałach ograniczonych nie może się kryć nieograniczona ilość ciepła. I tu więc źródłem jego może być tylko ruch, który wciąż podtrzymujemy; ruch ten widoczny, ruch całych mas przechodzi tu w ów niedostrzegalny ruch najdrobniejszych cząstek, który się objawia jako ciepło.

Powyższe więc i inne jeszcze dowody prowadzą do niezbędnego wniosku, że ciepło polega na ruchu cząsteczkowym. Że ruchu tego nie dostrzegamy, nie może to stanowić zgoła zarzutu przeciw jego istnieniu, bo i same te cząsteczki są niedostrzegalne, nawet przy pomocy najdzielniejszych mikroskopów. Zresztą w cieczach dostrzeżono pewne zagadkowe objawy, które stanowią jakby obrazy tych właśnie ruchów cząsteczkowych. Jeszcze w r. 1827 Brown zauważył pod mikroskopem, że drobne pyłki zawieszone w cieczy, ulegają drganiom w jednę i drugą stronę. W r. 1863 téż same ruchy badał Wiener z zachowaniem wszelkich ostrożności, i mógł je

obserwować bez zmiany w ciągu dwunastu dni, dopóki warstwa cieczy nie wyschła zupełnie, a Exner w r. 1867 przekonał się, że żywość tego ruchu wzrasta wraz z temperaturą, tak dalece, że nawet ciężkie cząstki cynobru utrzymywały się w zawieszeniu, nie opadając na spód. Do tejże saméj zapewne kategoryi zjawisk należą spostrzeżenia p. Bodaszewskiego we Lwowie; obserwował on pod mikroskopem dymy i barwne pary różnych cieczy, i widział, że cząsteczki ich ulegają ruchowi bardzo ożywionemu, uderzają nawzajem o siebie i odskakują, padając na zamykające je szkiełka, odbijają się od nich i sprawiają wrażenie, jakby ruchu drgającego.

Drobne te doświadczenia nie mogą zapewne stanowić poparcia wielkiéj teoryi, o któréj tu mówimy; wskazują jednak, że w tym drobniutkim świecie zachodzić mogą rozliczne ruchy, jakkolwiek słabe i ograniczone zmysły nasze, pojęciu takiemu stawiają opór.

Dla wyjaśnienia więc zjawisk ciepła przyjmujemy, że cząstki wszystkich ciał, nawet najtwardszego dyamentu, najwytrzymalszéj stali pozostają wciąż w żywym, szybkim ruchu. Ruch ten nie ustaje jeszcze i w ciałach, które nam się zimnemi wydają, bo one posiadają tylko mniejszy zasób ciepła, ale nie są go zgoła pozbawione. Wtedy dopiero, gdyby cząstki te zupełnie się uspokoiły, gdyby nieruchomo na miejscach swych tkwiły, ciała byłyby zupełnie bezwzględnie zimne. Począwszy od tego punktu bezwzględnego, istotnego zera, temperatura wzrasta wraz z żywością ruchu cząsteczkowego, — siła żywego tego ruchu właśnie temperaturę stanowi. Na tych zasadach oparte tłómaczenie zjawisk, ciepłem powodowanych, stanowi teoryę mechaniczną ciepła, która, rzec można, przoduje wszystkim dzisiejszym na przyrodę poglądom.

V.

Pojęcia nasze o budowie materyi uledz muszą zmianie; wyobrażenia o przyciąganiu i odpychaniu wzajemném cząsteczek pogodzić musimy z ich ruchem, określić należy jakiego to rodzaju mają być owe ruchy, aby zdołały wytłómaczyć trojaki stan skupienia materyi. Zasady te rozwinął najdokładniéj Clausius, jeden z twórców teoryi mechanicznéj ciepła.

W ciałach stałych cząsteczki ściśle są między sobą związane; przyciąganie ich wzajemne musi być tak znaczne, że siła żywa ich ruchu związku tego rozerwać nie zdoła. Cząstki mogą się tu tylko kołysać około średnich swych położeń. Dzieje się tu bowiem toż samo, co z wahadłem, z ciężarkiem zawieszonym na nitce, który

pod działaniem siły ciężkości i bezwładności przebiega ustawicznie w jednę i drugą stronę około pionowego kierunku nitki. Dopóki ciało w stanie stałym pozostaje, ruch cząsteczki nie może pokonać wpływu, jaki na nią wywierają cząsteczki sąsiednie, wraca więc biegiem przyśpieszonym do średniego swego położenia; tu znów, skutkiem bezwładności zatrzymać się nie może, przechodzi na stronę drugą,—cząstka więc ustawicznie do położenia swego wraca i ustawicznie je opuszcza, pozostaje w statecznym ruchu wahadłowym.

Warunki wszakże ulegają zmianie, jeżeli ciało ogrzewamy; przez doprowadzanie ciepła, ruch staje się żywszym, tak że nakoniec zdoła pokonać przyciąganie,—cząstka nie wraca już do normalnego swego położenia, ale pędzi daléj, dopóki nie zostanie przytrzymaną przez inne, które znów w tenże sposób opuszcza. W tych warunkach cząstki są bardzo łatwo ruchliwe, ciało przechodzi w stan ciekły. Można powiedzieć, że w ciałach stałych cząstki pozostają w równowadze statecznéj, w cieczach zaś w równowadze niestałéj, zmieniają tu bezustannie swe położenie, przebiegają od jednych do innych cząsteczek. Siła żywa cząsteczki w stanie ciekłym pokonać może przyciąganie cząsteczek sąsiednich, nie może wszakże jeszcze przemódz przyciągania wszystkich cząsteczek całéj masy.

Ale gdy siła ta wzrasta jeszcze daléj, przez dalsze doprowadzanie ciepła, cząsteczka wyrywa się nietylko z obrębu przyciągania swych sąsiadek, ale i wpływ wszystkich pozostałych nie zdoła jéj zatrzymać, ani z drogi jéj zbić, a cząsteczka poruszona biedz będzie skutkiem bezwładności po linii prostéj. Tak kula z armaty wyrzucona, przebiegłszy pewną drogę krzywą, nakoniec na ziemię spada; gdybyśmy wszakże, jak w znanéj ramocie Verne'a o podróży na księżyc, zdołali jéj nadać prędkość tak znaczną, tak potężną siłę rzutu, iżby przyciąganie ziemi względem niéj drobiazgiem tylko się stało, kula odbiegłaby w przestrzeń po drodze prostolinijnéj. Cząsteczki tedy gazów odbywają ruchy prostolinijne; cząstka bieży, dopóki nie uderzy o inną cząstkę, lub o zaporę jakąkolwiek, od któréj odbija się jak piłka sprężysta, aby znów w innym odbiedz kierunku. Cząstki więc gazu biegną we wszelkich możliwych kierunkach, jakby między niemi li tylko odpychanie działało, a rozpraszaniu się ich jedynie zapory zewnętrzne kres kładą.

Nie należy wszakże mniemać, iżby wszystko odbywało się z taką prostotą, jak ta hypoteza wskazuje; hypotetyczne te ruchy niewątpliwie daleko bardziéj są zawiłe.

Tak np. w przypadku ciał lotnych cząstki ku sobie biegnące nie zawsze uderzą się w kierunku linii łączącéj ich środki; uderzenie może być i boczne, a wtedy, odbiegając od siebie, ulegają ruchom

obrotowym, często osobliwym bardzo, jakich obraz widzimy na bilardzie, gdy kule wprawną ręką sztukmistrza trącone rozbiegają się w cudackich podskokach. Zawiłość ta większą jeszcze być może w ruchach cząsteczek ciał stałych i ciekłych, a gmatwa się jeszcze ruchami atomów, z których się cząstki składają. W ogólnych wszakże rysach trojaki stan skupienia materyi cechuje się opowiedzianemi tu ruchami. W ciałach stałych cząstki drgają tylko około położeń statecznych; w cieczach drgają w podobnyż sposób, ale ruch ten przechodzi łatwo w ruch postępowy, skutkiem którego cząstka odbiega ku innym; w ciałach lotnych natomiast zachodzą już tylko ruchy postępowe, prostolinijne.

Zasady powyższe wykazują téż ważną różnicę w istocie ciał stałych i ciekłych z jednéj, a ciał lotnych z drugiéj strony. W ciałach stałych i ciekłych wzajemne przyciąganie cząsteczek wywiera wpływ przeważny na ich zachowanie się, na ich własności, przyciąganie to zaś zależy od ich materyalnego ustroju; aby więc pojąć i wyjaśnić objawy w ciałach stałych zachodzące, nie dosyć znać ruchy, jakie się w łonie ich odbywają, należy się jeszcze odwoływać i do ich budowy materyalnéj, która w różnych ciałach jest różną a dla nas tajemniczą. Co innego w gazach. Tu wzajemne przeciąganie cząsteczek roli już nie odegrywa, istota materyi, jéj ogólne zachowanie się, wpływa na ogólne własności gazów; własności te muszą być wynikiem jedynie ruchów cząsteczki ożywiających. Dla tego to budowa gazów taką prostotą się zaleca, dla tego własności ich dają się z istoty ich wysnuć, i dla tego stanowią one tak pożądany dla nauki dzisiejszéj materyał. Do rzeczy zawiłych przez prostsze tylko dojść możemy, teorya téż gazów wyprzedza teoryę ciał stałych i ciekłych, która pozostaje zadaniem dalszego rozwoju wiedzy.

VI.

Pobieżnie tylko przejrzéć możemy główne ustępy téj teoryi gazów, zwanéj mechaniczną albo kinetyczną. Ujmując bowiem we wzory matematyczne prawa ruchów, które tu zachodzą, językiem matematycznym snuje ona swe wywody a jeżeli prawdą jest, że kto wieszcza chce pojąć, winien po wieszcza krainie wędrować, to niemniéj pewną jest rzeczą, że kto matematyka chce zrozumiéć, winien językiem jego władać; mowa ta treściwa, w przekładzie staje się rozwlekłą, a najczęściéj do przekładu zgoła się nie nadaje. Dla tego téż zadowolić się tu musimy ogólnemi tylko wynikami tych badań.

Teorya gazów przedewszystkiém zdać winna sprawę z zasadniczéj ich własności, z ich rozprężliwości czyli prężności, tj. z ciśnienia, jakie gaz na zamykające go ściany wywiera. Otóż, prężność jest bezpośrednim wynikiem ruchu cząsteczek, które biegnąc we wszelkich kierunkach, wciąż z pewną siłą o ściany uderzają; uderzenia te szybko i jednostajnie następują jedne po drugich, a ogół drobnych takich działań wywiera ciśnienie na ściany, stanowi prężność gazu. Prężność tedy zależeć musi od ilości tych uderzeń, będzie wzrastać w miarę, jak się one częstszemi stają. Przypadek taki właśnie zachodzi, ilekroć zmniejszamy objętość przestrzeni, w któréj gaz jest zamknięty; cząstki skupiają się, jest ich więcéj w kierunku każdéj powierzchni, wzdłuż każdéj krawędzi,—tém częściéj tedy o ściany trącać będą, im objętość staje się mniejszą. Prężność gazu wzrasta w stosunku odwrotnym do jego objętości. Rozumowanie tedy teoretyczne doprowadza nas do tegoż samego wyniku, do którego już dawno przywiodło doświadczenie,—odnajdujemy tym sposobem prawo Mariotte‘a.

Skuteczność jednak uderzeń nietylko od ich częstości zawisła; zależy także od szybkości ruchu, od siły żywéj cząsteczek. Natężenie zaś téj siły żywéj stanowi temperaturę ciała, dla tego to prężność gazu proporcyonalną jest i do jego temperatury.

Gazy, podobnie jak wszystkie ciała, powiększają objętość swą ze wzrostem temperatury; ale gazy przedstawiają tu ten szczegół uderzający, że wszystkie rozszerzają się jednakowo i jednostajnie, jak to wykazał Gay-Lussac. Prawo to zarówno jak prawo Mariotte‘a charakteryzuje stan lotny materyi. Rzeczywiście, gdy ogrzewamy ciało stałe lub ciekłe, a doprowadzane ciepło podsyca ruch cząsteczek, musi ono wykonać pracę potrzebną do przezwyciężenia ich spójności, która zależy od właściwości każdego ciała, dla tego téż każde inaczéj rozszerzać się musi. Co innego u gazów; tam spójność owa już jest pokonaną, ciepło wpływa tylko na ożywienie ruchu i na przewyciężenie ciśnienia zewnętrznego, które w zwykłych warunkach na wszystkie ciała działa jednakowo, jako ciśnienie atmosfery otaczającéj. Doświadczenia nauczyły, że objętość gazu wzrasta o $1/_{273}$ część, gdy temperatura jego podnosi się o 1^0 Celsyusza; liczba ta, mająca w nauce ważne znaczenie, nazywa się współczynnikiem rozszerzalności gazów. Znaczy to, że gdy gaz ogrzejemy o 273^0, podwaja on swą objętość, potraja ją za ogrzaniem do 546^0. Wskazuje to téż, o ile silniejszą jest rozszerzalność gazów, aniżeli ciał innych.

Możemy jednak gaz ogrzewać, ale zarazem zamknąć go tak, aby się rozprzestrzeniać nie mógł, aby zatém objętość jego pierwot-

na zmianie nie ulegała. Wynik tego działania będzie oczywiście takiż sam, jakbyśmy gaz ogrzany ściskali; prężność więc jego będzie rosła i to w tymże samym stosunku, to jest o $^1/_{273}$ na każdy stopień Celsyusza. Tak samo znów prężność ta maleje, gdy gaz oziębiamy. Dajmy więc, że mamy pewną objętość gazu w temperaturze 0^0; gdy ją oziębimy o 1^0, o 2^0, o 100^0, prężność zmniejszy się o $^1/_{273}$, o $^2/_{273}$, o $^{100}/_{273}$, a gdy nakoniec oziębienie wyniesie 273^0, prężności pierwotnéj ubędzie $^{273}/_{273}$ części, to jest, nie będzie jéj już wcale. W temperaturze więc -273^0 gaz nie posiadałby już żadnéj zgoła rozprężliwości, nie wywierałby już żadnego na ściany parcia. Parcie to wszakże, ta prężność wedle naszych pojęć jest następstwem ruchu cząsteczek,—przy 273^0 zatém niżéj zera ruch ten już nie istnieje. Ale ten ruch stanowi temperaturę ciała, jest ciepłem właśnie; z teoryi téj więc wynika, że przy—273^0C ciepło już nie istnieje, jestto istotne, bezwzględne, absolutne zero termometru. Chcąc na termometrze odczytywać bezwzględną temperaturę, trzeba jego punkt zera przenieść o 273^0 niżéj; gdy więc nasz zwykły termometr wskazuje 20^0 ciepła, to temperatura bezwzględna wynosi 293^0. Najniższe temperatury, sztucznie wywołane, nie przechodzą zapewne—150^0; temperatura absolutnego zera panuje może w pustéj przestrzeni światowéj.

VII.

Poznaliśmy dotąd, że prężność gazu zależy od jego objętości i od siły żywéj cząsteczek; możnaby się domyślać, że zależy téż i od ilości cząsteczek w danéj przestrzeni zawartych, bo im będzie ich więcéj, tém częściéj o ściany uderzać będą. Wszakże w r. 1811 jeszcze Avogadro, opierając się na objawach zachodzących przy chemiczném łączeniu się gazów, rzucił domysł, że wszystkie gazy pod jednakowém ciśnieniem i w jednéj temperaturze, zawierają w równych objętościach jednakowe ilości cząsteczek czyli atomów fizycznych, a badania późniejsze domysł ten zupełnie potwierdziły. Stosunkowe przeto ciężary cząsteczek różnych gazów łatwo oznaczać możemy; skoro bowiem tlen jest szesnaście razy cięższy od wodoru, a ilości cząsteczek w jednakich objętościach gazów są takież same, przeto i cząsteczka tlenu jest szesnaście razy cięższą od cząsteczki wodoru. W jednakich objętościach ciał stałych i ciekłych mieszczą się niejednakowe ilości cząstek, a w téj właściwości przebija się znowu prostota budowy gazów.

Pod jednakowém ciśnieniem różne gazy jednakową posiadają prężność, wodór tak samo prze na ściany, jak i szesnaście razy cięż-

szy tlen. Jakżeż to być może, skoro ilości cząstek w równych objętościach są jednakie. Oczywiście dziać się to może w ten tylko sposób, że cząstki gazów lżejszych biegną chyżéj, aniżeli cięższych, lekka kula karabinowa z powodu szybkości swéj wywiera skutki równie potężne, jak ciężki głaz padający z niewielką prędkością.

A że prężność zawisła od siły żywéj cząstek, wyrównywa zaś zawsze ciśnieniu zewnętrznemu, które nam jest znane, można tedy tę siłą żywą, a w dalszym ciągu i prędkość cząstki obliczyć. Rachunki te uczą, że cząstka tlenu bieży ze znaczną szybkością 461 metrów na sekundę. Podobną mniéj więcéj szybkość posiada i cząstka azotu, i cząstka tedy powietrza przebiega na sekundę około 500 metrów. Liczba ta odnosi się do temperatury 0^{0}, w temperaturach wyższych zatém cząstki powietrza biegną prędzéj. Jest-to szybkość znaczna, nie przekracza wszakże jeszcze granic, dających się doświadczeniem ująć,— wyrównywa ona bowiem mniéj więcéj szybkości kuli armatniéj.

Cząsteczka wodoru, szesnaście razy od cząsteczki tlenu lżejsza, jak wiemy już, biedz musi prędzéj; szybkość jéj jednak jest nie szesnaście, lecz tylko cztery razy większą. Kula bowiem, biegnąca z prędkością dwa razy większą, wywiera działanie nie dwa lecz cztery razy potężniejsze; znaczy to, że siła żywa rośnie w stosunku kwadratów z prędkości. Cząstka więc wodoru biegnie z prędkością 1844 metrów, na sekundę ubiega bez mała dwa kilometry; a choć w dostępnych nam objawach ziemskich, podobnych chyżości nie napotykamy, to o wiele jednak znaczniejsze znajdujemy w ruchach ciał niebieskich. Zresztą, nie należy mniemać, iżby wszystkie cząsteczki posiadały szybkość w ten sposób obliczoną; należy to owszem rozumieć tak, że jest-to tylko prędkość średnia, oddzielne cząstki poruszać się mogą prędzéj lub wolniéj; wynika to już ztąd, że w biegu trącają o siebie nawzajem, uderzają się, odbijają, a to wszystko powoduje ciągłe zmiany w chyżości biegu, jak to widzieć możemy przy uderzaniu się ciał sprężystych.

Ale z tego wysnuwa się bezpośrednio i wniosek inny jeszcze. Wzajemne te potrącania się cząsteczek zbijają je ciągle z ich drogi; jakkolwiek więc posiadają tak niesłychaną chyżość, to na jednéj linii prostéj nader niedługo tylko pozostawać mogą. Nasuwa się tedy pytanie, jaką téż drogę średnią przebiedz może cząsteczka gazu bez żadnych przeszkód, po jak znacznéj przestrzeni przesunąć się może, nie napotykając żadnéj z innych, dokoła niéj biegnących cząsteczek. Doniosłość tego pytania łatwo pojąć możemy, bo rozwiązanie jego prowadzi daléj do oceny wzajemnéj odległości cząsteczek gazu, a więc i ilości ich w danéj przestrzeni, a nawet i ich

istotnéj wielkości. Łatwo wszakże téż pojąć, z jakiemi trudnościami doświadczalnemi zarówno jak i rachunkowemi, zadanie to jest połączone; trudności te jednak nauki spółczesnéj nie odstręczają.

VIII.

Poznano, że gaz przez wąską rurę przepływa wolniéj, aniżeli przez otwór w cienkiéj ścianie; przyczyną tego jest oczywiście tarcie. Jednakże nie jest-to tarcie cząstek gazu o samą rurę, przekonano się bowiem, że warstwa gazu ścian rury dotykająca, przylega do niéj i unieruchomia się; mamy tu tylko tarcie jednych warstw gazu o inne, dla tego wpływ ten jednych na drugie nazwano tarciem wewnętrzném gazu. Na tarcie to wpływa właśnie owa średnia droga cząsteczek, o któréj mówiliśmy, i w ten sposób zdołano ją wyznaczyć dla różnych gazów; jest ona, jak to można przewidywać nader drobną, dla wodoru np. wynosi zaledwie 150 milionowych części jednego milimetra, dla innych jest jeszcze mniejszą.

Obliczono téż, że każda cząsteczka powietrza w temperaturze 0° w ciągu sekundy uderza o inne trzy biliony (tysiące milionów) razy. Jakkolwiek liczba ta paradoksalną się nam wydaje, to wiadomo wszakże, że cząstki eteru drgają znacznie prędzéj jeszcze: światło czerwone jest następstwem 400 trylionów, a fioletowe 800 trylionów drgań na sekundę.

Po podobnych drogach badań nauka daléj jeszcze sięga, a zwolna odchyla się zasłona, kryjąca drobniutki ten i burzliwy, a tak gęsto zapełniony świat atomów i cząsteczek. Z obliczeń Thomsona wypada, że średnica cząsteczki gazu nie jest mniejszą od dwu bilionowych części milimetra. Aby o wymiarach tych powziąć pojęcie, wyobraźmy sobie kroplę, która wydyma się do wielkości kuli ziemskiéj, wtedy cząsteczki jéj narosłyby do wielkości kul karabinowych. Według Loschmidta średnica cząsteczki wodoru wynosi cztery, tlenu siedem, a azotu ośm dziesięcio-milionowych milimetra. Thomson wnosi daléj, że w jednym centymetrze sześciennym gazu mieści się nie więcéj nad 60,000 trylionów cząsteczek, w ciałach stałych i ciekłych jest ich o wiele więcéj.

Jakkolwiek liczby te nie wychodzą po za obręb hypotez, to wszakże za wiarogodnością ich przemawia to, że zgoła inne metody prowadzą do wyników niezbyt od nich odstępujących. Tak np. z doświadczeń nad siłą barwiącą barwników wyprowadza Hofmann, że atom wodoru ważyć musi mniéj, aniżeli 0,00000005 miligrama; z doświadczeń znów spektroskopijnych Bunsena i Kirchhoffa okazuje się, że trzymilionowa część miligrama soli sodowéj wyraźnie

jeszcze barwi płomień. Grubość najcieńszego listka złota malarskiego nie przechodzi pięciu milionowych milimetra, atom więc złota jeszcze musi być mniejszym. Z badań nad włoskowatością, zatém nad przyleganiem cieczy do ciał stałych, wnosi Quincke, że obszar działalności cząsteczki sięga na dwudziestotysięczną część milimetra wokoło. Drobne te liczby przekraczają wszakże granice naszéj wyobraźni, podobnie jak i olbrzymie wymiary, o których astronomowie głoszą. Gdybyśmy wrócić jeszcze chcieli do zjawisk dostępniejszych doświadczeniu, napotkalibyśmy mnóstwo faktów, które na każdym kroku teoryę mechaniczną gazów popierają. Poprzestaniemy wszakże na jednym tylko.

Wiadomo, że dwa gazy obok siebie umieszczone bezpośrednio, albo oddzielone przegrodą dziurkowatą między sobą się mięszają; powietrze, które jest mieszaniną tlenu i azotu, ma wszędzie skład jednakowy, wskutek tego właśnie mięszania się czyli dyfuzyi. Otóż zjawisko to dyfuzyi teorya gazów tłómaczy wybornie. Gazy posiadają znaczne stosunkowo przestrzenie międzycząsteczkowe, cząsteczki więc po liniach prostych biegnące wdzierają się w te przerwy i powodują dyfuzyę. Ale u różnych gazów szybkość ta jest różną, różne więc gazy dyfundować winny z rozmaitą szybkością, wodór np. cztery razy prędzéj aniżeli tlen; doświadczenie potwierdza najzupełniéj ten wywód teoretyczny. Baloniki wypełnione wodorem prędzéj daleko tracą siłę wzlotu, aniżeli wypełnione cięższym węglowodorem.

Dowody takie stanowią kamień probierczy każdéj hypotezy, są jéj próbą ogniową. Teorya gazów, która stanowi właściwie wstęp tylko teoryi mechanicznéj ciepła, cały szereg prób takich szczęśliwie przebyła i to ją wynosi do rzędu hypotez najlepiéj w nauce uzasadnionych.

Niemniéj jednak pozostaje hypotezą, bo i samo istnienie atomów jest hypotezą tylko, któréj jednak z nieznacznym wyjątkiem hołdują wszyscy dzisiejsi badacze przyrody. Atomistyczny pogląd na budowę materyi najlepiéj się rysuje w teoryi gazów i dla tego to, powtarzamy, ma ona dla nauki dzisiejszéj tak wybitne znaczenie. To téż skłoniło nas do przedstawienia czytelnikom tego, zbyt zapewne pobieżnego i niepełnego jéj szkicu.

Stanisław Kramsztyk.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Tablice Graficzne do dziejów Europy, obejmujące chronologią osiedlania się narodów, powstawania i upadku państw, kolejnego następstwa przedstawicieli rządów państwowych, z uwzględnieniem stosunków gienealogicznych domów panujących, w zestawieniu synoptycznêm i spółczesnêm przez szereg piętnastu wieków od V po nar. Chr. do ostatnich czasów. Złożył Emilijan Bronlewski (zeszyt I) Warsz. 1883.

Przy studyowaniu i nauczaniu historyi ważne zajmują miejsce chronologia i gienealogia jako nauki pomocnicze. Oznaczenie jednak stosunku ich do nauki dziejów nie jest rzeczą łatwą i dotąd téż nieustalone bynajmniéj. Dosyć przejrzéć kilka dzieł czy to opracowanych źródłowo, czy téż przeznaczonych dla użytku szkolnego, aby się przekonać, jaka panuje rozmaitość w ich traktowaniu. Jedni dziejopisowie z nadzwyczajną zabiegliwością gromadzą w swych pracach miliony dat mniéj więcéj ścisłych, inni oszczędniejsi usiłują przedewszystkiém grupować fakty w całości organiczne, ożywiać je tchnieniem przewodniéj myśli dziejowéj, uwydatniać prądy czasowo wiejące, jako znamiona rozwoju życia narodów, chronologią zaś posiłkują się o tyle, o ile daty są jakby słupami granicznymi, wielkie okresy dziejów oddzielającymi lub najwybitniejsze tylko wypadki zaznaczającymi. A chociaż ktoś chronologią nazwał okiem historyi, podnosząc przez to jéj ważność, to jednak znaczenie jéj przy nowszém traktowaniu historyi w szkole umniejsza się znacznie. Boć niewątpliwie pożywniejszą będzie dla umysłu karmią obrazowanie wewnętrznego życia społeczeństw i charakteryzowanie najwybitniejszych jednostek historycznych, aniżeli całe szeregi dat, częstokroć nic nie uczących a będących niepotrzebnym balastem. Podobnież rzecz się ma i z gienealogią. Jeżeli historyą traktować będziemy jako naukę, która, wyświetlając warunki wewnętrznego ży-

cia narodów, wykazuje wszechstronny rozwój ich działalności, niezawsze od kombinacyi materyalno-dynastycznych zależny a nawet wielokrotnie wbrew ich dążeniom kroczący, wtedy gienealogia jest dodatkiem zbytecznym; jeśli zaś życie narodów zechce dziejopis utożsamiać z historyą zewnętrzną państw i zmian terytoryalnych, wówczas gienealogia zająć musi stanowisko poczesne, ale wątpimy, czy wyjdzie to na korzyść saméj historyi.

Bądź co bądź znajomość gienealogii a zwłaszcza chronologii jest przy nauce dziejów w mniejszym lub większym zakresie niezbędna. Dla ułatwienia przeto zdobycia potrzebnych szczegółów i zachowania ich w pamięci, starano się już oddawna o wynalezienie sposobów, za pomocą których możnaby się oryentować wśród chaosu dat i drobiazgów rodowodowych przez sprowadzenie ich do ogólnego jakiegoś obrazu. Za najlepszy ku temu celowi środek uznano rysunek i linie gieometryczne. Jedną z najdawniejszych w tym rodzaju prac jest Hagelgans, *Atlas historicus* (Frankf. n. M. 1718), ostatnią dzieło pod zamieszczonym powyżéj napisem. Autor onego, p. Broniewski, do tablicy graficznéj, obejmującéj na początek wieki V i VI po nar. Chr., dodał „słowo wstępne,“ w którém poucza czytelnika o używanych dotąd tablicach *synchronistycznych*, *chronograficznych i gienealogicznych*, które obok właściwych sobie zalet posiadają i wiele wad a nadewszystko przedstawiają tę niedogodność, iż nie mogą ogarnąć w zestawieniu spółczesném całego materyału chronologiczno-gienealogicznego w sposób uogólniający. Postanowił więc niedogodność tę usunąć i wedle własnego pomysłu za pomocą rysunku i grafiki, kombinując chronologią i gienealogią, zręcznie zjednoczył wielkie bogactwo szczegółów w jednym synoptycznym obrazie, wykazującym czas osiedlania się narodów, tworzenie się państw i dalsze ich istnienie, kolejne następstwo monarchów, ich rodowody oraz związki małżeńskie między dynastyami. Układ tablicy i sposób jéj używania dostatecznie autor objaśnia w słowie wstępném. Podział czasu oznaczony w siatce graficznéj liniami pionowymi od góry ku dołowi. Jeden wiek od drugiego oddzielony szerokim paskiem, na którym mieszczą się nazwy państw lub narodów; każdy wiek przedzielony na połowy węższym paskiem, obejmującym numeracyą porządkową państw; nadto, różnéj grubości liniami zaznaczony podział na ćwierć wieki, dziesiątki, półdziesiątki i pojedyńcze lata; wieki i dziesiątki są wskazane u góry i u dołu cyframi. Wpoprzek tablicy idą od lewéj ku prawéj szerokie pasy różnobarwne, którymi są oznaczone państwa i narody w ugrupowaniu etnograficzném; nazwy grup są podane na początku każdego wieku, zaś pojedyńczych ludów i państw każdéj grupy w wąskich paskach; początek i czas ich trwania

oznacza długość linii, idących ku prawéj stronie od jednéj linii pionowéj do drugiéj. Nadto w tymże kierunku ciągną się inne linie, które, przecinając rubryki podziałki czasu, wskazują panowanie lub życie różnych osób z podaniem ich imion a połączenia linii i znaki wyrażają pojedyńcze zdarzenia. Życie mężczyzn przedstawia linia gruba ciągła a kobiet przerywana; dodana zaś równoległa cienka oznacza czas ich rządów; przecięcia z podziałką czasu objaśniają dokładnie urodzenie, śmierć, wstąpienie na tron i t. d. od linii głównych rozbiegają się we właściwych podziałkach linie rodowodowe poboczne, życie synów i córek znamionujące z wyróżnieniem prawych i nieprawych. Na liniach gienealogicznych mieszczą się znaki, cechujące związki małżeńskie, śmierć, śmierć bezpotomną, śmierć żony, rozwód itd. Wszelkie daty niepewne przedstawione są liniami kropkowanymi. Tablicę czytać można w kierunku poziomym i pionowym. Postępując od lewéj ku prawéj stronie, spotykamy na pasmach różnokolorowych odzielne narody i państwa oraz panujących i ich rodowody (wyłączając naturalnie papieżów i rzeczypospolite); opuszczając się zaś z góry ku dołowi po przedziałce czasu, trafiamy na linije poprzeczne, pozwalające jednym rzutem oka ogarnąć niektóre wypadki spółczesne w całéj Europie, np. jak się rozwijały różne dynastye, jakie w tym samym wieku, dziesiątku lub roku panują w różnych krajach, osoby, albo, jeżeli nie chodzi o spółczesność, na podstawie jakich praw rodowych ta lub inna rodzina dochodzi tronu itp. Cały układ tablicy za pomocą grafiki jest tak sporządzony, iż bardzo łatwo, po nabyciu bez wielkich wytężeń wprawy, można ją czytać i w masie szczegółów się oryentować.

Praca p. Br., jak z tego opisu widzimy uwzględnia przedewszystkiém stosunki gienealogiczne, chronologia zaś zeszła na plan drugi, mamy bowiem tylko daty, dotyczące życia osób panujących i ich krewnych, osiedlania się narodów i istnienia państw. Nie znajdujemy tedy wcale innych faktów historycznych, wielkiéj nieraz doniosłości, które nie jednostkę, ale cały obchodziły naród, które o jego życiu i losach częstokroć świadczą. Napróżno szukamy takich wypadków jak wojny, bitwy pomyślne, nieszczęśliwe lub niestanowcze, podboje i ujarzmienia, rewolucye i wyzwolenia narodów, traktaty, przymierza, sobory; zdaje się nam także, iż bardziéj interesującymi i ważniejszymi od wielu szczegółów gienealogicznych, byłyby wiadomości, dotyczące życia monarchów najwybitniejszych, jak wzięcie do niewoli, wypędzenie, abdykacya, wstąpienie do klasztoru, obłożenie klątwą itp. Wszystko to, nawet i formę rządu, niewielką liczbą odpowiednich symbolów dałoby się łacno oznaczyć. Ta-

blice więc p. Br. nie mogą zastąpić w całości tablic chronologicznych, jakimi są np. wydane w Dorpacie nakładem Siegismunda i Volkeninga; ułożone podług innego systemu, uwzględniają one skąpo wprawdzie stosunki gienealogiczne, ale przedstawiają bogactwo materyału chronologicznego, nawet i z zakresu kultury, a jednak są dość przejrzyste.

Ponieważ autor za najważniejsze w historyi zdarzenia uważa osiedlanie się narodów, tworzenie się państw i ich istnienie, przeto w początkowych dziejach wieków średnich dostatecznie żywiołem tym tablice swe zapełni, ale w czasach nowych, kiedy przesiedlania w Europie ustają a państwa utrwalają swą egzystencyą, chronologia w obrębie tych stosunków uszczuplić się musi znacznie. Czy więc nie należałoby wprowadzić natomiast najważniejszych faktów powyżéj zaznaczonych? Pełnośćby na tém zyskała. Zamieszczenie odpowiednich znaków na podziałkach czasu możeby całości nie zagmatwało. Wątpimy bowiem, czy grafika wszystkim tym wymaganiom zadość uczynić zdoła, lubo autor twierdzi, iż za jéj pomocą dadzą się skupić w jednym obrazie najważniejsze stosunki historyi. Jednakże w leżącéj przed nami tablicy nie udało się tego dokonać i nie chce się nam nawet wierzyć, aby „sposobem graficznym jedynie“ było możliwe przedstawienie całości dziejów. W każdym razie ciekawi jesteśmy bardzo, jak liniami pozwolą się oznaczyć wyraźnie a jasno formy rządu, stosunki ekonomiczne, społeczne, kościelne i narodowe, prądy polityczne, religijne, naukowe, literackie, artystyczne. Trudno nam téż wmówić w siebie to przekonanie, że tablice graficzne „ułatwiają poglądy ogólne“ historyczne; przynajmniéj i pracy p. Br. poglądów tych zdobyć sobie nie podobna, chyba iż wraz z autorem będziemy pojmowali historyą w ten sposób, że „cała jéj budowa wspiera się na rachubie czasu“ i że rozwój dziejowy zależy przeważnie, jeśli nie wyłącznie, od jednostek.

Jeżeli postawimy sobie teraz pytanie dla czyjego użytku sporządził swe tablice p. Br., będziemy w kłopocie z udzieleniem odpowiedzi. Badacz historyczny pominie je, bo nie są źródłem; kompilator, autor podręcznika i każdy studyujący dzieje nie znajdzie w dostatecznéj ilości potrzebnych danych, woli więc czytać dzieła, które mu dają *istotny* obraz historyi ludzkości a porządnie ułożone rejestry ułatwiają zgromadzenie najdrobniejszych szczegółów chronologiczno-gienealogicznych. Z porozrzucanych w słowie wstępném wzmianek wynikać się zdaje, że tablice te ułożone są dla użytku szkoły. I temu jednak celowi nie odpowiadają, albowiem nie są zastosowane do kursu gimnazyalnego. Z jednéj strony przeładowane gienealogią, która w nauczaniu średniém małe tylko może znajdo-

wać uwzględnienie, z drugiéj zaś niepodają tych faktów, z którymi młodzież zapoznać się musi bezwarunkowo. Gdyby więc tablice rzeczone spożytkowały tyle tylko materyału, ile go wymaga szkoła, wówczas niewątpliwie oddałyby pewną usługę. Ale nie w tém rozumieniu, iżby dziecko miało się wyuczać dat z tablicy, jeno aby jéj używało przy repetycyach dopiero lub egzaminach dla oryentowania się w następstwie wydarzeń i dla uprzytomnienia sobie ich spółczesności. Zdrowa pedagogika potępia tak zwane metody mnemoniczne, jako środki sztuczne, mechaniczne; zaleca zaś pielęgnowanie i ćwiczenie pamięci sposobami zgoła innymi, bardziéj naturalnymi, bo na psychologii opartymi i z przyrodzonych właściwości ducha ludzkiego wypływającymi. Metodyka więc historyi z ostrożnością tylko tablicami takimi posługiwać się winna. Grafika zresztą, nie łudźmy się, wymaganiom metody poglądowéj wszechstronnie zadość nie czyni. Jest i w tablicach graficznych niejakie unaocznianie, ale nie dają one i dać nie mogą zmysłowych *obrazów*, odzwierciadlających fakta historyczne, o co właśnie chodzi metodzie poglądowéj. Z dziedziny historyi kultura jedynie (dzieła sztuki, sprzęty, narzędzia, broń, portrety itp.) korzystać z niéj może za pomocą wiernych wizerunków. Tak więc pożyteczność tablic graficznych, zdaniem naszém, jest dość ograniczona.

A jednak są one owocem olbrzymiéj, zmudnéj a rzetelnéj pracy, szkoda tylko, że w zakresie dziejów nie zużytkowanéj w kierunku bardziéj produkcyjnym. Ale upodobaniom indywidualnym granic kłaść nie ośmielamy się bynajmniéj. O wiarogodności nagromadzonych faktów powątpiewać nie możemy, gdyż rękojmią jéj jest sumienność autora i powaga źródeł, na których się opierał. Gdyby wreszcie znalazły się usterki, to w pracy tego rodzaju są prawie nieuniknione. Zewnętrzna strona przedstawia się także nader zalecająco pod względem wyrazistości i czystości odbicia; znamionuje ją nawet pewna wytworność estetyczna. Format wszelako zbyt wydłużony nie wydaje się nam wygodnym w użyciu podręcznem.

St. Mieczyński.

Listy J. Słowackiego. Wydanie trzecie w „Bibliotece Polskiéj.“ Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1883, tom I, str. 271; tom II, str. 289 in 8⁰ min.

Nie oceniamy niniejszego wydania korespondencyi Słowackiego jako naukowego wydania, bo brak mu do tego nieodzownych warunków a przedewszystkiem poprawnego autentycznego tekstu

listów; brak mu niezbędnych objaśnień i przypisków jako téż spisu osób i rzeczy, bez których jest wielce utrudnione wszechstronne korzystanie z wydawnictwa, lecz uważamy tę edycyą za *popularny przedruk*. Przykładając atoli najodpowiedniejszą i najkorzystniejszą dla wydawców miarę, jaką się zazwyczaj ocenia przedruki, nie może odpowiedzieć niniejsze wydanie Listów Słowackiego choćby najskromniejszym wymaganiom.

Co się tyczy samego tekstu, to napotykamy w téj nowéj edycyi tak częste zmiany i tak dowolne przeinaczenia poszczególnych słów a nawet całych zdań, że trudno nieraz zrozumieć myśl autora, albo co gorsza dostajemy wskutek tych dowolnych zmian odmienną myśl od téj, którą mamy w autentycznych listach Juliusza. Oto parę przykładów. W korespondencyi Słowackiego z matką z 2-go grudnia 1847 r. czytamy: „Widuję teraz wielu ludzi, miłość mi ich sprowadza. Zimę tę więc *miłą* oczekiwaniem wiosny łatwiéj niż inne zimy przebędę.“ W nowém wydaniu (tom II, str. 174) czytamy: „Zimę tę więc *nudną* oczekiwaniem wiosny“ i t. d. W liście z 30-go grudnia 1832 opisuje Słowacki matce wróżkę Lenormand: Jest-to baba otyła, garbata, ubrana czarno, „na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret jak *męska* czapka;“ w nowém wydaniu ma taż sama wróżka „*miękką* czapkę“ (tom I, str. 99). Na innéem miejscu (list Słowackiego z 9 listopada 1832) wypłowiał „jasnobłękitny watowany szlafrok“ i zmienił się w nowém wydaniu na „jasnowatowy szlafrok“ (tom I, str. 88). Ale mniejsza o takie małoznaczące zmiany — „wydawcy“ pozwalają sobie znaczniejszych. Wiadomo, że Słowacki w ostatniéj epoce życia, kiedy to popadł pod wpływem Towiańszczyzny w mistyczny obłęd, pisywał listy nadzwyczaj prędko „jak szalony.“ Sam powiada w liście do matki z 28 lipca 1843: „Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu *i przywiodło* do celu nie katując mię cieleśnie ale łagodnie prowadząc.“ Zdanie to dorywczo napisane nie jest pięknie zbudowane, ale charakteryzuje sposób pisania Listów Słowackiego, dla tego zmiana (w nowém wydaniu) w budowie zdania zacierająca tę dorywczość jest wadliwą, chociaż nadano zdaniu gładszą formę: „chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić—rozmiłowywać w Bogu *który mię przywiódł* do celu, nie katując cieleśnie“ (tom II, str. 106).

W opisie jesiennego krajobrazu szwajcarskiego mówi Słowacki (w liście z d. 27 października 1833) o czystem równém jeziorze, na którém „*koło mnie* przepłynął z daleka parowy statek“; w najnowszém wydaniu czytamy dziwaczne „*po mnie* przepłynął statek“ (t. I,

str. 142). Albo w opisie podróży górskiéj (Jura) z 30 grudnia 1832: „Siedliśmy ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, *na trzecie* spakowano rzeczy“ i t. d.; w wydaniu Gubrynowicza aż „*na trzech* wozach spakowano rzeczy.“ Dnia 30 lipca donosi matce „o dziewczynie *co mi dała* groszek,“ a nie „o dziewczynie *co miała* groszek,“ bo to nie daje żadnego sensu (wyd. z 1883 r. t. I, 71). W przejażdzce Juliusza na Nilu dnia 6 listopada mają „łódkę z ośmiu *murzynami*“ nie „*marynarzami*“ jak w wydaniu nowém (t. I, str. 255) itd. itd. Podobnych zmian zupełnie dowolnych albo błędnych w tém wydaniu listów można *setkami* liczyć.

Osobną kategoryą błędów tego wydania stanowią daty listów tak ważne nieraz do poznania rozwoju poety. List Słowackiego (Małecki tom II, str. 14) z 27 października (1833 r.) jest w nowém wydaniu datowany „*17* października“ (tom II, str. 139); list Słowackiego do matki „pisany *nie wiadomo w którym miesiącu*“ (r. 1839) figuruje tutaj (t. II, str. 53) pod datą „października 1839“ i t. p.

Kategorya dowolnych opuszczeń w nowém wydaniu jest zastraszająca dla tego, który sumiennie pojmuje obowiązek przedrukowania. Ograniczam się, jedynie dla braku miejsca, do wskazania kilku przypadkowo się nasuwających opuszczeń, wskutek których zmienia się nieraz znacznie myśl poety albo niknie rys charakterystyczny. I tak: w liście z dnia 30 grudnia 1832 opuszczono po słowach: „zdradzały go aż do głębi serca“ następuje całe zdanie, które należy w tekst włożyć: „Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślania się na tę samę myśl wpadłem,“ a myśl ta maluje doskonale *łatwowierność* Słowackiego. Dnia 23 listopada odwiedza Słowacki Zieńkowicza w Wersalu. „Przyjechawszy więc — powiada — nie zastałem go w domu, *lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek* zarosły trochę dzikimi chwastami.“ W nowém wydaniu opuszczono zaznaczone powyżéj słowa, a tak obcięte zdanie nie oddaje myśli autora (*Listy* wyd. 1883, tom I, str. 69). Nadto jest wskutek opuszczenia słów „wkrótce nadszedł“ zaraz następujący ustęp niezrozumiały, zaczynający się od słów: „Na téj ławie usiedli*śmy* i t. d., bo jeżeli Zieńkowicza nie było, nie wiemy o kim mówi Słowacki w liczbie mnogiéj. W liście z dnia 21 sierpnia 1838 opisując „chrzciny Anhellego“ powiada: „Potém poszedłem do M. pochwalić się i jadłem z *nim* objad, wesoły jak rzadko bywa *i dosyć kontent ze świata.*“ Wskutek opuszczenia ostatnich słów i błędnéj interpunkcyi wygląda to zdanie tak przekształcone w najnowszém

wydaniu: „Potém poszedłem do M. pochwalić się i jadłem *z nimi obiad wesoły, jak rzadko bywa*“*!* (tom II, str. 46).

O mniejszych opuszczeniach jak np. „możecie sobie wystawić“ zamiast „*nie* możecie“ (wyd. 3, tom I, str. 28); „nowe zbierałem pochwały“ zamiast „nowe *obojéj płci* zbierałem pochwały“ (wyd. 3, t. I, str. 52) i t. p. nie warto się rozpisywać wobec znaczniejszych wypuszczeń, powyżéj zaznaczonych.

Nowy wydawca „Listów Słowackiego“ lubi nie wiadomo z jakich przyczyn zmniejszać albo zwiększać cyfry podane przez Słowackiego. Np. w liście z 30 listopada 1833 donosi Juliusz matce, że w krótkim czasie t. j. za dwadzieścia dni „napisał 2,200 wierszy;“ w wydaniu lwowskiém stoi „w dni 20 napisał 220 (?) wierszy,“ toby znaczyło dziennie po 11 wierszy a Słowacki chciał powiedzieć, że pisał dziennie przeszło *100* wierszy. W liście z 24 czerwca 1839 mówi Słowacki (u Małeckiego II, 164) o 200 dukatach, w nowém wydaniu jest tylko „100 dukatów“ (tom II, 51). W liście z Genewy 7 marca 1835 r. ma być stanowczo „10,000 franków“ a nie jak podano w nowéj edycyi „20,000 franków“ (tom II, str. 205), ponieważ mówi wyraźnie Słowacki „*t. j.* 18,000 złotych polskich.“

Z dowolnych dodatków wydawcy podnoszę tu zupełnie niepotrzebne przydawanie przyimków „*w*“ i „*z*“, przez co nieraz zeszpecono tekst i utrudniono zrozumienie myśli. Np. w liście z dnia 12 kwietnia 1831 wyglądają wskutek takiego dodania zupełnie niezrozumiale następujące słowa: „była to właśnie chwila kiedy księża gaszą po jednéj *w* trójkąt obstawiony palącymi się świecami“ (tom I, str. 11). W parę razy wspomnianym liście z 30 lipca 1832 mówi Słowacki o groszkach „*z* ciemniejszego koloru“ (tom I, str. 70).

Systematyczne modernizowanie pisowni i form gramatycznych, czyni to nowe wydanie „Listów“ zupełnie nieprzydatném a nawet niebezpieczném dla tych, którzyby chcieli poznać stan języka polskiego za czasów Słowackiego. Dość wspomnieć tylko o modernizowaniu końcówek 6 i 7 przypadku przymiotników o rozróżnianiu rodzajów u liczebników (np. „dwiema poduszkami“ (I. 130) zam. „dwoma poduszkami,“ jak jeszcze prawie systematycznie pisze Słowacki), o pisowni imion własnych i t. d. Słowacki pisze systematycznie do r. 1848: „źrzódło“ nie „źródło,“ „gadać“ nie „mówić,“ „przedać“ nie „sprzedać“ i t. p. Zmiana liczby i rodzaju nie jest rzadkością, a chociaż to napozór rzecz drobna, staje się nieraz bardzo ważną, jak np. kiedy mylnie podano w nowém wydaniu (I, 147), że Słowacki czyta „Kochanowsk*iego*“ zamiast Kochanowsk*ich*.“ Że ta ostatnia forma jest jedynie słuszną, dowodem słowa listu z 24 kwietnia 1834 gdzie pisze wyraźnie: „prawdziwą rozkoszą są dla mnie

obaj Kochanowscy." Imiona i nazwy obcinają systematycznie wydawcy listów Juliusza, chociaż nieraz nie ma obawy, aby wymienienie całego nazwiska mogło kogokolwiek dotknąć; np. „piszą mi o K..." (I, str. 162), to znaczy „o Kordyanie"; „ten Jan K. był spokojny" (tamże), odnosi się do „Jana Kochanowskiego." W liście z dnia 20 października 1835 mówi Słowacki, że jest „daleki od Paryża," wydawcy drukują: „daleki od P." Z Neapolu pisze Słowacki, że „Teofilowie miasta (Sorrento) nie chcieli porzucić"; w nowém wyd. podano tajemniczo: „T..... miasta nie chcieli porzucić" (I, 246).

Najliczniejsze błędy popełnił wydawca przez złe odczytanie rękopisów. Ograniczam się do wytknięcia kilku znaczniejszych błędów, które sobie zanotowałem podczas czytania kilku listów Słowackiego. „Kamieniec" zamiast „Krzemieniec" (tom II, str. 45 i 48); „*S*illa W*an*da" zam. „*L*illa W*ene*da" (tom II, str. 135); „*r*ąbki" zam. „*z*ąbki" (tom II, str. 34); „gł*oś*nymi osobami" zamiast „gł*ów*nymi osobami" (t. I, 40) i t. d.

Z porównania téj edycyi listów z wyjątkami przytoczonemi w monografii Małeckiego, okazują się także zmiany i dodatki Małeckiego, przeważnie drobne i zewnętrzne, jak np. tłómaczenie łacińskich zwrotów, wygładzania stylu i języka, czasem pomyłki albo niepoprawne odczytanie tekstu (nowe wydanie I, str. 62, 73 i t. p) *bez zaznaczenia*, że przedsięwzięto te i tym podobne zmiany. Nieraz trudno dojść kto ma słuszność: czy wydawca „Listów" czy Małecki, bo obaj pozwalają sobie zmiany, zwłaszcza pod względem stylu i języka, których z dotychczasowych edycyi listów nie można poznać w właściwem świetle. I tak np. czytamy u Małeckiego (II, 4): „Murawy zachowały tu dotąd smaragdową barwę." W „Listach" wydania Gubrynowicza brzmi to zdanie: „Murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia;" albo Małecki (I, str. 35): „Wymówiłem się z tém *kiedyś dawniéj* przed jednym z moich znajomych", w wydaniu Gubrynowicza Listów Słowackiego: „Wymówiłem się z tém przed jednym z moich znajomych." Jest-to jeden z tysiącznych przykładów takiéj niezgodności tekstu. Umiejętny wydawca „Listów" weźmie naturalnie tylko autografy Słowackiego za podstawę swego wydania. Znakomita monografia Małeckiego będzie mu wielką pomocą i stałym przewodnikiem. Wydania zaś Listów Słowackiego dokonanego u Gubrynowicza nie powinien nigdy uwzględnić, jeżeli nie chce zajść na manowce. Nakoniec muszę nadmienić, że dawniejsze wydania Listów Słowackiego nakładem Gubrynowicza (pierwsze w Ruchu literackim i drugie osobne z 1876 r.) są pod względem interpunkcyi i korekty staranniejsze. Na dowód przytaczam tu tylko kilka błędów korektora, których nie masz w dawniejszém wy-

daniu, albo które *zmieniają znacznie myśl* autora; np. „myślą“ zamiast „myślę“ (nowe wydanie I, 4); „*po* domu“ zamiast „*do* domu“ (tamże); „w *r*azie“ zamiast „w *w*azie“ (I, 70); „wr*ó*ciłbym“ zam. „wrz*u*ciłbym“ (I, 71); „*w* całe ściany“ zamiast „całe ściany“ (I, 99); „gladac“ zam. „gadać“ (I, 87) i t. p. Tych ostatnich omyłek drukarskich nie ma w dawniejszém wydaniu z r. 1876.

Pod względem zawartości nie wielce się różni to nowe wydanie od pierwszego i drugiego. Wprawdzie zapowiadają wydawcy, że rozszerzyli zakres listów do matki i „zmienili nieco układ,“ ale to nie ze wszystkiem prawda. Wszystkie listy do matki są przedrukowane z II-go wydania i różnią się chyba tém, że dodano nowe błędy drukarskie, których tam nie masz w takiéj ilości, i że rozdzielono listy na dwa tomy, trochę inaczéj niż w II wydaniu, ale także mechanicznie zapewne z księgarskich względów. Przecież tego nie można nazwać „zmienionym *układem*.“ Układ chronologiczny jedynie racyonalny w takiém wydawnictwie nie wydawał się wydawcom dobrym, potworzono grupy: Listy do matki, listy do Stattlera i Krasińskiego, co utrudnia niezmiernie poznanie rozwoju poety. Listy Juliusza do Wojciecha Stattlera i Z. Krasińskiego, których nie pomieszczono w pierwszém wydaniu znane są z monografii Małeckiego, z „Warty“ i innych pism. Są to listy z ostatnich lat życia Słowackiego, kiedy to autor „Króla Ducha“ popadł w mistyczny obłęd — nie rzucają one nowego światła na Słowackiego i jego działalność. Ten sam mistyczno-spirytalny kierunek, te same ciemne wyrażenia w tych wszystkich listach i pismach po roku 1841. Słowacki powtarza się tu aż do znudzenia, albo dziecinnieje. Ale i ten dodatek jest licho wydrukowany. I tak, np. nie podano źródła zkąd przedrukowano listy Słowackiego do Krasińskiego i jego odpowiedzi, przytém należało je naprzemian umieszczać. I tutaj te same kategorye błędów, o których mówiłem, i tylko nowe omyłki drukarskie, jak np. w liście Juliusza z 17 stycznia 1843: „tak *jest* to materyalne pomaganie“ zamiast „tak *jak*“ i t. d. (II, 246); „z wzroku widziałem“ zamiast „*w* wzroku“ (II, 243) i t. p.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Lipca 1883 r.

---

1. **Nowelle** — II. Kraków u *K. Bartoszewicza* 1883 (str. 67—126).
2. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Tom I zeszyty 3—5 (str. 161—400). Warszawa u Teod. Paprockiego. Cena tomu 60-io arkuszowego rs. 4. na prowincyi rs. 5.
3. **Dr. H. Wald**. O sympatyi, przełożył *Jakób Goldszmit.* Warszawa. 1883—16-a str. 48.
4. **Śpiewnik Warszawski,** składający się przeważnie ze śpiewek popularnych i niektórych deklamacyi zebranych i ułożonych przez *Józefa Cybulskiego* ar. dr. Wydanie nowe Warszawa 1883. str. 156.
5. **Wychowanie dzieci u rozmaitych narodów,** opracował podług dzieła D-ra Ploss'a *D-r. I. Polak.* Warszawa G. Centnerszwer. 1883 8-o str. 93.
6. **Kwestya Run Słowiańskich** ze stanowiska lingwistycznego przedstawił *Roman Zawiliński.* Kraków, 1883, 8-o, str. 18.
7. **Stan obecny robotnika wiejskiego w Galicyi**. Napisał *Stanisław Skrzyński.* Lwów. 1883, 16-o. str. 24.
8. **Siedm Wieczorów.** Pogadanki o rzeczach pożytecznych p. *Józefa Supińskiego.* Oddzielne wydanie piąte. Warszawa u Gebethnera i Wolffa 1883, str. 140 (Cena kop. 15).
9. **Obłąkani**. tragedja w 5 aktach; napisał *Kazimierz Gliński.* Warszawa, 1882, str. 160.
10. **Podatek gruntowy** i system podatków od intrat. Napisał *Dr. Mieczysław Bochenek.* Kraków u D. E. Friedleina, 8-o, str. X;—201.
11. *Zaborowski* **O początku mowy** przełożył z francuskiego I. Chodorowicz. Warszawa nakład „Wędrowca" 1883, 16-o, str. 138.
12. **Podróż około Świata** młodego Smiles'a wydał *Samuel Smiles* ojciec—przekład z Angielskiego p. *E. H.* Warszawa, nakład W. Dawida, 1883, 16-o, str. 252.
13. **W sprawie pisowni polskiej** i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych. Głos *Jana Karłowicza.* Kraków, nakładem autora, 1883, r. 8-o, str. 29.
14. **Ziemia Kujawska** pod względem historycznym, jeograficznym. archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym, opisana przez *Maksymiliana Boruckiego.* Włocławek 1883, Zeszyt 57, str. 135--182.
15. **Encyklopedyja wychowawcza**. Tom III. zeszyt 2-gi, artykuły: „Czarnecki Edward"—„Czechy ", str. 81—160.
16. **Książeczki dziesięciogroszowe**. 2. **Historya Michałka Ryby**, pogadanka naukowa. Napisał Bronisław Rysiński. Warszawa. Lesman i Swiszczowski. 1883, 16-o, str. 32.
17. **Nikołaj Rej**. polskij pisatel XVI w.— Nieskolko nowych dannych dla jewo biografii sobrannych S. Ptaszickim. Sanktpetersburg, 1883. Tipografia Impieratorskoj akademii nauk.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1883 г.